



świat Akademii wampirów
RICHELLE MEAD

Kroniki krwi
**Srebrne
cienie**

Richelle Mead

**Kroniki krwi
Srebrne cienie**

Świat Akademii wampirów

Przełożyła Monika Gajdzińska
Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

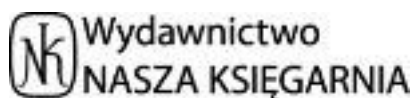
Kroniki krwi Srebrne cienie

Spis treści

Okładka	Strona tytułowa	Zajrzyj na strony	W serii	Dedykacja	ROZDZIAŁ 1	ROZDZIAŁ 1
2	ROZDZIAŁ 3	ROZDZIAŁ 4	ROZDZIAŁ 5	ROZDZIAŁ 6	ROZDZIAŁ 7	ROZDZIAŁ 7
8	ROZDZIAŁ 9	ROZDZIAŁ 10	ROZDZIAŁ 11	ROZDZIAŁ 12	ROZDZIAŁ 13	ROZDZIAŁ 13
14	ROZDZIAŁ 15	ROZDZIAŁ 16	ROZDZIAŁ 17	ROZDZIAŁ 18	ROZDZIAŁ 19	ROZDZIAŁ 19
20	ROZDZIAŁ 21	ROZDZIAŁ 22	TEJ AUTORKI RÓWNIEŻ	Strona redakcyjna		

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku
www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj kolejne tomy w serii KRONIKI KRWI
nk.com.pl/kroniki-krwi/194/seria.html

Poznaj naszą ofertę - FANTASTYKA I HORROR
www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html

W serii
Akademia wampirów:

AKADEMIA WAMPIRÓW
W SZPONACH MROZU
POCAŁUNEK CIENIA
PRZYSIĘGA KRWI
W MOCY DUCHA
OSTATNIE POŚWIĘCENIE

W serii
Kroniki krwi:

KRONIKI KRWI
ZŁOTA LILIA
MAGIA INDYGO
SERCE W PŁOMIENIACH
SREBRNE CIENIE

W przygotowaniu:

RUBINOWY KRĄG

Dla rodziny Akademii wampirów

ROZDZIAŁ 1

Sydney

OBUDZIŁAM SIĘ W CIEMNOŚCI.

Nie było w tym nic zaskakującego, stale budziłam się w ciemnościach... Właściwie nie wiedziałam od jak dawna. Minęło chyba wiele tygodni, może nawet miesięcy od dnia, w którym mnie tu zamknęli. Straciłam rachubę czasu w tej ciasnej, zimnej celi, gdzie sypiałam na kamiennej podłodze. Moi prześladowcy decydowali, kiedy mogę zasnąć i kiedy się budzę. By mnie otumanić, podawali mi narkotyki. Z początku podejrzewałam, że rozpuszczają je w jedzeniu albo w wodzie, więc rozpoczęłam strajk głodowy. Wtedy zaczęli mnie karmić na siłę — już nigdy nie chciałabym doświadczyć czegoś podobnego! — a narkotyk nadal działał. Dopiero później zorientowałam się, że rozpylają go przez system wentylacyjny. Nie mogłam nie oddychać.

Przez jakiś czas miałam nadzieję, że zdołam odmierzać czas według cyklu menstruacyjnego, niczym kobiety żyjące w społeczeństwach pierwotnych, których rytm biologiczny był zgodny z fazami księżyca. Prześladowcy, orędownicy czystości i higieny, zaopatrywali mnie w niezbędne środki higieniczne. Ale i ten plan zawiódł. Od momentu porwania przestałam zażywać pigułki antykoncepcyjne i mój układ hormonalny zupełnie się rozregulował. Nie mogłam liczyć dni, zwłaszcza że zasypiałam o nieregularnych porach. Miałam tylko pewność, że nie jestem w ciąży, a to była wielka ulga. Strach o los dziecka mojego i Adriana uczyniłby mnie zależną od alchemików. Zyskaliby nade mną nieograniczoną władzę. Ponieważ odpowiadałam wyłącznie za siebie, stawiałam im opór. Potrafiłam znieść głód i chłód. Nie mogli mnie złamać.

— Przemyślałaś swoje grzechy, Sydney?

Kobięcy, metalicznie brzmiący głos wypełnił maleńką celę. Odbijał się echem od ścian. Usiadłam i okryłam kolana zgrzebną sukienką. Zrobiłam to mechanicznie. Sukienka nie miała rękawów i uszyto ją z tak cienkiego materiału, że nie chroniła przed chłodem. Dali mi ją wyłącznie dla przyzwoitości i to nie od razu. Zapewniali, że to gest dobrej woli, ale podejrzewałam, że raziła ich moja nagość. Pewnie z początku spodziewali się, że będę ich prosić o jakieś okrycie.

— Spałam — mruknęłam, tłumiąc ziewnięcie. — Nie miałam czasu na rozważania.

Narkotyk sprawiał, że wciąż byłam senna. Musieli jednak rozpylać go na zmianę z jakimś środkiem pobudzającym, bo mimo zmęczenia od czasu do czasu odzyskiwałam przytomność. W rezultacie nigdy nie czułam się wypoczęta, ale o to także im chodziło. Manipulacja psychologiczna najskuteczniej działa na osłabiony umysł.

— Śniłaś? — spytał głos. — Śniłaś o odkupieniu? O tym, jakie to uczucie zobaczyć znów światło?

— Dobrze wiesz, że nie. — Normalnie nie wdawałam się w rozmowy. Nieustannie zadawali mi pytania i czasem po prostu nie odpowiadałam. — Może gdybyście przestali mnie szprycować, zasnęłabym jak człowiek i wówczas opowiedziałabym wam jakiś sen.

Gdybym zasypiała naturalnie, Adrian zdołałby mnie odnaleźć. Znalazłby sposób, żeby mnie uwolnić z tego piekła.

Adrian.

Samo jego imię pomagało przetrwać długie, mroczne godziny. Myślałam o nim, o tym, co przeżyliśmy i co jeszcze mogliśmy przeżyć. Tylko dzięki niemu wciąż się trzymałam. Często gubiłam się w marzeniach na jawie i we wspomnieniach o spędzonych z nim miesiącach. Czy naprawdę byliśmy razem tak krótko? Nic w moim dziewiętnastoletnim życiu nie wydawało się tak żywe, tak ważne jak nasz związek. Myślałam tylko o Adrianie. Odtwarzałam w pamięci każdą cenną chwilę, radosną czy pełną rozpaczy, a gdy zaczynało brakować mi wspomnień, snułam fantazje o przyszłości. W myślach realizowałam wszelkie możliwe scenariusze, które wymyślaliśmy wspólnie, tworząc naiwne „plany ucieczek”.

Adrian.

Dla niego mogłam przetrwać w tym więzieniu.

To z jego powodu się tu znalazłam.

— Nie potrzebujesz snów, by wiedzieć, co zrobiłaś — odezwał się głos. — Skalałaś się. Jesteś nieczysta. Twoja dusza błądzi w ciemności, zgrzeszyłaś przeciwko swojemu rodzajowi.

Westchnęłam, bo słyszałam to już wiele razy. Próbowałam usiąść wygodnie, ale nie znalazłam lepszej pozycji. Miałam sztywne mięśnie. W tych warunkach nie umiałam się rozluźnić.

— Na pewno jest ci smutno — ciągnął głos. — Złamałaś serce swojemu ojcu.

To było coś nowego, zaskoczyło mnie, więc odpowiedziałam bez zastanowienia:

— Mój ojciec nie ma serca.

— Ależ ma, Sydney. Ma. — Wychwyciłam w głosie nutę zadowolenia, że udało mu się sprowokować mnie do reakcji. — On głęboko ubolewa nad twoim upadkiem. Zwłaszcza że do tej pory byłaś dla nas cenną wojowniczką w walce ze złem.

Przesunęłam się nieco, żeby się oprzeć o chropowatą ścianę.

— Cóż, ma drugą córkę, która rokuje dużo lepiej. Z pewnością sobie z tym poradzi.

— Jej także złamałaś serce. Nie wyobrażasz sobie, jak głęboko oboje są zasmuceni. Nie byłoby miło się z nimi pojednać?

— Oferujecie mi taką szansę? — spytałam ostrożnie.

— Oferowaliśmy ją od samego początku, Sydney. Powiedz tylko to, co chcemy usłyszeć, a z radością pomożemy ci osiągnąć odkupienie.

— To znaczy, że jeszcze nie zaczęliście?

— Tymczasem próbujemy ci pomóc oczyścić duszę.

— Jasne — bąknęłam. — Głodząc mnie i skazując na upokorzenie.

— Chcesz zobaczyć rodzinę czy nie? Nie byłoby miło usiąść razem i porozmawiać?

Nie odpowiedziałam. Usiłowałam coś z tego zrozumieć. Głos proponował mi wcześniej wiele przyjemnych rzeczy, takich jak ciepło, miękkie łóżko czy prawdziwe ubranie. Obiecywał, że zwróci mi krzyżyk подарowany przez Adriana albo kusił jedzeniem, bardziej pożywnym niż papka, dzięki której utrzymywali mnie przy życiu. Raz nawet rozpuścili w powietrzu zapach kawy. Ktoś — zapewne z rodziny, której tak bardzo na mnie zależało — musiał im odpowiedzieć, co lubię.

Ale to — szansa na spotkanie i rozmowę — to było coś zupełnie nowego. Oczywiście Zoe i tata nie znajdowali się na czele listy osób, które miałabym ochotę spotkać, ale po raz pierwszy oferowano mi jakąś interesującą perspektywę: życie poza celą.

— Co musiałabym zrobić? — spytałam.

— Dobrze wiesz co — odparł głos. — Przyznaj się do winy. Wyznaj grzechy i powiedz, że jesteś gotowa za nie odpokutować.

Chciałam odparować, że nie mam się do czego przyznawać. Powtarzałam to już setki, może tysiące razy. Ale zaintrygowali mnie. Skoro miałabym się z kimś spotkać, musiałabym być

przytomna. Przestaną mnie szprycować narkotykiem, a wtedy mogłabym normalnie zasnąć...

— Wystarczy, że to powiem, i zobaczę rodzinę?

— Nie od razu, ma się rozumieć. — Protekcyjny ton głosu był niezwykle irytujący.

— Musisz na to zasłużyć. Ale rozpoczęłabyś nowy etap powrotu do zdrowia.

— Reedukacja — wycodziłam.

— W twoich ustach brzmi to jak coś złego — upomniał mnie głos. — A my tylko chcemy ci pomóc.

— Nie, dziękuję. Przywykłam do tego miejsca. Nie chciałabym się wyprowadzać.

Reedukacja musiała być prawdziwą torturą. Pewnie zamieszkałabym w lepszych warunkach, ale wówczas alchemicy dobraliby mi się do głowy. Pozbawili mnie wszelkich wygód, żeby mnie osłabić i uczynić bardziej podatną na kontrolę umysłu. Chcieli, żebym czuła do nich wdzięczność.

Mimo wszystko nie umiałam pozbyć się myśli, że opuściwszy celę, będę normalnie spać i śnić. Gdyby udało mi się nawiązać kontakt z Adrianem, wszystko mogło się zmienić. Przynajmniej wiedziałabym, że nie stało mu się nic złego... Pod warunkiem że przeżyłabym reedukację. Słyszałam o manipulacjach, jakie stosowali. Czy zdołam się im oprzeć? Czy potrafię ochronić mój umysł? A może nastawią mnie przeciwko najbliższemu, sprawią, że sprzeniewierzę się swoim zasadom? To było ryzyko związane z opuszczeniem celi. Wiedziałam również, że alchemicy stosują techniki „utrwalające” narzucony przez nich sposób myślenia i choć prawdopodobnie chroniła mnie magia, bałam się, że złamię mój opór. Jediną metodą gwarantującą odporność na ich zabiegi była mikstura, którą kiedyś sporządziłam i podałam pewnemu znajomemu — ale nie wypróbowałam jej na sobie.

Porzuciłam dalsze rozważania, bo znów ogarnęło mnie znużenie. Najwyraźniej rozmowa dobiegła końca. Nauczyłam się, że nie warto się opierać zmęczeniu, i wyciągnęłam się na podłodze, żeby zapaść w ciężki, pozbawiony marzeń sen. Zanim narkotyk mnie otępił, wypowiedziałam jeszcze w myślach jego imię, niczym amulet, który dawał siłę.

„Adrian...”

Obudziłam się o nieokreślonej porze i zobaczyłam, że podano mi jedzenie. Jak zwykle papkę, coś w rodzaju gorącej owsianki, zapewne nafaszerowanej witaminami i minerałami, żeby utrzymać mnie w zdrowiu. „Mamałyga” byłaby właściwie lepszym określeniem niż owsianka. Musieli się postarać, żeby wyglądała jak najmniej apetycznie. Zmuszałam się do jedzenia, wiedząc, że będę potrzebowała sił, kiedy stąd wyjdę.

„Jeśli stąd wyjdę”.

Zdradziecka myśl prześliznęła się, zanim zdążyłam ją zablokować. Lęk czający się w zakamarkach umysłu, że będą mnie tu trzymali do końca życia i nigdy już nie zobaczę tych, których kocham: Adriana, Eddiego, Jill, żadnego z nich. Nigdy nie będę parała się magią. Nie przeczytam ani jednej książki. Ta ostatnia myśl wydała mi się szczególnie bolesna, bo choć rozmyślanie o Adrianie pomagało mi przetrwać te mroczne godziny, mogłabym zabić dla byle jakiego czytadła. Właściwie wystarczyłoby czasopismo. Cokolwiek, co nie byłoby ciemnością ani tym głosem.

„Bądź silna — napomniałam siebie. — Bądź silna dla siebie. Dla Adriana. Czy on nie starałby się dla ciebie?”

Tak. Gdziekolwiek teraz był, czy został w Palm Springs, czy stamtąd wyjechał, na pewno ze mnie nie zrezygnował. Musiałam być gotowa na nasze spotkanie.

Centrum permanebit. Przypomniałam sobie łacińskie słowa, które dawały mi siłę. W wolnym tłumaczeniu brzmiały: „Środek wciąż spaja”. Pochodziły z wiersza, który czytaliśmy wspólnie z Adrianem. „Teraz my jesteśmy środkiem — pomyślałam. — On i ja, będziemy wciąż

spajać, cokolwiek się zdarzy”.

Dokończyłam podły posiłek i postanowiłam się umyć nad umywalką umieszczoną w kącie celi obok małego klozetu. Ruszyłam po omacku. Nie mogłam nawet marzyć o prawdziwej wannie czy choćby o prysznicu (choć kusili mnie także perspektywą kąpieli). Myłam się codziennie (w każdym razie zakładałam, że robię to codziennie) ręcznikiem zanurzonym w zimnej wodzie, która cuchnęła rdzą. Było to upokarzające, wiedziałam, że obserwują mnie przez kamery zaopatrzone w noktowizory, ale wołałam to niż brud. Nie zamierzałam dać im satysfakcji. Pozostanę człowiekiem, nawet jeśli mam za to płacić tak wysoką cenę.

Umyłam się i zwinęłam w kłębek pod ścianą. Szczękałam zębami, wciąż miałam mokrą skórę, przejmował mnie chłód. Czy jeszcze kiedyś poczuję ciepło?

— Rozmawialiśmy z twoim ojcem i siostrą, Sydney — odezwał się głos. — Bardzo się zasmucili, słysząc, że nie chcesz ich zobaczyć. Zoe płakała.

Skrzywiłam się, żałując, że dałam się wciągnąć w rozmowę. Głos uznał, że odwoływanie się do więzi rodzinnych przynosi jakiś efekt. Jak mogli sądzić, że czułam się związana z ludźmi, którzy kazali mnie tu zamknąć? Jedyna rodzina, za którą mogłabym tęsknić — mama i starsza siostra — zapewne nie została wpisana na listę gości, szczególnie jeśli ojciec wygrał sprawę rozwodową. Akurat to bardzo chciałam wiedzieć, ale na pewno nie zamierzałam się z tym zdradzać.

— Nie żałujesz, że sprawiłaś im ból? — drążył głos.

— To Zoe i tata powinni żałować, że sprawili ból mnie — warknęłam.

— Nie chcieli cię skrzywdzić. — Głos silił się na kojący ton, ale miałam tylko ochotę przyłożyć solidnie jego właścicielce, choć nie jestem osobą skłoną do przemocy. — Zrobili to, żeby ci pomóc. My także tylko tego pragniemy. Bardzo chcieliby z tobą porozmawiać i wyjaśnić swoje stanowiska.

— Nie wątpię — mruknęłam. — O ile rzeczywiście z nimi rozmawialiście.

„Po co w ogóle się odzywam? Do tej pory nie wypowiedziałam tylu słów naraz. Musieli być zachwyceni”.

— Zoe pytała, czy może przynieść waniliową latte bez tłuszczu. Pozwolilibyśmy jej. Zależy nam, żeby to była kulturalna wizyta, żebyście mogli spokojnie usiąść i naprawdę porozmawiać, aby twoja rodzina, oraz twoja dusza, zostały uzdrowione.

Serce zabiło mi gwałtownie i nie miało to nic wspólnego ze wspomnieniem latte. Głos potwierdził znów to, co sugerował wcześniej. Prawdziwa wizyta, na siedząco, przy kawie... Musiałaby się odbywać poza celą. Jeśli naprawdę byli skłonni zaprosić tu ojca i Zoe, nie wprowadzą ich do celi. Oczywiście wcale nie zależało mi na spotkaniu z nimi. Chciałam tylko wyjść. Powtarzałam sobie, że mogę tu zostać na wieki, że wytrzymam wszystko. I wytrzymałabym. Tylko co z tego miałam? Dowiodłam, że jestem twarda i nieugięta, i chociaż byłam z siebie dumna, nie zbliżało mnie to do spotkania z Adrianem ani o centymetr. Spotkać się z Adrianem, z resztą przyjaciół... Potrzebowałam zasnąć i śnić, otrząsnąć się z działania narkotyku.

Poza tym, gdyby udało mi się wydostać z tego ciasnego, mrocznego pomieszczenia, mogłabym spróbować magii. Dowiedziałabym się, gdzie mnie przetrzymują. Spróbowałabym się uwolnić.

Ale najpierw musiałam wyjść z celi. Do tej pory gratulowałam sobie dzielności, bo wytrzymywałam to wszystko, teraz przyszło mi do głowy, że prawdziwą próbą charakteru byłoby opuszczenie tej ciemnicy.

— Chciałabyś tego, Sydney? — Chyba wychyciłam w głosie nutkę podniecenia,

kontrastującą z wyniosłym, pouczającym tonem, do którego przywykłam. Dotychczas nie udało im się wzbudzić we mnie zainteresowania. — Chciałabyś zrobić pierwszy krok na drodze do oczyszczenia i zobaczyć się z rodziną?

Jak długo już tkwiłam w tej celi, doświadczając na przemian niepokoju i ośpienia? W tym czasie sporo schudłam, tyle ile chudnie się w ciągu tygodni. Tygodni, miesięcy... Nie miałam pojęcia, jak długo tu jestem. Tkwiłam w miejscu, a życie toczyło się dalej beze mnie... Życie tych, którzy mnie potrzebowali.

— Sydney?

Nie chciałam wydać się zbyt ożywiona.

— Skąd mogę wiedzieć, że warto wam zaufać? Że naprawdę pozwolicie mi się zobaczyć z rodziną, jeśli... obiorę tę drogę?

— Nie jesteśmy kłamcami ani oszustami — odparł głos. — Naszą dewizą są światło i uczciwość.

„Kłamcy, kłamcy” — myślałam. Oszukiwali mnie latami, twierdzili, że ci, którzy stali się moimi przyjaciółmi, to potwory. Alchemicy usiłowali kontrolować moje życie. Ale to nie miało teraz znaczenia. Mogli dotrzymać słowa albo nie.

— Czy dostanę... prawdziwe łóżko? — zapytałam zdławionym głosem. Alchemicy wykształcili mnie na świetną aktorkę, niech podziwiają swoje dzieło.

— Tak, Sydney. Prawdziwe łóżko, ubranie, prawdziwe jedzenie. Spotkasz ludzi, z którymi będziesz mogła porozmawiać, ludzi, którzy ci pomogą, jeśli tylko ich wysłuchasz.

Ostatnie zdanie przeważało. Skoro miałam przebywać wśród ludzi, nie mogli dłużej mnie otumaniać narkotykiem rozpylanym w powietrzu. Ogarnęło mnie podniecenie. Pewnie teraz rozpylali środek pobudzający, żeby mnie skłonić do pochopnego działania. Niezła sztuczka dla zmęczonego i skołowanego umysłu. Odniosła skutek, choć niedokładnie tak, jak się spodziewali.

Odruchowo sięgnęłam do szyi, żeby dotknąć krzyżyka, którego tam już nie było. „Nie pozwól im mnie odmienić — pomodliłam się w duchu. — Pozwól mi zachować wolny umysł. Pozwól mi przetrwać, cokolwiek dla mnie szykują”.

— Sydney?

— Co muszę zrobić? — spytałam.

— Wiesz co — odparł głos. — Wiesz, co musisz powiedzieć.

Podniosłam ręce do serca, a słowa, które wypowiedziałam w duchu, nie były modlitwą, lecz cichym przesłaniem dla Adriana: „Czekaj na mnie. Bądź silny i ja też będę silna. Wywalczę drogę na wolność, cokolwiek mnie czeka. Nie zapomnę cię. Nie odwrócę się od ciebie, nawet jeśli będę musiała łączyć im w żywe oczy. Nasz środek wciąż będzie spajał”.

— Wiesz, co masz powiedzieć — powtórzył głos.

Odchrząknęłam.

— Zgrzeszyłam przeciw mojemu rodzajowi i pozwoliłam mojej duszy popaść w zepsucie. Jestem gotowa oczyścić się z mroku.

— Jakie są twoje winy? — zażądał głos. — Wyznaj grzechy.

To było trudniejsze, ale znalazłam słowa. Jeśli miały mnie zbliżyć do Adriana i do wolności, mogłam powiedzieć wszystko.

Wzięłam głęboki oddech i wyznałam:

— Zakochałam się w wampirze.

W tej samej chwili oślepiło mnie światło.

ROZDZIAŁ 2

Adrian

NIE ZROZUM MNIE ŹLE, ale wyglądasz okropnie.

Podniosłem głowę ze stołu i otworzyłem jedno oko. Miałem okulary przeciwsłoneczne i znajdowałem się w pomieszczeniu, a mimo to światło potęgowało pulsujący ból w mojej głowie.

— Serio? — spytałem. — Mógłbym to zrozumieć lepiej?

Rowena Clark utkwiała we mnie surowe spojrzenie. Sydney zachowywała się tak samo. Poczulem ukłucie bólu.

— Mógłbyś to przyjąć konstruktywnie. — Rowena zmarszczyła nos. — Masz kaca, tak? To oznacza, że przedtem byłeś trzeźwy. Choć sądząc po oparach dżinu, jakie cię otaczają, nie jestem tego pewna.

— Jestem trzeźwy. Przeważnie. — Odważyłem się zdjąć okulary, żeby jej się lepiej przyjrzeć. — Masz niebieskie włosy.

— Niebiesko-zielone — sprostowała, dotykając głowy. — Widziałeś je dwa dni temu.

— Naprawdę? — Dwa dni temu mieliśmy wspólne zajęcia z mediów w Carlton College. Ledwo pamiętałem, co wydarzyło się przed dwiema godzinami. — Cóż. Możliwe, że wtedy nie byłem zupełnie trzeźwy. Ale wyglądają ładnie — dorzuciłem w nadziei, że ją udobrucham. Próżnej.

Prawdę mówiąc, ostatnio przychodziłem na zajęcia trzeźwy mniej więcej co drugi dzień. Jednak biorąc pod uwagę, że w ogóle przychodziłem, zasłużyłem chyba na odrobinę szacunku. Kiedy Sydney wyjechała — nie, kiedy została porwana — straciłem ochotę do nauki. Myślałem tylko o tym, jak ją odnaleźć. Całymi dniami leżałem w łóżku zwinięty w kłębek i czekałem, aż pojawi się we śnie wywołanym mocą ducha. Bez skutku. Próbowalem kontaktować się z nią o różnych porach, ale zacząłem nabierać przekonania, że w ogóle nie sypiała. Nic z tego nie rozumiałem. Nikt nie wytrzymałby tak długo bez snu. Najtrudniej nawiązać magiczny kontakt z kimś pijanym. Alkohol tłumi działanie mocy ducha i blokuje umysł, ale wątpiłem, że Sydney imprezuje bez przerwy w towarzystwie alchemików.

Mógłbym też zwątpić w siebie i swoje umiejętności, zwłaszcza że przez jakiś czas zażywałem leki osłabiające działanie ducha. Ostatecznie jednak odzyskałem pełnię swoich magicznych możliwości i bez trudu kontaktowałem się z innymi w ich snach. Może średnio radziłem sobie w innych dziedzinach, lecz wciąż pozostawałem niezrównanym mistrzem wnikania w cudze sny. Szkopuł w tym, że nie znałem wielu osób obdarzonych podobnym talentem i nie miałem się kogo poradzić, dlaczego nie mogę nawiązać kontaktu z Sydney. Wszyscy moroje władają jakimś rodzajem magii żywiołów. Większość specjalizuje się w żywiołach podstawowych: ziemi, powietrzu, wodzie lub ogniu. Ledwie garstka dysponuje mocą ducha i nasza wiedza na ten temat jest bardzo skąpa.

Asystent profesora położył przede mną plik kartek, a zaraz potem identyczny zestaw przed Roweną. Ocknąłem się.

— Co to?

— Egzamin końcowy. — Rowena przewróciła oczami. — Niech zgadnę. Tego również nie pamiętasz? Ani tego, że proponowałam ci wspólną naukę?

— Musiałem sobie zrobić wolne — wymruczałem, nieuważnie przeglądając kartki.

Dla odmiany spojrzała na mnie ze współczuciem, ale nie zdążyła nic dodać, bo profesor kazał nam się uciszyć i zabrać do pracy. Wpatrywałem się w pytania, zastanawiając się, czy zdołam odpowiedzieć chociaż na część. Zmusiłem się, by wstać i przyjść na zajęcia po części dlatego, że Sydney przywiązywała wielką wagę do nauki. Zazdrościła mi możliwości studiowania, bo jej ojciec, dupek i tyran, jej samej tego przywileju odmówił. Kiedy zrozumiałem, że nie odnajdę Sydney od razu — a możecie mi wierzyć, że próbowałem na wszelkie sposoby, również posługując się magią — postanowiłem, że będę postępował tak, jak ona by sobie życzyła: dokończę semestr w college'u.

Przyznaję, nie dawało się mnie uznać za prymusa. To był podstawowy kurs malarstwa i rysunku, więc profesorowie traktowali nas łagodnie, pod warunkiem że w ogóle coś robiliśmy. Miałem szczęście, bo „coś” to najłagodniejsze określenie bezwartościowych prac, które ostatnio produkowałem. Do tej pory jakoś szło, ale mogłem polec na egzaminie. Pytania zostały sformułowane tak, że musiałem wykazać się wiedzą, nie mogłem nic naszkicować w nadziei, że dostanę punkty za dobre chęci.

Próbując sobie przypomnieć informacje dotyczące rysunku konturowego i dekonstrukcji pejzażu, poczułem, jak depresja wyciąga po mnie swoje czarne macki. Nie dlatego, że mogłem zawalić rok. Zawiodę Sydney, która tak wiele ode mnie oczekiwała. Ale co znaczył ten jeden egzamin, skoro zawiodłem ją pod tyłoma innymi względami? Gdybym to ja został porwany, pewnie już by mnie odnalazła. Była bystrzejsza i bardziej pomysłowa. Potrafiła dokonać nadzwyczajnych rzeczy. Co do mnie, nie radziłem sobie nawet ze zwykłymi sprawami.

Godzinę później oddałem test z nadzieją, że nie zmarnowałem jednak całego semestru. Rowena skończyła wcześniej i czekała na mnie przed klasą.

— Zjesz coś? — zagadnęła. — Ja stawiam.

— Nie, dziękuję. Umówiłem się z kuzynką.

Spojrzała na mnie z niepokojem.

— Chyba nie zamierzasz siadać za kierownicą?

— Już wytrzeźwiałem, dziękuję — odparłem. — Ale jeśli to cię uspokoi, jadę autobusem.

— W takim razie żegnaj. To nasze ostatnie zajęcia.

Miała rację. Czekają mnie jeszcze kilka lekcji, ale ona na nie nie chodziła.

— Na pewno się spotkamy — rzuciłem dzielnie.

— Mam nadzieję — odparła, przyglądając mi się z troską. — Znasz mój numer. Nie wyjeżdżam tego lata. Jeśli zechcesz spotkać się ze mną i z Cassie, daj znać... albo gdybyś zapragnął pogadać... Mam świadomość, że sporo się ostatnio wydarzyło...

— Radziłem sobie w trudniejszych sytuacjach — zełgałem. Nie wiedziała najgorszego i nie mogła się o tym dowiedzieć. Była zwykłym człowiekiem. Sądziła, że Sydney ze mną zerwała, i współczuła mi, co mnie dobijało. Nie mogłem jednak sobie pozwolić na wyjaśnienia. — Na pewno zadzwonię. Narka, Ro.

Pomachała mi na pożegnanie, a ja ruszyłem w stronę najbliższego przystanku. Nie uszedłem daleko, a mimo to spościłem się jak mysz. Nastął maj i krótką wiosnę w Palm Springs zdławiło nadejście upalnego, dusznego lata. Włożyłem okulary i czekałem, starając się ignorować palącą parę hipsterów stojących obok. Papierosy to jedyny nałóg, do którego nie wróciłem od czasu zniknięcia Sydney, ale bywało mi z tym ciężko. Czasem nawet bardzo ciężko.

Próbowałem skupić się na czymś innym, więc otworzyłem torbę i dotknąłem małej figurki złotego smoka. Wyczułem maleńkie łuski na jego grzbiecie. Żaden artysta nie stworzyłby tak doskonałego dzieła, bo nie było ono tworem ludzkich rąk. Miałem w torbie prawdziwego smoka — a dokładnie callistana, dobrego duszka, którego za sprawą magii przywołała kiedyś

Sydney. Mały przywiązał się do nas obojga, ale tylko Sydney potrafiła go ożywiać i na powrót zmieniać w figurkę. Kiedy została wprowadzona, Skoczus musiał pozostać posązką. Według Jackie Terwiliger, mentorki Sydney w dziedzinie magii, Skoczus nadal był żywy, ale bez jedzenia i możliwości poruszania się to była nędzna egzystencja. Zabierałem go ze sobą wszędzie, choć nie miałem pojęcia, czy kontakt ze mną cokolwiek dla niego znaczy. Potrzebował obecności Sydney i wcale mu się nie dziwiłem. Sam również jej potrzebowałem.

Nie okłamałem Roweny: naprawdę wytrzeźwiałem. Taki był mój plan. Długa jazda autobusem stwarzała doskonałą okazję do próby nawiązania kontaktu z moją dziewczyną. Opuściłem już sobie gorączkowe poszukiwanie jej w snach, ale trzeźwiałem kilka razy w ciągu dnia, żeby ponawiać poszukiwania. Autobus ruszył, a ja rozsiadłem się wygodnie i przywołałem magię ducha. W pierwszej chwili jak zwykle lekko zachłysnąłem się tym wspaniałym uczuciem, jakie ze sobą wносиła. Przepęłniała mnie radością i lekkością, które przyćmiewała jednak świadomość, że duch stopniowo popychał mnie w obłąd.

Obłąd jest takim brzydkim określeniem — powiedział głos w mojej głowie. Pomyśl o tym jak o nowym spojrzeniu na rzeczywistość.

Skrzywiłem się. Tak brzmiał mój wewnętrzny głos. Należał do mojej zmarłej ciotki Tatiany, królowej morojów. Właściwie był halucynacją wytworzoną przez ducha. Słyszałem go w chwilach fatalnego nastroju. Od czasu zniknięcia Sydney zjawia ciotki Tatiany nawiedzała mnie regularnie. Ale moje szaleństwo się zmieniło — przestało być dwubiegunowe. Czy lepiej jest prowadzić rozmowy z wyobrażoną zmarłą krewną, czy ulegać dramatycznym zmianom nastroju? Szczerze mówiąc, nie umiałem tego ocenić.

„Odejdź — nakazałem jej. — Nie jesteś rzeczywista. Poza tym pora poszukać Sydney”.

Czując przyływ sił magicznych, starałem się wyostrzyć wszystkie zmysły. Szukałem Sydney, osoby, którą znałem najlepiej na tym świecie. A odnalezienie we śnie kogoś, kogo choć trochę znałem, było proste. Nie udało mi się i po pewnym czasie zrezygnowałem. Sydney nie spała albo coś ją ode mnie odgradzało. Poczulem się pokonany, odnalazłem w torbie butelkę wódki i się napiłem.

Przyjemnie zaszumiało mi w głowie. Magia się rozwiała, ale pozostał ból serca. W Amberwood skończyły się już lekcje i uczniowie odziani w stylowe mundurki przemierzali się po terenie kampusu. Pewnie szli się uczyć, biegli na randki albo planowali coś innego, co zwykle planują dzieciaki pod koniec semestru. Poszedłem do bursy dla dziewcząt i czekałem na zewnątrz na Jill Mastrano Dragomir.

Podczas gdy Rowena tylko podejrzewała, co mnie może dręczyć, Jill wiedziała wszystko. Miała wątpliwy przywilej czytania w moich myślach. W zeszłym roku padła ofiarą zamachu. Napastnicy chcieli zdetronizować jej siostrę, królową morojów i moją dobrą przyjaciółkę. Jill zginęła podczas ataku, ale mnie udało się ją wskrzesić dzięki nadzwyczajnym możliwościom ducha. Ten cud sporo mnie kosztował. Stworzył też psychiczną więź pozwalającą Jill wnikać w moje myśli i uczucia. Wiedziałem, że mała cierpi z powodu moich napadów depresji i efektów nadużywania przez mnie alkoholu.

Gdyby Sydney tu była, skarciłaby mnie za egoizm, za to, że nie myślę o uczuciach Jill. Ale jej nie było. Cała odpowiedzialność spoczywała na mnie, a ja nie czulem się wystarczająco silny, by ją dźwigać.

Przyjechały już trzy szkolne autobusy, lecz Jill z żadnego nie wysiadła. To był nasz dzień, jak co tydzień, starałem się tego pilnować, nawet jeśli zawałałem inne sprawy. Sięgnąłem po komórkę i wystukałem esemesa: *Jestem. Wszystko w porządku?*

Nie odpowiadała, poczułem ukłucie niepokoju. Po próbie zamachu Jill została wysłana do Palm Springs, ponieważ pustynny klimat nie sprzyja ani nam, morojom, ani strzygom — złym,

nieumarłym wampirom. Alchemicy, tajne bractwo ukrywające przed ludźmi fakt istnienia wampirów, przydzielili nam Sydney w charakterze opiekunki. Alchemicy dbali również o to, by w świecie morojów nie rozpętała się wojna, a Sydney pomagała Jill odnaleźć się na wygnaniu. Zawiodła jednak zwierzchników, wdając się w romans z wampirem. Złamała ich żelazną zasadę, która zabrania wszelkich związków między ludźmi i wampirami, zareagowali więc bardzo skutecznie i brutalnie.

Jill nie odczuła zbyt boleśnie skutków zniknięcia Sydney, którą zastąpiła sztwywniara Maura. Wydawało się, że jest bezpieczna. Mieliśmy też informacje, że za miesiąc, gdy skończy się rok szkolny, będzie mogła oficjalnie powrócić do społeczeństwa morojów. Jill nadal nie przysłała odpowiedzi, wysłałem więc esemesa do Eddiego Castile'a.

Jill i ja jesteśmy morojami, a Eddie jest dampirem — przedstawicielem gatunku będącego połączeniem genów ludzkich i wampirzych. Dampiry szkolą się w obronie morojów, a Eddie jest jednym z najlepszych. Niestety, jego nadzwyczajne umiejętności bojowe nie wystarczyły, gdy Sydney go oszukała i oddzieliła się od niego, by wpaść w szpony alchemików. Poświęciła się, by go ratować, a on nie umiał się z tym pogodzić. Czuł się upokorzony i to odbiło się na rodzącym się uczuciu między nim a Jill. Eddie uznał, że nie zasługuje na księżniczkę morojów. Nadal jednak wiernie służył jej jako ochroniarz i gdyby coś jej się przytrafiło, on wiedziałby o tym pierwszy.

Ale Eddie również nie odpowiadał, podobnie jak dwoje innych dampirów przydzielonych do ochrony Jill. To było dziwne, lecz wmawiałem sobie, że ich milczenie oznacza, iż robią coś wspólnie. Jill na pewno wkrótce się pojawi.

Słońce znów zaczęło mi doskwierać, więc obszedłem budynek dookoła i znalazłem ławkę stojącą nieco z boku w cieniu palmowców. Rozsiadłem się na niej wygodnie i wkrótce zasnęłam znużony nocną wizytą w barze i wódką. Obudził mnie szmer głosów. Słońce mocno przesunęło się już po niebie. Nade mną stali Jill i Eddie, a obok nich nasi przyjaciele, Angeline, Trey oraz Neil.

— Cześć — wychrypiałem, siadając. — Gdzieście byli?

— Gdzie ty byłeś? — odparował Eddie.

Zielone oczy Jill złagodniały.

— W porządku. Przez cały czas był tutaj. Zapomniał. To zrozumiałe, skoro... przeżywa ciężkie chwile.

— O czym zapomniałem? — spytałem, zerkając na nich niepewnie.

— To bez znaczenia — wykręcała się Jill.

— O czym zapomniałem? — powtórzyłem natarczywie.

Angeline Dawes, dampirzyca przydzielona do ochrony Jill, jak zwykle wypaliła bezceremonialnie:

— O pokazie Jill na koniec semestru.

Gapilem się na nią, nie wiedząc, o czym mówi, i nagle do mnie dotarło. Jill zajęła się projektowaniem mody w szkolnym kółku krawieckim. Z początku próbowała sił jako modelka, ale ponieważ nie mogła ryzykować występów publicznych, ostatnio zaczęła sama projektować i okazało się, że ma talent. Od miesiąca rozprawiała o wielkim pokazie, który przygotowywali na koniec semestru, a ja cieszyłem się, widząc, jak bardzo się w to angażuje. Wiedziałem, że ponieważ nie mogła się odciąć od moich mrocznych uczuć spowodowanych zniknięciem Sydney i przeżywała perypetie miłosne w związku z Eddie, żyła pod chmurą niemal równie czarną jak ta, która zawisała nade mną. Pokaz i szansa zaprezentowania efektów własnej pracy były promykiem światła w jej życiu — jakże istotnym dla nastolatki, która rozpaczliwie potrzebowała normalności.

Zawiodłem na całej linii.

Zacząłem sobie przypominać fragmenty naszych rozmów: podawała mi datę i godzinę, a ja zapewniałem, że przyjdę, żeby ją wesprzeć. Przypominała mi o tym, nawet gdy spotkaliśmy się ostatnio w tym tygodniu. Kiwnąłem głową i poszedłem świętować Wtorek z Tequilą w lokalnym barze. Stwierdzić, że jej pokaz wyleciał mi z głowy, to niedopowiedzenie.

— Strasznie mi przykro, Ślicznotko. Wysłałem ci esemesa... — Uniosłem rękę z telefonem, żeby im to udowodnić, ale trzymałem w niej pustą butelkę. Schowałem ją pospiesznie do torby.

— Musieliśmy wyłączyć komórki w trakcie pokazu — wyjaśnił Neil. Był trzecimampirem w grupie, nowym nabytkiem w Palm Springs. Z czasem mnie polubił, może dlatego, że sam przeżywał rozterki sercowe. Zakochał się po uszy w dampirzycy, która również znikła bez śladu. Tylko że milczenie Olive Sinclair wynikało z jej własnej decyzji, nie została uprowadzona przez alchemików.

— I... jak wypadło? — spróbowałem. — Na pewno zrobiłaś furorę.

Czułem się niewiarygodnie głupio. Może nie potrafiłem zapobiec uprowadzeniu Sydney. Może nie przygotowałem się do egzaminu. Ale, na litość boską, powinienem przynajmniej obejrzeć pokaz mody tej dziewczyny! Wystarczyło tam pójść, usiąść i bić brawo. Zawiodłem nawet w tej sprawie i ciężar wyrzutów sumienia omal nie przygniótł mnie do ziemi. Czarna chmura wypełniła mój umysł i napelniła nienawiścią do wszystkich i wszystkiego — głównie do siebie. Nic dziwnego, że nie umiałem pomóc Sydney. Nie potrafiłem się zająć nawet sobą.

Nie musisz — szepnęła ciotka Tatiana w mojej głowie. *Ja się tobą zajmę.*

W oczach Jill pojawił się błysk współczucia, wyczuła mój mroczny nastrój.

— Wypadło świetnie. Nie martw się, pokazemy ci zdjęcia. Zatrudnili profesjonalnego fotografa i opublikują je w internecie.

Próbowałem pokonać tę ciemność i zdobyłem się na sztywny uśmiech.

— Miło mi to słyszeć. W takim razie powinniśmy to razem uczcić. Stawiam kolację.

Jill się zmieszała.

— Obie z Angeline jemy kolację z dziewczynami, z którymi się wspólnie uczymy. Ale mogłabym to odwołać. Do egzaminów został jeszcze miesiąc, więc właściwie...

— Daj spokój — przerwałem jej, wstając. — Bawcie się dobrze. Odezwę się później.

Nikt nie próbował mnie zatrzymać, ale Trey Juarez wkrótce mnie dogonił. Był chyba największym dziwakiem w naszym kręgu: człowiekiem należącym dawniej do grupy łowców wampirów. Zerwał z nimi, ponieważ przekroczyli wszelkie granice i dlatego, że wbrew wszystkiemu zakochał się w Angeline. Ci dwoje jako jedyni spośród nas mieli szansę na szczęśliwą miłość i wiedziałem, że usiłują się z tym nie afiszować ze względu na nas, biedaków.

— A jak zamierzasz wrócić do domu? — spytał Trey.

— Kto powiedział, że zamierzam? — odparowałem.

— Ja. Nie powinienes więcej imprezować. Fatalnie wyglądasz.

— Już mi to ktoś dzisiaj powiedział.

— Może powinienes posłuchać — mruknął, prowadząc mnie w stronę studenckiego parkingu. — Wsiadaj, ja poprowadzę.

Jego propozycja była naturalna, bo dzieliliśmy mieszkanie.

Na początku było inaczej. Trey mieszkał na terenie Amberwood, razem z innymi uczniami. Jego dawni towarzysze, wojownicy światła, żywili podobne przekonania jak alchemicy w kwestii związków między ludźmi i wampirami. Podczas gdy alchemicy radzili sobie z tym, ukrywając nasze istnienie przed zwykłymi ludźmi, wojownicy wręcz na nas polowali. Twierdzili, że zabijają tylko strzygi, ale byli wrogo nastawieni również do morojów i dampirów.

Kiedy ojciec Treya odkrył związek syna z Angeline, zareagował inaczej niż tata Sydney. Pan Juarez po prostu wyrzekł się Treya i odciął mu fundusze. Szczęśliwie dla chłopaka zbliżał się koniec roku szkolnego i chesne było już opłacone. Nie uregulowano tylko czynszu za jego pokój, więc kilka miesięcy temu Trey musiał opuścić internat. Stał wtedy w moich drzwiach, proponując, że będzie płacił za lokum z pieniędzy, które zarabiał w kawiarni, gdzie pracował, żeby móc ukończyć liceum Amberwood. Zgodziłem się, by został, lecz odmówiłem przyjęcia pieniędzy, wiedząc, że tego chciałaby Sydney. Postawiłem jeden warunek: nie życzyłem sobie pod żadnym pozorem zastać go obściskującego się na kanapie z Angeline.

— Ulałem — mruknąłem po kilkunastu minutach jazdy w niezręcznej ciszy.

— To jakiś żart w stylu wampirów? — spytał Trey.

Zgromiłem go wzrokiem.

— Wiesz, o co mi chodzi. Nawaliłem. Nikt mnie o wiele nie prosi. Już nie. Miałem tylko pamiętać o jej pokazie i nawaliłem.

— Przechodzisz trudny okres — podsunął dyplomatycznie.

— Jak wszyscy. Spójrz na siebie. Cała rodzina się ciebie wyrzekła i dołożyła wszelkich starań, żebyś wyleciał ze szkoły. A ty masz robotę, nie opuściłeś się w nauce ani w sporcie i jeszcze zdobyłeś stypendium — westchnąłem. — Tymczasem ja najpewniej zawałem egzamin z kursu malarstwa dla początkujących. I parę innych, jeśli mam jeszcze jakieś inne egzaminy w tym tygodniu, co wydaje się prawdopodobne. Nawet tego nie wiem.

— Tak, ale ja mam Angeline. Dzięki niej mogę przetrwać to całe zamieszanie. Podczas gdy ty... — Trey nie dokończył, zobaczyłem, jak jego opalona twarz twardnieje z bólu.

Przyjaciele w Palm Springs wiedzieli o moim związku z Sydney. Tylko oni w świecie morojów (także w świecie ludzi ukrywających morojów). Współczuli nam obojgu. Kochali Sydney. Oczywiście nie tak jak ja ją kochałem, ale cenili ją za lojalność i autentyczne oddanie.

— Mnie też jej brakuje — powiedział miękko Trey.

— Powinienem był zrobić coś więcej — mruknąłem, zapadając się w fotelu.

— Zrobiłeś bardzo wiele. Więcej niż mnie by przyszło do głowy. Nie ograniczyłeś się do poszukiwań we śnie. Tropiłeś jej ojca, namawiałeś morojów do interwencji, uczyniłeś piekło z życia tej Maury... Wyczerpałeś wszystkie możliwości.

— Potrafię być irytujący — przyznałem.

— W końcu natrafiłeś na mur, to wszystko. Alchemicy ukryli to swoje więzienie za solidnym murem. Ale znajdzie się jakaś szczelina, zobaczysz. A ja będę stał obok ciebie. Tak jak reszta.

Mój przyjaciel rzadko wypowiadał tyle słów naraz, lecz nie udało mu się podnieść mnie na duchu.

— Nie mam pojęcia, gdzie szukać tej szczeliny.

Nagle Trey otworzył szeroko oczy.

— Marcus.

Pokręciłem głową.

— On też sprawdził już wszystkie swoje źródła. Zresztą nie widziałem go od miesiąca.

— Nie rozumiesz. — Trey zaparkował przed moim domem i wyciągnął palec. — Marcus jest tutaj.

Miał rację. Na schodach przed domem siedział Marcus Finch, dawny alchemik, a obecny buntownik, który zachęcał Sydney do samodzielnego myślenia i teraz... próbował bezskutecznie ją dla mnie znaleźć.

Otworzyłem drzwi, zanim Trey zatrzymał wóz.

— Nie przyjeżdżałby, gdyby nie miał nowych informacji! — zawołałem z przejęciem.

Wyskoczyłem z samochodu i popędziłem przez trawnik. W jednej chwili otrząsnąłem się z apatii. Coś się pojawiło. Marcus coś wie. Znalazł odpowiedź.

— No?! — zawołałem. — Znalazłeś ją?!

— Niezupełnie. — Marcus wstał i wygładził jasną czuprynę. — Wejdźmy do środka.

Trey był równie przejęty jak ja, gdy wprowadziliśmy Marcusa do salonu. Stanęliśmy naprzeciwko niego z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Mów — zażądałem.

— Mam listę miejsc, w których alchemicy mogli urządzić ośrodek reedukacji — zaczął Marcus głosem pozbawionym jednak entuzjazmu. Ścisnąłem go za ramię.

— To niesamowite! Sprawdźmy je po kolei i...

— Jest ich trzydzieści — przerwał mi.

Puściłem go.

— Trzydzieści?

— Trzydzieści — powtórzył. — I nie wiemy dokładnie, gdzie się znajdują.

— Ale powiedziałaś...

Marcus uniósł rękę.

— Pozwól mi wyjaśnić. Potem będziesz zadawał pytania. Na tej liście, dostarczonej przez moich informatorów, znajdują się amerykańskie miasta, w których alchemicy szukali lokali na ośrodki reedukacji i inne centra operacyjne. Lista powstała kilkanaście lat temu i moje źródła potwierdzają, że rzeczywiście zbudowano ośrodek w jednym z wymienionych miast. Niestety, wciąż nie wiemy, gdzie on się znajduje. Czy są sposoby, żeby to sprawdzić? Oczywiście znam ludzi, którzy mogą zacząć kopać. Ale będziemy musieli przeszukać wiele miejsc. To potrwa.

Cała nadzieja i entuzjazm, jakie wzbudził we mnie widok Marcusa, nagle się rozwiały.

— Niech zgadnę. Kilka dni?

Skrzywił się.

— Wszystko zależy. Przeszukanie jednego miasta może nam zająć kilka dni, a może kilka tygodni.

Sądziłem, że nie mogę już poczuć się gorzej niż po egzaminie i spotkaniu z Jill, ale się myliłem. Opadłem na kanapę z uczuciem klęski.

— Kilka tygodni razy trzydzieści. To może potrwać ponad rok.

— Albo będziemy mieli szczęście i trafimy za pierwszym razem. — Widziałem, że nawet on nie wierzy w taki przypadek.

— Cóż, do tej pory raczej nie mieliśmy „szczęścia” — zauważyłem. — Nie wiem, czemu miałyby się to zmienić.

— Mimo wszystko — wtrącił Trey — mamy pierwszy prawdziwy trop.

— Muszę odnaleźć jej ojca — mruknąłem. — Odnajdę go i użyję czaru wpływu, żeby mi powiedział, gdzie ona jest. — Do tej pory nie udało mi się namierzyć Jareda Sage’a. Zdobyłem jego numer telefonu, ale natychmiast się rozłączył. Czar wpływu nie działa tak silnie przez telefon.

— Nawet jeśli go znajdziesz, może się okazać, że nic nie wie — powiedział Marcus. — Mają przed sobą tajemnice, w ten sposób chronią się przed wymuszaniem zeznań.

— Jesteśmy w punkcie wyjścia. — Wstałem i poszedłem do kuchni, żeby zrobić sobie drinka. — Wpadnij za rok, kiedy stwierdzisz, że twoja lista okazała się bezużyteczna.

— Adrian... — zaczął Marcus. Nigdy nie widziałem go tak bezradnego. Normalnie mógłby pozować do plakatu pewnego siebie ważniaka.

Trey zareagował bardziej energicznie.

— Koniec drinków. Dostyc już dziś wypileś.

— Sam to ocenię — warknąłem.

Zamiast przyrządzić sobie drinka, chwyciłem dwie pierwsze lepsze butelki alkoholu. Nikt mnie nie powstrzymywał, gdy zamknąłem się z nimi w swoim pokoju.

Zanim jednak zacząłem jednoosobową imprezę, spróbowałem jeszcze raz nawiązać kontakt z Sydney. Szło mi nie najlepiej, bo popołudniowa wódka jeszcze nie wyparowała mi z głowy, ale udało mi się przywołać ducha. Jak zwykle nic nie zobaczyłem, ale pewność, z jaką Marcus twierdził, że Sydney jest w Stanach, kazała mi znowu spróbować. Na Wschodnim Wybrzeżu zapadał wieczór, musiałem sprawdzić, może kładła się spać wcześniej. Niestety.

Zacząłem pić, rozpaczliwie potrzebowałem odsunąć od siebie wszystkie problemy. Szkołę. Jill. Sydney. Nie wiedziałem, że można czuć się tak podle, doświadczać tak mrocznych stanów emocjonalnych, tak silnych, że żadne pozytywne uczucie nie zdołałoby się przez nie przebić. Kiedy rozstałem się z Rose, myślałem, że nie można dotkliwiej odczuć straty. Myliłem się. Nigdy nie łączyło nas nic poważnego. A Sydney... Sydney dała mi wszystko i wszystko przepadło wraz z nią. Miłość, zrozumienie, szacunek. Przekonanie, że oboje stajemy się lepsi i możemy znieść najgorsze, dopóki jesteśmy razem. Ale już nie byliśmy razem. Rozdzielono nas i nie wiedziałem, co będzie dalej.

„Środek wciąż spaja”. Sydney uznała, że ten wers z wiersza Williama Butlera Yeatsa *Drugie przyjście* mówi o nas. W najczarniejszych chwilach nachodził mnie lęk, że inny fragment trafniej oddaje naszą sytuację: „Nie ma już osi. Wszystko się rozpada”.

Popadłem w otępienie i ocknąłem się dopiero w środku nocy z pulsującym bólem głowy. Miałem mdłości, ale kiedy dokuśtykałem do łazienki, nie mogłem zwymiotować. Czułem się parszywie. Może na widok szczotki do włosów Sydney. Przypomniała mi o niej. A może dlatego, że nie jadłem obiadu i nie pamiętałem nawet, kiedy ostatnio piłem krew. Nic dziwnego, że byłem tak osłabiony. Przez lata tak się uodporniłem na działanie alkoholu, że rzadko miewałem kaca, więc tym razem naprawdę przesadziłem. Rozsądnie byłoby się nawodnić i wypić kilka litrów wody, ale uparcie dążyłem do autodestrukcji. Wróciłem do pokoju po kolejnego drinka i natychmiast poczułem się jeszcze gorzej.

Głowa i żołądek uspokoiły się dopiero o świcie i nareszcie udało mi się zdrzemnąć we własnym łóżku. Kilka godzin później obudziło mnie pukanie. Gość pukał cicho, ale pulsowanie w mojej głowie sprawiło, że odebrałem to niemal jak walenie młotem.

— Odejdź — rzuciłem, zerkając nieprzytomnym okiem na drzwi.

Trey wsunął głowę do pokoju.

— Adrian, powinieneś z kimś porozmawiać.

— Wysłuchałem już Wesołego Marcusa — warknąłem. — Wystarczy.

Drzwi otworzyły się szerzej i ktoś wszedł do środka. Każdy ruch przyprowadził mnie o zawrót głowy, ale udało mi się usiąść i spojrzeć nieco przytomniej. Doznałem szoku, podejrzewałem, że to omamy. Nie byłby to pierwszy raz. Zwykle wyobrażałem sobie tylko ciotkę Tatianę, ale osoba, którą teraz ujrzałem, była jak najbardziej żywa. Blask poranka rozświetlił jej wysokie kości policzkowe i jasne włosy. Ale przecież nie mogła się tu zjawić...

— Mama? — wychrypiałem.

— Adrian. — Usiadła obok mnie na łóżku. Delikatnie dotknęła mojej twarzy. Jej dłoń przyjemnie chłodziła moją rozpaloną skórę. — Adrian, pora wracać do domu.

ROZDZIAŁ 3

Sydney

MOĞŁAM WYBACZYĆ ALCHEMIKOM fakt, że porazili mnie światłem, bo kiedy odzyskałam ostrość widzenia, zaproponowali mi prysznic.

Ściana mojej celi rozsunęła się i ujrzałam przed sobą młodą kobietę, jakieś pięć lat starszą ode mnie. Była ubrana w skromny kostium, tak lubiany przez alchemików. Czarne włosy ściągnęła w elegancki francuski kok. Miała nieskazitelny makijaż i pachniała lawendą. Na jej policzku lśniła złota lilia. Wciąż jeszcze nie widziałam wyraźnie, lecz jej widok brutalnie uświadomił mi, jak muszę przy niej wyglądać. Nie myłam się całe wieki, a to, co miałam na sobie, przypominało szmatę do podłogi.

— Jestem Sheridan — oświadczyła chłodno, nie wyjaśniając, czy to imię, czy nazwisko. Zastanawiałam się, czy to jej głos między innymi słyszałam w celi. Byłam pewna, że pracowali na zmianę, korzystając z programu komputerowego, który upodabniał do siebie ich głosy. — Jestem tu dyrektorką. Proszę, chodź za mną.

Ruszyła korytarzem w czarnych skórzanych pantoflach na obcasach, a ja chwiejnie podążyłam za nią. Nie odzywałam się, skupiona na kolejnych krokach. Staralam się ruszać w ciasnej celi, lecz od dawna nie chodziłam. Sztywne mięśnie protestowały, więc szłam powoli, z trudem stawiając bosą stopą kolejny krok. Mijając szereg nieoznakowanych drzwi, zastanawiałam się, co się za nimi kryje. Kolejne mroczne cele wypełnione głosami? Nie dostrzegłam nigdzie wyjścia, a tylko ono mnie interesowało. Nie było też okien ani żadnego znaku wskazującego drogę na zewnątrz.

Sheridan dotarła do windy długo przede mną i czekała cierpliwie. Pojechaliśmy piętro w górę i wysiadliśmy na podobnym pustym korytarzu. Jedne drzwi prowadziły do pomieszczenia przypominającego typową łazienkę przy sali gimnastycznej, wyłożoną kafelkami i wyposażoną we wspólne prysznice. Sheridan pokazała mi półkę, na której stały mydło i szampon.

— Kiedy odkręcisz kran, woda będzie leciała tylko przez pięć minut — ostrzegła. — Korzystaj rozsądnie. Po kąpieli znajdziesz tu czyste ubranie. Będę w holu.

Wyszła, ostentacyjnie zapewniając mi prywatność, ale nie miałam wątpliwości, że jestem obserwowana. Pozbyłam się złudzeń w chwili, gdy się tu znalazłam. Zaczęłam się rozbierać, gdy zauważyłam lustro wiszące z boku na ścianie. Co ważniejsze, zobaczyłam osobę, która się w nim odbijała.

Zdawałam sobie sprawę, że jestem w kiepskim stanie, ale konfrontacja z rzeczywistością to coś zupełnie innego. Najpierw uderzyło mnie to, jak bardzo schudłam — ironia losu, biorąc pod uwagę moją obsesję na tym punkcie. Ale nie byłam chuda, a wychudzona. Okrycie wisiało na mnie jak szmata, twarz wyostrzyła się i zapadła. Niezdrowe wrażenie potęgowały ciemne cienie pod oczami i bladość skóry pozbawionej słońca. Wyglądałam jak ktoś, kto dochodzi do siebie po wycieńczającej chorobie.

Moje włosy też nie prezentowały się lepiej. Staralam się je myć w celi, ale efekt był godny pożałowania. Pojedyncze tłuste kosmyki smutno opadały na ramiona. Odcień blond przygasł i pociemniał od brudu i potu, których nie dawało się zmyć myjką. Adrian często powtarzał, że moje włosy lśnią niczym złoto, śmiał się ze mnie, że otacza mnie aureola. Co

powiedziałaby teraz?

„Adrian nie pokochał mnie dla blasku moich włosów — pomyślałam, patrząc na swoje odbicie. Moje oczy były tak samo brązowe jak dawniej, a ich wyraz spokojny. — To tylko wygląd zewnętrzny. Moja dusza, aura, charakter... one się nie zmieniły”.

Już miałam odejść od lustra, gdy dostrzegłam coś jeszcze. Moje włosy były znacznie dłuższe, niż zapamiętałam, wydłużyły się prawie trzy centymetry. Przez cały czas czułam, że powinnam wydepilować nogi, ale nie miałam pojęcia, jak szybko rosną włosy na głowie. Półtora centymetra na miesiąc? To by oznaczało, że spędziłam tu przynajmniej dwa miesiące, może trzy, biorąc pod uwagę ubogą dietę. Uświadomienie sobie tego było dla mnie największym szokiem.

Trzy miesiące! Odebrali mi trzy miesiące, zamknęli w ciemności.

Co się stało z Adrianem? Z Jill i Eddiem? Przez trzy miesiące mogło się mnóstwo wydarzyć w ich życiu. Czy byli bezpieczni? Wciąż mieszkali w Palm Springs? Czując, że wpadam w panikę, nakazałam sobie spokój. To prawda, minęło dużo czasu, ale nie mogę się załamywać. Wystarczy, że alchemicy usiłują mnie osłabić na wszelkie możliwe sposoby.

Mimo wszystko... trzy miesiące.

Pozbyłam się żalostnej namiastki ubrania i weszłam do brodzika, zaciągając za sobą zasłonę prysznicową. Kiedy odkręciłam kurek i popłynęła gorąca woda, omal nie osunęłam się na podłogę z rozkoszy. Marzłam przez trzy miesiące i nagle poczułam całe to ciepło, którego pragnęłam. No, niecałe. Ustawiłam kurek na najgorętszy strumień, marząc o wannie, w której mogłabym się zanurzyć. Ale sam prysznic też był wspaniały, więc zamknęłam oczy i westchnęłam z zadowoleniem po raz pierwszy od długiego czasu.

Przypomniałam sobie ostrzeżenie Sheridan i otworzyłam oczy, żeby sięgnąć po szampon. Myłam i spłukiwałam włosy trzykrotnie w nadziei, że usunę najgorszy brud. Pewnie musiałabym się wykapać kilka razy z rzędu, żeby poczuć się naprawdę czysta. Namydliłam całe ciało tak gorliwie, że się zaróżowiło, a potem syciłam się gorącym strumieniem wody do chwili, gdy przestał płynąć.

Wychodząc zza zasłony, odkryłam ubranie złożone starannie na ławeczce. Zaoferowali mi najprostszy zestaw złożony z luźnych spodni i koszuli, takich jakie noszą pracownicy szpitala albo — co bardziej pasowało do sytuacji — więźniowie. Strój był, rzecz jasna, w burym kolorze, bo alchemicy dbają o niewyróżnianie się. Dali mi również skarpetki i parę brązowych butów, coś pomiędzy mokasynami a kapciami. Nie zdziwiłam się, stwierdziwszy, że pasują na mnie jak ulał. Zestaw podarunkowy zawierał też grzebień, żaden luksus, ale pomógł mi nadać włosom schludny wygląd. Moje odbicie wciąż nie prezentowało się dobrze, chociaż z pewnością korzystniej niż przed kąpielą.

— Czujesz się lepiej? — spytała Sheridan ze sztucznym uśmiechem.

Nadal nie wyglądałam zbyt dobrze w porównaniu z jej stylową elegancją, ale pocieszyłam się myślą, że zachowałam poczucie godności i zdolność do samodzielnego myślenia.

— Tak — odparłam. — Dziękuję.

— Przyda ci się jeszcze coś — rzuciła, podając mi małą plastikową plakietkę. Wypisano na niej moje imię, kod kreskowy i zdjęcie z lepszych czasów. Mała klamerka pozwoliła przypiąć plakietkę do kołnierzyka.

Sheridan znów poprowadziła mnie do windy.

— Bardzo się cieszymy, że wybrałaś drogę do odkupienia. Naprawdę. Chętnie będę ci towarzyszyć w powrocie do światła.

Pojechałyśmy na inne piętro i weszłyśmy do pokoju, w którym czekał przy stole tatuażysta. Cała przyjemność z gorącego prysznica i normalnego ubrania ulotniła się bez śladu. Więc chcieli mnie ponownie wytatuować? Oczywiście. Dlaczego mieliby się ograniczyć do

tortur fizycznych i psychologicznych, skoro mogli wspomóc się magią, żeby wzmocnić nade mną kontrolę?

— Chcemy tylko co nieco poprawić — zaszcebiotała Sheridan. — Od dawna tego nie robiłaś.

Nawet nie minął rok od ostatniego zabiegu, ale wiedziałam, o co im naprawdę chodzi. Tatuaze alchemików zawierają domieszkę zaczarowanej krwi wampirów, która wymusza lojalność. Mój tatuaż najwyraźniej nie zadziałał skutecznie. Zasilony magią przekaz był mocną sugestią, której jednak mógł się przeciwstawić ktoś obdarzony bardzo silną wolą. Zapewne podadzą mi podwójną dawkę, żeby mnie zmusić do uległości. Oczekują, że będę posłuszna ich naukom.

Nie wiedzieli, że się zabezpieczyłam. Zanim mnie porwali, stworzyłam własny atrament nasączony ludzką magią, o mocy porównywalnej do tego alchemicznego. Według zebranych przeze mnie informacji ludzka magia niweczyła wpływ czaru wsączonego do atramentu z krwią wampirów. Niestety, nie miałam okazji wstrzyknąć sobie atramentu do tatuazu, co uczyniłoby mnie całkowicie odporną na działania prześladowców. Liczyłam na prawdziwość słów pewnej czarownicy, która zapewniała, że sam kontakt z magią jest wystarczającą ochroną. Twierdziła, że ludzka magia przedostaje się do krwi i wchodzi w konflikt z krwią wampira. Nie miałam oczywiście możliwości praktykować magii w mrocznej celi, mogłam tylko żywić nadzieję, że przeszłe próby wystarczą, by mnie ochronić.

— Bądź znów jedną z nas — powiedziała Sheridan, gdy igła wbiła się w mój policzek. — Wyznaj swoje grzechy i poddaj się pokucie. Dołącz do nas w walce o uwolnienie ludzi od hańby wampirów i dampirów. To mroczne stwory, nie należą do naturalnego porządku.

Zesztywniałam i wcale nie na skutek ukłucia. A jeśli czarownica nie miała racji? Jeśli magia mnie nie ochroni? Co jeśli atrament wnikający teraz w moją skórę wpłynie na moje myśli? Najbardziej na świecie obawiałam się kontroli umysłu. Nagle zaczęłam się dusić z przerażenia. Tatuażysta przerwał pracę, by spytać, czy coś mnie boli. Pokręciłam głową, przełykając ślinę, i pozwoliłam mu kontynuować, starając się ukryć strach.

Kiedy skończył, nie czułam, by coś się zmieniło. Wciąż kochałam Adriana i moich przyjaciół morojów i dampirów. A może atrament zacznie działać po jakimś czasie? Jeśli magia mnie nie obroni, czy zdołam ocalić siebie siłą woli? Poprzednim razem się udało. Czy potrafię oprzeć się i teraz?

Sheridan wyprowadziła mnie, szcebiocąc po drodze, jakbyśmy wyszły ze spa, a nie po zabiegu mającym przejąć kontrolę nad moim umysłem.

— Zawsze po takiej sesji czuję się odświeżona, a ty? — Nie mogłam uwierzyć, że zachowuje się tak zwyczajnie, jakbyśmy były przyjaciółkami. Od miesiący ona i reszta głodzili mnie półnągą w ciemnej celi. Spodziewała się, że będę jej wdzięczna za prysznic i ciepłe ubranie? Że wybaczę to, co mi zrobili? Chwilę później uświadomiłam sobie, że tak właśnie jest. Tego się spodziewała. Pewnie wielu zbuntowanych alchemików przede mną po podobnych doświadczeniach było gotowych zrobić wszystko, by móc powrócić do normalnego życia.

Jadąc windą, zauważyłam, że mam jaśniejsze myśli, a zmysły reagują żywiej niż w ciągu ostatnich miesięcy. Nic dziwnego. Z pewnością nie rozpraszali tu nigdzie otumaniającego gazu, nie w obecności Sheridan. Po raz pierwszy od długiego czasu oddychałam czystym powietrzem. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam oślepiała. W tej chwili Adrian mógłby do mnie dotrzeć we śnie, ale to musiało poczekać. Powinnam jednak spróbować magii i ochronić się nią przed działaniem tatuazu. Musiałam czekać na odpowiedni moment.

Skręciłyśmy w inny korytarz, przy którym mieścił się szereg identycznych pokoi. Drzwi wszystkich były otwarte, dostrzegłam w środku wąskie łóżka. Starłam się rejestrować wszystkie

szczegóły, każde piętro i pokój, szukałam drogi ucieczki, która zdawała się nie istnieć. Sheridan wskazała mi sypialnię z numerem ósmym wypisanym na drzwiach.

— Zawsze uważałam, że ósemka to szczęśliwa liczba — poinformowała. — Rymuje się z piosenka. — Kiwnęła głową w stronę jednego z dwóch łóżek w pokoju. — To jest twoje.

W pierwszej chwili byłam tak zachwycona perspektywą spania w normalnym łóżku, że zapomniałam o tym drugim. Poślanie nie wyglądało co prawda na superwygodne, ale w porównaniu z podłogą w celi, nawet przykrytą materacem i prześcieradłami z tego samego materiału co łach, jaki nosiłam, wydawało się luksusem. Mogłabym spać w tym łóżku, bez wątpienia. Mogłabym śnić o Adrianie...

Po chwili dotarło jednak do mnie, że nie będę tu sama.

— Mam współlokatorkę — zagadnęłam. Nie zauważyłam żadnych osobistych przedmiotów przy drugim łóżku.

— Tak. Ma na imię Emma. Możesz się od niej wiele nauczyć. Jesteśmy dumni z jej postępów. — Sheridan wyszła na korytarz, więc najwyraźniej nie miałyśmy tu zostać. — Chodźmy, zaraz poznasz ją i resztę.

Kolejny korytarz prowadził wzdłuż pustych sal, które skojarzyły mi się ze szkołą. Idąc, uświadomiłam sobie coś, czego moje przytępione zmysły nie rejestrowały od dawna: zapach jedzenia. Prawdziwego jedzenia. Sheridan prowadziła mnie do stołówki. Do tej pory nie czułam głodu, lecz teraz odezwał się niemal bólem żołądka. Tak bardzo przywykłam do marnej diety, że moje ciało uznało ją za normę. W tej chwili jednak boleśnie zapragnęłam zjeść coś innego niż mdła papka.

Kafeteria była znacznie mniejsza od tej w Amberwood. Ustawiono w niej pięć stolików. Przy trzech siedzieli ludzie ubrani w identyczne bure stroje. Uznałam, że są to współwięźniowie. Wszyscy mieli złote lilie na policzkach. Było ich dwanaścioro, co czyniło ze mnie szczęśliwą trzynastkę. Ciekawe, czy Sheridan też tak pomyślała. Siedzący byli w różnym wieku, różnej płci i rasy, chociaż mogłabym się założyć, że wszyscy pochodzili z Ameryki. W niektórych więzieniach specjalnie utwierdza się ludzi w poczuciu, że są outsiderami. Ponieważ celem pobytu w ośrodku było przywrócenie nas do grona alchemików, zapewne zgromadzono tu więźniów wywodzących się z tej samej kultury i mówiących tym samym językiem. Przy odrobinie dobrej woli moglibyśmy się do siebie upodobnić. Przyglądałam się twarzom pozostałych, zastanawiając się, czy ktoś okaże się moim sprzymierzeńcem.

— To jest Baxter. — Sheridan wskazała ubranego na biało mężczyznę o stanowczym wyrazie twarzy. Stał przy okienku wychodzącym na jadalnię, w pomieszczeniu, gdzie zapewne przygotowywano posiłki. — Fantastycznie gotuje. Będiesz zachwycona. A to Addison. Ona nadzoruje pory lunchu i wasze lekcje sztuki.

Nie zgadłabym, że Addison jest kobietą. Musiała mieć koło pięćdziesiątki. Nosiła sztywny i schludny kostium kojarzący się ze strojem Sheridan, ale mniej elegancki. Stała przy ścianie i bacznie wszystko obserwowała. Goliła włosy krótko przy skórze i miała kwadratową twarz. Żuła gumę. Jej jedyną ozdobę stanowiła złota lilia na policzku. Była ostatnią osobą, jaką podejrzewałabym o artystyczne pasje.

— Będę miała lekcje sztuki? — zapytałam szczerze zdziwiona.

— Ależ oczywiście — zapewniła Sheridan. — Kreatywność doskonale wspomaga uzdrowienie duszy.

Kiedy weszłyśmy, ucichły rozmowy przy stolikach. Oczy zarówno więźniów, jak i personelu, zwróciły się na mnie. Żadne z nich nie spoglądało przyjaźnie.

Sheridan chrząknęła.

— Witajcie. Mamy nowego gościa, którego chciałabym wam przedstawić. To jest

Sydney. Sydney właśnie zakończyła czas refleksji i bardzo chętnie dołączy do was w drodze do oczyszczenia.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że „czasem refleksji” nazwała moje odosobnienie w ciemnościach.

— Wiem, że niełatwo wam będzie ją zaakceptować — ciągnęła słodko Sheridan — i nie winię was o to. Nadal spowija ją głęboki mrok, bo splamiła się w najbardziej grzeszny sposób: poprzez intymny, romantyczny związek z wampirem. Zrozumiem, jeśli nie zechcecie się do niej zbliżyć w obawie, że zostanieie skalani, ale mam nadzieję, że uwzględnicie ją w swoich modlitwach.

Sheridan zwróciła się do mnie ze swoim sztucznym uśmiechem.

— Zobaczmy się później.

Od chwili wyjścia z celi denerwowałam się i czułam się nieswojo, ale teraz ogarnęła mnie panika.

— Zaczekaj. Co mam robić?

— Jeść, oczywiście. — Zmierzyła mnie wzrokiem. — Chyba że się przejmujesz wagą. Zdecyduj.

Zostawiła mnie w miejscu, gdzie wszyscy na mnie patrzyli. Z jednego piekła trafiłam do drugiego. Wystawiona na widok obcych ludzi, którym wyjawiono moje tajemnice, czułam się nieswojo. Gorączkowo szukałam jakiejś postawy, którą powinnam obrać. Zrobiłabym wszystko, żeby zejść im z oczu, zbliżyć się choć o krok do wyjścia i do Adriana. „Jedz” — powiedziała Sheridan. Niby jak mam to zrobić? Stołówka nie przypominała tej w Amberwood, gdzie starszych uczniów wyznaczano do pomocy młodszym. Przeciwnie. Sheridan zrobiła wszystko, żeby zniechęcić innych do wspierania mnie. Błyskotliwe zagranie — miałam rozpaczliwie starać się zyskać aprobatę i być może zobaczyć w Sheridan swoją jedyną „przyjaciółkę”.

Analiza manipulacji alchemików trochę mnie uspokoiła. Logika i łamigłówki to była moja specjalność. W porządku. Jeśli sama miałam się sobą zająć, zrobię to. Nie patrząc na resztę, podeszłam do okienka, w którym kucharz Baxter nadal stał z nieprzeniknioną miną. Stałam przed nim wyczekująco w nadziei, że to wystarczy. Nie wystarczyło.

— Uhm, przepraszam — zaczęłam cicho. — Mogę dostać... jakiś lunch?

Mruknął coś w odpowiedzi i odwrócił się, znikając mi z oczu. Po chwili wrócił z pełną tacą.

— Dziękuję — bąknęłam, biorąc ją od niego.

Niechący musnęłam jego dłoń w rękawiczce. Krzyknął zaskoczony i skrzywił się z obrzydzeniem. Natychmiast ściągnął rękawiczkę, której dotknęłam, wyrzucił ją i włożył nową.

Zamarłam na chwilę, a potem otrząsnęłam się i odeszłam, zabierając tacę. Nie próbowałam się do nikogo przysiądać, wybrałam jeden z pustych stolików. Wiele osób nadal się na mnie gapiło, ale część już zabrała się do jedzenia i rozmawiała szeptem. Starłam się nie myśleć o tym, że mnie obmawiają, i skupiłam się na posiłku. Dostałam małą porcję spaghetti z czerwonym sosem, chyba z puszki, banana i dużą porcję tłustego mleka. W moim dawnym życiu nigdy bym nie sięgnęła po takie jedzenie. Rozwodziłabym się na temat zawartości kalorii w mleku i tego, że banany zawierają najwięcej cukru spośród wszystkich owoców. Zakwestionowałabym jakość mięsa i obecność konserwantów w sosie.

Te problemy należały jednak do przeszłości. Miałam przed sobą jedzenie. Prawdziwe jedzenie, a nie pozbawioną smaku papkę. Najpierw zjadłam banana, ledwo robiąc przerwę na oddech. Musiałam się powstrzymać, żeby nie wypić mleka jednym haustem. Coś mi mówiło, że Baxter nie serwuje dolewek. Przy spaghetti byłam już bardziej powściągliwa. Podejrzewałam, że mój żołądek może się zbuntować przeciwko tak gwałtownej zmianie diety. Głód kazał mi jednak

wsunąć wszystko, a potem wylizać tacę. Po tym, czym się żywiłam przez ostatnie miesiące, spaghetti smakowało jak potrawa z jakiejś wykwintnej włoskiej restauracji. Pięć minut później rozległo się ciche dzwonięcie. Wszyscy więźniowie podnieśli się jak jeden mąż i odnieśli tace do wielkiego kosza nadzorowanego przez Addison. Opróżnili je z resztek jedzenia, a potem ułożyli w schludny stosik na wózku. Poszłam za ich przykładem i dogoniłam ich przy wyjściu ze stołówki.

Po reakcji Baxtera na mój dotyk usiłowałam oszczędzić pozostałym kłopotu przebywania zbyt blisko mnie i trzymałam dystans. W pewnej chwili stłoczyliśmy się jednak w wąskim przejściu. W każdym innych okolicznościach ich manewry służące omijaniu mnie wyglądałyby komicznie. Stojący nieco dalej robili wszystko, by na mnie nie spojrzeć, i udawali, że nie istnieją. Zmuszeni do uników posyłali mi lodowate spojrzenia. Przeżyłam szok, słysząc, jak ktoś z nich rzuciło szeptem:

— Dziwka.

Przygotowywałam się na różne reakcje i spodziewałam się usłyszeć najgorsze wyzwiska, ale to mnie wytrąciło z równowagi. Zdziwiłam się, jak bardzo to zabolowało.

Poszłam za całą grupką do klasy i czekałam, aż zajmą miejsca. Nie chciałam usiąść na czyimś krześle. Kiedy wreszcie wypatrzyłam coś wolnego, dwie osoby siedzące najbliżej odsunęły się. Były ze dwa razy starsze ode mnie. I znów wyglądało to groteskowo. Słyszając hałas, alchemik w garniturze prowadzący zajęcia spojrzał ostro znad stolika.

— Elsa, Stuart. To nie jest miejsce dla waszych ławek.

Rozgoryczona dwójka przesunęła się z powrotem do rzędu. Alchemiczne upodobanie do porządku zdławiło ich lęk przed złem. Sądząc po spojrzeniach, jakie mi rzucali, Elsa i Stuart dopisali tę reprimendę do listy moich win.

Nauczyciel nazywał się Harrison i znów nie wiedziałam, czy to imię, czy nazwisko. Był w starszym wieku, miał przerzedzone siwe włosy i nosowy głos. Wykładał aktualne wydarzenia. W pierwszej chwili ucieszyłam się, sądząc, że usłyszę, co się dzieje na świecie, ale szybko stało się jasne, że przekazywał wyłącznie wyselekcjonowane informacje.

— Co tu widzimy? — spytał, gdy na ogromnym ekranie pojawiło się zdjęcie dwóch dziewczyn z rozszarpanymi gardłami. Kilkanaście rąk uniosło się w górę, a on wezwał do odpowiedzi tę osobę, która zgłosiła się pierwsza. — Tak, Emma?

— Atak strzyg, proszę pana.

To wiedziałam, bardziej zainteresowała mnie Emma, moja współlokatorka.

Była mniej więcej w moim wieku i siedziała tak nienaturalnie wyprostowana w ławce, że z pewnością musiała nabawić się bólu pleców.

— Dwie dziewczyny zamordowane przed klubem nocnym w Sankt Petersburgu — potwierdził Harrison. — Żadna nie ukończyła nawet dwudziestu lat. — Na ekranie pojawiło się inne ponure zdjęcie, tym razem starszego mężczyzny, któremu najwyraźniej wyssano całą krew. — Budapeszt. — Kolejne zdjęcie. — Caracas. — Jeszcze jedno. — Nowa Szkocja. — Harrison wyłączył rzutnik i zaczął się przechadzać przed ławkami. — Chciałbym móc wam powiedzieć, że wszystkie nie pochodzą z tego roku. Lub choćby z ostatniego miesiąca. Obawiam się jednak, że to nieprawda. Ktoś zaryzykuje odpowiedź, kiedy je zrobiono?

Ręka Emmy wystrzeliła w górę.

— W zeszłym tygodniu, proszę pana?

— Zgadza się, Emmo. Badania wykazują, że częstotliwość ataków strzyg nie zmniejszyła się od roku. Mamy dowody na to, że się wręcz nasiliła. Jak myślicie, dlaczego tak się dzieje?

— Ponieważ strażnicy nie tropią ich tak gorliwie, jak powinni? — To znów Emma. „O mój Boże — pomyślałam. — Dzielę pokój z Sydney Sage reedukacji”.

— To z pewnością jedna z teorii — przytaknął Harrison. — Strażnicy są dużo bardziej zainteresowani bierną ochroną morojów niż aktywnym tropieniem strzyg dla naszej wspólnej korzyści. Na sugestie dotyczące zasilenia ich szeregów młodszymi rekrutami moroje samolubnie się sprzeciwili. Zapewne mają wystarczająco dużo strażników do ochrony, nie chcą pomagać innym.

Musiałam ugryźć się w język. Wiedziałam, że to nieprawda. Moroje cierpieli z powodu niewystarczającej liczby strażników, ponieważ brakowało dampirów. Dampiry nie mogą się rozmnażać między sobą. Ich rasa powstała w czasach, gdy ludzie i moroje swobodnie wchodzili w związki, i przetrwała do dziś dzięki związkom morojów z dampirami, z których zawsze rodzą się dzieci dampiry. Jest to zagadka genetyczna nawet dla alchemików. Słyszałam od przyjaciół, że wiek powoływania strażników to obecnie gorący temat, w który szczególnie zaangażowana jest królowa Wasylisa. Walczy, by dampiry nie musiały zostawać strażnikami przed ukończeniem osiemnastego roku życia. Nie kieruje się egoizmem, ale przekonaniem, że zasługują na chwilę beztrudnej młodości, zanim staną do walki, ryzykując własnym życiem.

Wiedziałam, że to nie miejsce, by dzielić się podobną wiedzą. Nikt nie był nią zainteresowany, a ściągnęłabym na siebie uwagę. Powinnam się podporządkować i zachowywać tak, jakbym podążała drogą do odkupienia. W ten sposób mogę zyskać jakieś przywileje, nawet jeśli konieczność słuchania tyrady Harrisona była bolesna.

— Drugim czynnikiem mogą być sami moroje, którzy przyczyniają się do wzrostu populacji strzyg. Większość morojów zaprzecza, jakoby chcieli mieć cokolwiek wspólnego z nieumarłymi. Czy możemy im jednak zaufać, skoro tak łatwo potrafią przemienić się w te mordercze bestie? Dla moroja to tylko stadium rozwoju. Prowadzą tak zwane normalne życie, mają pracę i dzieci, ale z wiekiem... Jakże wygodnie jest wyssać nieco więcej krwi z „chętnych” ofiar, a potem stwierdzić, że zdarzył się „wypadek”... — Harrison irytująco zaznaczał każdy z tych cudzysłówów gestem. — Przemieniają się w strzygi, nieśmiertelne i nietykalne. Jakżeby inaczej? Moroje nie są obdarzeni silną wolą, nie tak jak ludzie. A z pewnością nie mają silnych dusz. Jak więc takie stwory mogłyby się oprzeć pokusie zyskania wiecznego życia? — Harrison pokręcił głową z udawanym żalem. — Dlatego właśnie, obawiam się, liczba strzyg wciąż nie maleje. Nasi tak zwani sojusznicy w rzeczywistości wcale nam nie pomagają.

— Macie na to dowody?

Głos sprzeciwu był szokiem dla wszystkich obecnych, zwłaszcza gdy uświadomili sobie, że wyszedł ode mnie. Miałam ochotę sobie przyłożyć i cofnąć te słowa. Ledwie dwie godziny temu wyszłam z więzienia! Ale było już za późno, powiedziałam to. Odkładając na bok moje osobiste zainteresowanie morojami, nie mogłam znieść, kiedy ludzie przedstawiali spekulacje i sensacje jako fakty. Alchemicy powinni byli bardziej się postarać, skoro już wyszkolili mnie w sztuce logicznego myślenia.

I znów wszystkie oczy wpatrywały się we mnie, a Harrison podszedł do mojej ławki.

— Sydney, zgadza się? To urocze, że trafiłaś do klasy tak szybko po zakończeniu czasu refleksji. Jeszcze bardziej urocze jest to, że od razu zabrałaś głos. Większość nowo przybyłych się z tym nie spieszy. Bądź tak miła i powtórz to, co powiedziałaś przed chwilą.

Przełknęłam ślinę, wciąż nienawidząc się za to, że się odezwałam, ale było za późno, by to zmienić.

— Pytałam o dowody, proszę pana. Pańskie uwagi są przekonujące i brzmią racjonalnie, ale bez przedstawiania dowodów sami wychodzimy na potwory głoszące kłamstwa i propagandę. Pozostali więźniowie wstrzymali oddech, a Harrison zmrużył oczy.

— Rozumiem. Może więc ty masz jakieś wyjaśnienie poparte „dowodami”.

Kolejny cudzysłów zaznaczony w powietrzu.

Dlaczego nie umiałam trzymać języka za zębami?

— Cóż... — zaczęłam powoli. — Nawet gdyby liczba strażników dorównywała liczbie strzyg i tak nie mieliby równych szans z nieumarłymi. Strzygi niemal zawsze okazują się silniejsze i szybsze. Podczas gdy niektórym strażnikom udaje się zabić którąś w pojedynkę, często muszą wyprawiać się na strzygi w grupach. Patrząc na obecną liczbę dampirów, widać wyraźnie, że nie dorównuje ona liczbie strzyg. Szeregi strażników są przerzedzone. Dampiry nie rozmnażają się tak łatwo jak moroje i ludzie, a nawet strzygi, jeśli można to tak nazwać.

— O ile dobrze rozumiem — odparł Harrison — jesteś ekspertką w kwestii związków z morojami. Pewnie nawet osobiście zaangażowałabyś się w sprawę zwiększenia liczby dampirów, nie mylę się?

Usłyszałam chichotanie i poczułam, że się rumienię.

— Nie o tym mówię, proszę pana. Powtarzam, jeśli mamy przeprowadzić krytyczną analizę przyczyn...

— Sydney — nie pozwolił mi dokończyć. — Obawiam się, że nie będziemy niczego analizować. To oczywiste, że nie jesteś gotowa do nas dołączyć.

Serce mi stanęło. Nie. Nie, nie, nie. Nie mogą mnie odesłać do ciemnej celi, przecież dopiero stamtąd wyszłam.

— Proszę...

— Myślę — ciągnął — że małe oczyszczenie pomoże ci do nas wrócić.

Nie miałam pojęcia, o czym mówił, ale do klasy, która musiała być pod stałą obserwacją, weszło nagle dwóch krzepkich mężczyzn w garniturach. Jeszcze usiłowałam protestować, ale szybko wyprowadzili mnie na zewnątrz. Próbowałam przekonywać, że zaszło nieporozumienie i powinni dać mi drugą szansę, że na pewno znajdziemy rozwiązanie. Patrzyli w milczeniu z kamiennym wyrazem twarzy. Ścisnęło mnie w żołądku na myśl, że znów trafię do celi. Stałam się zależna od gierki alchemików, choć stawiałam się ponad nie. Ale myśl o tym, że znów pozbawią mnie godności i możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb, była niemal niemożliwa do zniesienia.

Tym razem nie zjechaliśmy do podziemnych cel, zabrali mnie piętro niżej. Pokój, do którego mnie wprowadzili, był boleśnie jasno oświetlony. Na frontowej ścianie wisiał duży ekran, przed nim ustawiono wielki fotel z przymocowanymi do poręczy kajdankami. Obok stała Sheridan ze swoim łagodnym uśmiechem... Trzymała w ręku igłę.

Nie była to igła do robienia tatuaży. Była wielka i złowieszcza, taka, jakiej używa się do robienia zastrzyków.

— Sydney — powiedziała słodko, podczas gdy obaj mężczyźni przykuwali mnie do fotela. — Jaka szkoda, że musiałyśmy się spotkać ponownie tak szybko.

ROZDZIAŁ 4

Adrian

MIAŁEM TAK WIELE PYTAŃ do mamy, że nie wiedziałem, od czego zacząć. Najpierw chciałem się jednak dowiedzieć, jak się tu znalazła, ponieważ do tej pory siedziała w morojskim więzieniu za krzywoprzysięstwo i przeszkadzanie w śledztwie w sprawie zabójstwa.

— Będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy — stwierdziła stanowczo. — Teraz musimy zdążyć na samolot. Człowieku, znajdziesz nam jakąś walizkę?

— On ma na imię Trey — wtrąciłem. — I jest moim współlokatorem, nie lokajem. — Pokuśtykałem do szafy i wyjąłem walizkę, z którą przyjechałem do Palm Springs.

Mama wyjęła mi ją z ręki i zabrała się do pakowania moich rzeczy, jakbym znów miał osiem lat.

— Wyjeżdżasz? — spytał Trey, który podobnie jak ja nic nie rozumiał.

— Na to wygląda. — Zastanawiałem się nad tym przez chwilę i nagle uznałem, że to świetny pomysł. Po co wciąż torturowałem się na tej pustyni? Sydney przepadła. Jill coraz lepiej opanowywała sztukę odcinania się od moich myśli i uczuć, w czym pomogły jej moje ostatnie wybryki. Poza tym za miesiąc sama miała stąd wyjechać.

— Tak — odparłem bardziej zdecydowanie. — Wyjeżdżam. Pokój jest opłacony z góry na całą jesień. Możesz tu mieszkać.

Musiałem opuścić to miejsce, z którym wiązało się tyle wspomnień o Sydney. Była wszędzie, nie tylko w tym mieszkaniu, lecz także w Amberwood i całym Palm Springs.

Nie zrezygnowałem z dalszych poszukiwań, ale mogłem je prowadzić z miejsca, które nie budziło tylu bolesnych wspomnień. Może to jest właśnie nowy początek, którego potrzebowałem.

A poza tym... odzyskałem mamę! Bardzo za nią tęskniłem, chociaż inaczej niż za Sydney. Długo nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Mama zabroniła mi odwiedzać się w snach, a ojciec nie chciał doręczać jej moich listów. Martwiłem się, że załamię ją pobyt w więzieniu, ale patrząc na nią teraz, odnosiłem wrażenie, że sobie poradziła. Wyglądała równie elegancko jak zawsze, dobrze ubrana i umalowana, poruszała się z wielką pewnością siebie. To było dla niej typowe i to spowodowało na nią kłopoty.

— Proszę — powiedziała, podając mi jakiś przedmiot wyjęty z komody. — Włóż je. Nie powinienesz ich przewozić w bagażu.

Zobaczyłem iskrzące się platynowe spinki do mankietów wysadzane diamentami i rubinami. Dostałem je od cioci Tatiany. Mówiła, że powinienem je wkładać na „szczególne okazje”, jakbym miał mnóstwo okazji do noszenia tysiący dolarów w rękawie. Może i miałbym, gdybym pozostał na królewskim dworze. W Palm Springs raz omal ich nie sprzedałem, żeby zdobyć trochę gotówki. Zacisnąłem spinki w dłoni, pozwalając, by ostre końcówki wbiły się w moją skórę, a potem wsunąłem je do kieszeni.

Mama spakowała mnie w niecałe dziesięć minut. Kiedy zauważyłem, że zostawiła mnóstwo rzeczy, machnęła lekceważąco ręką.

— Nie ma czasu. Kupimy ci nowe na królewskim dworze.

Zatem wybieraliśmy się na dwór. Nie byłem zaskoczony. Moja rodzina posiadała kilka

domów na całym świecie, ale dwór morojów w górach Pocono w Pensylwanii był naszą główną rezydencją. Szczerze mówiąc, nie dbałem o to, dokąd pojedziemy, dopóki mogłem się znaleźć daleko stąd.

W salonie zobaczyłem strażnika. Mama przedstawiła go jako Dale'a i oznajmiła, że będzie naszym kierowcą. Pożegnałem się krótko z Treyem, który jeszcze nie otrząsnął się z zaskoczenia. Zapytał, czy ma wysłać ode mnie wiadomość do Jill i reszty. Zastanowiłem się, ale uznałem, że nie chcę.

— Nie ma potrzeby.

Jill zrozumie powody mojego wyjazdu, będzie wiedziała, dlaczego muszę ich opuścić. Wszystko, co wyraziłbym słowami, nie mogło się równać z tym, co wyczuwała poprzez więź. Mogła opowiedzieć o tym przyjaciółom albo wymyślić jakąś zgrabną historyjkę na usprawiedliwienie mojego wyjazdu. Eddie uzna, że uciekłem, ale czułem, że ostatnie trzy miesiące spędzone w Palm Springs zbliżyły mnie wyłącznie do mego nieszczęścia, nie do Sydney. Zdecydowanie powinienem zmienić miejsce.

Mama zarezerwowała nam bilety na lot do Pensylwanii w pierwszej klasie. Dale miał siedzieć obok nas. Tak długo wiodłem życie ubogiego studenta, że cena przelotu lekko mnie zszokowała. Siedziałem obok matki. Stewardesa zaproponowała nam drinki, ale ból głowy kazał mi poprzestać na wodzie. Poza tym chciałem być trzeźwy, by usłyszeć, co mama ma mi do powiedzenia.

— Wróciłam do domu przed tygodniem — oznajmiła, jakby była na wakacjach. — Naturalnie od razu zajęłam się porządkowaniem spraw, ale myślałam przede wszystkim o tobie.

— Jak mnie znalazłaś? — spytałem. Moje miejsce pobytu jako związane z Jill było ściśle strzeżoną tajemnicą. Nikt nie ryzykowałby jego ujawniania ze względu na jej bezpieczeństwo.

Mama ściągnęła brew.

— Otrzymałam intrygującą wiadomość. Anonim. Ktoś napisał, że „przeżywasz ciężki okres” i mnie potrzebujesz. Załączył twój adres wraz z surowym zakazem przekazywania go komukolwiek, jako że zajmujesz się sprawami wagi państwowej z polecenia królowej. Ponoć pracujesz, aby chronić nas przed strzygami. To imponujące.

„Przeżywa ciężki okres”. Takich słów użyła Jill zeszłej nocy, by usprawiedliwić moją nieobecność na pokazie. Omal nie jęknąłem. Nikt nie ryzykowałby bezpieczeństwa Jill, by powiedzieć mojej mamie, gdzie jestem — nikt poza Jill.

— Czy ktoś wie, że jesteś tutaj? — pytałem dalej.

— Oczywiście, że nie — odparła z urazą. — Nigdy nie ujawniam tajemnic istotnych dla przyszłości morojów. Jeśli istnieje sposób unicestwienia strzyg, zrobię, co w mojej mocy, by ci w tym pomóc... Chociaż muszę przyznać, kochanie, że wydajesz się nieco zagubiony.

Jeśli mama myślała, że prowadzimy badania nad strzygami w Palm Springs, to niech tak pozostanie. Teraz, gdy mnie już odnalazła, nie będzie drążyć tematu.

— Zagubiony to łagodne określenie — powiedziałem.

Położyła rękę na mojej dłoni.

— Co się dzieje? Tak dobrze sobie radziłeś. Rozumiem, że podjąłeś studia? I pracujesz dla królowej?

Nagle uświadomiłem sobie, że nie zająłem na uczelnię. Czy zaliczyłem egzaminy z dwóch pozostałych kursów? Może powinienem złożyć finalny projekt? Niedobrze. Przyjazd mamy i perspektywa ucieczki tak mnie oszołomiły, że zupełnie zapomniałem o studiach. Może zawałem swoją ostatnią szansę. Duma w jej głosie tak mnie poruszyła, że nie mogłem jej wyjawiać tej części prawdy.

— Tak, byłem zajęty — rzuciłem wymijająco.

— Więc co się dzieje? — nie ustępowała.

Spojrzałem jej w oczy i dostrzegłem błysk współczucia, który widziało niewielu. Zanim została uwięziona, występowała niezmiennie jako dumna arystokratka, Daniella Iwaszkow, chłodna i niewzruszona. Znałem ją i taką, ale w rzadkich jasnych chwilach znałem ją również jako moją matkę. I nagle usłyszałem, że mówię prawdę... a w każdym razie pewną jej wersję.

— Cóż... była pewna dziewczyna, mamó.

Westchnęła.

— Och, Adrian. Tylko tyle?

— To nie jest tylko! — wykrzyknąłem ze złością. — To ta jedyna. Która odmieniła wszystko. Odmieniła mnie.

— Dobrze, dobrze — powtarzała kojąco. — Przepraszam. Co się z nią stało?

Usiłowałem znaleźć właściwe słowa.

— Jej rodzina mnie nie zaakceptowała.

Teraz to ona się rozzłościła, zakładała, rzecz jasna, że rozmawiamy o morojce.

— To śmieszne! Pochodzisz z najlepszych rodów Tarusów i Iwaszkowów. Sama królowa nie mogłaby się poszczycić lepszym rodowodem. Jeśli rodzina tej dziewczyny widzi w tym jakiś problem, to popełniają poważny błąd.

Omal się nie uśmiechnąłem.

— Z tym akurat się zgadzam.

— Więc w czym problem? Jeśli jest pełnoletnia... Och, Adrian, powiedz, że jest.

— Tak, mamó.

Twarz matki rozpromieniła się z ulgą.

— W takim razie może zdecydować o sobie i być z tobą, nawet jeśli jej rodzina się na to nie zgadza. A jeżeli bierze ich stronę, to nie jest ciebie warta i lepiej ci będzie bez niej.

Chciałem jej powiedzieć, że to nie jest takie proste, ale pamiętałem, jak trudno było jej zaakceptować Rose. Nie mogła mi wybaczyć związku z dampirzycą. Miłość do człowieka w ogóle nie wchodziła w rachubę.

— Myślę, że nie akceptują ani mnie, ani mojej rodziny — odparłem enigmatycznie.

Mama się zachnęła.

— Zobaczmy, co zdecyduje ona sama. Która nie chciałaby mojego chłopca? Tymczasem postaraj się tak bardzo tym nie przejmować. Co ty masz z tymi dziewczętami, skarbie? Dlaczego zawsze przeżywasz dramaty? Powinieneś to lżej traktować.

— Nie robię niczego połowicznie, mamó. Szczególnie w miłości.

Po wylądowaniu mogłem nareszcie włączyć telefon. Przyszła wiadomość od Jill.

Tak, to moja sprawa. Wiem, że przyjechałeś do Palm Springs ze względu na mnie, ale uznałam, że powinieneś coś zmienić. Kiedy usłyszałam od Lissy, że twoja mama jest wolna, pomyślałam, że musicie się spotkać. Trochę wam w tym pomogłam. Mam nadzieję, że to dobrze.

Jesteś najlepsza, Ślicznotko — odpisałem.

Musiałem się uśmiechnąć, odczytując odpowiedź: *Jeszcze nie wiesz wszystkiego. Miałeś przygotować dwa projekty na zaliczenie pozostałych kursów. Przekopaliśmy z Treyem mieszkanie i znaleźliśmy twoje stare prace. Nie wiem, czy dostaniesz zaliczenie, ale przynajmniej pokazałeś, że ci zależy.*

Nie zdziwiłem się. Jill pilnowała moich spraw na uczelni, gdy ja to sobie odpuszczałem. Zaczynałem i przerywałem wiele projektów, nie wiedziałem więc, które prace wybrała, ale zważywszy na mój obecny stan, były na pewno lepsze od tego, co mógłbym przygotować. Teraz musiał zdecydować los.

Jedno mnie zastanawiało, gdy Dale wioził mamę i mnie na dwór. Mama powiedziała, że wyszła przed tygodniem. Jill dała jej mój adres, mama przyleciała... ale czy to było konieczne? Miejsce pobytu małej było tajemnicą, jednak Lissa na pewno pozwoliłaby mamie do mnie zadzwonić, gdyby ta ją o to poprosiła. Dlaczego tego nie zrobiła? Jakby zdecydowała się na rozmowę ze mną, dopiero gdy Jill zwróciła jej uwagę na moje problemy. Przecież nawet gdyby u mnie było wszystko w porządku, mama nie powinna zwlekać ze spotkaniem...

Może zresztą przesadzałem. Nigdy nie mogłem wątpić w miłość matki. Popełniała błędy, ale zależało jej na mnie. Dopiero gdy zobaczyłem ją całą i zdrową, uświadomiłem sobie, jak bardzo się o nią martwiłem. Próbowałem ją pytać o więzienie, ale zbywała mnie za każdym razem.

— Było, minęło — mruknęła, gdy podjechaliśmy pod strzeżoną bramę dworu. — Odsiedziałam wyrok i już. Powiem ci tylko, że przewartościowałam swoje priorytety i wiem, co jest w życiu naprawdę ważne. — Delikatnie dotknęła mojego policzka. — Na pierwszym miejscu tej listy jesteś ty, kochanie.

Plan królewskiego dworu przypominał uniwersytecki kampus. Na rozległym terenie usytuowano budynki w gotyckim stylu. Ludzie mieli sądzić, że mieści się tu uczelnia, prywatna, elitarna, omijana przez zwykłych śmiertelników. Dostojnicy rządowi i niektórzy członkowie rodów królewskich mieli tu swoje stałe apartamenty, poza tym znajdowały się tu pokoje gościnne i liczne instytucje ułatwiające życie morojom. Było to w pewnym sensie niezależne, odizolowane od świata miasteczko.

Sądziłem, że mama zawiezie nas do naszego domu w mieście, ale pojechaliśmy do apartamentów dla gości.

— Dawno wyprowadziłeś się z domu, wyobrażam sobie, że nie chciałbyś wrócić pod rodzicielskie skrzydła — wyjaśniła. — Później znajdziemy ci coś na stałe, a tymczasem królowa zgodziła się, żebyś mieszkał tutaj.

Zaskoczyła mnie, ale w jednym miała rację — rzeczywiście nie zniósłbym, gdyby ojciec kontrolował moje wyjścia i powroty do domu. Matka również. Nie to, żebym zamierzał imprezować do upadłego. Chciałem zacząć wszystko od nowa, znaleźć sposoby, by pomóc Sydney. Podejrzywałem jednak, że skoro matka mnie odnalazła, zapewne miała zamiar trzymać mnie pod kluczem.

Recepcjonista zameldował mnie, a mama uściskała na pożegnanie.

— Dziś jestem już umówiona, ale spotkajmy się jutro. Zaprosiliśmy gości na kolację. Jestem pewna, że ojciec ucieszy się z twojej wizyty. Wpadnij, pogawędzimy sobie. Teraz już sobie poradzisz, prawda?

— Oczywiście — zapewniłem. Zrobiło się późno, podróż i zmiana strefy czasowej zrobiły swoje. — Nie mam ochoty szukać nowych kłopotów. Wcześniej się położę.

Uściskała mnie znowu i poszedłem do siebie. Mój apartament z jedną sypialnią odpowiadał standardom pięciogwiazdkowego hotelu. Wniosłem walizkę i od razu zacząłem dzwonić i ustalać plany. Potem wziąłem szybki prysznic (pierwszy tego dnia) i pospiesznie opuściłem pokój. Nie wybierałem się jednak na imprezę.

Z drugiej strony ktoś mógłby pomyśleć, że każde spotkanie z Rose Hathaway i Lissą Dragomir zapowiada imprezę.

Obie mieszkały w ście królewskich apartamentach, chociaż z zewnątrz budynek miał typowo uniwersytecką fasadę. Kiedy wszedłem do środka, z miejsca przytłoczył mnie cały ciężar historii morojów: widok kryształowych kandelabrow, aksamitnych draperii, portretów dawnych królów. Apartamenty królowej zostały jednak urządzone bardziej nowoczesnie, zgodnie z jej prywatnym gustem. Cieszyłem się, że wybrała dla siebie inne pokoje niż te, które zajmowała

moja ciotka i w których zmarła. I tak czułem się nieswojo, odwiedzając miejsce tak pełne wspomnień o niej.

Kiedy przyszedłem, dziewczyny siedziały w salonie królowej. Lissa po turecku na kanapie w otoczeniu książek, Rose na fotelu, z nogami w górze. Jej długie ciemne włosy opadały na podłogę. Zerwała się z miejsca z refleksem dampira. Podbiegła do mnie i uściśniła mnie po przyjacielsku.

— Naprawdę przyjechałeś. Z początku myślałam, że mnie wkręcą. Sądziłam, że zostaniesz z Jill.

— Już mnie nie potrzebuje — wyjaśniłem, podchodząc do Lissy, która także wstała na mój widok. — Ma ostatnie zaliczenia i wiele innych zajęć.

— Coś o tym wiem. — Rose przewróciła oczami, zwracając się do Lissy. — Nasza Panna-Nauka-Jest-Najważniejsza zupełnie straciła poczucie humoru.

Lissa uśmiechnęła się pobłaźliwie do swojej najlepszej przyjaciółki.

— Jutro zaczyna się sesja egzaminacyjna.

— Moja właśnie się skończyła — powiedziałem.

— Jak ci poszło? — zaciekała się Lissa, siadając z powrotem.

Zerknąłem na jej podręczniki.

— Powiedzmy, że nie przykładałem się do lekcji nawet w połowie tak pilnie jak ty.

— Widzisz? — mruknęła Rose.

Ona także opadła na fotel i założyła ręce.

Znalazłem sobie miejsce między nimi i pomyślałem o swoich marnych szansach na zaliczenie semestru.

— Lissa podchodzi do tego we właściwy sposób.

Lissa, osiemnastolatka, była najmłodszą królową w historii morojów, wybraną w czasie chaosu, jaki zapanował po zamordowaniu mojej ciotki. Nikt nie winiłby jej, gdyby zrezygnowała z college'u albo przedłużyła sobie czas nauki. Ona jednak pozostawała wierna wielkim marzeniom o studiach na wielkim uniwersytecie. Uważała, że jako królowa szczególnie powinna zadbać o wykształcenie.

Studiowała na uniwersytecie w Lehigh, kilka godzin jazdy od dworu, i utrzymywała wysoką średnią ocen, jednocześnie sprawując rządy nad niespokojnym narodem. Na pewno świetnie rozumiałyby się z Sydney.

Lissa położyła nogi na stoliku kawowym, a ja przywołałem moc ducha, by zerknąć na jej aurę. Była ciepła i nasycona barwami, taka jak być powinna. Przenikały ją błyski złota, charakterystyczne dla władających mocą ducha.

— W takim razie zrozumiesz, że nasze spotkanie musi być krótkie. Muszę wkuć na pamięć kilka dat i miejsc, a jutro rano wyjeżdżamy do szkoły. Zostaniemy w kampusie do końca tygodnia egzaminacyjnego.

— Nie będę cię zatrzymywał — obiecałem. — Chciałem tylko o coś zapytać.

Lissa wyglądała na lekko zaskoczoną, uznała pewnie moje przyjście za czysto towarzyską wizytę.

— Sprawdziałaś może, co się stało z Sydney Sage?

Lekkie zaskoczenie przerodziło się w szczere zdumienie.

— Znowu to samo? — spytała. Zabrzmiało to mniej grzecznie, niż zamierzała. Nikt poza naszą grupką w Palm Springs nie wiedział, ile Sydney dla mnie znaczy, a Lissa nawet nie znała jej równie dobrze jak Rose.

Rose zmarszczyła brwi.

— Nadal jej nie ma?

Lissa popatrzyła na nas.

— Nie dowiedziałam się niczego nowego od kilku miesięcy, gdy mnie o nią pytałeś. Sprawdzałam. Powiedziano mi, że dostała nowe zlecenie.

— To kłamstwo — rzuciłem zapalczywie. — Uprawdzili ją i wysłali do jednego z tych przeklętych ośrodków reedukacji!

— Już mi to mówiłeś i o ile nic się nie zmieniło, nie masz na to żadnych dowodów — odparła spokojnie Lissa. — Nie mogę zarzucić im kłamstwa... zresztą nie mam też prawa dociekać, jak postępują ze swoimi ludźmi.

— Masz pełne prawo, ponieważ postępują wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości i poszanowania godności. Przetrzywiają ją tam siłą i poddają torturom.

Lissa pokręciła głową.

— Nie mogę się w to wtrącać. Strażnicy często karzą dampiry, które uciekają ze szkoleń. Co by było, gdyby alchemicy dyktowali nam, jak mamy z nimi postępować? Odpowiedzielibyśmy to samo. To nie nasza sprawa. Mają swoich ludzi, my swoich. Gdyby któremuś z moich poddanych zagrażało coś ze strony alchemików, miałabym prawo interweniować.

— Ale nie zrobisz tego, bo ona jest człowiekiem — rzuciłem bezbarwnym głosem. Czuję, że moje wielkie nadzieje się rozsypują.

Rose okazała nieco więcej empatii.

— Naprawdę ją torturują?

— Tak — powiedziałem. — Nie miałem kontaktu ani z nią, ani z nikim, kto by coś wiedział o jej losach, ale znam kogoś, kto znalazł się kiedyś w podobnej sytuacji.

W jasnozielonych oczach Lissy, tak podobnych do oczu Jill, pojawił się smutek.

— Adrian, zdajesz sobie sprawę, jak mętnie to zabrzmiało?

Naraz ogarnęły mnie wściekłość i żal. Poczułem się bezradnie, zorientowałem się, że alchemicy omotali Lissę swoimi kłamstwami.

— To szczerą prawdą! Sydney jest naszą przyjaciółką. Nie traktowała nas jak typowa alchemiczka, która uważa morojów za złe stwory. Bardzo się zbliżyliśmy. Uważała Jill niemal za siostrę. Spytaj Eddiego. Był przy niej, gdy ją zabierali.

— Ale nie wie, co stało się później — dokończyła Lissa. — Nie widział, by poddawano ją torturom. Nie może potwierdzić, że nie wyznaczono jej innego zadania, w innym miejscu. Może to jedyna „kara” alchemików za to, że sprzeniewierzyła się ich ideologii.

— Posunęli się znacznie dalej! — ryknąłem. — Czuję to.

— Liss — wtrąciła niepewnie Rose. — Na pewno możesz coś zrobić...

Spojrzałem na nią z nadzieją. Gdyby Rose mnie poparła, może zyskalibyśmy więcej sojuszników.

— Posłuchaj — podjąłem. — Może spróbujemy innej metody? Zamiast wysyłać oficjalne pisma do alchemików, mogłabyś wyznaczyć... no nie wiem... ekipę zwiadowców, którzy dowiedzą się, gdzie jest teraz Sydney? — Zapaliłem się do tego pomysłu. Marcus zaangażował w poszukiwania swoich ludzi, ale moroje i dampiry mogliby ich wesprzeć.

Rose wyraźnie się rozpromieniła.

— Chętnie wezmę w tym udział. Sydney jest moją przyjaciółką, a poza tym mam doświadczenie w...

— Nie! — wykrzyknęła Lissa, wstając z miejsca. — Przestańcie! Czy wy siebie słyszycie? Mamy się włamać do kwatery alchemików? Równie dobrze moglibyśmy wypowiedzieć im wojnę! Wyobrażacie sobie, jak to by wyglądało z drugiej strony? Gdyby to oni wysłali oddział ludzi, by weszli u nas?

— Biorąc pod uwagę ich zasady etyczne — zacząłem — wcale bym się nie zdziwił, gdyby robili to już od dawna.

— Nie — powtórzyła Lissa. — Nie mogę pomóc, nie jeśli to nie dotyczy bezpośrednio moich poddanych. Odpowiadam przede wszystkim za swój naród. Ryzykować będę tylko dla niego.

Podniosłem się z miejsca, czując gniew i rozczarowanie. Z trudem panowałem nad emocjami, których jeszcze nie umiałem nazwać.

— Myślałem, że będziesz inną królową. Broniącą tego, co słuszne i sprawiedliwe.

— Właśnie to robię — odparła, z wyraźnym wysiłkiem nakazując sobie spokój. — Obecnie walczę o większą wolność dla dampirów, wspieram morojów, którzy chcą się bronić sami. Próbuje też unieważnić prawo wieku, żeby moja siostra mogła wyjść z ukrycia! Jednocześnie studiuję i staram się ignorować głosy tych, którzy chcą mnie odsunąć od rządów. Nie pytaj więc, ile mam czasu na życie osobiste. Czy to wystarczy, by cię zadowolić, Adrian?

— Przynajmniej masz jakieś życie — mruknąłem, idąc do wyjścia. — Przepraszam, że przeszkodziłem w nauce. Powodzenia na egzaminach.

Rose próbowała mnie zatrzymać, chyba nawet ruszyła za mną, ale Lissa ją zawołała. Nikt za mną nie pobiegł. Opuściłem apartamenty królewskie i krętymi korytarzami wyszedłem z pałacu. Byłem wściekły i sfrustrowany. Myślałem, że rozmawiając z Lissą osobiście — na trzeźwo! — zdołam jej wszystko wyjaśnić i przekonać, by pomogła Sydney. Rozumiałem, że alchemicy zbyli pytania królowej o Sydney, ale Lissa mogła jeszcze wyznaczyć parę osób takich jak Rose Hathaway, by powęszyły w ich szeregach. Zawiodła mnie. Twierdziła, że rozpoczęła krucjatę, a dowiodła, że stała się taką samą biurokratką jak wszyscy politycy.

Czułem narastającą rozpacz, pogrążałem się w mroku, powtarzałem sobie, że byłem głupcem, przyjeżdżając tutaj. Jak mogłem uwierzyć, że coś w ogóle się zmieni? Rose chyba naprawdę chciała mi pomóc, ale czy działałaby za plecami najlepszej przyjaciółki? Pewnie nie. Rose była częścią systemu. Utknąłem, nie wiedziałem, gdzie szukać pomocy. Na nic nie przydam się Sydney, nikomu, nic nie potrafię...

— Adrian?

Wychodziłem już przez drzwi pałacowe, gdy ktoś mnie zawołał. Odwróciłem się i ujrzałem ładną morojkę o szarych oczach i ciemnych wijących się lokach. Szła szybko w moją stronę. Byłem tak wzburzony, że w pierwszej chwili jej nie rozpoznałem.

— Charlotte!

Uśmiechnęła się i nieoczekiwanie rzuciła mi się w ramiona.

— To naprawdę ty! — zawołała z radością. — Martwiłam się, gdy zniknąłeś. Nie odpowiadałeś na moje wiadomości i telefony.

— Nie bierz tego do siebie — rzuciłem pośpiesznie, przytrzymując drzwi, żeby się nie zatrzasnęły. — Nie odzywałem się do nikogo. — Mówiłem prawdę. Od chwili porwania Sydney całkowicie odsunąłem się od świata.

Piękne szare oczy przyglądały mi się z troską.

— Wszystko w porządku?

— Tak, tak. To znaczy nie. To skomplikowane.

— Mam czas — powiedziała, gdy wyszliśmy w ciepłą letnią noc. — Możemy zamówić coś do jedzenia i pogadać.

Zawahałem się, nie byłem pewien, czy mam ochotę na zwierzenia. Poznałem Charlotte w tym roku. Pomogła swojej siostrze przemienionej w strzygę powrócić do żywych. Charlotte władała mocą ducha i pomagała mi w opracowaniu czegoś w rodzaju szczepionki zapobiegającej przemianie w strzygę wbrew woli ofiary. Jej siostra, Olive, była obiektem westchnień Neila.

Spotkali się raptem kilka razy, może mieli przelotny romans, ale kiedy Olive zerwała kontakt, Neil mówił o niej, jakby łączył ich długoletni związek.

— Jestem dobrą słuchaczką — zapewniła Charlotte, gdy nie zareagowałem.

Uśmiechnąłem się do niej.

— Nie wątpię. Ale nie chcę cię dołować.

— Dołować? — Dziewczyna zaśmiała się smutno. — Za późno. Po pierwsze, moc ducha już zrobiła swoje. Od czasu, gdy odmieniłam Olive... Sama nie wiem... Znasz to? Ten mroczny stan otępienia?

— Owszem — przytaknąłem. — Znam.

— To mój codzienny towarzysz, wprost nie mogę się bez niego obyć, jak się słusznie domyślasz. Tymczasem Olive, dla której tyle zrobiłam, najpierw podjęła „poszukiwanie wizji”, a potem stwierdziła, że potrzebuje „samotności”, by wszystko przemyśleć! Wciąż przerywa nasze spotkania we śnie, zanim uda mi się z nią naprawdę porozmawiać. Wybrałabym się na jej poszukiwanie, ale Sonia się upiera, żebym pomagała jej w badaniach nad mocą ducha. Mieszkam tutaj w eleganckich apartamentach, ale bez środków do życia. Przyjęłam w końcu pracę na pół etatu w pałacowym sekretariacie. Świadczę usługi klientom z wysokich sfer, zainteresowanych wyłącznie czubkiem własnego nosa. Kolejny krąg piekła. — Urwała, przypominając sobie, z kim rozmawia. — Bez urazy.

Parsknąłem śmiechem, po raz pierwszy szczerze od dłuższego czasu.

— Nie czuję się urażony, bo dokładnie znam typ, o którym mówisz. Jeśli uda ci się odnaleźć siostrę, powiedz jej, że łamie serce biednemu Neilowi.

— Powiem — zgodziła się Charlotte. — Zdaje się, że ona też o nim myśli.

— To dobrze czy źle? — zaciekałem się.

— Nie mam pojęcia — parsknęła śmiechem.

Zawtórowałem jej i nagle zdecydowałem się przyjąć propozycję.

— Dobrze. Chodźmy coś zjeść... choć, szczerze mówiąc, po dwudziestu czterech godzinach przerwy wolałbym się napić. Pewnie nie masz ochoty? — Próba była desperacka, ale to nigdy mnie nie powstrzymało.

Charlotte chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę budynku stojącego po drugiej stronie trawnika.

— Dzięki Bogu — powiedziała. — Myślałam, że nigdy nie zapytasz.

ROZDZIAŁ 5

Sydney

WIDZĄC STRZYKAWKĘ W RĘKU Sheridan, pomyślałam, że zamierza nałożyć mi nową warstwę tatuażu. Zamiast wstrzykiwać niewielkie ilości zaczarowanego atramentu, poda mi końską dawkę, by wymusić uległość.

„To bez znaczenia — uspokajałam się w myślach. — Chroni mnie magia, może sobie nakładać tyle atramentu, ile jej się podoba”. Niestety, nie miałam pewności, czy to prawda.

Jak się okazało, Sheridan miała inne plany.

— Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, uznałam, że dobrze rokujesz — powiedziała, wbijając mi igłę w ramię. — Nie mogę uwierzyć, że nie wytrzymałaś nawet godziny.

Omam nie odparowałam, że stare nawyki najtrudniej wykorzenić, ale przypomniałam sobie, że powinnam trzymać język za zębami.

— Przepraszam — bąknęłam. — Wyrwało mi się. Przepraszę Harrisona, jeśli to...

Coś dziwnego działo się z moim żołądkiem. Z początku czułam lekki dyskomfort, który jednak narastał, aż w końcu przerodził się w falę mdłości ogarniającą całe ciało. Nie mogłam nad tym zapanować. Naraz rozboleła mnie głowa. Poczułam, że mam gorączkę, pociłam się.

— Będę wymiotować — oznajmiłam. Chciałam pochylić głowę, ale powstrzymywały mnie więzy.

— Nie — odparła Sheridan. — Nie będziesz. Jeszcze nie. Baw się dobrze.

Miałam spętane ramiona, a specjalny uchwyt unieruchamiał mi głowę. Musiałam patrzeć prosto na ekran. Ktoś go włączył. Przygotowałam się w duchu na jakieś straszne obrazy. Ale zobaczyłam... morojów. Szczęśliwych. Przyjacielskich. Dzieci morojów. Morojów zajmujących się codziennymi sprawami, uprawiających sporty, jedzących w restauracjach. Czułam się tak podle, że nie rozumiałam sensu tych zdjęć. Myślałam tylko o tym, żeby zwymiotować. Wiedziałam, że wtedy poczułabym się lepiej, zwróciłabym truciznę. Niestety, Sheridan mówiła prawdę. Nie mogłam zwymiotować, musiałam znosić potworne mdłości. To była udręka. Nie do wytrzymania. Jęknęłam i zamknęłam oczy, próbując uspokoić zamęt w głowie, ale Sheridan odczytała to inaczej.

— Nie próbuj zamykać oczu — ostrzegła. — Wiem, co mówię. Lepiej, żebyś oglądała te zdjęcia z własnej woli. Mamy sposoby, żeby cię do tego zmusić. A to nie będzie przyjemne.

Zwalczyłam łzy i skupiłam się na ekranie. Cierpiałam, próbując jednocześnie rozgryźć, dlaczego tak im zależy, bym oglądała szczęśliwych morojów. Moje wnętrzości wywracały się na drugą stronę.

— Próbujecie... — odkaszlnęłam i przez chwilę wydawało mi się, że poczuję ulgę. Nic z tych rzeczy — ...wytworzyć jakąś reakcję, jak Pawłow.

Stosowali klasyczną technikę warunkowania. Pokazywali mi zdjęcia i jednocześnie wzbudzali we mnie nieprzyjemne reakcje. Miałam je połączyć z widokiem nieszkodliwych, zadowolonych morojów. Był tylko jeden problem.

— Musielibyście powtarzać ten zabieg, żeby utrwalić moją reakcję — uświadomiłam sobie głośno. Jedna sesja nie wystarczy, żebym od tej pory odczuwała mdłości na widok morojów.

Spojrzenie Sheridan mówiło wszystko o tym, co mnie czeka.

Serce mi się ścisnęło. A może to był żołądek. Problemy gastryczne uniemożliwiały mi ocenę sytuacji. Nie wiem, jak długo utrzymywali mnie w tym stanie. Może godzinę. Nie zastanawiałam się nad tym, bo moją uwagę całkowicie pochłaniały próby przetrwania kolejnej fali mdłości. Wydawało mi się, że minęły wieki, gdy Sheridan zrobiła mi drugi zastrzyk i ekran zgasł. Dwóch oprychów rozkuło mnie i ktoś podał mi wiadro.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam. I nagle blokada ustąpiła i moje ciało rozluźniło się. Zwróciłam cały lunch, a mimo to wciąż czułam skurcze. Długo dyszałam ciężko i się krztusiłam, zupełnie nie obchodziło mnie, że wymiotuję na oczach ludzi. Potem wszystko się uspokoiło.

Mimo wszystko poczułam się lepiej. Jeden z oprychów dyskretnie zabrał wiadro, a Sheridan łaskawie podała mi filiżankę wody i zaproponowała, bym umyła zęby przy małej umywalce w kącie sali. Zainstalowano ją obok szafki pełnej różnych instrumentów medycznych. Obok powieszono lustro, bym mogła się przekonać, jak okropnie wyglądam.

— No — rzuciła wesoło Sheridan. — Teraz możesz pójść na lekcję sztuki.

Lekcja sztuki? Mogłam najwyżej zwinąć się w kłębek i zasnąć. Byłam słaba, chwiałam się na nogach, miałam uczucie, że mój żołądek wywrócił się na drugą stronę. Nikogo nie obchodziło jednak moje samopoczucie i zbiry wyprowadziły mnie z pokoju. Sheridan pomachała mi na pożegnanie i zapowiedziała, że wkrótce się spotkamy.

Eskortowali mnie na górne piętro, gdzie mieściły się sale lekcyjne, do pomieszczenia służącego za pracownię. Addison, nieprzenikniona i androgyniczna osoba, która nadzorowała nas w czasie lunchu, właśnie zaczynała lekcję. Objasniała zadanie, którego, zdaje się, nie dokończyli na poprzedniej lekcji. Mieli malować paterę z owocami. Nic ciekawego. Kiedy weszłam, wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Większość spoglądała chłodno, część z lekką satysfakcją. Wszyscy wiedzieli, co przeżyłam.

Jedynym pocieszeniem w procesie reedukacji było to, że inaczej niż w Amberwood prymusi zajmowali miejsca najbliższe nauczyciela. Mogłam skulić się za wolną sztalugą ustawioną z tyłu. Inni nie mogli mnie widzieć, chyba że odwracaliby głowy, ignorując Addison. Nikt nie zaryzykował. Koncentrowałam się głównie na tym, żeby nie osunąć się na podłogę, i słuchałam instruktorki jednym uchem.

— Niektórzy poczynili wczoraj spore postępy. Emmo, szczególnie tobie udało się praca. Lacey, Stuart, powinniście zacząć od początku.

Przyjrzałam się obrazom na sztalugach, próbując przypisać do nich autorów. Z tyłu miałam dobry widok na salę. Obawiałam się, że przebyta sesja zmąciła mi umysł, bo komentarze Addison wydawały mi się pozbawione sensu. Ale rozpoznałam wszystkich autorów prac. Emmę, moją współlokatorkę, dziewczynę pochodzenia azjatycko-amerykańskiego, która mocno ściągnęła czarne włosy w kok. Jej obraz nie wydawał się szczególnie interesujący, ledwo można było rozpoznać, że namalowała owoce. Stuart był jedną z osób, które odsunęły ode mnie swoje ławki na lekcji Harrisona. Odniosłam wrażenie, że jego obraz jest najlepszy. Przez chwilę nie wiedziałam, kim jest Lacey. Zorientowałam się dopiero, gdy zamieniła płótna, umieszczając na sztaludze nowe. Jej obraz nie był tak dobry jak praca Stuarta, ale o niebo lepszy niż rysunek Emmy.

„Tu nie chodzi o warsztat — uświadomiłam sobie. — Nagradzają zgodność z rzeczywistością”. Gruszki Stuarta były perfekcyjne, ale namalował ich więcej, niż było naprawdę. Zmienił również ułożenie owoców, a jego patera miała niebieską barwę znacznie ładniejszą niż brąz tej, która posłużyła jako model. Praca Emmy niczym się nie wyróżniała, ale dziewczyna namalowała tyle owoców, ile leżało na paterze, i we właściwych miejscach. Idealnie dopasowała barwy. Alchemikom nie chodziło o kreatywność. Mieliśmy idealnie odwzorować to, co widzieliśmy, nie zadając pytań ani nie szukając odstępstw.

Nikt nie próbował mi pomóc ani doradzić, więc stałam głupio przez chwilę, usiłując zorientować się, co robią pozostali. Znałam podstawy malowania akrylami dzięki Adrianowi, ale nigdy sama tego nie próbowałam. Obok misy z owocami zauważyłam zestaw pędzli i tubek z farbami, więc podeszłam wraz z innymi, żeby wybrać kolory podstawowe. Wszyscy starali się mnie omijać, więc kiedy najpierw wybrałam farbę, a potem odłożyłam ją jako niepasującą, następna osoba, która po nią sięgnęła, najpierw wytarła starannie tubkę. Wróciłam na swoje stanowisko i chociaż nie mogłam ręczyć za swoje umiejętności w odwzorowaniu owoców, byłam pewna, że właściwie dobrałam kolory. Mogłam przynajmniej wykazać się w tej części zadania.

Szło mi opornie. Wciąż jeszcze czułam się słabo i trudno było mi wycisnąć farbę z tubki. Miałam nadzieję, że nie oceniają również szybkości pracy. Kiedy wreszcie uznałam, że mogę pociągnąć pędzlem po płótnie, otworzyły się drzwi i weszła Sheridan w towarzystwie jednego z oprychów. Wnieśli tace z filiżankami. Nie musiała nic mówić, natychmiast rozpoznałam ich zawartość po zapachu.

Kawa.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedziała z szerokim sztucznym uśmiechem. — Wszyscy tak sumiennie pracują, że chcemy wam zaproponować mały poczęstunek: waniliową latte.

Przełknęłam ślinę i patrzyłam z niedowierzaniem, jak moi współwięźniowie tłoczą się wokół niej. Każdy brał filiżankę. Waniliowa latte. Ileż razy marzyłam o niej w niewoli, karmiona mdłą papką? Nie zastanawiałam się nawet, czy została przygotowana na chudym mleku ani ile dodano cukru. Tak dawno nie czułam w ustach smaku kawy! Instynktownie chciałam podbiec i chwycić filiżankę.

Ale nie mogłam. Nie po tym, co przeszłam. Miałam podrażniony żołądek i gardło. Wiedziałam, że znów zacznę wymiotować, jeśli przełknę coś innego niż woda. Aromat kawy był pokusą dla mojego umysłu, ale biedny, podrażniony żołądek miał inne zdanie. W tej chwili nie zniósłabym nawet kleiku, a co dopiero latte.

— Sydney? — Sheridan popatrzyła na mnie z uśmiechem. Podniosła tacę. — Została jedna filiżanka. — Potrząsnęłam głową bez słowa, więc postawiła ją na biurku Addison. — Zostawię ją, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie.

Nie mogłam oderwać oczu od tej filiżanki i zastanawiałam się, na czym bardziej zależy Sheridan: na udręczeniu mnie zapachem kawy czy na zobaczeniu, jak wymiotuję przed całą klasą, gdybym jednak sięgnęła po napój.

— To twoja ulubiona? — usłyszałam cichy głos.

Pytanie mnie zaskoczyło, ale nie odwróciłam od razu głowy. Dopiero po chwili z trudem oderwałam wzrok i spojrzałam na sąsiada, wysokiego przystojnego chłopaka, może pięć lat starszego ode mnie. Był chudy i nosił okulary w drucianej oprawie, które nadawały mu wygląd intelektualisty. Tej cechy alchemicy z pewnością nie cenili.

— Dlaczego tak mówisz? — spytałam cicho.

Uśmiechnął się.

— Zawsze to robią. Kiedy ktoś przeżyje pierwszą sesję przeczyszczającą, reszta jest „nagradzana” jego największym przysmakiem. Przepraszam za to. — Przerwał, żeby napić się latte. — Od wieków nie piłem kawy.

Skrzywiłam się i odwróciłam wzrok.

— Pij do woli.

— Przynajmniej oparłaś się pokusie — dodał. — Nie każdy daje radę. Addison nie lubi, gdy rozlewamy napoje, ale jest jeszcze mniej zadowolona, gdy ktoś wymiotuje w pracowni.

Zerknęłam na nauczycielkę, która doradzała coś siwemu mężczyźnie.

— Chyba nie lubi wielu rzeczy. Z wyjątkiem gumy do żucia.

Zapach kawy wypełniał całą salę, kusząc i budząc we mnie mdłości. Usiłowałam go ignorować, uniosłam więc pędzel i już miałam zacząć malować, gdy usłyszałam chrząknięcie. Zerknęłam na chłopaka, kręcił głową z dezaprobatą.

— Może i nie jesteś idealną alchemiczką, ale potrafisz chyba logicznie myśleć. Proszę.

— Podał mi ołówek. — Najpierw je naszkicuj. A przynajmniej zaznacz kwadraty.

— Nie boisz się, że skalam twój ołówek? — wypaliłam, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

Zachichotał.

— Możesz go zatrzymać.

Spojrzałam na puste płótno. Ostrożnie podzieliłam je na cztery części, a potem starannie naszkicowałam misę z owocami, umieszczając każdy obiekt w odpowiedniej relacji do pozostałych. W połowie pracy zorientowałam się, że sztalugę ustawiono za wysoko, ale nie umiałam jej obniżyć. Widząc moje zmagania, chłopak nachylił się i sprawnie obniżył sztalugę, a potem wrócił do pracy.

— Dziękuję — szepnęłam. Znowu zabrałam się do szkicowania. — Setki razy przyglądałam się, jak to robił mój chłopak. Nie sądziłam, że i mnie to każą robić w formie pokręconej „terapii”.

— Twój chłopak jest artystą?

— Tak — odparłam ostrożnie, nie wiedząc, czy powinnam rozwijać ten temat. Dzięki Sheridan wszyscy wiedzieli, że związałam się z morojem.

Mój sąsiad cicho parsknął.

— Zatem artysta. To coś nowego. Zwykle kiedy spotykam dziewczyny takie jak ty, które zakochały się w jednym z nich, opowiadają tylko o tym, jacy są przystojni.

— On też jest przystojny — przyznałam z ciekawioną, ile takich dziewczyn spotkał.

Pokręcił głową z rozbawieniem, nie przerywając pracy.

— Oczywiście. Na pewno ci się spodobał, skoro zdecydowałaś się na ryzyko. Alchemiczki nie zakochują się w morojach, którzy nie są przystojni i posępni zarazem.

— Nie mówiłam, że jest posępny.

— Jest naprawdę uroczym wampirem, który maluje. Chcesz powiedzieć, że nie bywa posępny?

Poczułam, że lekko się czerwienię.

— Może czasem. No dobrze, jest posępny.

Chłopak znowu się zaśmiał i przez jakiś czas malowaliśmy w milczeniu. Nagle powiedział:

— Jestem Duncan.

Tak mnie zaskoczył, że ręka mi drgnęła i rysunek banana wyszedł jeszcze bardziej niezadany. Były to pierwsze normalne słowa, z którymi ktoś się do mnie zwrócił od trzech miesięcy.

— A ja... Sydney — odparłam automatycznie.

— Wiem — powiedział. — Miło cię poznać, Sydney.

Wciąż drżała mi ręka i musiałam odłożyć pędzel. Przetrawiałam miesiące izolacji w ciemności, wrogie spojrzenia i wyzwiska rówieśników, nawet mdłości i wymioty bez jednej łzy. Dopiero ten drobny gest, miła, zwyczajna wymiana między dwojgiem ludzi... omal mnie nie załamał. Przywiódł myśli o tym, jak daleko znalazłam się od wszystkiego: Adriana, przyjaciół, poczucia bezpieczeństwa, zdrowych zmysłów... To wszystko przepadło. Znajdowałam się w więzieniu, w którym każdym moich ruchem sterowali ludzie zdecydowani zmienić mój sposób myślenia. Nie miałam pojęcia, kiedy stąd wyjdę.

— No już — rzucił szorstko Duncan. — Opanuj się. Oni uwielbiają, kiedy płaczemy.

Zamrugałam i skinęłam głową, biorąc pędzel do ręki. Ponownie zbliżyłam go do płótna. Duncan nie przerywał pracy, wpatrzony w swoje dzieło.

— Pewnie będziesz już mogła coś zjeść, kiedy podadzą obiad. Ale ograniczaj się. I uważaj, co bierzesz do ust. Nie zdziw się, gdy znów zaserwują twoją ulubioną potrawę.

— Naprawdę znają się na rzeczy, co? — wymamrotałam.

— O tak. — Nawet nie spojrzawszy na niego, wiedziałam, że się uśmiecha, ale ciągnął poważnym tonem: — Przypominasz mi dziewczynę, którą tu spotkałem. Zaprzyjaźniliśmy się. Znikła, gdy władza zorientowała się w sytuacji. Przyjaciele to tarcza i oni tego nie tolerują. Rozumiesz, co mówię?

— Chyba tak — potwierdziłam.

— To dobrze. Bo chciałbym, byśmy zostali przyjaciółmi.

W tej chwili rozległy się dzwonki obwieszczające koniec lekcji i Duncan zaczął się pakować. Już miał odejść, gdy zapytałam:

— Jak miała na imię? Twoja przyjaciółka, którą zabrali?

Przystanął i wyraz bólu na jego twarzy sprawił, że pożałowałam pytania.

— Chantal — wyszeptał. — Nie widziałem jej ponad rok. — Coś w jego głosie uświadomiło mi, że była dla niego kimś więcej niż przyjaciółką. Zaraz potem uderzyła mnie inna myśl.

— Rok... Za co cię tu trzymają?

Uśmiechnął się smutno.

— Nie zapominaj, co ci powiedziałem, Sydney. O przyjaciółach.

Nie zapomniałam. Nie odezwał się do mnie do końca dnia, trzymał się razem z innymi, którzy nadal rzucali mi wrogie spojrzenia i wyzwiska. Rozumiałam go. Nie mógł okazywać mi względów, nie wtedy, gdy nasi współwięźniowie i niewidoczne oczy alchemików stale nas obserwowali. Ale jego słowa dźwięczały mi w głowie, dawały siłę. „Przyjaciele są tarczą. Chciałbym, żebyśmy się zaprzyjaźnili”. Byłam uwięziona w tym okropnym miejscu, w którym nas torturowano i kontrolowano nasze umysły... ale miałam przyjaciela — jedynego przyjaciela — nawet jeśli nikt o tym nie wiedział. To mnie wzmocniło, pomogło mi przetrwać kolejny wykład propagandowy na temat morojów i kuksańca od dziewczyny, która rzuciła z pogardą: „Dziwka wampirów”.

Ostatnia lekcja właściwie nie była lekcją. Urządzono nam sesję, którą nazwali „społecznością”, w pokoju określanym jako sanktuarium, gdzie zapewne odprawiali też niedzielne msze (dzięki nim mogłam liczyć dni). Pomieszczenie było piękne, wysokie, z drewnianymi ławkami kościelnymi. Nie miało tylko okien. Nasi strażnicy starannie zapobiegali ewentualnym próbom ucieczek. A może po prostu uznali, że widok słońca i nieba mógłby niebezpiecznie poprawić nam nastrój.

Na jednej ze ścian sanktuarium widniały napisy. Przystanąłam przed nią, gdy pozostali zapełniali salę. Ci, którzy byli tu przede mną, wypisali swoje imiona na białym tynku. Niektórzy dołączali krótkie intencje w rodzaju: „Przebacz mi, bo zgrzeszyłem”. Inni wypisywali całe litanie swoich win i dawali wyraz tęsknocie za odkupieniem. Część była podpisana, inne pozostały anonimowe.

— Nazywamy to Ścianą Prawdy — powiedziała Sheridan, podchodząc do mnie z podkładką do pisania. — Ludzie czasem czują się lepiej, gdy wyznają tu swoje grzechy. Chciałabyś?

— Może później — odparłam.

Poszłam za nią do kręgu ustawionego z krzesel z dala od rzędów ławek. Pozostali zajęli

już miejsca. Sheridan nie zareagowała, widząc, że moi najbliżsi sąsiedzi znów się ode mnie odsunęli. „Społeczność” była rodzajem terapii grupowej. Sheridan poprosiła wszystkich, by opowiedzieli kolejno, co dziś osiągnęli. Jako pierwsza miała zabrać głos Emma.

— Nauczyłam się, że choć poczyniłam postępy na drodze do przywrócenia duszy, jeszcze długo nie osiągnę doskonałości. Największym grzechem jest się poddać, więc będę szła do chwili, gdy całkowicie zanurzę się w świetle.

Siedzący obok niej Duncan powiedział:

— Zrobiłem postępy w malarstwie. Kiedy zaczynaliśmy dzisiejszą lekcję, sądziłem, że nic mi się nie uda. Myliłem się.

Miałam ochotę się uśmiechnąć, ale przeszło mi, gdy odezwała się jego sąsiadka:

— Uświadomiłam sobie dziś, że nie jestem tak zła jak ktoś w rodzaju Sydney. Kwestionowanie poleceń zwierzchników było błędem, ale nigdy nie pozwoliłam, by jeden z nich położył na mnie swoje łapy.

Zrobiło mi się słabo. Spodziewałam się, że Sheridan pochwali ją za cnotliwość, ale ona utkwiała w dziewczynie lodowate spojrzenie.

— Naprawdę tak myślisz, Hope? Uważasz, że masz prawo oceniać, kto z was jest lepszy, a kto gorszy? Wszyscy trafiliście tutaj, ponieważ popełniliście poważne przestępstwa, nie zapominaj o tym. Twoja niesubordynacja nie przyniosła tak opłakanych skutków jak postępowanie Sydney, ale ma podobnie mroczne korzenie. Nieposłuszeństwo... oto grzech, który obydwie nosicie w sobie.

Hope tak pobladła, że zdziwiłam się, iż nikt nie nazwał jej strzygą.

— Ja nie chciałam... to znaczy... ja...

— To oczywiste, że nie nauczyłaś się tak wiele, jak sądziłaś — ciągnęła Sheridan. — Potrzebujesz jeszcze wiele czasu.

Na niewidzialny znak pojawiło się dwóch oprychów i wyprowadziło protestującą Hope. Znów poczułam mdłości, lecz nie miało to nic wspólnego z wcześniejszą reakcją żołądka. Zastanawiałam się, czy poddadzą ją takiej samej torturze, choć jej winą była tylko nadmierna duma, nie stawanie w obronie morojów.

Sheridan zwróciła się teraz do mnie.

— A co ty powiesz, Sydney? Czego się dziś dowiedziałaś?

Wszyscy popatrzyli na mnie.

— Dowiedziałam się, że muszę się jeszcze wiele nauczyć.

— To prawda — potwierdziła z powagą Sheridan. — Fakt, że to przyznajesz, to wielki krok w stronę odkupienia. Chciałabyś podzielić się swoją historią z innymi? To może ci przynieść ulgę.

Zawahałam się pod ciężarem ich spojrzeń, nie wiedziałam, jaka może mnie znów spotkać kara.

— Chciałabym — zaczęłam powoli. — Ale chyba nie jestem gotowa. Wciąż nie radzę sobie ze wszystkim.

— To zrozumiałe — zgodziła się Sheridan, a ja odetchnęłam z ulgą. — Kiedy jednak przekonasz się, jak bardzo rozwinęli się tu obecni, będziesz chciała nam o sobie opowiedzieć. Nie zrzucisz z siebie brzemienia grzechów, jeśli się nie otworzysz.

Nie mogłam nie usłyszeć w jej głosie nutki ostrzeżenia i zareagowałam gorliwym skinieniem głowy. Litościwie przeszła do następnej osoby. Jeszcze przez godzinę musiałam słuchać, jak wszyscy rozwodzą się o zadziwiających postępach w wypędzaniu ciemności ze swoich dusz. Byłam ciekawa, ilu mówiło szczerze, a ilu po prostu próbowało się stąd wydostać. Skoro poczynili tak znaczne postępy, to dlaczego wciąż tu tkwili?

Po społeczności puszczone nas na obiad. Czekając w kolejce, słuchałam, jak inni rozmawiali o tym, że zamiast kurczaka w parmezanie w ostatniej chwili zmieniono planowane menu na makaron fettuccine z sosem Alfredo. Usłyszałam też, jak ktoś wspominał, że fettuccine był ulubionym daniem Hope. Kiedy stanęła na końcu kolejki, blada i drżąca, ignorowana przez resztę, zrozumiałam, co się stało. W dzieciństwie uwielbiałam kurczaka z parmezanem — zapewne dowiedzieli się tego od moich bliskich. Najpierw chcieli ukarać mnie. Akt niesubordynacji Hope przeważył i w ostatniej chwili zmieniono jadłospis. Alchemicy naprawdę nie żartowali.

Nieszczęśliwa mina Hope potwierdziła moje przypuszczenia. Usiadła samotnie przy stoliku i wpatrywała się w swój talerz, nie próbując jeść. Sos był za tłusty, ale mogłam trochę zjeść i napić się mleka. Widok Hope, której teraz wszyscy unikali, głęboko mnie poruszył. W ciągu dnia widziałam, jak doskonale dogaduje się z resztą. Nagle ją odrzucili, tak po prostu. Uznałam, że może to dobra okazja, by się do niej zbliżyć, ale kiedy próbowałam się podnieść, siedzący po drugiej stronie sali i gawędzący z grupą znajomych Duncan przechwycił mój wzrok i gwałtownie potrząsnął głową. Zawahałam się, ale usiadłam ze wstydem. W duchu wyrzucałam sobie tchórzostwo, że nie dołączę do towarzyszek niedoli.

— Nie byłaby ci za to wdzięczna — mruknął Duncan po obiedzie. Przeszliśmy do niewielkiej biblioteki, gdzie pozwolono nam wybrać coś do czytania przed snem. Nie było tam ani jednej powieści, same książki oparte na faktach, zgodnie z zasadami alchemików. — Takie rzeczy się tu zdarzają, jutro znów zaczną z nią rozmawiać. Przyłączając się do niej, zwróciłabyś na nią uwagę i być może przysporzyłabyś jej kłopotów. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby zaczęła z tobą rozmawiać. Wówczas władza uznałaby, że wichrzyciele się zmawiają.

Duncan wybrał chyba pierwszą lepszą książkę i odszedł, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Chciałam go zapytać, kiedy i mnie przyjmą do swego grona i czy w ogóle to się stanie. Z pewnością każde z nich przechodziło podobny okres próby i stopniowo torowało sobie drogę do świata więźniów.

W pokoju Emma dała mi jasno do zrozumienia, że nie zamierza się zaprzyjaźniać.

— Zrobiłam duże postępy — oznajmiła skromnie. — Nie pozwolę, byś to zniszczyła swoim perwersyjnym zachowaniem. W tym pokoju wyłącznie śpimy. Nie odzywaj się do mnie. Nie próbuj nic robić. Nawet na mnie nie patrz.

Wzięła książkę i się położyła, ostentacyjnie odwracając się do mnie plecami. Nie przejęłam się tym. Wszyscy zachowywali się tak samo, a ja miałam większy problem. Do tej pory ledwo ośmielałam się o nim myśleć. Musiałam się mieć na baczności przez cały dzień. Ale nadszedł wieczór. Pora snu. Przebrałam się w piżamę (wyglądała identycznie jak mój dzienny strój), umyłam zęby i położyłam się, usiłując zapanować nad podnieceniem.

Wkrótce zasnę. I będę śnić o Adrianie.

Świadomość tego pozwoliła mi przetrwać najtrudniejsze chwile. Do tego dążyłam, dla tego mogłam wytrzymać wszystko. Wypuszczono mnie z celi, odstawiono narkotyki. Zasnę normalnie i będę o nim śniła... o ile w ogóle zasnę z przejęcia.

Szybko dotarło do mnie, jak bardzo się myliłam. Po godzinnej lekturze nieoczekiwanie rozdzwoniły się dzwonki i zaraz potem zgasło światło. Pokój miał drzwi przesuwne, przez szparę sączyło się światło z korytarza. Cieszyło mnie to, bo oddalało wspomnienie o miesiącach spędzonych w egipskich ciemnościach. Usłyszałam kliknięcie, jakby odskoczył jakiś zamek, który blokował drzwi. Zagrzebałam się w pościeli, już nie mogłam się doczekać, kiedy... Nagle ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Przed chwilą wyobrażałam sobie, co powiem Adrianowi, a teraz musiałam walczyć z opadającymi powiekami. Staralam się zachować trzeźwość umysłu, ale gęsta mgła opadła na mnie, mącąc myśli. Dobrze ją znałam.

— Nie — wymruczałam sennie. Znów rozpylali gaz. Sterowali naszym snem, pewnie usiłowali zapobiec nocnym pogaduszkom. Nie miałam siły o tym myśleć. Zapadłam w ciemność pozbawioną marzeń.

Nie mogłam uciec.

ROZDZIAŁ 6

Adrian

CHARLOTTE BYŁA ŚWIETNĄ towarzyszką do kieliszka nie tylko dlatego, że miała mocną głowę.

Choć nie pracowała tyle z mocą ducha, charakteryzowała ją świetna intuicja. Wyczuwała, kiedy mam ochotę pogadać i, co ważniejsze, kiedy wolę milczeć. Usiedliśmy w cichym barze i z początku to ona mówiła. Odniosłem wrażenie, że w ciągu kilku miesięcy spędzonych na dworze nie nawiązała wielu przyjaźni i po wyjeździe Olive nie miała komu się zwierzyć.

— Nie rozumiem — powiedziała. — Jakby się mnie wszyscy bali. Zaprzeczają, gdy o to pytam, ale przecież widzę. Unikają mnie.

— Moc ducha odstręcza wielu. Przekonałem się o tym, żyjąc wśród morojów, dampirów i ludzi. Wszyscy boją się tego, czego nie rozumieją. — Zakołysałem szklanką. — Poza tym są zbyt leniwi lub obojętni, by dowiedzieć się więcej.

Charlotte uśmiechnęła się, ale nie wyglądała na pocieszoną.

— Mimo to akceptują Dymitra i Sonię. A przecież oni byli strzygami. Wydaje się, że trudniej zaakceptować dziewczynę, która odmieniła bestię.

— Możesz mi wierzyć, że kiedy ich odmieniono, wszyscy uciekali na sam ich widok. Dymitrowi pomogła reputacja wojownika i bohatera. Sonia zaś wślawiła się, pracując nad „szcepionką” przeciwko przemianie.

— Naprawdę tak jest? — dziwiła się Charlotte. — Czy obie z Olive musimy dokonać wielkich czynów, żeby zapomniano o naszej przeszłości?

— Nie rób niczego, na co nie masz ochoty — zastrzegłem. — Czy to był powód wyjazdu Olive? Nie umiała żyć w tym otoczeniu?

Charlotte zmarszczyła brwi i wpatrywała się w krawędź kieliszka. Piła drinka o nazwie Kosmos, o zbyt owocowym smaku na mój gust. Zastanawiałem się przez chwilę, co zamówiłaby Sydney, jeśli w ogóle zdecydowałaby się na alkohol. Może jakiś damski koktajl? Nie, Sydney wybrałaby wino, należała do tych, którzy potrafią natychmiast rozpoznać rok produkcji, region i składniki gleby, na której rosła winorośl. Wystarczy jej do tego jeden łyk. A ja? Rzadko potrafiłem stwierdzić, czy wino pochodzi z kartonu czy butelki. Na myśl o Sydney prawie się uśmiechnąłem, lecz szybko przywołałem się do porządku. Charlotte nie powinna myśleć, że się z niej śmieję.

— Nie wiem, dlaczego Olive wyjechała — powiedziała w końcu. — To równie beznadziejne jak sam jej wyjazd. Jesteśmy siostrami. Odmieniłam ją! — Podniosła głowę, w szarych oczach rozbłyły łzy. — Powinna była najpierw przyjść z tym do mnie. Po tym, co dla niej przesłama... sądziła, że jej nie wysłucham? Nie wie, jak bardzo ją kocham? Jesteśmy tej samej krwi; to więź, której nikt i nic nie zerwie. Zrobiłabym dla niej wszystko, wszystko, gdyby tylko poprosiła, gdyby mi zaufała...

Zadrzała, w jej głosie zabrzmiała nuta lekkiej hysterii. Znałem ten stan. Doświadczałem go, gdy duch usiłował nade mną zapanować.

— Może Olive uznała, że zrobiłaś już dla niej wystarczająco dużo — zasugerowałem, delikatnie dotykając jej dłoni. — Próboweś się z nią kontaktować w snach?

Charlotte potwierdziła ruchem głowy i nieco się opanowała.

— Zawsze powtarza, że nic jej nie jest, tylko potrzebuje czasu.

— No widzisz. Moja mama mówiła to samo, gdy siedziała w więzieniu. Czasem musimy ich po prostu zostawić samym sobie.

— Możliwe — mruknęła. — Chociaż trudno jest mi się pogodzić z tym, że jest sama. Mogłaby przynajmniej odezwać się do Neila.

— On też na to czeka. Ale pewnie by się ucieszył, słysząc, że Olive dochodzi do siebie. Sądzę, że ma wiele szacunku dla samotnych podróży. — Dopilem drinka i zobaczyłem, że Charlotte też już kończy swojego.

— Druga kolejka? — spytała.

— Nie. — Podniosłem się i położyłem pieniądze na stoliku. — Zmieńmy scenerię. Mówiłaś, że chciałabyś pobyć trochę w innym towarzystwie, tak?

— Tak... — odparła niepewnie, także wstając. — Wiesz, gdzie jest jakaś impreza?

— Jestem Adrianem Iwaszkowem — obwieściłem. — Imprezy znajdują mnie.

Nieco pokoloryzowałem, bo musiałem chwilę się zastanowić... ale dobrze wybrałem za pierwszym razem. Vanessa Szelsky, dziewczyna z królewskiego rodu, z którą chodziłem do klasy w Alder, często urządzała weekendowe imprezy w domu rodziców, bo wiele podróżowali. Spodziewałem się, że nic się nie zmieniło w ciągu roku. Umawialiśmy się czasem z Vanessą. Lubiła mnie, ale nawet nie mrugnęła okiem, widząc u mego boku inną dziewczynę.

— Adrian! — wykrzyknęła, przeciskając się przez zatłoczony dziedziniec za domem jej rodziców. — To naprawdę ty?

— W rzeczy samej. — Pocałowałem ją w policzek. — Vanessa, to jest Charlotte. Charlotte, Vanessa.

Vanessa zmierzyła Charlotte wzrokiem. Była zaskoczona. Należała do towarzystwa, jej sukienka z pewnością pochodziła z najnowszej kolekcji jakiegoś znanego projektanta mody. Sama fryzura i makijaż na ten wieczór musiały kosztować więcej niż cały strój Charlotte, która wyglądała jak typowa sekretarka i ubierała się w sieciówkach. Nie miałem z tym problemu, ale widziałem, że Vanessa to zauważyła. Charlotte poczuła się nieswojo i splotła nerwowo ręce. W końcu jednak Vanessa wzruszyła ramionami i obdarzyła moją towarzyszkę szczerym uśmiechem.

— Witaj. Przyjaciele Adriana są tu zawsze mile widzianymi gośćmi. Świetnie, że udało ci się go wyciągnąć. — Vanessa zrobiła minę, którą zapewne ćwiczyła setki razy przed lustrem, by uzyskać odpowiedni efekt. — Gdzie się podziewałeś? Zniknąłeś bez śladu.

— Powierzono mi ściśle tajną misję dla rządu — odparłem, ścisząc głos, lecz nie za bardzo, żeby usłyszała mnie mimo głośniejszej muzyki. — Chciałbym wam opowiedzieć więcej, moje uroczę panie, ale im mniej będziecie wiedziały, tym lepiej dla was. Troszczę się o wasze bezpieczeństwo.

Obie prychnęły, ale zrobiłem na nich wrażenie i Vanessa zaprosiła nas dalej.

— Weźcie sobie coś do picia. Na pewno wiele osób ucieszy się z waszej wizyty.

Charlotte nachyliła się do mnie, szepcząc:

— Chyba nie pasuję do tego miejsca.

Objąłem ją ramieniem, by osłonić przed gościem, który zabawiał towarzystwo jakąś szaloną historią i żywo przy tym gestykułował.

— Poradzisz sobie. Ci tutaj nie różnią się od innych.

— Moi znajomi nie jadają krewetek na najlepszej porcelanie i nie popijają ich szampanem.

— Jedna uwaga — wtrąciłem. — To nie zwykłe krewetki, tylko królewskie. Poza tym jestem pewien, że jej matka chowa najlepszą porcelanę.

Charlotte przewróciła oczami, ale nie zdążyła odpowiedzieć, bo już się rozniosło, że pojawił się Adrian Iwaszkow. Znaleźliśmy sobie coś do picia i usiedliśmy przy stawie, gdzie natychmiast zgromadzili się moi znajomi. Z niektórymi regularnie imprezowałem przed wyjazdem do Palm Springs. Innych przyciągnęła tajemnica mojego zniknięcia. Zawsze łatwo nawiązywałem kontakty, ale ostatnie wydarzenia jeszcze podniosły moje notowania.

Wspominałem, że Charlotte również posiada moc ducha, i nie wyjaśniałem, czy uczestniczyła w mojej misji. Przedstawiłem ją kilku mniej banalnym znajomym z rodów królewskich w nadziei, że po tym wieczorze zyska paru przyjaciół. Sam przyjąłem rolę, której nie odgrywałem już od wieków, i syciłem się sławą niczym król na własnym dworze. Nauczyłem się przez lata, że pewność siebie robi ogromne wrażenie na innych, wystarczy zachowywać się tak, jakby zasługiwało się na ich uwagę, a oni w to uwierzą. Żartowałem i flirtowałem po raz pierwszy od wielu miesięcy i dziwiłem się łatwością, z jaką mi to przyszło. Byłem popularny i atrakcyjny, lecz to wszystko wydawało się bez znaczenia, bo nie było przy mnie Sydney. Po jakimś czasie zrezygnowałem z drinków. Uwielbiałem oszołomienie wywołane alkoholem, bo pozwalało mi zapomnieć, ale tego wieczoru zamierzałem znów poszukać Sydney we śnie. Musiałem być trzeźwy.

— Patrzcie, patrzcie, kto do nas wrócił — usłyszałem nieprzyjemny głos. — Nie sądziłem, że będziesz miał jaja, żeby znów się pokazać publicznie po ostatnim incydencie.

Wesley Drozdow, nadzwyczajny dupek, stanął przede mną w otoczeniu swojej świty, Larsa Zecklosa i Brenta Badicii. Nie podniosłem się z miejsca, za to ostentacyjnie rozejrzałem się wokół.

— Mówisz do siebie? Nie widzę tu lustra. Poza tym nie zachowałeś się wtedy aż tak beznadziejnie. Nie powinieneś się przejmować tym drobnym żenującym incydemem.

— Drobnym? — powtórzył Wesley. Zrobił krok w moją stronę i zacisnął pięści, ale nie poruszyłem się. Obniżył głos. — Wiesz, jakie miałem kłopoty? Ojciec musiał zatrudnić rzeszę prawników, żeby mnie z tego wybronić! Był wściekły.

Zrobiłem współczującą minę i powiedziałem tak głośno, że się skrzywił:

— Też byłbym wściekły, gdyby byle człowiek, i to dziewczyna, skopała tyłek mojemu synalkowi. Nie, zaczekaj. To ja skopałem ci tyłek.

Mieliśmy sporą publiczność i Vanessa postanowiła interweniować.

— Hej, hej! — zawołała. — Co się tu dzieje?

— To samo co zwykle. — Uśmiechnąłem się do niej szeroko. — Wspominamy stare czasy, ubaw po pachy. Wesley zawsze rozśmiesza mnie do łez.

— A wiesz, co rozśmiesza mnie?! — warknął Drozdow. Skinął głową w kierunku Charlotte. — Twoja tania randka. Widziałem ją już wcześniej. Jest recepcjonistką w biurze mojego ojca. Obiecałeś załatwić jej lepszą posadę, jeśli się z tobą prześpi?

Wyczułem, że Charlotte zeszywniała, ale nie odwróciłem wzroku od trójki stojącej przed nami. Z początku lekko mnie irytowali, ale teraz obudzili we mnie mroczny gniew. Widok Wesleya przywołał wspomnienie tamtej nocy, gdy Drozdow z kumplami zamierzali wykorzystać Sydney. To w połączeniu z lękiem wobec nieznanego niebezpieczeństwa grożącego jej teraz wzbudziło we mnie wściekłość i strach.

Zniszcz ich — szepnęła mi do ucha ciotka Tatiana. *Niech zapłacą.*

Staralem się ją ignorować i ukrywać emocje. Wciąż uśmiechając się głupio, powiedziałem:

— Ależ skąd. Towarzyszy mi z własnej woli. Wiem, że to dla ciebie niezrozumiałe, biorąc pod uwagę twoje doświadczenia z dziewczynami. Vanesso, Wesley zamierzał właśnie coś nam opowiedzieć, zanim podeszłaś. O „rzeszy” prawników zatrudnionych przez jego ojca, którzy

mieli zatuszować pewien incydent. Wesley i spółka próbowali wykorzystać dziewczynę, człowieka, która była tu gościem królowej. — Wyciągnąłem rękę do Drozdowa w teatralnym geście. — Mów dalej, proszę. Opowiedz nam o tym. Czy pozwolono ci zatrzymać narkotyki, którymi zamierzaliście ją otumanić? Mogą się przydać, na wypadek gdyby spodobała ci się dziś któraś z dam.

Odwróciłem na chwilę wzrok od Wesleya, żeby mrugnąć do grupki przestraszonych dziewcząt. Byłem pewien, że wybryk tego kolesia pozostawał tajemnicą i że on chciał, by to się nie zmieniło.

Moroje nie szanują ludzi, ale próbę otumanienia narkotykami człowieka niebędącego karmicielem, by wypić krew wbrew jego woli, uważano tu za wielki grzech. Atrakcyjni ludzie byli szczególnie interesujący dla takich szumowin jak Wesley. Sydney od razu wpadła mu w oko. Próbował ją zaatakować z kumplami i sądzili, że im w tym pomogę. Zamiast tego rzuciłem się na nich uzbrojony w potężny konar, a potem nadbiegli strażnicy.

Okrzyki zdumienia potwierdziły moje przypuszczenia, że ten incydent nie był nikomu znany. Powiedziała mi to również wściekła mina Drozdowa.

— Ty sukinsynu...

Ruszył na mnie, ale byłem na to przygotowany. Telekineza nie jest moją ulubioną taktyką, lecz potrafię się nią posługiwać.

Zniszcz go! Zniszcz go! — syczała ciotka Tatiana.

Wybrałem bardziej cywilizowane rozwiązanie. Siłą woli uniosłem jeden z porcelanowych talerzy i cisnąłem nim w twarz Wesleya. Trafiłem go mocno w głowę, a królewskie krewetki posypały się na jego twarz. Osiągnąłem podwójny skutek: zadałem mu ból i upokorzyłem go.

— Tani chwyt, każdy, kto włada magią powietrza, to potrafi! — warknął i znów próbował szarżować. Uderzenie osłabiło go jednak, poza tym strącał z siebie krewetki.

— A co powiesz na to? — odparowałem.

Pstryknąłem palcami i Wesley stanął jak wryty. Mięśnie mu zeszytywniały. Nie mógł się poruszyć, zablokowała go energia ducha. Osoba władająca magią powietrza miałaby trudności z unieruchomieniem kogokolwiek, również dla mnie nie było to łatwe. Alkohol wciąż szumiał mi w głowie, a stosowałem nową technikę. Efekt okazał się jednak wart tak wielkiego wysiłku, sądząc po grozie na twarzach zebranych. Wezwałem na pomoc resztki mocy ducha, by wyrzucić na nich jeszcze większe wrażenie. Magia ducha ukazała mnie jako kogoś wyjątkowo charyzmatycznego.

— Pytaliście mnie ostatnio, czy jestem wielkim brzydkim władcą ducha — przypomniałem. — Odpowiedź brzmi: tak. Nie będę tolerował dupków obrażających dziewczyny, nieważne, czy ludzkie czy morojki. Jeśli więc chcesz odzyskać zdolność ruchu, przeprosisz teraz moją piękną przyjaciółkę. Przeprosisz również Vanessę, bo zepsułeś jej przyjęcie, naprawdę urocze do chwili, gdy pokazaliście swoje obleśne gęby i zmarnowaliście jej krewetki.

Blefowałem. Unieruchomienie go pochłaniało niewiarygodną ilość mocy ducha. Traciłem siły. Wesley o tym nie wiedział, był przerażony.

Chcesz mu odpuścić? — jątrzyła ciotka Tatiana. *Pomyśl o tym, co zrobił Sydney!*

„Nie udało mu się” — przypomniałem jej.

To bez znaczenia! Próbował ją skrzywdzić. Niech za to zapłaci! Tylko go zatrzymałeś, a powinieneś zmiażdżyć mu czaszkę! Niech cierpi! Próbował ją skrzywdzić!

Przez chwilę znalazłem się na krawędzi utraty kontroli. On naprawdę chciał skrzywdzić Sydney. Może nie mogłem powstrzymać jej obecnych prześladowców, ale mogłem zniszczyć Wesleya. Sprawić, by cierpiał za to, że w ogóle chciał ją zranić...

— Przepraszam. — Wesley zwrócił się do Charlotte. — Ciebie również, Vanesso.

Zawahałem się, rozdarty między wyrazem rozpaczy na jego twarzy a głosem mrocznej części mojej duszy, która pragnęła zemsty. Sytuacja wkrótce rozwiązała się sama. Nie mogłem go dłużej utrzymać w bezruchu, nawet gdybym chciał. Moc ducha się ulotniła i Drozdow niezgrabnie upadł na ziemię. Pozbierał się i szybko cofnął, a Brent i Lars poczępali za nim niczym brzydkie ropuchy.

— To jeszcze nie koniec — rzucił z daleka Wesley, gdy poczuł się bezpieczny. — Myślisz, że jesteś nietykalny, ale bardzo się mylisz.

Okazałeś słabość — zarzuciła mi ciotka Tatiana.

— Wynoście się stąd! — rzuciła Vanessa. Skinęła głową na kilku silniejszych przyjaciół, którzy bardziej niż chętnie wyprowadzili Wesleya na zewnątrz. — Nie chcę was więcej widzieć u siebie.

Sądząc po pomrukach zebranych, Wesley i jego świta nie mieli co liczyć na jakiegokolwiek imprezy przez bardzo długi czas. A ja? Nagle zostałem jeszcze większą gwiazdą. Nie tylko spowijała mnie tajemnica, korzystałem również z nieznannej mocy ducha i poskromiłem największego kobieciarza w okolicy. Dziewczyny były zachwycone. Nawet faceci. Otrzymałem więcej zaproszeń i ofert przyjaźni niż wcześniej w całym życiu — a to wiele mówiło.

Byłem jednak wyczerpany. Lada chwila słońce miało rozblysnąć nad horyzontem, a ja przestawiłem się na tryb życia ludzi. Przyjmowałem pochwały z całą skromnością, na jaką mnie było stać, i szybko ruszyłem do wyjścia, obiecując, że spotkam się z każdym później. Charlotte podtrzymywała mnie, pomagając mi przejść przez tłum, tak jak ja prowadziłem ją wcześniej. Informowała, że mam do załatwienia sprawy niecierpiące zwłoki.

— Jedyną niecierpiącą zwłoki sprawą w moim życiu jest teraz łóżko — powiedziałem, ziewając, gdy wyszliśmy z domu Szelskich. — Padam z nóg.

— Urządziłeś wielki pokaz magii — odparła. — Nawet nie zauważyłam, kiedy przestałeś pić. Potrafisz się ograniczać.

— Gdyby to zależało ode mnie, wcale bym nie trzeźwiał — przyznałem. — Próbuję jednak trzeźwieć kilka razy dziennie. To... trudno wyjaśnić, nie mogę więcej powiedzieć, ale muszę zrobić coś, co wymaga przytomności i mocy ducha. Całe szczęście, że Wesley zjawił się w porę. Nie poradziłbym sobie tak elegancko, gdyby doszło do walki na pięści.

Charlotte się uśmiechnęła.

— Wierzę w ciebie. Na pewno byś mu dołożył.

— Dzięki. Przykro mi, że cię obraził.

— W porządku. — Wzruszyła ramionami. — Przywykłam.

— Co nie znaczy, że ci to odpowiada — powiedziałem.

Nagle zobaczyłem, że czuje się bezbronna i te komentarze zadają jej głęboki ból.

— Tak... Rzadko ktoś bywa równie bezpośredni jak Drozdow, ale moi współpracownicy myślą tak samo jak on. Mimo wszystko dobrze się czułam na tej imprezie. Nie wszyscy są tacy źli, jak sądziłam. — Nagle ściszyła głos: — Dziękuję... że stanąłeś w mojej obronie.

Jej słowa i drobne zwycięstwo nad Wesleyem dały mi większy zastrzyk determinacji niż ostatnie tygodnie. Gardziłem sobą i pogrążałem się w mroku, i nagle się otrząsałem. Nie byłem takim zupełnym zerem. Nie znalazłem Sydney, ale co nieco jeszcze potrafiłem. Nie poddam się. Kto wie? Może właśnie dzisiaj nastąpi zwrot? Odprowadziłem Charlotte, żeby jak najszybciej wrócić do siebie i wznowić poszukiwania.

Niestety, w tej kwestii nadal nie miałem szczęścia. Nie mogłem nawiązać kontaktu z Sydney. Mój dobry nastrój się rozwiął, ale byłem tak zmęczony, że nie miałem siły rozpamiętywać porażki. Zasnęłam niemal od razu i spałam prawie do nocy. Mój organizm wciąż

jeszcze nie przestawił się na tryb życia wampira.

Kiedy się obudziłem, zobaczyłem w komórce wiadomość od mamy. Przypominała mi o obiedzie. Odsłuchałem pocztę głosową przez telefon stacjonarny i odkryłem mnóstwo wiadomości od nowych „przyjaciół”. Niewiele osób znało mój numer telefonu, ale uczestnicy imprezy musieli się dowiedzieć, w którym mieszkam budynku. Miałem zaproszenia na miesiące z góry.

Tego dnia liczyło się tylko spotkanie z rodzicami. Nie obchodził mnie ojciec, wiedziałem jednak, że mamie bardzo na tym zależy. Tyle dla mnie zrobiła, powinienem się dobrze zaprezentować w obecności jej przyjaciół. Przez cały dzień nic nie piłem, zajmowałem się nudnymi obowiązkami, takimi jak pranie, i nie skorzystałem z żadnego zaproszenia, nawet od Charlotte. Lubiłem ją i dobrze się bawiłem w jej towarzystwie, lecz coś mi mówiło, że rozsądnie będzie zachować dystans.

Pojawiłem się w miejskim domu rodziców dziesięć minut przed czasem, wystrojony w świeżo wyprasowany garnitur i spinki do mankietów od ciotki Tatiany. Ojciec przywitał mnie na swój zwykły burkliwy sposób.

— Adrian, zakładam, że królowa powierzyła ci tutaj kolejną ważną misję.

Zaskoczyła mnie ta uwaga, ale w tej chwili do salonu wpłynęła mama w olśniewających szmaragdowozielonych jedwabiach.

— Nathan, mój drogi, nie ciągnij go za język. To tajemnica. — Położyła mi dłoń na ramieniu i zaśmiała się lekko. — Ciągłe mnie o to wypytuje od czasu, gdy królowa pozwoliła mi cię eskortować na dwór. Powiedziała mi, że tylko sobie gawędziliśmy, ale on jest przekonany, że wiem coś, czego on nie wie.

Dopiero teraz połąpałem się w sytuacji i kiedy ojciec nie patrzył w naszą stronę, posłałem jej spojrzenie pełne wdzięczności. Nie powiedziała mi, że odnalazła mnie pijanego w Kalifornii i uratowała przed samym sobą i niechybnym upadkiem. Pozwoliła mi myśleć, że powodowana matczyną troską chciała mi towarzyszyć w podróży i nawet zasugerowała, że prowadzę ważne sprawy z polecenia królowej. Nie czułem potrzeby ukrywania swojego niechlubnego postępowania przed ojcem, lecz musiałem przyznać, że poczułem się lepiej bez jego wyrzutów. Nie mogłem stwierdzić, czy był ze mnie dumny, lecz z pewnością czuł satysfakcję, a to mogło mi pomóc przetrwać ten wieczór.

Wszyscy goście byli członkami rodów królewskich. Znałem ich od lat, choć raczej z widzenia, wiedziałem jednak, że moim rodzicom zależy, by zrobić na nich wrażenie. Matka, która nigdy nie ugotowała niczego w całym swoim życiu, tym razem ustalała każdy szczegół z kucharzem. Wszystko musiało być doskonałe, dobór win i sposób ułożenia dań na talerzach. Przez cały dzień nie wypłem nawet kropli alkoholu, a tuż przed wyjściem ponownie próbowałem nawiązać kontakt z Sydney. Uznałem, że mogę wypić trochę wina, i chociaż nie umiałbym powiedzieć, z jakiej winnicy pochodzi i na jakiej glebie wyrosła winorośl, rodzice nie mieli nic przeciwko temu.

Szybko odkryłem dlaczego: to była ich pierwsza próba powrotu do towarzystwa od chwili uwolnienia mamy. Do tej pory nikt ich nie zaprosił, więc zdecydowali się sami pokazać arystokratycznym kręgom morojów, że Nathan i Daniella Iwaszkowowie zasługują na to, by ich przyjmowano. Miałem odegrać swoją rolę w ich planach. Raz po raz wtrącali jakąś uwagę o „ważnych sprawach”, które mi powierzono. Nikt nie wiedział o mojej relacji z Jill i jej miejscu pobytu, nawet rodzice nie znali szczegółów, ale wszyscy żywo interesowali się pracą Soni nad szczerpionką.

Opowiadałem o tym najlepiej jak umiałem, starałem się używać zrozumiałych zwrotów i nie zdradzać sekretów. Byli pod wrażeniem, szczególnie moi rodzice, ale poczułem ulgę, gdy

zmienili temat. Podczas kolacji rozmawiano o polityce, co mnie średnio interesowało, i o socjocie, co nie interesowało mnie wcale. Nigdy nie zajmowałem się życiem dworskim, nawet przed wyjazdem do Palm Springs, który całkowicie odmienił moje życie. Nie wiedziałem, kto zdobył ile punktów w rozgrywkach golfowych, kto dostał awans ani kiedy odbędzie się kolejne oficjalne przyjęcie. Świadomy swojej roli uśmiechałem się uprzejmie, sącząc wyśmienite wino. Kiedy zamknęły się drzwi za ostatnimi gośćmi, wiedziałem, że odniosłem sukces, a Daniella Iwaszkow powróci do towarzystwa, na czym tak bardzo jej zależało.

— No — westchnęła, opadając na salonową sofę z nowym obiciem. — Ośmielę się stwierdzić, że poszło świetnie.

— Dobrze się spisałeś, Adrian — potwierdził mój ojciec. W jego ustach był to wielki komplement. — Kilka problemów mamy z głowy.

Dokończyłem porto serwowane do deseru.

— Nie powiedziałbym, że brak zaproszenia na coroczną letnią herbatę do Charlene Badica to wielki problem, ale cieszę się, że mogłem pomóc.

— Oboje pomogliście naprawić krzywdę wyrządzoną tej rodzinie. Miejmy nadzieję, że tak już pozostanie. — Ojciec wstał i się przeciągnął. — Idę do siebie. Zobaczymy się rano.

Minęło dobre pół minuty, zanim znaczenie jego słów dotarło do mojego nasiąkniętego winem umysłu.

— Do siebie? Nie dzielicie już sypialni?

Mama, która po długim wieczorze wciąż wyglądała pięknie, złożyła elegancko dłonie na kolanach.

— Szczerze mówiąc, mój drogi, sypiam teraz w twoim dawnym pokoju.

— W moim... — Usiłowałem zebrać myśli. — Zaraz. To dlatego kazałaś mi się zatrzymać na dworze? Sądziłem, że to ze względu na moją potrzebę niezależności.

— Z obu powodów. Naprawdę potrzebujesz prywatności. A poza tym... od czasu mojego powrotu uznaliśmy z ojcem, że będzie łatwiej, jeśli każde z nas zajmie się swoim życiem... Tylko mieszkamy pod jednym dachem.

Mówiła tak lekko i pogodnie, że trudno było mi ocenić powagę sytuacji.

— Co to znaczy? Rozwodzicie się? Będziecie w separacji?

Mama zmarszczyła brwi.

— Och, Adrian, to takie brzydkie słowa. Ludzie z naszej sfery się nie rozwodzą.

— A małżonkowie nie mają oddzielnych sypialni — upierałem się. — Czyj to był pomysł?

— Uzgodniliśmy to wspólnie — odparła. — Twój ojciec nie pochwała tego, co zrobiłam, uważa, że przyniosłam wstyd rodzinie. Nie może mi wybaczyć, ale szczerze mówiąc, nie mam nic przeciwko oddzielnej sypialni.

Oślupiałem.

— W takim razie rozwiedź się z nim i zacznij żyć naprawdę! Skoro nie może ci darować chęci ocalenia syna... Cóż, nigdy nie byłem żonaty, ale waszemu małżeństwu daleko do ideału. Nie tak traktuje się bliską osobę. Nie wiem, jak możesz kochać kogoś, kto tak wobec ciebie postąpił.

— Skarbie... — Zaśmiała się cicho. — Miłość nie ma z tym nic wspólnego.

— Owszem, ma. Wszystko! — wykrzyknąłem. Obniżyłem głos, obawiając się, że sprowadzę tu ojca, a nie byłem gotowy na konfrontację. — Po co się żenić, po co trwać w małżeństwie, jeśli nie dla miłości?

— To bardzo skomplikowane — powiedziała tonem, jakim zwraca się do dziecka. — Są takie kwestie jak status społeczny. Nie przyjęto by dobrze naszego rozwodu. Poza tym... jestem

zależna finansowo. Podpisaliśmy pewne dokumenty... Ujmę to tak: po rozwodzie nie mogłabym się utrzymać.

Zerwałem się na równe nogi.

— W takim razie ja będę cię utrzymywał.

Spojrzała mi prosto w oczy.

— W jaki sposób? Będziesz zarabiał lekcjami rysunku? Wiem, że królowa nie płaci ci za pomoc.

— Znajdę jakąś pracę. Cokolwiek. Z początku będzie nam trudno, ale przynajmniej zachowasz szacunek do siebie! Nie musisz tu mieszkać, skazana na jego pieniądze i krytykę, i udawać, że łączy was miłość!

— Niczego nie udaję. To, co nas łączy, jest najbliższe miłości.

— Nie wierzę — odparłem. — Wiem, czym jest miłość, mam. Czuję, jak rozpala każdą cząstkę mojego ciała, każe mi być lepszą osobą i daje mi siłę. Gdybyś kiedykolwiek czuła coś podobnego, trzymałabyś się tego z całą mocą.

— Myślisz tak, bo jesteś młody i nie znasz życia. — Była tak cholernie opanowana. — Sądzisz, że miłość to burzliwy i ekscytujący związek z dampirzycą. A może masz na myśli tę dziewczynę, o której wspomniałeś w samolocie? Gdzie ona się teraz podziewa? Jeśli wasza miłość jest tak potężna i potrafi przewyciężyć wszystko, dlaczego nie jesteście razem?

Dobre pytanie — wtrąciła ciotka Tatiana.

— Bo... to nie takie proste — wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

— Nie jest proste, bo nie jest prawdziwe — odparła. — Młodzi ludzie myślą zauroczenie z „prawdziwą miłością”, a ta nie istnieje. Miłość matki do dziecka? Tak, ona jest prawdziwa. Ale romantyczne złudzenia? Nie oszukuj się. Twój przyjaciele przeżywający tak wielkie uniesienia kiedyś dostrzegą prawdę. Ta twoja dziewczyna, gdziekolwiek jest, nie wróci. Przestań ścigać marzenie i poszukaj kogoś, kto zapewni ci stabilizację. Jak ja z twoim ojcem. Od zawsze godziliśmy się na pewien układ... i ośmielę się twierdzić, że to jest korzystne.

— Od zawsze? — spytałem cicho. — Zawsze żyłaś tą fikcją?

— Cóż... — przyznała. — Pewne elementy naszego związku były bardziej przyjemne niż inne. Ale zawsze podchodziliśmy do tego pragmatycznie.

— To się nazywa wyrachowanie — stwierdziłem. — Powiedziałaś, że kiedy wyszłaś z więzienia, zrozumiałaś, co jest naprawdę ważne. Najwyraźniej jesteś w błędzie, skoro postanowiłaś pozostać z mężczyzną, który cię nie szanuje, dla wizerunku i pieniędzy! Poczucie stabilizacji nie jest tego warte. Nie wierzę, że miłość sprowadza się do tego. Ona jest czymś więcej. Dla mnie będzie.

W oczach mamy pojawił się niemal smutek.

— Więc gdzie ona teraz jest, mój drogi? Gdzie jest twoja dziewczyna?

Nie mogłem odpowiedzieć. Wiedziałem tylko, że nie zostanę tam dłużej. Wybiegłem na zewnątrz, czując, że łzy napłynęły mi do oczu. Nigdy nie uważałem swoich rodziców za szczególnie romantyczną parę, ale wierzyłem, że łączy ich silne uczucie, choć oboje mieli raczej trudne charaktery. Ujawnienie prawdy nie mogło nastąpić w gorszym czasie. Nie uwierzyłem matce. Wiedziałem, że miłość istnieje. Przeżyłem ją... słowa matki jednak zabołały. Byłem teraz bezbronny, bo niezależnie od popularności, jaką zacząłem się cieszyć na królewskim dworze, niezależnie od moich dobrych intencji, wciąż nie odnalazłem Sydney. Nie chciałem w to wierzyć, lecz moje serce, tak pełne lęku i wątpliwości, zaczęło podejrzewać, że matka ma trochę racji. Ogarnął mnie mrok, duch zaczął działać ze zwiększoną siłą. Może nigdy nie odnajdę Sydney. Może już nigdy nie zaznam miłości. Może wielkie pragnienie to za mało, by coś osiągnąć.

Ochłodziło się i porywy wiatru przyniosły ze sobą zapowiedź deszczu. Przystanąłem

i jeszcze raz spróbowałem przywołać Sydney, ale wino osłabiło moją moc. Podałem się i sięgnąłem po komórkę, dużo łatwiejszy sposób komunikacji. Charlotte odebrała po drugim sygnale.

— Hej — powiedziała. — Nie odzywałeś się i myślałam... nieważne. Jak się miewasz?

— Lepiej. Masz ochotę wyjść dziś wieczorem?

— Pewnie. A dokąd idziemy?

— Dokądkolwiek — rzuciłem. — Ty zdecyduj. Mam milion zaproszeń. Możemy imprezować do rana.

— Nie powinieneś nieco przystopować? — drażniła się ze mną, nie wiedząc, jak bliska jest sedna. — Mówiłeś, że starasz się trzeźwieć.

Pomyślałem o mamie uwięzionej w pozbawionym miłości związku. Pomyślałem o sobie uwięzionym w sytuacji bez wyjścia. I o Sydney, która po prostu była uwięziona. Za dużo tego było, za dużo, bym mógł sobie z tym poradzić.

— Nie dzisiaj — powiedziałem Charlotte. — Nie dzisiaj.

ROZDZIAŁ 7

Sydney

MINAŁ PRAWIE TYDZIEŃ, zanim moi współwięźniowie przestali wreszcie odsuwać swoje ławki od mojej i wzdragać się po każdym przypadkowym dotyku. Nadal zachowywali się nieprzyjaźnie, a Duncan twierdził, że zrobiłam znaczne postępy.

— Innym zajmowało to tygodnie, a nawet miesiące — powiedział raz podczas lekcji malarstwa. — Wkrótce dostaniesz zaproszenie do stolika.

— Sam mógłbyś mnie zaprosić — zasugerowałam.

Uśmiechnął się, zerkając na kartkę z dzisiejszym zadaniem: mieliśmy odwzorować paproć stojącą w doniczce na biurku Addison.

— Znasz zasady, mała. Ktoś inny musi wykonać pierwszy gest. Czekaj spokojnie. Ktoś wkrótce wpakuje się w kłopoty i przyjdzie twój czas. Jonah ma poważne problemy. Hope również. Przekonasz się.

Duncan wciąż ograniczał nasze rozmowy do krótkiej wymiany zdań podczas zajęć. Czasem udawało nam się zbliżyć gdzieś w korytarzu, gdy nikt nas nie widział. W konsekwencji zaczęłam tęsknić za lekcjami sztuki. Tylko wówczas ktoś traktował mnie jak istotę ludzką. Pozostali nadal mnie nie zauważali, a nauczyciele, czy to podczas lekcji, czy sesji „przeczyszczających”, bezustannie podkreślali, że jestem grzesznicą. Przyjaźń Duncana wzmacniała mnie, przypominała, że jest jeszcze nadzieja poza tymi murami. Był ostrożny, niewiele mówił, nawet na lekcji. Chociaż rzadko wspominał Chantal, swoją przyjaciółkę, którą alchemicy stąd wywieźli, widziałam, że bardzo cierpi z powodu rozłąki. Gawędził z innymi i rozdawał uśmiechy, ale pilnował się, by z nikim nie rozmawiać dłużej. Nie chciał ryzykować, że alchemicy znów kogoś skrzywdzą.

— Jesteś w tym naprawdę dobry — zauważyłam, patrząc, jak wiernie odwzorowuje liść na płótnie. — To dlatego, że tkwisz tu tak długo?

— Nie, malowałem trochę wcześniej dla przyjemności. Ale nie znoszę martwych natur. — Urwał i przyglądał się swojej pracy. — Mógłbym zabić dla możliwości stworzenia jakiejś abstrakcji. Uwielbiam malować niebo. Kogo ja chcę oszukać? Chciałbym zobaczyć niebo. Kiedy pracowałem na Manhattanie, nie malowałem pejzaży. Sądziłem, że jestem na to zbyt dobry, że będę się oszczędzał dla zachodów słońca w Arizonie.

— Manhattan? No, no. Musi tam być intensywnie.

— Fakt — zgodził się. — Głośno, tłoczno i ruchliwie. Nie znosiłem tego miejsca... a teraz zrobiłbym wszystko, by tam wrócić. Powinnicie tam zamieszkać z tym twoim posępnym narzeczonym.

— Zamierzaliśmy wyjechać do Rzymu — odparłam.

Duncan prychnął.

— Rzym. Po co łamać sobie język, skoro można mieć wszystko w Stanach? Gdybyście podjęli jakąś pracę, byłoby was stać na wynajęcie małego mieszkania. Ty mogłabyś studiować do upojenia, a on przestawać z bezrobotnymi artystami w Bushwick. Jadalibyście w domu koreańskie żarcie na wynos wraz z bandą szurniętych sąsiadów i kochalibyście się na starym materacu na podłodze. I tak codziennie. — Powrócił do malowania. — Niezłe życie.

— Całkiem niezłe. — Uśmiechnęłam się mimo woli.

Mój uśmiech zgasł, bo serce mi się ścisnęło na myśl, że mogłaby mnie czekać jakaś przyszłość z Adrianem. Wizja Duncana przypominała nasze „plany ucieczek”... Teraz wszystko wydawało się jeszcze bardziej nierealne.

— Duncan... Co miałeś na myśli, mówiąc, że zrobiłbyś wszystko, żeby tam wrócić?

— Nie rób tego — rzucił ostrzegawczo.

— Czego?

— Dobrze wiesz. Tak się mówi.

— Tak... — ciągnęłam. — Ale gdyby istniał sposób, żeby stąd wyjść i...

— Nie ma sposobu — uciął. — Nie ty pierwsza wpadłaś na ten pomysł. I nie ostatnia. Nie chcę, byś znów trafiła do izolatki. Stąd nie ma ucieczki.

Zastanowiło mnie to, co powiedział. Pewnie w ubiegłym roku ktoś próbował stąd uciec. Sądząc po reakcji Duncana, widział, jak to się skończyło. Kilkakrotnie pytałam go, gdzie znajdują się wyjścia z budynku, ale nie wiedział. Powinnam zmienić taktykę i zdobyć informacje inaczej.

— Odpowiesz mi na dwa pytania? — spytałam w końcu. — Nie będę pytać o wyjście.

— Spróbuję — odparł ostrożnie, nie patrząc na mnie.

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

— Nie — rzucił szybko. — Nikt nie wie, na tym to polega. Jedyne, czego jestem pewien, to że cała budowla znajduje się pod ziemią. Dlatego nie ma okien i nigdzie nie widać drzwi.

— Jakim sposobem dostarczają tu gaz? Tylko nie mów, że nie wiesz, o czym mówię — dodałam pośpiesznie, widząc, że się nachmurzył. — Musiałeś to zauważyć w izolatce. Rozpylają go nocami, żebyśmy twardo spali, i pobudzają nas nadmiernie za dnia.

— Do tego nie muszą nas szprycować — zauważył. — Atmosfera panująca w grupie wystarczy, by popaść w paranoję.

— Nie wymiguj się. Wiesz, jak dostarczają gaz?

— Daj spokój, fakt, że paprotka należy do podkrólestwa roślin naczyniowych, nie oznacza, że inaczej produkuje dwutlenek węgla niż pozostałe rośliny — przerwał. Byłam zaskoczona zarówno nagłą zmianą tematu, jak i faktem, że lekko podniósł głos. — W procesie fotosyntezy zachodzą tu wszystkie odpowiednie reakcje chemiczne. To tylko kwestia wykorzystywania zarodników zamiast nasion.

Wciąż nie rozumiałam i nagle zobaczyłam to, co on widział chwilę wcześniej: obok nas stanęła Emma, szukała kolorowych kredek w szufladzie. Wyraźnie przysłuchiwała się naszej rozmowie.

Przełknęłam ślinę i usiłowałam znaleźć jakąś sensowną odpowiedź.

— Nie przeczę. Miałam na myśli skamieliny i to, co nam mówią o makrofilach i mikrofilach. To ty się uparłeś na fotosyntezę.

Emma znalazła to, po co przyszła, i się oddaliła. Miałam miękkie kolana.

— O Boże! — jęknęłam, gdy już nie mogła mnie usłyszeć.

— I dlatego — dopowiedział Duncan — musisz być bardziej ostrożna.

Lekcja dobiegła końca. Przez cały dzień spodziewałam się, że Emma na mnie doniesie i lada chwila przyjdą po mnie ochroniarze, żeby zafundować mi kolejne przeczyszczenie albo, co gorsza, powrót do ciemnej izolatki. Że też to właśnie ona musiała nas podsłuchać! Pozostali nadal nie traktowali mnie przyjaźnie, ale zdążyłam się zorientować, które z nich ewentualnie nadawałoby się na sprzymierzeńca. Emma była najgorsza. Innym wymykała się co jakiś czas uwaga w rodzaju tej, którą wygłosiła Hope pierwszego dnia, i pakowali się przez to w kłopoty. Moja perfekcyjna współlokatorka nigdy nie popełniła błędu, absolutnie doskonale posługiwała się retoryką alchemików. A dodatkowo wychodziła ze skóry, żeby szkalować każdego, kto

zachował się nieodpowiednio. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego jeszcze tu tkwi.

Ale nikt po mnie nie przyszedł. Emma nie patrzyła nawet w moją stronę, więc odważyłam się w końcu mieć nadzieję, że usłyszała jedynie wywód Duncana na temat fotosyntezy.

Nadeszła pora społeczności i zgromadziliśmy się w kaplicy. Niektórzy usiedli na składanych krzesłach, inni, tak jak ja, przechadzali się po sali. Poprzedniego dnia była niedziela i zebraliśmy się tu w ławkach razem z naszymi instruktorami, by wziąć udział w nabożeństwie, podczas którego kapłan modlił się za nasze dusze. Był to jedyny wyłom w rutynowych zajęciach. Poza tym w weekendy mieliśmy lekcje. Nabożeństwo dało mi siłę, choć nie dzięki przesłaniu kapłana. Pozwoliło mi znaleźć nowy sposób odmierzania czasu. Każda informacja zdobyta w tym miejscu mogła mi tylko pomóc... Taką miałam nadzieję.

Dlatego każdego dnia przed spotkaniem społeczności odczytywałam napisy na Ścianie Prawdy. Zawierały historie więźniów, którzy przebywali tu przede mną. Próbowałam się czegoś z nich dowiedzieć, ale często się powtarzały. Tym razem też nie znalazłam nic nowego. „Zgrzeszyłem przeciw swojej rasie i głęboko tego żałuję. Proszę, przyjmijcie mnie z powrotem. Jedyne zbawienie to zbawienie człowieka”. Inny napis: „Proszę, wypuście mnie”. Widząc, że wchodzi Sheridan, miałam już dołączyć do pozostałych, gdy dostrzegłam coś kątem oka. Napis widniał w rogu ściany, do którego jeszcze nie dotarłam. Ktoś nabazgrał: „Carly, przepraszam — K.D.”.

Szczęka mi opadła. Czy to możliwe... Im dłużej wpatrywałam się w napis, tym bardziej się upewniałam, że czytam przeprosiny Keitha Darnella skierowane do mojej siostry, Carly. Keith ją zgwałcił. Może chodziło o inną Carly... ale czułam, że się nie mylę. Keith przebywał w ośrodku reedukacji. Zawinił w inny sposób niż ja i niedawno został uwolniony — niedawno, czyli ponad pięć miesięcy temu. Kiedy wyszedł, zachowywał się jak zombie. Dziwnie było myśleć, że chodził tymi samymi korytarzami, brał udział w zajęciach i jego również poddawano przeczyszczaniu. Jeszcze dziwniejsza była myśl, że mogę wyglądać tak jak on, kiedy mnie stąd wypuszczą.

— Sydney? — dobiegł mnie uprzejmy głos Sheridan. — Nie dołączysz do nas?

Zaczerwieniłam się, widząc, że tylko ja jeszcze nie usiadłam w kręgu, więc szybko do nich podeszłam.

— Przepraszam — wybąkałam.

— Ściana Prawdy bywa bardzo inspirująca — powiedziała Sheridan. — Znalazłaś tam coś, co przemówiło do twojej duszy?

Rozważałam odpowiedź i uznałam, że prawda mi nie zaszkodzi. Mogła mi nawet pomóc, bo Sheridan czekała, kiedy wreszcie powiem coś osobistego.

— Jestem zaskoczona — wyznałam. — Zauważyłam podpis znajomego... Był tu przede mną.

— Czy ten ktoś pociągnął cię za sobą? — spytała niewinnie Lacey. Rzadko któreś z nich wykazywało jakieś zainteresowanie moją osobą.

— Niezupełnie — odparłam. — To ja na niego doniosłam, trafił tu przeze mnie. — Wszyscy wyglądali na zaciekawionych, więc mówiłam dalej. — Prowadził interesy z pewnym morojem, starym morojem, brał od niego krew. Mówił mu, że używa jej do uzdrawiania, ale w rzeczywistości sprzedawał ją lokalnemu tatuażycie, który z kolei nasączał nią tatuaże uczniów tamtejszej szkoły. Dzięki nim wykazywali się nadludzką siłą i wytrzymałością, szczególnie w sporcie. Cierpieli jednak przez skutki uboczne.

— Czy twój przyjaciel wiedział, że krzywdzi ludzi? — spytała Hope.

— Nie był moim przyjacielem — zaprzeczyłam ostro. — Nigdy. Tak, wiedział. Ale to go nie obchodziło. Zależało mu tylko na pieniądzach.

Wszyscy byli poruszeni, może dlatego, że jeszcze nigdy nie wypowiedziałam tylu słów naraz, albo dlatego, że nie słyszeli o równie wielkim skandalu.

— Założę się, że ten moroj o tym wiedział — wtrącił ponuro Stuart. — Wiedział, do czego służą tatuaże i jak wielkie stwarzają niebezpieczeństwo. Pewnie tylko udawał niedołęznego.

Dawna Sydney — ta, która przyszła do nich pierwszego dnia — natychmiast stanęłaby w obronie Clarence'a. Sydney, która już widziała karanych za drobniejsze przewinienia i przetrwała dwie sesje przeczyszczające w ciągu tygodnia, była rozsądniejsza.

— Ocena postępowania moroja nie była moim zadaniem — odparłam. — Robią to, co dyktuje im natura. Wiem tylko, że żaden człowiek nie powinien narażać innych ludzi. Dlatego musiałam go wydać.

Ku memu zdumieniu przytaknęli mi, nawet Sheridan skinęła głową z aprobatą.

— To bardzo trafna uwaga, Sydney — stwierdziła. — Musiałas jednak popełnić wielki błąd, skoro nie nauczyłaś się niczego z tej lekcji i sama się tu znalazłaś.

I znów wszyscy patrzyli na mnie, a ja poczułam, że nie mogę zaczerpnąć tchu. Rozmawiałam o Adrianie z Duncanem, ale mówienie o nim wśród tych ludzi to było coś zupełnie innego. Duncan nie oceniał mnie ani nie dopytywał o szczegóły. Nie mogłam im wyznać, co było dla mnie tak cenne, tak silne, bo w ich oczach wyda się tylko brudne i plugawe. To, co mnie łączyło z Adrianem, było piękne. Nie chciałam tego zbrukać.

Z drugiej strony nie miałam innego wyjścia. Jeśli im nic nie powiem, nie wezmę udziału w grze... Mogę tu tkwić nie wiadomo jak długo. Rok, a może dłużej, tak jak Duncan. Siedząc w ciemnej celi, powtarzałam sobie, że powiem wszystko, by się stąd wydostać. Musiałam to zrobić. Musiałam skłamać, jeśli dzięki temu miałam szansę wrócić do Adriana.

— Straciłam czujność — powiedziałam po prostu. — Musiałam żyć i pracować wśród morojów, przywykłam do nich i już nie wydawali mi się tacy straszni, jacy są w istocie. Po incydencie z moim znajomym straciłam też chyba wycucie granicy między dobrem a złem.

Przygotowałam się na dalsze indagacje Sheridan, ale nieoczekiwanie głos zabrała dziewczyna o imieniu Amelia. Nie spodziewałam się takiego komentarza.

— Może nie powinniśmy się dziwić — zauważyła. — Sama nie posunęłabym się tak daleko, ale przebywając w towarzystwie zdeprovowanego człowieka, mogłaś stracić wiarę w swoją rasę i popełnić błąd, zwracając się do morojów.

Devin, chłopak, z którym ledwie zamieniłam wcześniej słowo, zgodził się z Amelią.

— Niektórzy z nich umieją być zwodniczo przyjaźni.

Sheridan lekko zmarszczyła brwi i przestraszyłam się, że tych dwoje może mieć kłopoty, bo wygłosili komentarze w pewnym sensie dla mnie korzystne. Postanowiła jednak puścić to mimo uszu, skoro tego dnia poczyniłam postęp.

— Łatwo jest się pogubić, szczególnie kiedy jesteście zdani na siebie, a sprawy przybierają nieoczekiwany obrót. Musicie jednak pamiętać, że zawsze potrafimy wam pomóc. Jeśli będziecie mieli jakieś pytania dotyczące wyborów między dobrem a złem, nie zwracajcie się do morojów. Przyjdźcie do nas, a my wam to wyjaśnimy.

„Bo zabrania nam myśleć samodzielnie” — pomyślałam z goryczą.

Oszczędzono mi dalszych pytań o szczegóły mojego romansu, bo instruktorka zwróciła się do reszty. Nie tylko mogłam odetchnąć, lecz także zapunktowałam u Sheridan i — jak się przekonałam podczas obiadu — u niektórych moich współwięźniów.

Ruszyłam z tacą w stronę pustego stolika, gdy Amelia zaprosiła mnie do swojego krótkim skinieniem głowy. Usiadłam obok niej i chociaż nikt się do mnie nie odzywał, nie kazano mi odejść. Jadłam w milczeniu, przysłuchując się ich rozmowom. Dotyczyły tego samego co

pagaduszki uczniów Amberwood. Wymieniano uwagi na temat przebiegu zajęć lub osób, które chrapały po nocach. Po raz pierwszy jednak mogłam im się bliżej przyjrzeć i zorientować, u kogo szukać porozumienia.

Duncan siedział przy innym stoliku, ale gdy minęliśmy się przy wyjściu, mruknął:

— Widzisz? Mówiłem, że robisz postępy. Nie zepsuj tego.

Omam się nie uśmiechnęłam, ale przypomniałam sobie, że nie wolno mi tracić czujności. Zachowałam obojętną minę i poszłam do biblioteki, by jak co wieczór znaleźć jakąś nudną lekturę. Ostatecznie zawędrowałam do działu historycznego w nadziei, że tam wybiorę sobie coś ciekawszego. Historia w wydaniu alchemików zawierała przede wszystkim teksty umoralniające, ale przynajmniej nie tak nieznośnie dydaktyczne jak współczesne poradniki. Zastanawiałam się nad dwiema książkami o czasach średniowiecza, gdy ktoś ukląkł obok.

— Dlaczego pytałaś o gaz? — usłyszałam przyciszony głos.

Obejrzałam się. To była Emma.

— Nie wiem, o czym mówisz — rzuciłam lekko. — O dzisiejszej lekcji sztuki? Rozmawialiśmy z Duncanem o paprociach.

— Mhm. — Wyciągnęła jakiś dziennik z czasów renesansu i przerzucała kartki. — W pokoju nie odezwę się do ciebie. Obserwuj nas tam. Jeśli potrzebujesz mojej pomocy, masz minutę teraz.

— W czym miałabyś mi pomagać? — zachnęłam się. — Dlaczego sądzisz, że tego potrzebuję? Próbujesz zastawić na mnie pułapkę, żeby zarobić kolejne punkty?

Emma prychnęła.

— Gdybym chciała zastawić na ciebie pułapkę, zrobiłabym to już dawno w pokoju. Czterdzieści pięć sekund. Dlaczego pytałaś o gaz?

Myślałam gorączkowo, jak się zachować. Szukając sprzymierzeńców, nie brałam pod uwagę Emmy. Tymczasem sama oferowała pomoc w kwestii, której nie chciał poruszać nawet Duncan. To naprawdę było podejrzane, ale nie umiałam oprzeć się pokusie.

— Gaz utrzymuje nas w ryzach, tak samo jak strażnicy i te mury — wypaliłam w końcu. — Chcę zrozumieć, jak go rozpylają. — Miałam nadzieję, że się nie pograżam.

Emma odłożyła książkę i sięgnęła po inny dziennik, pięknie oprawiony.

— Urządzenia kontrolne znajdują się w pomieszczeniu położonym na tym samym piętrze co gabinet, w którym nas przeczyszczają. We wszystkich sypialniach zainstalowano małe rurki. Wyloty znajdują się za panelem wentylacyjnym tuż pod sufitem.

— Skąd wiesz? — spytałam.

— Kiedyś przechodziłam obok ekipy remontującej pusty pokój.

— Więc łatwiej byłoby je zatkać w poszczególnych pokojach, niż wyłączyć system — mruknęłam.

Potrząsnęła głową.

— Nie, ponieważ rurki znajdują się na poziomie kamer zainstalowanych w sypialniach. Zanim zdążysz zdjąć panel, zjawią się strażnicy. Nie masz też śrubokrętu.

Chciała odłożyć książkę, lecz ją od niej wzięłam. Okładkę zdobiły złote litery, a rogi trójkątów każdej strony z nowym rozdziałem oznaczono metalowymi okuciami. Stuknęłam palcem w odpowiednie miejsce.

— Płaski śrubokręt? — spytałam, badając grubość metalowej płytki. Gdyby udało mi się ją zdjąć, miałabym narzędzie w ręku.

Na twarz Emmy powoli wypełził uśmiech.

— Dokładnie. Punkt za kreatywność. — Przyjrzała mi się. — Dlaczego chcesz odciąć gaz? Mamy większe problemy. Przede wszystkim to, że tu tkwimy.

— Najpierw ty mi coś powiedz... — Wciąż nie miałam pewności, czy Emma nie wciąga mnie w jakiś podły plan. — Świecisz przykładem, mogłabyś być wzorem alchemiczki. Jak tu trafiłaś?

Zawahała się.

— Odesłałam strażników wyznaczonych do pomocy naszej alchemicznej grupie w Kijowie. Uznałam, że pewien znajomy moroj bardziej potrzebuje ich ochrony.

— Faktycznie musiałaś rozdrażnić władzę — przyznałam. — Ale wydaje się, że są gorsze rzeczy, zwłaszcza że wydajesz się ideałem. Dlaczego wciąż cię tu trzymają?

Jej buńczuczny uśmiech zastąpiła gorycz.

— Z powodu mojej siostry. Ją także poddano reedukacji, a gdy została zwolniona, zbuntowała się jeszcze bardziej. Nikt nie wie, gdzie teraz jest. Mogę wylazić ze skóry, a wciąż powtarzają mi, że nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Nie mam szans wyjść wcześniej, uważają, że złe skłonności są rodzinne.

To z pewnością wyjaśniało sytuację. Emma mówiła chyba szczerze, ale była przecież alchemiczką, a alchemicy potrafią wmawiać innym różne rzeczy. Powędrowałam wzrokiem do działu socjologii, w którym Duncan stał z kilkoma osobami. Przyszło mi do głowy kolejne pytanie.

— Dlaczego Duncan tkwi tu tak długo? On też ma problemy rodzinne?

Emma spojrzała w tę samą stronę.

— Moim zdaniem? Jest zbyt poprawny.

— Czy to w ogóle możliwe? — spytałam z niepokojem.

Wzruszyła ramionami.

— Jest bardzo uległy. Pewnie się boją, że nie potrafiłby się oprzeć wpływowi wampirów. Dlatego go nie wypuszczają. Z drugiej strony nie chcą go zbyt ostro śmiać, to wbrew procedurom. Sądzę, że on chciałby być odważniejszy... ale coś go powstrzymuje.

„Chantal” — pomyślałam. To ona go powstrzymywała. Miał dość odwagi, żeby się do mnie zbliżyć, ale dopiero teraz uświadomiłam sobie, dlaczego zachowywał się tak ostrożnie. Rozstanie z Chantal zostawiło swój ślad, Duncan nie mógł się zdobyć na nic więcej. W nadziei, że nie popełniam strasznego błędu, wzięłam głęboki oddech i zwróciłam się do Emmy:

— Jeśli odłączę gaz, zdołam wysłać wiadomość „na zewnątrz”. Więcej nie mogę ci powiedzieć.

Uniosła brwi.

— Jesteś pewna? Dziś wieczorem?

— Absolutnie pewna — potwierdziłam.

Adrian na pewno szuka mnie w snach. Muszę tylko zasnąć normalnie.

— Zaczekaj chwilę — poprosiła Emma po chwili zastanowienia.

Wstała i podeszła do Amelii. Rozmawiały do chwili, gdy rozdzwonił się dzwonek, sygnalizując porę powrotu do naszych pokoi. Emma wróciła do mnie.

— Zajrzyj do tej książki. — Skinęła głową, wskazując zdobiony tom. — Od chwili, kiedy stąd wyjdziemy, nie odezwę się do ciebie. Idź do pokoju, policz do sześćdziesięciu i rób, co do ciebie należy.

— Ale kamera...

— Teraz jesteś zdana na siebie — rzuciła i odeszła bez słowa.

Postałam jeszcze chwilę, a potem różnym krokiem podeszłam do bibliotekarza, gdzie czekała już kolejka. Usiłowałam zachować obojętną minę, chociaż serce biło mi jak szalone. Czy Emma mówiła poważnie? A może udało jej się zwabić mnie w pułapkę? Czy podczas jednej rozmowy załatwiła mi możliwość odcięcia dopływu gazu? Wchodząc do pokoju, zauważyłam

małą czarną kamerę skierowaną na panel wentylacyjny. Zarejestrowałaby pierwszą próbę otwarcia go.

To wyglądało na pułapkę, ale Emma dała mi jasno do zrozumienia, że nie będzie ze mną rozmawiała, gdy znajdziemy się w sypialni. Policzyłam do sześćdziesięciu, a wtedy rzuciła mi krótkie, nakazujące spojrzenie.

„Są łatwiejsze sposoby, żeby mnie zrobić — pomyślałam. — Łatwiejsze sposoby przynoszące poważniejsze konsekwencje”.

Przełknęłam ślinę i przesunęłam łóżko pod ścianę. Stanęłam na nim, żeby sięgnąć panelu. Oderwałam metalową płytkę z książki i przekonałam się, że Emma miała rację. Pasowała idealnie do śruby. Oczywiście prawdziwy śrubokręt znacznie ułatwiłby mi zadanie, ale po krótkiej chwili udało mi się poluzować cztery śruby na tyle, by zdjąć panel. Zdenerwowanie i drżące ręce spowalniały pracę i nie miałam pojęcia, jak długo to potrwa ani czy Emma da mi znak, kiedy powinnam kończyć.

Pod panelem znajdował się zwykły komin wentylacyjny. Był zbyt wąski, żebym mogła się w nim zmieścić, więc nie mógł stanowić drogi ucieczki. Tak jak mówiła Emma, wewnątrz przytwierdzono wąską rurkę z wylotem skierowanym na kratę wentylacyjną. To przez nią sączyły się opary, gdy gasły światła. Musiałam ją czymś zatkać. Sięgnęłam pod łóżko, gdzie schowałam starą skarpetkę zabraną wcześniej z rzeczy do prania. Zakładałam, że alchemicy sprawdzają nasze brudne ubrania, ale zapamiętałam też, kiedy je zabierają i że składają wszystkie rzeczy do jednego kosza. Nawet gdyby zauważyli brak jednej skarpetki, nie wiedzieliby, kto jej nie oddał. Poza tym z pewnością nawet suszarki alchemików wciągały czasem skarpetki.

Wepchnęłam skarpetkę do rurki tak głęboko, jak to było możliwe, w nadziei, że wystarczająco zablokuje przepływ gazu. Usłyszałam niemal bezgłośny szept Emmy.

— Prędzej.

Ręce miałam wilgotne od potu, przykręciłam panel z powrotem na miejsce i w ostatniej chwili przypomniałam sobie, żeby przesunąć łóżko. Potem opadłam na nie z książką. Całe przedsięwzięcie zajęło mi mniej niż pięć minut, ale czy zdążyłam?

Emma była pochłonięta lekturą, nie patrzyła na mnie, lecz zauważyłam, że leciutko się uśmiechnęła. Czy był to uśmiech zwycięski, bo pomogła mi osiągnąć cel? A może triumfowała, bo wciągnęła mnie w pułapkę zarejestrowaną przez kamery?

W każdym razie tej nocy nikt po mnie nie przyszedł. Po upływie godziny wyznaczonej na lekturę światło zgasło i usłyszałam znajome kliknięcie zamykanych automatycznie drzwi. Zagrzebana w pościeli czekałam na inne znajome od tygodnia uczucie: sztuczną senność wywołaną przez gaz. Nie nadchodziła.

Nie nadeszła.

Nie mogłam w to uwierzyć. Udało nam się! Zablokowałam dopływ gazu. Jak na ironię akurat tej nocy potrzebowałam pomocy, żeby zasnąć. Byłam tak podekscytowana perspektywą rozmowy z Adrianem, że nie mogłam się wyciszyć. Jak przed wigilią Bożego Narodzenia. Leżałam w ciemności dobre dwie godziny, zanim zwyciężyło naturalne zmęczenie i zasnęłam. Przez cały czas spędzony tutaj przytłaczał mnie stres, a wywoływany sztucznie sen nie przynosił wypoczynku. Spałam głęboko do rana, gdy rozdzwoniły się budziki, i wtedy uświadomiłam sobie straszną prawdę.

Adrian do mnie nie przyszedł.

ROZDZIAŁ 8

Adrian

NIE CHCIAŁEM, ŻEBY sprawy wymknęły mi się spod kontroli.

Miałem dobre intencje, gdy przyjechałem na dwór, ale po porażce w rozmowie z Lissą oraz wiadomości dotyczącej moich rodziców coś się we mnie zatrasnęło. Z zapamiętaniem powróciłem do dawnego życia, zrezygnowałem z wszelkiego poczucia odpowiedzialności. Wmawiałem sobie, że tylko się trochę zabawię, dojdę do siebie na dworze. Czasem mówiłem sobie, że robię to dla Charlotte. Działo przez kilka dni, ale po tygodniu szalonych imprez nawet ona nieśmiało zaprotestowała któregoś wieczoru.

— Zostańmy dziś w domu — powiedziała. — Obejrzyjmy jakiś film albo pograjmy w karty. Cokolwiek.

Ale była ubrana wyjściowo. Ładnie wyglądała w niebiesko-fioletowej sukience, która podkreślała blask jej szarych oczu. Skłoniłem się przed nią.

— Zamierzasz zmarnować taką kieckę? Daj spokój, sądziłem, że chcesz poznawać nowe towarzystwo.

— Chcę — przyznała. — Ale już chyba wszystkich poznałam. I już widzieli mnie w tej sukience.

— I to jest problem? — drażylem. — Pożyczę ci pieniądze na nową.

Potrząsnęła głową.

— Nie mogę ci nawet zwrócić za tę.

Po tym, jak odkryłem kłamstwo, w jakim żyli moi rodzice, chciałem oficjalnie zrezygnować z regularnych wpłat ojca na moje konto. Nie musiałem pokrywać wysokich rachunków jak w Palm Springs i podobał mi się pomysł udowodnienia Nathanowi Iwaszkowowi, że nie może kupić każdego. Dopiero kiedy Charlotte zauważyła mimochodem, że czuje się niezręcznie w towarzystwie świetnie ubranych arystokratów, postanowiłem przeznaczyć część ojcowskich funduszy na nową garderobę sekretarki. Uznałem, że to zirytuje go w równym stopniu. Co prawda jeszcze o tym nie wiedział, ale miałem sporo satysfakcji. Charlotte zgodziła się przyjąć ode mnie pieniądze w formie pożyczki, lecz wkrótce nabrała wątpliwości, widząc moją rozrzutność. Cichutki głos w mojej głowie ostrzegał wprawdzie, że lada chwila nie będę umiał nad nią zapanować, tak jak to się zdarzało w Palm Springs, ale uciszyłem go. Ostatecznie wkrótce miałem dostać większą sumę od ojca, a poza tym wszyscy ostatnio stawiali mi drinki.

— Wyglądasz fantastycznie — orzekłem. — Szkoda byłoby ukrywać taką urodę. Chyba że jest inny problem.

— Nie — odparła, czerwieniąc się. Zerknęła na mnie szybko i odniosłem wrażenie, że czyta moją aurę, chcąc sprawdzić, czy nie wypilem czegoś przed imprezą.

Westchnęła.

— Chodźmy już.

Nigdy ci nie dorówna — szepnęła ciotka Tatiana, gdy szliśmy przez dziedziniec.

Zachodzące słońce rzucało wokół nas wydłużone cienie.

Ale która dziewczyna by to potrafiła?

„Sydney potrafiła mi dorównać — pomyślałem. — Nie na imprezach. W życiu”.

Jej słowa przyprawiły mnie o ten potworny ból, którego nie umiałem zagłuszyć na

najdzikszych nawet imprezach. Sydney. Bez niej czułem się jak otępiały, wiedłem życie pozbawione znaczenia. Wciąż nie umiałem jej odnaleźć. Mogłem tylko prowadzić dalsze bezowocne poszukiwania w snach, a i to robiłem coraz rzadziej. Tej nocy jeszcze nie próbowałem i zastanawiałem się, czy nie posłuchać sugestii Charlotte choćby po to, by na krótko wytrzeźwieć.

Jest za wcześnie — upomniała mnie ciotka Tatiana. *Później to zrobisz. Żaden człowiek w Stanach jeszcze nie śpi. Poza tym, chcesz, żeby TO wróciło?*

Trafiła w dziesiątkę. Gdybym prowadził poszukiwania każdej nocy, przegapiłbym parę naprawdę udanych imprez. I jeszcze coś: obawiałem się, że wróci ta straszna, pochłaniająca ciemność, która groziła, że zagarnie cały mój świat. Po zniknięciu Sydney wpadłem w głęboką depresję, a gdy się okazało, że Lissa nie pomoże mi jej odnaleźć, zrobiło się jeszcze gorzej. Mój psychiatra i nawet Sydney zapewne stwierdziliby, że powinienem znów zażywać leki, ale przecież wówczas nie mógłbym używać mocy ducha do poszukiwań. To prawda, rzadko z niej ostatnio korzystałem, lecz za nic nie chciałem jej utracić. Łagodziłem objawy depresji zwiększonymi dawkami alkoholu, słuchałem też wskazówek ducha ciotki Tatiany, który odwiedzał mnie teraz znacznie częściej. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jest wytworem mojej wyobraźni i że mój psychiatra z pewnością miałby wiele do powiedzenia na jego temat, ale ta iluzja w jakiś sposób odgradzała mnie od stanów największego przygnębienia. W każdym razie to dzięki niej wstawałem z łóżka każdego ranka.

Tego wieczoru impreza odbywała się w domu syna rodziny Conta. Nie znałem go dobrze, ale chyba ucieszył się na nasz widok i pomachał mi na powitanie z drugiego końca pokoju. Charlotte towarzyszyła mi niczym akceptowany przez wszystkich cień. Wiele osób pragnących zbliżyć się do mnie próbowało najpierw zrobić to za jej pośrednictwem. Widziałem, że czuje się tym onieśmielona, lecz podobało mi się, że arystokraci, normalnie traktujący takich jak ona na równi z meblami w pałacowych gabinetach, wyraźnie jej nadskakiwali.

Niemal wszystkie przyjęcia o tej porze roku urządzano na dworze, o ile pogoda na to pozwalała. Od najmłodszych lat pouczano nas, byśmy ukrywali się w domach przed strzygami, toteż każda okazja do przebywania na zewnątrz w bezpiecznym miejscu — takim jak dwór królewski — była cenna.

Młody lord Conta wychodził ze skóry, by jego impreza wywarła na wszystkich niezapomniane wrażenie. Zadbął o przeróżne nowinki, by nas zabawić. Najbardziej podobała mi się gigantyczna fontanna na stole strzelająca szerokimi łukami szampana. Musujący napój oświetlono kolorowymi lampkami na dnie szklanej wazy.

Napełniłem kieliszek Charlotte i swój, podziwiając światełka zmieniające kolory.

— Adrian — powiedziała miękko. — Spójrz tam, po drugiej stronie basenu.

Popatrzyłem we wskazanym przez nią kierunku i zobaczyłem Wesleya Drozdowa. Sącył martini, usiłując przebić mnie wzrokiem. Zdziwiłem się, że przyszedł. Ostatnio rzadko się pokazywał. Może uznał, że mnie tu nie będzie, bo słabo znałem gospodarza.

To śmieć — syknęła ciotka Tatiana w mojej głowie. *Nie zasługuje na to, by nosić królewskie nazwisko.*

— Widzisz jego aurę? — wtrąciła Charlotte. — On cię nienawidzi.

Właśnie wziąłem sobie drinka z przejeżdżającego barku i nie nadawałem się do odczytywania aury. Nie wątpiłem jednak w zdolności Charlotte, więc parsknąłem śmiechem, zauważwszy jej strach.

— Spokojnie. Nie spróbuje niczego głupiego. Widzisz?

Rzeczywiście, Wesley odstawił pusty kieliszek i zniknął w ciemności. Poczułem ulgę. Nie chciałem wysłuchiwać kąśliwych komentarzy ciotki Tatiany na jego temat. Charlotte wciąż

była zdenerwowana.

— Pilnuj się, żeby nie spotkać się z nim na osobności.

Podał jej kieliszek.

— To niemożliwe, zawsze będziesz u mego boku — zapewniłem z galanterią. — Przy tobie jestem bezpieczny.

Rozpromieniła się. Nie spodziewałem się takiej reakcji na zdawkowy komplement. Skoro jednak była zadowolona, tym lepiej. Może nie radziłem sobie ze wszystkimi problemami, ale Charlotte była miłą dziewczyną, która zasługiwała na coś dobrego po tym, co przeszła. Jej towarzystwo na imprezach poprawiało mi samopoczucie. Nie czułem się tak beznadziejny, bo nie musiałem pić samotnie. Fakt, że piliśmy razem, nieco nas usprawiedliwiał.

Popijaliśmy i gawędziliśmy z pozostałymi gośćmi. Przychodząc tu, zakładałem, że będę się kontrolował, ale szybko dałem sobie spokój. Pewnie dlatego odebrałem ten telefon. Zwykle sprawdzam najpierw, kto dzwoni.

— Halo?

— Adrian?

Skrzywiłem się.

— Cześć, mamó.

Charlotte dyskretnie się odsunęła, a ja próbowałem znaleźć jakieś zaciszne miejsce. Moja mama była jednym z ważniejszych powodów, dla których powinienem zawsze sprawdzać ekran telefonu. Dzwoniła niemal bez przerwy od czasu naszej ostatniej rozmowy po kolacji w domu rodziców. Dałem się złapać.

— Gdzie jesteś, kochanie? Ledwo cię słyszę.

— Na przyjęciu — powiedziałem. — Nie mogę długo rozmawiać. — To nie była prawda, bo akurat nikt nie zwracał na mnie uwagi. Charlotte podeszła do grupki osób rozmawiających przy basenie.

— Nie zajmę ci dużo czasu.

Wydawała się zdenerwowana.

— Nie wiem, czy odebrałeś moje wiadomości... — zawiesiła głos w nadziei, że podam przekonujący powód mojego milczenia przez cały tydzień.

Nie tłumaczyłem się.

— Odebrałem — odparłem zwięźle.

— Ach tak. W takim razie wiesz, że nie jestem zadowolona z naszej rozmowy. Tęsknię za tobą, Adrian. Wiele o tobie myślałam podczas pobytu w więzieniu. Postanowiłam, że będziemy spędzali ze sobą więcej czasu.

Poczułem ukłucie gniewu. Kiedy była w więzieniu, nie chciała ze mną rozmawiać, gdy odwiedzałem ją w snach. Zatrzymałem jednak żal dla siebie i pozwoliłem jej mówić.

— Spróbujmy jeszcze raz, tylko ty i ja. Może umówimy się na jakiś skromny lunch. Wtedy będę mogła ci to wszystko lepiej wyjaśnić. Chcę, żebyś zrozumiał...

— Nadal z nim mieszkasz? — przerwałem jej. — Przyjmujesz od niego pieniądze?

— Adrian...

— Tak? — naciskałem.

— Tak, ale mówiłam ci...

— Więc rozumiem cię doskonale. Nie musisz mi niczego tłumaczyć.

Spodziewałem się przeprosin albo przymilania się. Znałem jej typowe teksty, którymi raczyła mnie w pozostawianych często wiadomościach, niemal na pamięć. Zaskoczyła mnie nowa nuta w jej głosie.

— A ty, Adrian? Przeglądałam rachunki. Widziałam, że nadal wysyła ci pieniądze.

Nazwała cię hipokrytą — szepnęła ciotka Tatiana jadownicie. *Pozwolisz jej na to?*

— To nie to samo — broniłem się jednocześnie zły i zawstydzony. — Nie biorę ich dla siebie.

— Czyżby? — Najwyraźniej mi nie wierzyła.

— Właśnie że tak...

Nagle przerwał mi krzyk i głośnie pluśnięcie. Obejrzałem się w stronę, gdzie ostatnio widziałem Charlotte. Część osób, z którymi stała, nieoczekiwanie wylądowała w wodzie. Charlotte wynurzyła się, kaszląc i ocierając oczy.

— Muszę kończyć, mam — oznajmiłem. — Dzięki, że dzwonisz, ale nie jestem zainteresowany dalszą rozmową, dopóki nie zadbasz o swoją godność. — Zachowałem się podle i nie dałem jej szansy zareagować. Rozłączyłem się i podbiegłem do basenu. Wyciągnąłem rękę do Charlotte, która właśnie uniknęła zderzenia z tacą pełną kieliszków i próbowała wyjść z wody. — Wszystko w porządku?

— Tak, tak. — Jej twarz oblepiały długie loki zmienione w kąpiące wodą strąki.

— Chciałabym móc powiedzieć to samo o sukience.

Kelnerzy nadbiegli z ręcznikami i wziąłem jeden dla Charlotte.

— Wyschnie.

Uśmiechnęła się cierpko i owinęła się ręcznikiem.

— Rzadko zdarza ci się coś uprać, prawda? To jedwab. Chlor mu szkodzi. A kto wie, co jeszcze było w tym basenie.

Słowa matki wciąż rozbrzmiewały w mojej głowie.

— W takim razie zrobimy tak, jak ustaliliśmy. Kupimy ci nowe ciuchy.

— Nie mogę przyjmować od ciebie pieniędzy, Adrian. To miły gest i oczywiście jestem ci wdzięczna, ale muszę sama na siebie zarabiać.

Miałem mieszane uczucia. Z jednej strony patrzyłem z dumą na Charlotte, która prezentowała siłę charakteru, jaką pragnąłbym widzieć u swojej matki. Ale sam byłem przecież hipokrytą. Poczulem się upokorzony i sfrustrowany. Znów przez głowę przemknęła mi bolesna myśl, że nie potrafię nawet odnaleźć Sydney.

— I zarobisz — rzuciłem z determinacją. — Oboje zarobimy. Chodź.

Ująłem ją za rękę i wyprowadziłem poza zatłoczony dziedziniec. Nie myślałem wtedy o konsekwencjach tej impulsywnej decyzji. Doszliśmy prawie na drugi kraniec dworskiego terytorium, daleko od rezydencji, w których spędzaliśmy tyle czasu. Stały tu znacznie skromniejsze domy. Skierowałem się pod zapamiętany adres i głośno zapukałem do drzwi. Charlotte wciąż owinięta ręcznikiem nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

— Gdzie jesteśmy? — spytała. — Nie wiesz, że...

Urwała, bo drzwi się otworzyły i stanęła w nich bardzo zaskoczona Sonia Karp. Kiedyś uczyła biologii w liceum i była strzygą (nie w tym samym czasie). Teraz na powrót stała się morojką obdarzoną mocą ducha, tak jak Charlotte i ja. Jej rude włosy były w nieładzie. Nagle poczułem się zakłopotany, widząc, że jest w piżamie. Słońce jeszcze nie wstało, ale niebo na wschodzie było bardziej purpurowe niż czarne. Idealna pora dla morojów.

— Adrian, Charlotte... — przywitała nas Sonia. Była zadziwiająco spokojna, biorąc pod uwagę okoliczności. — Wszystko w porządku?

— Ja... tak. — Opanowałem się po chwili. Stało się. Równie dobrze mogłem wyłuszczyć swoją sprawę. — Musimy z tobą o czymś porozmawiać. Ale jeśli jest za późno...

— Zmarszczyłem czoło, usiłując ocenić, która może być godzina. Chyba nie powinna jeszcze spać. — Prowadzisz ludzki tryb życia?

— Tak jak Michał — odparła, mówiąc o swoim mężu dampirze. — Pełni służbę na

zmiany, więc się przestawiłam. — Wzięła ręcznik od Charlotte i zrobiła nam przejście. — Nie rozmawiajmy o tym teraz. Wejdźcie.

Mieszkanie miało kuchnię, której pozbawiony był mój apartament, ale poza tym okazało się znacznie mniejsze od gościnnych rezydencji pałacowych. Sonia i Michaił ładnie je urządzili i postarali się, by było przytulne, ale nagle wydało mi się niewłaściwe, że gość z arystokratycznego rodu opływa w luksusy, podczas gdy ciężko pracujący strażnik, który nieustannie ryzykuje życie, mieszka w dużo gorszych warunkach. Michaił był żonaty, więc z pewnością dostał większy dom niż pozostali. Zwykli strażnicy żyli w ciasnych kłitkach.

— Napijcie się czegoś? — spytała Sonia, zapraszając nas gestem do kuchennego stołu.

— Poproszę wodę — powiedziała szybko Charlotte.

Sonia przyniosła dwie szklanki i usiadła naprzeciwko nas.

— No — ponagliła. — Cóż to za ważna sprawa?

Wskazałem na Charlotte.

— Ona. Pomaga ci w badaniach nad szczepionką, prawda? Poświęca swój czas, ale nie dostaje za to pieniędzy. To nie w porządku.

Charlotte zacerwieniła się, zrozumiałwszy powód mojej wizyty.

— Adrian, wszystko jest w porządku...

— Wcale nie — upierałem się. — Oboje z Charlotte wiele zrobiliśmy dla twoich badań nad mocą ducha, ale nic z tego nie mamy.

Sonia uniosła brew.

— Nie wiedziałam, że tego oczekujecie. Sądziłam, że jesteście gotowi powstrzymać strzygi i zrobić coś dobrego.

— Bo tak jest... — Charlotte wciąż była przerażona.

— A jednak — wtrąciłem — pomagając ci, musimy odkładać inne obowiązki. Niby jak mamy związać koniec z końcem? Chcesz naszej pomocy? To potraktuj nas poważnie. Zatrudnij sekcję morojów władających mocą ducha na pełny etat. — Zmarszczyłem czoło, bo nie spodobało mi się to określenie. — Albo najlepszych z najlepszych. Nie wiem. Mówię tylko, że jeśli chcesz uzyskać sensowne wyniki, zadбай o nasze wynagrodzenie, żebyśmy mogli dawać z siebie wszystko. Charlotte zaniedbuje obowiązki w biurze, żeby ci pomagać.

Sonia patrzyła na Charlotte, która wierciła się niespokojnie.

— Wiem, że dużo pracujesz, i przykro mi, że proszę o więcej. — Sonia zwróciła się do mnie z wyraźnie mniejszym współczuciem. — Przypomnij mi, co dokładnie porabiasz ostatnimi czasy, Adrian.

Co za tupet — syknęła ciotka Tatiana.

— Cóż... — nie dałem się zbić z pantafelku. — Mógłbym ci pomóc w masowej produkcji szczepionki, gdybyś zatrudniła mnie na cały etat.

Sonia prychnęła.

— Bardzo bym chciała, ale są dwa małe problemy. Po pierwsze, nie prowadzę masowej produkcji.

— Nie? — zdziwiłem się. Zerknąłem na Charlotte, która nadal była zbyt zawstydzona, by zauważyć moje spojrzenie. — Sądziłem, że to sprawa priorytetowa.

— Fakt — przyznała Sonia. — Niestety, odtworzenie magii ducha w krwi Neila okazało się bardzo trudne. Boję się, że ulotni się bez śladu, zanim zdołamy wykraść tajemnicę. Możliwość korzystania z porady innych władających tą mocą jest bez wątpienia bardzo użyteczna. Jednak rozwiązanie tego problemu wymaga wiedzy z dziedziny biologii i znajomości struktury komórkowej krwi. Tylko jedno z nas spełnia te kryteria, a do tej pory nie udało się rozwikłać tajemnicy.

Nie od razu uświadomiłem sobie, że Sonia mówi o sobie. Wiedziałem, że Charlotte jej pomagała, ale nie miałem pojęcia — sądząc po minie Charlotte ona również — że projekt utknął w martwym punkcie. Poczyniliśmy ogromne postępy, tworząc dla Neila szczepionkę przeciwko przemianie, i nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie potrafimy z niej w pełni korzystać. Zakładałem, że Sonia pracuje teraz nad cudownym eliksirem w jakimś laboratorium i jest gotowa podzielić się nim z całym światem.

— A drugi problem? — spytałem, pamiętając, co powiedziała wcześniej.

— Drugi problem — podjęła Sonia — jest taki, że nie mogę wam płacić. Wierz mi, chętnie zgromadziłabym ekipę najlepszych z najlepszych do tego zadania, ale nawet ja pracuję za darmo. Królowa i rada mają fundusze i granty na badania naukowe. Wysyłam do nich podania o zwrot kosztów materiałowych i kosztów podróży. Poza tym jednak nie płacą mi ani grosza. Chociaż... może jest sposób. Jeśli rada naprawdę liczy na postępy tych prac, powinni zadbać o najlepszy zespół, który poświęci jej swój czas i zasoby.

Odniosłem wrażenie, że Sonia mówi szczerze, i znów poczułem się jak idiota. Przyszedłem do niej, żądając pieniędzy, a przecież prawda była taka, że pracowała jeszcze ciężiej niż my i nic z tego nie miała. Byłem pijany, lecz dotarło do mnie w tej chwili, że jestem dupkiem.

— Przepraszam, Soniu — wybąkałem.

Iwaszkowowie nie przepraszają! — warknęła ciotka Tatiana.

— Nie przepraszaj. — Machnęła ręką. — Twoje żądania są uzasadnione.

— Nie powinienem był tak ostro z tym wyjeżdżać — mruknąłem.

Przestaniesz wreszcie? — skarciła mnie ciotka Tatiana.

Charlotte, nadal zakłopotana, nieświadomie wzięła stronę mojej zmarłej ciotki i położyła delikatnie rękę na moim ramieniu.

— Nie wiedziałeś. Robiłeś to dla mnie.

— Naprawdę ich zapytam. — Sonia patrzyła na nas oboje. — Kto wie? Może taka ekipa złożona z najlepszych ma sens. Czekałam głównie na zakończenie roku szkolnego w Amberwood, aż wrócą Neil i Jill. Miałam nadzieję, że jego obecność wiele wyjaśni.

— Może kiedy Neil wróci, pojawi się także Olive — wtrąciła Charlotte.

Wizyta u Soni wytrąciła ją z równowagi, ale rozpogodziła się na myśl o siostrze.

— Może — przytaknąłem bez przekonania, pamiętając, co ostatnio usłyszałem od Charlotte. — Mam wrażenie, że prędzej wróciłaby do ciebie niż do jakiegoś chłopaka.

— A jednak się w nim zadurzyła. — Charlotte bawiła się końcami rącznika, a potem spojrzała mi prosto w oczy. — Kiedy się zakochujemy, zdobywamy się na rzeczy, których nie robi się dla rodziny.

Zmarszczyłem brwi i uważnie jej się przyjrzałem. Drżała.

— Dobry Boże! — Nagle zawstydziłem się swojej niefrasobliwości. — Na pewno marzniesz. — Na zewnątrz wciąż było przyjemnie, ale dużo chłodniej niż na początku tygodnia, a długi marsz w przemoczonych sukience na pewno nie należał do przyjemności. Zerknąłem na Sonię. — Znalazłabyś dla niej jakieś suche ubranie?

Charlotte zrobiła się purpurowa.

— Nie trzeba. Nie rób sobie kłopotu...

— Oczywiście. — Sonia wstała od stołu, zachęcając gestem Charlotte, by poszła za nią.

— Przymierzysz parę rzeczy.

Charlotte poszła za nią niechętnie. Sonia wróciła po chwili i usiadła przy stole.

— Przebiera się.

Kiwnąłem głową, rozmyślając o naszej rozmowie.

— Mam nadzieję, że nie będzie jej przykro, jeśli Olive jednak się nie pojawi. Chyba ma

sporo do przemyślenia... sama rozumiesz.

— Jasne — przytaknęła z powagą Sonia. — Szczerze mówiąc, boję się, że to nie Olive rozczaruje Charlotte.

Zdażyłem już nieco wytrzeźwieć, ale rozboleła mnie głowa i nie odzyskałem jeszcze jasności myśli.

— Co masz na myśli?

Sonia westchnęła.

— Tego się obawiałam. Nie widzisz, że ta dziewczyna szaleje na twoim punkcie, prawda?

— Kto... masz na myśli Charlotte? — Potrząsnąłem głową. — Wcale nie. Tylko się przyjaźnimy.

— Spędzacie ze sobą mnóstwo czasu. W pracy mówi tylko o tobie.

— Nie jestem nią zainteresowany — oznajmiłem stanowczo. — W każdym razie nie w ten sposób.

Sonia posłała mi jedno z tych swoich rozumiejących spojrzeń.

— Niczego takiego nie powiedziałam. Wiem, że tak jest. Ale ona o tym nie wie. Postępujesz okrutnie, wprowadzając ją w błąd.

— Niczego takiego nie robię! — oburzyłem się. — Tylko się spotykamy.

— Mówiła mi, że kupiłeś jej ciuchy.

— Pożyczyłem na nie pieniądze — wyjaśniłem uparcie. — Bo nie wystarcza jej na życie.

— Wystarczało jej na wszystko, dopóki nie pociągnąłeś jej za sobą w wir życia towarzyskiego. — Sonia patrzyła mi prosto w oczy. — Chcesz mojej rady? Jeśli ci na niej zależy, odsuń się. Wysyłasz jej podwójne komunikaty, a kiedy Charlotte wreszcie zorientuje się w sytuacji, będzie źle. Każdy miałby z tym problem, ale akurat ty powinienes wiedzieć, jak wrażliwi jesteśmy my, władający mocą ducha.

— Wiesz co? Nie potrzebuję twoich rad, bo nie robię nic złego. Charlotte jest mądrą dziewczyną. Wie, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Trochę się zagalopowałeś. Nie zamierzam jej odstawić.

— Odstawić? — zachichotała Sonia. — To termin kojarzący się z uzależnieniem. Do czego właściwie ona jest ci potrzebna? A raczej kogo miałaby ci zastąpić?

— Do niczego. Nikogo. Daj sobie spokój z tą psychoanalizą. Nie mogę po prostu mieć koleżanki?

W tej chwili wróciła Charlotte w pożyczonych od Soni spodniach dresowych i podkoszulce. Nieświadoma napięcia panującego w kuchni zaczęła wylewnie dziękować Soni i wypytywać ją o szczepionkę. Przysłuchując się ich rozmowie, zastanawiałem się, czy rzeczywiście próbowałem oszukać Charlotte.

Nie byłem w niej zakochany. Nie wyobrażałem sobie związku z żadną dziewczyną poza Sydney. Ale w drodze powrotnej, gdy odprowadzałem Charlotte do domu, powtarzałem w myślach pytanie Soni.

„Co albo miałaby ci zastąpić?”.

Oczywiście nikt nie mógłby zająć miejsca Sydney. Na całym świecie nie było drugiej takiej jak ona, nikt nie mógł się z nią równać. Tak to czułem. A jednak, gdy Sonia zasugerowała, że powinienem odsunąć się od Charlotte, ogarnęła mnie panika na myśl, że zostanę sam. Po zniknięciu Sydney żyłem w żalu, lęku i gniewie, lecz nie mogłem zaprzeczyć, że dręczyła mnie również samotność. Sydney uzdrowiła tę część mojej duszy, która błąkała się po świecie bez celu. Kiedy Sydney zabrakło, znów czułem się zagubiony.

Charlotte, choć nie łączyło nas nic więcej, z pewnością potrafiła mnie uziemić. To fakt, że nie zachowywałem się wzorowo. Charlotte była jednak kobietą z krwi i kości — nie żyła

wyłącznie w mojej głowie. Mogłem z nią porozmawiać i nieco temperowała mój imprezowy tryb życia. Konieczność odbierania jej i odprowadzania do domu każdej nocy narzucała mi pewne ograniczenia. Poza przyjemnością, jaką sprawiało mi potajemne wydawanie ojcowskich pieniędzy na jej stroje, czerpałem również satysfakcję z faktu, że się o kogoś troszczę. Nie czułem się tak do końca bezużyteczny. Nie potrafiłem odnaleźć Sydney, ale mogłem zadbać o odpowiedni wygląd Charlotte na przyjęciach w gronie arystokratów.

Czy jednak Sonia miała rację, że wykorzystuję Charlotte do własnych celów?

Zastanawiałem się nad tym, gdy stanęliśmy pod drzwiami jej mieszkania znajdującego się na osiedlu domów tylko nieco zamożniejszych niż ten Soni. Charlotte otworzyła drzwi i obróciła się do mnie. Słońce już wstało i opromieniało jej twarz kolorami brzasku.

— Dziękuję za interesujący wieczór. — Zaśmiała się krótko. — I za to, co próbowałeś załatwić z Sonią. Naprawdę nie musiałeś. Ale dziękuję. — Splotła dłonie, już wcześniej zauważyłem u niej ten nerwowy gest.

Wzruszyłem ramionami.

— Słyszałaś, co powiedziała. Może jednak coś z tego będzie.

— Może. — Umilkliśmy oboje, a potem zapytała: — Spotkamy się jutro?

Zawahałem się, niepewny, czy nie pakuję się w kłopoty. Czy nie pozwałam jej na zbytne zaangażowanie.

Pozwolisz, by Sonia kierowała twoim życiem? — odezwała się ciotka Tatiana. *Co ona może wiedzieć?*

Wezbrała we mnie złość. Sonia przesadziła. Co jest złego w spotkaniach z koleżanką? Po raz pierwszy od długiego czasu mogłem z kimś porozmawiać. Miałem żyć jak pustelnik tylko dlatego, że Sydney zaginęła? Poza wszystkim, biorąc pod uwagę wielką intuicję Charlotte, na pewno nie zaangażowałyby się pochopnie w związek ze mną. Miała poważniejsze problemy.

— O tej samej porze — zapewniłem.

ROZDZIAŁ 9

Sydney

DLACZEGO ADRIAN nie pojawił się tej nocy? Czyżbym jednak nie zablokowała dopływu gazu? Bo przecież on na pewno mnie szukał. Nie poddawał się. Musiał istnieć inny powód jego nieobecności.

Niestety, nie przyszedł także następnej nocy. I następnej.

Na domiar złego Emma zaczęła mnie wypytywać, czy na pewno sprowadzę pomoc. Sprawą zainteresowała się również Amelia, która, jak się dowiedziałam, zadbała o wyłączenie kamer. Obserwację naszych pokoi prowadzono z centrum kontroli ośrodka, w którym zainstalowano monitory. Na polecenie Emmy tego wieczoru Amelia wszczęła spektakularną kłótnię ze swoją współlokatorką, by przyciągnąć uwagę strażników. Nie dawała się uspokoić. Dyżurni wezwali na pomoc prawie cały personel i dzięki temu nikt nie zauważył, co zrobiłam.

— Musiałabym spać wiele godzin, żeby to się udało — wyjaśniałam im obu. — Zeszłej nocy ledwo się zdrzemnęłam, może zabrakło czasu. Dziś na pewno się uda.

Dziewczyny były lekko rozczarowane, lecz nie traciły nadziei. Wierzyły we mnie. Ledwie mnie znały, ale nabrały przekonania, że potrafię im pomóc.

To było przed pięcioma dniami.

Teraz nie miały już nadziei. Zastąpiła ją wrogość.

Zachodziłam w głowę, dlaczego Adrian jeszcze nie odwiedził mnie we śnie. Obawiałam się, że stało mu się coś złego. Może całkiem utracił swoje zdolności? Albo wciąż zażywał te leki... Nie, z pewnością je odstawił. Robił wszystko, by mnie odnaleźć. A jeśli zażywane wcześniej pigułki trwale upośledziły jego niezwykły dar? Nie mogłam się nad tym dłużej zastanawiać, bo moje życie w ośrodku reedukacji przyjęło znacznie gorszy obrót.

Emma i Amelia, która dodatkowo musiała poddać się sesji przeczyszczającej za wywołanie kłótni, poczuły się oszukane. Nie powiedziały wprawdzie nikomu o tym, co się stało, głównie ze względu na swoje bezpieczeństwo, lecz dawały innym do zrozumienia, że powinni traktować mnie z rezerwą. Próbowałam je przekonywać, że prędzej czy później sprowadzę pomoc, lecz wkrótce znów byłam zmuszona jadać samotnie. Współwięźniowie, którzy już zaczęli patrzeć na mnie życzliwszym okiem, znów się usztywnili, a co gorsza krytykowali mnie i donosili na mnie do zwierzchników. W tym tygodniu dwukrotnie poddano mnie przeczyszczaniu.

Tylko Duncan nadal zachowywał się przyjaźnie, choć i on miał mi coś do zarzucenia.

— Ostrzegalem cię — rzucił pewnego dnia podczas lekcji rysunku. — Miałaś siedzieć cicho. Nie wiem, co zrobiłaś, ale przekreśliłaś wszystko, co osiągnęłaś do tej pory.

— Musiałam — odparłam. — Musiałam spróbować i wiem, że było warto.

— Czyżby? — spytał ze smutkiem, jakby widział podobne próby już bardzo wiele razy.

— Tak — odparłam żarliwie. — Przekonasz się.

Uśmiechnął się grzecznie i wrócił do malowania, ale widziałam, że mi nie uwierzył. Najgorsze, że mógł mieć rację.

Przez cały ten czas nie traciłam nadziei, że skontaktuję się z Adrianem we śnie. Nie rozumiałam, dlaczego to się jeszcze nie stało, ale nie wątpiłam ani przez chwilę, że on wciąż mnie kocha i poszukuje. Jeśli coś uniemożliwiało nam kontakt przez sen, z pewnością wkrótce

znajdzie inny sposób.

Tydzień po tym, jak zablokowałam dopływ gazu, sytuacja w ośrodku zmieniła się wraz z przybyciem nowej pensjonariuszki.

— Dobre wiadomości — poinformował mnie Duncan w holu. — Teraz wszyscy skupią się na tej dziewczynie, więc nie próbuj się z nią zaprzyjaźnić.

Trudno było mi się z tym pogodzić, widząc, jak siada samotnie przy śniadaniu. Pod wpływem ostrzegawczego spojrzenia Duncana poszłam do innego stolika, przy którym czułam się jak idiotka i tchórz. Nowa miała na imię Renee i była chyba w moim wieku, może rok młodsza. Sprawiała wrażenie osoby, do której mogłabym się zbliżyć, bo tak jak ja już pierwszego dnia została odesłana na przeczyszczenie za próbę dyskusowania z nauczycielem.

W przeciwieństwie do mnie Renee wróciła wprawdzie błada i chora, lecz nieugięta. Podziwiałam ją za to. Była wyczerpana pobytem w izolacie, lecz miała w oku buntowniczy błysk znamionujący siłę i odwagę. „Oto ktoś, z kim mogę się sprzymierzyć” — myślałam. Kiedy wspomniałam o tym Duncanowi na lekcji rysunku, natychmiast próbował mnie zniechęcić.

— Poczekaj trochę — wymruczał. — Jest nowa, wszyscy ją obserwują. Poza tym nie ułatwia sobie sytuacji.

Miał rację. Chociaż Renee szybko nauczyła się trzymać język za zębami, nie starała się sprawiać wrażenia kogoś, kto kupuje teksty alchemików. Dumnie odsuwała się od wszystkich i zignorowała mnie, gdy uśmiechnęłam się do niej na korytarzu. Siadywała samotnie na lekcjach, spoglądając hardo na uczniów i nauczycieli.

— Dziwię się, że ją wypuścili — zauważył kiedyś Duncan. — Musieli coś przeoczyć.

— Tym bardziej potrzebuje przyjaznej duszy — upierałam się. — Ktoś powinien jej powiedzieć: „Słuchaj, to normalne, że tak się czujesz, ale tymczasem powinnaś się maskować”. W przeciwnym razie odeślą ją z powrotem.

Pokręcił głową.

— Nie mieszaj się w to, szczególnie że jej przybycie poprawiło twoją sytuację. Poza tym nikt jej nie odeśle.

W jego głosie pobrzmiwała złowieszcza nuta, lecz niczego mi nie wyjaśnił. Wbrew sobie do wieczora trzymałam się z dala od Renee. Rankiem — po kolejnej nocy, gdy Adrian znów się nie pojawił — postanowiłam usiąść przy jej stoliku i nie ulegać dłużej presji rówieśników. Szłam w jej stronę, gdy jeden z towarzyszy Duncana zaprosił mnie, bym usiadła z nimi. Przystanąłam niepewnie z tacą, nie wiedząc, co zrobić. Podjęłam decyzję, ale nie mogłam przecież odrzucić pierwszej od dawna okazji do nawiązania relacji towarzyskich. Po raz kolejny odpuściłam, lecz w duchu obiecałam sobie, że później naprawię sytuację z Renee.

Później nigdy nie nadeszło.

Najwyraźniej dzień spędzony we wrogiej atmosferze spotęgował w niej bunt i nie wytrzymała. Na trzeciej lekcji Renee głośno skrytykowała ograniczone stanowisko nauczyciela i alchemiczną propagandę. Wyprowadzono ją z klasy. Współczułam jej. Musiała przeżyć dwie sesje przeczyszczające z rzędu i to niedługo po wyjściu z izolacji. Kiedy wychodziła, napotkałam spojrzenie Duncana pod tytułem: „A nie mówiłem?”.

Spodziewałam się, że tego dnia podadzą nam na lunch ulubioną potrawę Renee, żeby ukarać ją jeszcze dotkliwiej. Skoro jadłospis nie został zmieniony, pomyślałam, że może jej odpuścili albo zapowiadany rosół był jej największym przysmakiem. Zapomniałam o tych rozważaniach, gdy dłuższą chwilę potem dziewczyna pojawiła się w drzwiach stołówki.

W jej oczach nie było już buntu. Straciły cały swój blask. Rozglądała się bezradnie po sali, jakby znalazła się w niej po raz pierwszy, i nie miała pojęcia, gdzie jest. Miała tępy, gapiowaty wyraz twarzy. Stała w drzwiach, nie próbując wejść ani odebrać tacy, i nikt nie

zamierzał jej pomóc.

Siedząca obok mnie Elsa wstrzymała oddech.

— Podejrzywałam, że tak może być.

— Czyli jak? — spytałam, nie rozumiejąc. — Poddali ją ostrzejszej sesji?

— Gorzej — odparła. — Nałożyli jej drugą warstwę tatuażu.

Mnie też ją nałożyli, tak jak każdemu. Nadal nie pojmowałam, dlaczego to miało być gorsze.

— Nie zrobili tego zaraz po tym, jak wyszła z izolatki?

— Wykonali standardowy zabieg — odezwał się chłopak o imieniu Jonah, siedzący przy naszym stoliku. — Pewnie uznali, że to nie wystarczyło i podwoili dawkę. Chyba tym razem przesadzili. To się czasem zdarza. Otrzymała wyraźny komunikat, ale długo nie dojdzie do siebie.

Zrobiło mi się zimno. Tego się bałam, z tego powodu pracowałam nad stworzeniem magicznego atramentu, który zwalczyłby skutki manipulacji alchemików. Widziałam już takie puste spojrzenie — u Keitha. Niedługo po opuszczeniu ośrodka reedukacji zachowywał się jak zombie i recytował nauki wpojone mu przez alchemików. Ale Keith jakoś sobie radził z codziennym życiem. Czy początkowo zachowywał się tak jak Renee? Nie mogłam znieść jej widoku. Jeszcze gorsze było to, że nikt nie pośpieszył jej na pomoc.

Zerwałam się z krzesła, lekceważąc głośne westchnienie Duncana siedzącego za moimi plecami.

Podbiegłam do Renee i ujmując ją za ramię, wprowadziłam do środka.

— Wejdz — powiedziałam, wpatrując się w nią, żeby nie widzieć, jak wszystkie oczy kierują się na mnie. — Zjesz coś?

Renee patrzyła pustym wzrokiem przed siebie, lecz po chwili zwróciła się do mnie.

— Nie wiem. Uważasz, że powinnam?

— Jesteś głodna? — spytałam.

Między jej brwiami pojawiła się niewielka zmarszczka.

— Sądzisz, że jestem? Jeśli tak nie myślisz...

Podprowadziłam ją pod okienko Baxtera.

— Tylko ty wiesz, co czujesz — odparłam stanowczo. Nie odezwała się do kucharza, a on jak zwykle o nic nie zapytał. — Renee chciałaby zjeść lunch — oświadczyłam.

Nie zareagował od razu, już myślałam, że czeka, aż ona sama go poprosi. Wówczas czekalibyśmy wszyscy dość długo. Jednak po chwili obrócił się i zabrał do przygotowywania tacy z kawałkami kurczaka. Zniosłam ją do pustego stolika i odsunęłam krzesło, pokazując Renee gestem, żeby usiadła. Dobrze reagowała na polecenia, nawet te niewypowiedziane na głos, ale gdy usiadłam naprzeciwko, nie próbowała nawet wykonać samodzielnego gestu.

— Możesz jeść, jeśli chcesz — powiedziałam. Nie poruszyła się, więc spróbowałam inaczej. — Zjedz kurczaka, Renee.

Posłusznie włożyła kawałek do ust i zaczęła go przeżuwać, podczas gdy ja przyglądałam się jej z rosnącą grozą. Z grozą i gniewem. Czyżby alchemicy naprawdę uważali, że tak należy postępować z każdym, kto kwestionuje ich autorytet? Nawet jeśli Renee z czasem dojdzie do siebie, to, co jej zrobili, było potworne. Kiedy odkryłam, że nie działa na mnie magia ich tatuaży, poczułam, że zyskałam wolność. Ale tylko ja mogłam się nią cieszyć. Pozostałym, moim przyjaciółom czy wrogom, nadal groziło wielkie niebezpieczeństwo. Nieważne, czy takie przypadki jak dzisiejszy zdarzały się rzadko. Fakt, że w ogóle się zdarzały, był nie do przyjęcia.

— Wypij mleko — poleciłam, widząc że dziewczyna skończyła jeść i znów wpatrywała się w talerz. Wypiła połowę, gdy odezwał się dzwonek. — Pora iść, Renee. Ten dźwięk oznacza,

że musimy przejść do innego miejsca.

Wstała razem ze mną. Zobaczyłam, że podchodzą do nas dwaj ochroniarze Sheridan.

— Pójdiesz z nami — oznajmił jeden z nich.

Zamierzałam ich posłuchać, ale zobaczyłam bezradne spojrzenie Renee. Lekceważąc nagłący ton strażnika, odwróciłam się do niej. — Idź za resztą i rób to co oni. Widzisz, gdzie odnoszą tace? Zrób to samo, a potem pójdz za nimi do klasy.

— Strażnik szarpnął mnie za ramię, lecz oparłam mu się, czekając, aż Renee skinie głową i pójdzie odnieść swoją tacę. Dopiero wtedy pozwoliłam się wyprowadzić. Nie byli zadowoleni z mojego drobnego aktu woli.

Zaprowadzili mnie do windy, którą zjechaliśmy piętro niżej, gdzie zwykle odbywało się przeczyszczanie. Nie dokończyłam posiłku i zaczęłam się zastanawiać, czy to dobrze, czy źle. Ku memu zaskoczeniu minęliśmy jednak znajome drzwi i poszliśmy dalej do końca korytarza, gdzie jeszcze nigdy nie byłam. Mijaliśmy po drodze pomieszczenia kuchenne i biurowe, jak sugerowały staranne napisy na drzwiach, aż stanęliśmy przed drzwiami, na których nie było żadnego znaku. To tu miałam wejść.

Pokój był urządony podobnie jak gabinet, w którym przeprowadzano przeczyszczanie. Tylko krzesło miało nietypowe poręcze. Było większe i zaopatrzone w uchwyty, na które od razu zwróciłam uwagę. Może przygotowali dla mnie ulepszony model. W środku czekała Sheridan z małym pilotem w ręku. Strażnicy przywiązali mnie do krzesła i na jej skinienie wyszli.

— Witaj, Sydney — powiedziała. — Muszę przyznać, że mnie rozczarowałaś.

— Czyżby? W tym tygodniu wzywała mnie pani już kilka razy — odparłam, myśląc o tym, jak niesprawiedliwie zachowywali się moi współwięźniowie.

Sheridan machnęła lekceważąco ręką.

— Daj spokój, obie wiemy, że koledzy zabawiali się twoim kosztem. Doskonale się spisywałaś... aż do teraz.

Znów targnął mną gniew. Sheridan doskonale wiedziała, kiedy ktoś buntował się naprawdę, a kiedy go wrabiano. Miała to w nosie.

Przełknęłam złość i zrobiłam uprzejmą minę.

— A co takiego zrobiłam, proszę pani?

— Rozumiesz, co się dziś stało z Renee, Sydney?

— Słyszałam, że nałożono jej nową warstwę atramentu — odparłam ostrożnie.

— Inni ci to powiedzieli.

— Tak.

— A wspominali, żebyś jej nie pomagała?

Zawahałam się.

— Nie wprost. Dawali do zrozumienia swoim zachowaniem, że sami nie zamierzają tego robić.

— Nie sądzisz, że powinnaś pójść za ich przykładem? — drążyła.

— Proszę wybaczyć — odparłam — ale sądziłam, że moim obowiązkiem jest słuchać pani, nie pozostałych rezydentów. Ponieważ ani pani, ani żaden z instruktorów nie zakazał mi udzielenia pomocy Renee, nie sądziłam, że robię coś złego. Przeciwnie, zareagowałam współczuciem wobec drugiego człowieka. To chyba dobrze? Przepraszam, jeśli coś źle zrozumiałam.

Długo mi się przyglądała, ale odwzajemniłam jej spojrzenie z niewinną miną.

— To, co mówisz, brzmi poprawnie. Nie jestem jednak pewna, co myślisz. Dobrze. Zaczynajmy.

Nacisnęła guzik pilota i ekran ożył, ukazując kolejne zdjęcie szczęśliwych morojów.

— Co widzisz, Sydney?

Zmarszczyłam brwi, bo uświadomiłam sobie, że zapomniała mi wstrzyknąć specyfik wywołujący mdłości. Nie zamierzałam jej o tym przypominać.

— Morojów, proszę pani.

— Źle. Widzisz stwory ciemności.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc milczałam.

— Widzisz stwory ciemności — powtórzyła.

Nieoczekiwana zmiana jej podejścia wzbudziła we mnie niepewność.

— Tego nie wiem. Może tym właśnie są. Musiałabym wiedzieć o nich coś więcej.

— Nie musisz wiedzieć nic więcej poza tym, co ci mówię. Są stworami ciemności.

Popatrzyłam na zdjęcie. Dwie dziewczyny mniej więcej w moim wieku uśmiechały się i trzymały w rękach lody w rozkach. Wyglądały jak siostry. Nie dostrzegłam w tej scenie nic złowieszczonego, chyba że ktoś kazał zjeść te lody chorym na cukrzycę. Podczas gdy się zastanawiałam, dobiegł mnie cichy trzask w prawej poręczy fotela. Górna część odsunęła się, ukazując wydrążony rowek wypełniony jakimś przezroczystym płynem.

— Co to jest? — spytałam.

— Widzisz stwory ciemności? — Sheridan odpowiedziała pytaniem.

Chyba za długo zwlekałam z odpowiedzią, bo Sheridan znów użyła pilota. Uchwyty zaciskające się na moich rękach opuściły się i znieruchomiały w momencie, gdy otarłam się przedramieniem o płyn wypełniający wyżłobienie w poręczy. Potem na powrót uniosły się w górę.

To wystarczyło. Wrzasnęłam, bo zetknięcie z płynem sprawiło mi piekący ból. Musieli użyć jakiejś substancji chemicznej. Miałam wrażenie, że włożyłam rękę do garnka z wrzątkiem. Ból ustępował powoli.

— A teraz — podjęła Sheridan słodko, stanowczo zbyt słodko po tym, co mi właśnie zrobiła. — Powiedz: „Widzę stwory ciemności”.

Tym razem nie czekała na odpowiedź. Ponownie wcisnęła guzik i pozwoliła, by moja skóra dłużej stykała się z piekącą cieczą. Byłam przygotowana i w porę przygryzłam wargę, żeby zdławić krzyk. Bolało tak samo jak za pierwszym razem. Westchnęłam z ulgą, gdy moje ramię uniosło się w górę.

Nie na długo.

— A teraz powiedz... — zaczęła od nowa.

Nie pozwoliłam jej dokończyć.

— Widzę stwory ciemności — wysapałam.

Na twarzy Sheridan pojawił się wyraz triumfu.

— Doskonale. Spróbujmy zatem czegoś innego. — Na ekranie wyświetliło się nowe zdjęcie przedstawiające grupkę morojskich uczniów. — Co widzisz?

Szybko się uczę.

— Widzę stwory ciemności — odparłam bez namysłu. To było absurdalne. Nie widziałam nic złego w tych dzieciach ani w innych morojach prezentowanych na kolejnych fotografiach, które mi pokazywała. Przebywając w izolatce, przysięgałam sobie, że zrobię wszystko, żeby stąd wyjść, więc jeśli oczekiwała, że będę powtarzała te bzdury jak papuga, za karę, że pomogłam Renee, byłam gotowa to robić.

Para morojów, znowu dzieci, stary mężczyzna... i tak dalej. Sheridan pokazywała mi kolejne osoby, a ja reagowałam tak, jak oczekiwała.

— Widzę stwory ciemności. Widzę stwory ciemności. Widzę...

Zabrakło mi słów, gdy ujrzałam nową parę morojów — moich znajomych.

Adriana i Jill.

Nie miałam pojęcia, jak zdobyła ich zdjęcie, ale nie interesowało mnie to. Serce mi podskoczyło na widok ich uśmiechniętych twarzy, twarzy, które kochałam i za którymi tak bardzo tęskniłam. Wyobrażałam ich sobie niezliczoną ilość razy, ale nie tak wyraziście jak na zdjęciu. Chłonełam każdy szczegół: światło igrające we włosach Adriana, wygięcie linii ust Jill w nieśmiałym uśmiechu. Musiałam opanować emocje. Może Sheridan chciała mnie ukarać i dlatego pokazała mi to zdjęcie, lecz ja uznałam ten gest za nagrodę. Do chwili, gdy się odezwała.

— Co widzisz, Sydney?

Otworzyłam usta gotowa wyrecytować przećwiczony zwrot, ale nie mogłam. Patrząc na twarze moich bliskich, ich oczy błyszczące radością... nie mogłam. Przekonywałam siebie, że powtarzam tylko czcze kłamstwo, a jednak nie potrafiłam potępić Adriana i Jill.

Sheridan nie traciła czasu. Moja ręka opuściła się i tym razem zanurzyła w cieczy do połowy. Doznałam szoku, dygotałam, a bolesny zabieg trwał jeszcze dłużej niż poprzednie. Kwas, którym z pewnością napełniono rowek, palił mi skórę, pobudzał boleśnie każdy nerw. Krzyknęłam. Moje ramię uniosło się w górę, ale ból nie mijał.

— Co widzisz, Sydney?

Zamrugałam, żeby pozbyć się łez, nadal wpatrywałam się w zdjęcie Adriana i Jill. „Po prostu to powiedz — nakazałam sobie. — Musisz się stąd wydostać. Musisz do nich wrócić”. Jednocześnie przyszła mi do głowy inna myśl. A jeśli tak to się właśnie zaczyna i wkrótce stanę się taka jak Keith? Czy wszystko jest w porządku, skoro powtarzam jedynie kłamstwo, żeby uniknąć bólu? A jeśli to kłamstwo ostatecznie stanie się dla mnie prawdą?

Ponieważ milczałam, Sheridan znów zanurzyła moją rękę w cieczy. Tym razem jeszcze głębiej.

— Powiedz to — rozkazała głosem pozbawionym emocji. — Powiedz mi, co widzisz.

Wyrwał mi się jęk, ale nic więcej. W myślach powtarzałam sobie: „Nie powiem tego. Nie zdradzę Adriana i Jill”. Sądziłam, że jeśli wytrzymam ból jeszcze chwilę, Sheridan odpuści, tak jak to się już zdarzało. Zamiast tego moje ramię znów zanurzyło się w piekącym płynie. Krzyczałam, czując, że ciecz wżera się w moją skórę. W pewnej chwili spojrzałam na swoją rękę przekonana, że zobaczę strzępki ciała odchodzącego od kości, ale ramię i dłoń tylko lekko się zaróżowiły. Nadal nie wiedziałam, jaka to substancja.

— Powiedz mi, co widzisz, Sydney. Powiedz, a to przerwę.

Usiłowałam zapanować nad bólem, ale nie mogłam, czułam, że płonę żywcem.

— Powiedz, co widzisz, Sydney.

Ból narastał, im dłużej moja ręka była zanurzona w cieczy, i wreszcie, czując się jak zdrajczyni, spojrzałam w oczy tych, których kochałam, i powiedziałam to:

— Widzę stwory ciemności.

— Nie słyszałam — odparła obojętnie Sheridan. — Powiedz to głośniej.

— Widzę stwory ciemności! — wrzasnęłam.

Alchemiczka wcisnęła guzik i moja ręka uniosła się nad palącą cieczą. Już chciałam odetchnąć z ulgą, gdy nieoczekiwanie, bez słowa ostrzeżenia, znów poddano mnie torturze. Tym razem zabieg przedłużył się o kolejne dziesięć sekund. Zaczęłam krzyczeć.

— Co robisz?! — zawołałam. — Myślałam, że mówiłaś...

— W tym właśnie problem — przerwała mi. Na niewypowiedziany rozkaz powróciło dwóch opryszków, którzy zaczęli mnie rozwiązywać. — Myślałam. Tak jak myślałaś, że w porządku będzie pomoc Renee. Nie myśl więcej, rób tylko to, co ci każą. Rozumiesz?

Zerknęłam na swoją rękę. Była mocno zaróżowiona, ale nie zostało na niej śladu po

moich cierpieniach. Przeniosłam wzrok na zdjęcie Adriana i Jill. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że okazałam się tak słaba.

— Tak, proszę pani.

— Doskonale — stwierdziła Sheridan, odkładając pilota. — Przejdźmy teraz do twojej następnej lekcji, dobrze?

ROZDZIAŁ 10

Adrian

ADRIAN?

Otworzyłem oczy i zaraz je zmrużyłem. Stała przede mną jakaś nieznajoma dziewczyna. Odnotowałem z ulgą, że była ubrana jak ja. Uśmiechnęła się kpiąco, dostrzegłszy moje zakłopotanie.

— Jestem Ada. Zaległeś tu wczorajszej nocy. Musisz się zbierać, bo zaraz wrócą moi rodzice.

Jakoś udało mi się usiąść. Spałem na twardej podłodze, co tłumaczyło ból pleców i głowy. Rozglądając się, zobaczyłem kilku innych imprezowiczów w równie oplakanyim stanie. Zbierali się niemrawo do wyjścia. Ada uznała, że się ocknąłem, wstała z klęczek i poszła budzić innych niezaproszonych na nocleg gości.

— Dzięki, że pozwoliłaś mi zostać! — zawołałem za nią. — Świetna impreza.

W każdym razie zakładałem, że była świetna, skoro zasnąłem na podłodze. Obok leżała pusta butelka po wermucie, ale nie wiedziałem, czy to ja go wypilem. Miałem nadzieję, że nie. Upijanie się wermutem napawało mnie smutkiem. W ciągu ostatnich dwóch tygodni imprezowałem prawie bez przerwy, lecz do tej pory nie zostawałem nigdzie na noc. Najczęściej Charlotte dbała o to, by mnie zaciągnąć do domu. W pierwszej chwili poczułem żal, że tym razem mnie zostawiła. Potem przypomniałem sobie, że jest poniedziałek. Na pewno wyszła wcześniej, żeby się wyspać przed pracą.

Było około szóstej rano, a wschodzące słońce bezlitośnie potęgowało kaca. Wokół dostrzegłem niewiele osób. Dla wampirów panował późny wieczór. Za parę godzin zaczną się szykować do spania. Nawet strażnicy ograniczali patrole o tej porze. Wlokąc się w stronę apartamentów gościnnych, minąłem tylko dwóch. Jeden z nich przystanął na mój widok.

— Adrian?

Pomyślałem, że zrobiłem się sławny, ale rozpoznałem Dymitra.

— Cześć — przywitałem się. — Dzień dobry albo coś w tym rodzaju.

— Wygląda na to, że dobry niekoniecznie dla ciebie — zauważył. — Kończę zmianę. Masz ochotę na śniadanie?

Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zjadłem coś porządnego.

— Mam pusty żołądek. Nie wiem, jak zareaguje na jedzenie.

— Skoro nie jesteś pewien, powinienes coś zjeść — zdecydował, chociaż była to pokrętna logika. — Wiem z doświadczenia.

Ciekawe, jakie to „doświadczenia” posiadał w tej kwestii. Nie miałem pojęcia, jak spędzał wolny czas. Może pochłaniał kosmiczne ilości rosyjskiej wódki. Do tej pory myślałem, że w wolnych chwilach oboje z Rose trenowali walki na macie czy co tam woleli w charakterze gry wstępnej.

— Na pewno nie masz ochoty iść do Rose? — spytałem. — Zaraz... czy ona już wróciła? Chyba wybierały się do Lehigh?

— Wróciły tydzień temu — wyjaśnił cierpliwie Dymitr. — Chodź, ja stawiam.

Poszedłem, bo naprawdę trudno było odmówić Dymitrowi Bielikowowi. Poza tym przeżyłem szok. Nie miałem pojęcia, że straciłem poczucie czasu i moje przyjaciółki są na zamku

już od dawna.

— Mogę za siebie zapłacić. A raczej — poprawiłem się z goryczą — może to zrobić mój tata, bo tylko dzięki jego forsie ja i matka wiążemy koniec z końcem.

Skierowaliśmy się do budynku, w którym mieściło się wiele restauracji. Większość była jeszcze zamknięta.

— To dlatego pławisz się w rozpaczy od powrotu? — spytał po chwili Dymitr.

— Lubię o tym myśleć jak o życiowym wyborze — odparłem. — A skąd wiesz o moim stanie ducha?

— Plotki szybko się rozchodzą — odparł wymijająco.

W restauracji, do której nas zabrał, tłoczyli się strażnicy, którzy właśnie skończyli służbę. Sądząc po ich liczbie, znalazłem się w najbezpieczniejszym miejscu na całym dworze.

— To moja sprawa — rzuciłem zapalczywie.

— Oczywiście — zgodził się. — Po prostu dawno zmieniłeś styl życia. Nie sądziłem, że do niego wrócisz.

Śniadanie serwowano w bufecie i chociaż moja matka zemdlalaby na myśl o wizycie w barze samoobsługowym, posłusznie wziąłem talerz i stanąłem w kolejce za Dymitrem. Napełniliśmy tace i usiedliśmy przy niewielkim stoliku w kącie sali. Dymitr nie tknął jedzenia, tylko pochylił się ku mnie z powagą.

— Stać cię na więcej, Adrian — powiedział. — Nieważne, jakie masz powody, stać cię na więcej. Nie wmawiaj sobie, że jesteś słabszy, niż jesteś.

Jego słowa tak bardzo przypominały to, co mówiła Sydney, że w pierwszej chwili zamarłem. W następnej ogarnęła mnie złość.

— Po to mnie zaprosiłeś? Żeby mi zrobić wykład? Nie zachowuj się tak, jakbyś cokolwiek o mnie wiedział! Aż tak się nie przyjaźnimy.

Chyba go zaskoczyłem.

— Szkoda. Miałem nadzieję, że jesteśmy przyjaciółmi. I że wiem, jaki jesteś naprawdę.

— Nie wiesz — burknąłem, odsuwając tacę. — Nikt z was nie wie.

„Tylko Sydney — pomyślałem. — I teraz by się za mnie wstydziła”.

— Wielu osobom na tobie zależy. — Dymitr nadal był uosobieniem spokoju. — Nie odwracaj się od nich.

— A może to oni odwrócili się ode mnie?! — prychnąłem, bo przypomniałem sobie, jak Lissa odrzuciła moją prośbę. — Próbowałem, ale mi odmówiono! Nikt nie chce mi pomóc. — Zerwałem się z krzesła. — Straciłem apetyt. Dzięki za podniesienie mnie na duchu.

Zostawiłem nietknięte jedzenie i wybiegłem na zewnątrz. Nie ruszył za mną, co mnie ucieszyło, ponieważ mógł mnie sprowadzić z powrotem bez najmniejszego wysiłku. Wyszedłem, bo byłem sfrustrowany i upokorzony. Słowa Bielikowa zaboląły nie tylko dlatego, że mnie osądzał — sam siebie osądzałem tak samo — ale ponieważ przypomniały mi Sydney. Powtarzała, że stać mnie na więcej. Cóż, świetnie się spisałem, dowodząc, że nie miała racji. Zawiodłem ją. Dymitr mi o tym przypomniał, choć pewnie nie taki miał zamiar.

Wróciłem do siebie i na początek wypilem parę kieliszków wódki. Potem rzuciłem się na łóżko i od razu zasnąłem. Śniłem o Sydney, ale nie było to magiczne spotkanie we śnie. Śniłem o jej śmiechu i zropaczonych — choć rozbawionych zarazem — westchnieniach „och, Adrian”, gdy zrobiłem coś głupiego. Śniłem o słońcu, które nadawało jej włosom barwę stopionego złota i wydobywało z oczu bursztynowy blask. Najśłodsze było to, że we śnie zarzucała mi ręce na szyję, a jej wargi odnajdowały moje. Moje ciało wypełniało pożądanie, a serce wzbierało miłością większą, niż mógłbym sobie wyobrazić.

Budziłem się i zasypiałem na przemian. I nagle naprawdę poczułem, jak obejmują mnie

czyjeś ramiona, a miękkie wargi dotykają moich ust. Odpowiedziałem namiętym pocałunkiem. Tak długo byłem samotny, tak bardzo zagubiony i zaplątany nie tylko w świecie, lecz także w swojej głowie! A teraz Sydney wróciła, była w moim łóżku, przywróciła mi poczucie sensu, choć wydawało się to niemożliwe. Poczułem, że przetrwam burze szalejące w moim świecie, nienormalną sytuację w rodzinie... przetrwam wszystko, skoro Sydney była obok.

Ale jej nie było.

Sydney odeszła, przebywała teraz gdzieś bardzo daleko ode mnie... To nie ona mnie obejmowała, nie jej wargi mnie całowały. Ocknąłem się i otworzyłem oczy. Blask słońca ledwo prześwitywał przez ciężkie kotary, lecz pozwolił mi dostrzec, że włosy dziewczyny leżącej w moim łóżku są czarne, nie złote. Jej oczy zaś szare, nie brązowe.

— Charlotte?

Odsunąłem ją delikatnie i sam odsunąłem się tak daleko, jak to było możliwe bez wychodzenia z łóżka. W jej oczach błyszczało rozbawienie, roześmiała się.

— Spodziewałeś się kogoś innego? Zaczekaj, nie odpowiadaj.

— Nie... ale co ty tu robisz? — Mrugałem powiekami w ciemnym pokoju. — Jak się tu w ogóle dostałaś?

— Dafeś mi klucz na wszelki wypadek, nie pamiętasz? — Nie pamiętałem, ale nie zdziwiłem się. Wyglądała na lekko rozczarowaną, że pocałowałem ją pod wpływem pijackiego impulsu. — Przestraszyłam się, bo nie odezwałeś się dziś rano, więc w porze lunchu postanowiłam sprawdzić, co u ciebie. Mam nietypowo długą przerwę.

— Napaść to nie to samo co sprawdzanie — zauważyłem.

— Trochę przesadzasz z tą napaścią — zakpiła. — Zwłaszcza że to ty zacząłeś, gdy usiadłam na twoim łóżku.

— Ja? — I znów właściwie się nie zdziwiłem. — Cóż... przepraszam. Na w pół spałem i nie wiedziałem, co robię. Śniłem.

— Odniosłam wrażenie, że doskonale wiesz, co robisz — rzuciła ostro Charlotte. Nachyliła się do mnie. — Śniłeś o niej?

— O kim?

— Dobrze wiesz. O niej. Tej dziewczynie, która cię dręczy. Nie zaprzeczaj — wtrąciła surowo, widząc, że chcę protestować. — Myślisz, że nie widzę? Och, Adrian. — Te słowa rozdrażniły mnie w jej ustach, bo jeszcze przed chwilą, w moim śnie, wypowiadała je Sydney. Charlotte lekko pogłaskała mnie po policzku. — Od razu zauważyłam, że ktoś złamał ci serce. Nie mogłam na to patrzeć. To straszne.

Potrząsnąłem głową, ale nie odsunąłem jej dłoni.

— Nie rozumiesz. Nie wiesz wszystkiego.

— Wiem, że jej tu nie ma. I że jesteś nieszczęśliwy. Proszę... — Przysunęła się i nachyliła nade mną, jej włosy utworzyły zasłonę czarnych loków wokół nas. — Pociągasz mnie od chwili, kiedy cię poznałam. Pozwól, że poprawię ci samopoczucie...

Pochyliła się niżej, żeby mnie pocałować, ale uniosłem rękę, żeby ją powstrzymać.

— Nie... nie mogę.

— Dlaczego? Czy ona wróci?

W jej głosie nie było okrucieństwa, ale wyzwanie. Odwróciłem wzrok.

— Ja... nie wiem.

— Więc czemu z tym walczysz? — spytała błagalnie. — Wiem, że mnie lubisz. Co ważniejsze, rozumiesz mnie. Nikt nie wie, jak to jest huśtać się na falach ducha i znosić to, co my znosimy. Czy to nie jest coś warte? Mieć przy sobie kogoś i nie być samotnym?

Znów spróbowała mnie pocałować i tym razem jej nie powstrzymałem. Trudno było

z nią dyskutować. Z pewnością nie kochałem jej tak jak kochałem Sydney, ale rozumieliśmy się nawzajem. Nie oceniała mnie ani nie doradzała, jak poradzić sobie z rozpaczą. I miała rację: miło było nie czuć się samotnie.

I nagle słowa matki uderzyły mnie jak policzek: „Przestań ścigać marzenia i poszukaj kogoś, kto pomoże ci zbudować stabilizację. Tak postąpiliśmy z twoim ojcem”.

Co ja tu robię z Charlotte? Buduję stabilny związek z kimś, kto ma podobne wady i akceptuje moją potrzebę ucieczki, a kogo nie kocham? To nie byłby zły układ. Charlotte by tego dopilnowała. Moglibyśmy spędzić ze sobą życie, użalając się nad trudami władania mocą ducha i imprezując w nadziei przepędzenia mroku choć na krótkie chwile. To byłoby przyjemne. I stabilne, jak powiedziała by moja matka. Ale nigdy nie starałbym się być lepszy. Nie dążyłbym do wielkości, do której przekonywała mnie Sydney. I nigdy, przenigdy nie doznałbym tej ekstazy, przekraczającej wszystko miłości, którą czułem w obecności Sydney i która sprawiała, że wiedziałem, co to znaczy być żywym.

To nie byłoby trudne — szepnęła ciotka Tatiana, nieprzewidywalna jak zwykle. Ona jest obok. Wykorzystaj ją. Ból zniknie. Tamta dziewczyna jest daleko, a ta tuż przed tobą. Poddaj się. Powiedz tak. Tak, tak, tak...

— Nie — zaprotestowałem.

Przerwałem ten pocałunek i wstałem, żeby odsunąć się na bezpieczną odległość. Byłem głupcem. Słabym, leniwym głupcem. Podałem się przygnębieniu z powodu problemów w domu rodzinnym i braku jakiegokolwiek znaku od Sydney. Nie zrezygnowałem z niej. Zrezygnowałem z siebie, zanurzyłem się w dekadentckim życiu dworskim, ponieważ to było łatwe — dużo łatwiejsze od poszukiwania Sydney i bycia silnym, gdy wszystko wokół pozbawia nadziei.

— Przykro mi, Charlotte, ale nie mogę — powiedziałem, wkładając w te słowa jak najwięcej siły. — Przepraszam, jeśli dawałem mylne sygnały. Lubię z tobą wychodzić, ale nigdy nie poczuję do ciebie nic więcej. W tej sytuacji nie możemy się do siebie zbliżyć. Przykro mi. Nie mamy przed sobą przeszłości.

Trochę przesadziłem, głównie dlatego, że przekonywałem zarazem siebie samego. Charlotte zwiesiła głowę, a ja za późno zdałem sobie sprawę, że powinienem był znaleźć łagodniejszy sposób wyrażenia tego, co czuję — zwłaszcza że znam wrażliwość adeptów ducha. Charlotte już się nie uśmiechała, skurczyła się, jakbym ją uderzył. Wstała, walcząc ze łzami, i usiłowała zachować twarz.

— Rozumiem — powiedziała. Głos jej drżał. Znów wyla mywała rękę, omal nie wbijając paznokci w skórę. — Przykro mi, że zajęłam ci tyle czasu przez ostatnie tygodnie. Powinłam była wiedzieć, że towarzystwo sekretarki uwłacza lordowi Adrianowi Iwaszkowowi.

Teraz ja się skrzywiłem.

— Charlotte, to zupełnie nie tak. Naprawdę chciałbym się z tobą przyjaźnić. Jeśli tylko pozwolisz mi wytłumaczyć...

— Nie zwracaj sobie głowy. — Odwróciła się ode mnie i ruszyła do wyjścia. — Nie chciałabym zabierać ci więcej czasu, poza tym muszę coś zjeść, zanim upłynie moja przerwa na lunch. Przepraszam, że cię zbudziłam. Cieszę się, że nic ci nie jest.

— Charlotte — spróbowałem jeszcze, ale ona już wyszła. Usłyszałem tylko głośnie trzaśnięcie drzwiami.

Opadłem z powrotem na łóżko. Czułem się beznadziejnie. Nie chciałem, żeby tak się to skończyło. Nie chciałem też wielu innych rzeczy. Popadłem w przygnębienie i musiałem się mocno postarać, żeby od razu nie sięgnąć po drinka.

— Nie — oznajmiłem głośno. — Z tym już koniec.

Byłem uzależniony. Oszukiwałem siebie (bardziej niż zwykle), że mogę sobie beztrudnie

popijać za dnia, jeśli nocą co jakiś czas będę szukał Sydney. A właśnie... kiedy to próbowałem się z nią skontaktować po raz ostatni? Z początku szukałem jej niemal bez przerwy. Teraz... robiłem to sporadycznie, zwykle budząc się na kacu. Kiedy zapadała ciemność, pora snu dla ludzi, jeśli Sydney wciąż była w Stanach, zwykle miałem już na koncie kilka drinków. Opuściłem sobie, straciłem zapał po serii porażek i zawirowań. Zamierzałem to jednak zmienić. Wytrzeźwieję i przywołam pełną moc ducha, żeby móc jej szukać za dnia. Nieważne, ile poniosłem porażek. Któregoś dnia ją odnajdę.

Mimo pulsującego bólu głowy wprowadziłem się w trans niezbędny do przywołania mocy ducha. Wybiegłem myślą do Sydney. Nie napotkałem jej, ale się nie przejąłem. Wróciłem z przekonaniem, że spróbuję jeszcze raz. Wziąłem prysznic i zmyłem z siebie nocną imprezę. Zorientowałem się, że mój żołądek może już przyjąć jakiś pokarm, i zjadłem resztki pączka, którego przyniosłem do domu poprzedniego dnia. A może jeszcze wcześniej. Był gumowaty, ale przyniósł pożądany skutek.

Przeżuwać ciastko, układałem w myślach listę spraw, wśród których nie było nocnych imprez. Po pierwsze, przeprosiny. Należały się Charlotte i Dymitrowi, wobec którego zachowałem się jak ostatni dupek. Powinienem również porozmawiać z matką. Fakt, że ona zrezygnowała z siebie, nie oznaczał, że muszę zrobić to samo. Postanowiłem zacząć właśnie od spotkania z nią, bo to jej nie widziałem najdłużej. Po drodze zamierzałem odwiedzić karmiciela. Nie pamiętałem już, kiedy ostatnio piłem krew, która z pewnością rozjaśni mi w głowie.

Stałem już w drzwiach, gdy nagle przyszło mi na myśl jeszcze raz przywołać Sydney. Może przesadzałem, próbując co godzinę, ale uznałem, że regularny trening pomoże mi zachować trzeźwość i dyscyplinę. Czuję, że to ważne, bym nabrał nowej rutyny. Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki wdech. Wypuściłem macki ducha do świata snów, jak zwykle szukając Sydney i...

Tym razem ją odnalazłem.

Przeżyłem szok. Tak dawno już nie udało mi się nawiązać połączenia z kimkolwiek, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, co robić. Nie zaplanowałem żadnej scenerii, bo działałem automatycznie, bez nadziei na efekt. Wszystko wokół migało i gdy poczułem, że Sydney materializuje się we śnie, szybko przywołałem obraz miejsca, w którym często się spotykaliśmy: Getty Villa w Malibu. Otoczyły nas kolumny i rabaty wokół centralnego punktu muzeum, wielkiego basenu z fontanną. Sydney pojawiła się po drugiej jego stronie. Przez parę chwil wpatrywałem się w nią pewien, że to sobie wyobrażam. Czy można mieć halucynacje w stworzonym przez siebie śnie? Chyba jednak objawy delirium nie pojawiają się tak szybko po odstawieniu alkoholu.

— Adrian?

Mówiła cicho, niemal jej nie słyszałem pośród szumu wody. Ale sama jej obecność wywarła na mnie potężne wrażenie. Czuję, że mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa, a moja klatka piersiowa zaczęła się nadymać od nadmiaru emocji, których nie umiałbym opisać. To była miłość, radość, ulga, niedowierzanie. Mieszały się z nimi emocje towarzyszące mi od kilku miesięcy: rozpacz, lęk, smutek. Zawładnęły mną teraz, poczułem, że łyzy napływają mi do oczu. To niemożliwe, by jedna osoba wzbudzała w drugiej tak wiele uczuć, że mogła uruchomić cały ich wszechświat, wypowiadając tylko twoje imię.

Zrozumiałem, że oni wszyscy się mylili. Moja matka, ojciec, Charlotte. Każdy, kto sądził, że miłość opiera się na wspólnych celach, nigdy nie przeżywał tego co ja, gdy byłem z Sydney. Nie mogłem uwierzyć, że omal tego wszystkiego nie straciłem z powodu swojej ignorancji. Do chwili, kiedy spojrzałem jej w oczy, nie uświadamiałem sobie, jak puste prowadziłem życie.

— Sydney...

Nie traciłem czasu na okrążanie wielkiego zbiornika. Przeskoczyłem cembrowinę i brnąłem ku niej w wodzie. Zrobiłbym to, nawet gdyby to nie był sen. Nic innego się nie liczyło. Tylko to, żeby znaleźć się przy niej. Mój cały świat, całe życie skupiło się na niej. Przejście na drugą stronę zajęło mi kilka sekund, lecz wydawało mi się, że idę latami. Nareszcie stanąłem na rozgrzanych słońcem kamieniach, ociekając wodą. Zawahałem się tylko chwilę, a potem chwyciłem ją w ramiona, na poły spodziewając się, że rozplynie się w powietrzu. Ale ona była prawdziwa. Istota z krwi i kości, której ciało zadrżało powstrzymywanym łkaniem, gdy złożyła głowę na mojej piersi.

— Och, Adrian. Gdzie byłeś?

Nie miała pretensji, wyrażała tylko wielką tęsknotę i lęk. Nie mogła wiedzieć o demonach, z którymi zmagalem się w ciągu ostatnich tygodni. Nie miała pojęcia, że niemal zaprzepaściłem tę szansę. Ująłem jej twarz w dłonie i zajrzałem w brązowe oczy, które tak bardzo kochałem, oczy, w których teraz błyszczały łzy.

— Przepraszam — wyszeptalem. — Tak bardzo mi przykro. Szukałem cię długo... ale nie mogłem odnaleźć. A potem załamalem się. Wiem, że nie powinienem był. Ty nigdy byś nie zrezygnowała. Boże, Sydney, przepraszam cię. Gdybym bardziej się postarał, może szybciej...

— Nie, nie — zaprzeczyła łagodnie, przesuując dłonią po moich włosach. — Do niedawna nie mogłeś nic zrobić. Kontrolują nasz sen, rozpylając gaz w powietrzu. Byłam tak otępiała, że nie mógłbyś nawiązać ze mną kontaktu. — Zadrżała. — Tak bardzo się bałam, że już cię nie zobaczę, że nie znajdę drogi wyjścia...

— Cii. Odnalazłaś mnie. Teraz wszystko będzie dobrze. Gdzie jesteś?

W jednej chwili nastąpiła w niej niezwykła przemiana. Wyglądała tak, jakby pragnęła tylko się do mnie tulić i wypłakiwać cały swój strach i frustrację narosłe w ciągu ostatnich miesięcy. Wiedziałem, bo czułem to samo. Wypełniała ją bezbrzeżna tęsknota, przeszła piekło, a jednak pozostała najsilniejszą, najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znałem. Na moich oczach przegnała cały swój lęk i niepewność, odsunęła nawet pragnienie szukania ukojenia w moich ramionach. Stała się Sydney Sage, jaką była, gdy się poznaliśmy: skuteczną, silną i kompetentną. Gotową dokonywać trudnych wyborów, by osiągnąć to, co sobie zamierzyła.

— Racja — powiedziała, wycierając łzy. — Może nie będziemy mogli długo rozmawiać. Nie wiem, jak długo spałam. I... nie wiem, gdzie jestem. Nie widziałam okna od czasu wprowadzenia. Trzymają nas pod ziemią.

— Nas? — spytałem.

— Dwanaścioro, nie, teraz już trzynaścioro, bo dołączyła do nas nowa dziewczyna. Wszyscy są byłymi alchemikami, którzy popadli w tarapaty. Każdy na innym etapie programowania. Niektórzy tylko udają, jestem tego pewna. Każą nas surowo za każde wykroczenie.

— W jaki sposób? — chciałem wiedzieć.

Do tej chwili wpatrywałem się w nią jak urzeczony, niewidzącym wzrokiem, i dopiero teraz bacznie jej się przyjrzałem. Miała na sobie obrzydliwy workowaty strój w kolorze khaki, a jej złote włosy znacznie urosły. Wydawała się szczuplejsza, ale tego nie byłem pewien. Jeśli władający duchem nie zmienił wyglądu drugiej osoby, zwykle pojawiała się we śnie jako połączenie swoich rzeczywistych cech i tych, które sama w sobie widziała. Często były to cechy rozbieżne. Nakazałem sobie w myślach zapytać ją później o stan fizyczny.

— To bez znaczenia — odparła szybko. — Nic mi nie jest, jestem pewna, że inni tutaj myślą tak samo jak ja, tylko boją się działać. Inni zostali przeprogramowani. Zachowują się jak Keith. Są... — Jej oczy się rozszerzyły. — Keith. Mam.

— Keith? — powtórzyłem głupio. Wciąż nie dawała mi spokoju myśl o tych

tajemniczych karach i nie rozumiałem, co może mieć z tym wspólnego jej dawny kolega z branży, kompletny palant.

— Był tutaj. Długo przede mną. W tym samym budynku. — Ścisnęła mnie za rękaw w podnieceniu. — Mają tu taką ścianę, na której ludzie zapisują swoje wyznania, i on też coś napisał. To były przeprosiny kierowane do mojej siostry Carly. Był tutaj i wyszedł. Może wiedzieć, gdzie znajduje się ten budynek. Przecież musiał stąd wyjść na zewnątrz, prawda?

— Czy nie mówiłaś, że był kompletnie oszołomiony? — spytałem. — Może nie będzie nawet w stanie z nami rozmawiać.

Twarz jej pociemniała.

— Tak... nic do niego nie docierało. To się zdarza ludziom, którym niedawno nałożono drugą warstwę tatuażu. Ale w większości przypadków najgorsze skutki mijają z czasem i nawet jeśli ofiary pozostają posłuszne i uległe, odzyskują jasność myślenia. Może coś ci podpowie, jeśli go znajdziesz.

— To nie będzie łatwe — mruknąłem, wspominając, jak trudne okazało się odnalezienie ojca Sydney i Zoe. — Alchemicy niechętnie wyjawiają miejsca pracy swoich ludzi.

— Marcus ci pomoże — oświadczyła stanowczo. — Nie patrz tak. Zrobi to. Ma swoje źródła. Na pewno zdołacie odsunąć na bok animozje i współpracować.

Skrzywiłem się, słysząc jego imię, a ona źle mnie zrozumiała. Nie wiedziała, że od chwili jej zniknięcia utrzymuję stały kontakt z Marcusem. Skrzywiłem się, bo z nim również nie rozstałem się ostatnio w przyjaźni, ale to nie był jej problem.

— Będziemy współpracować — zapewniłem. — Poza tym Marcus ma listę...

Postać Sydney zaczęła się rozpląwać, powracała do realnego świata.

— Muszę się obudzić — powiedziała smutno.

Uścisnąłem ją, ale rozwiąła się w moich rękach. Spanikowałem. Tak wiele jeszcze chciałem się od niej dowiedzieć, zostało mi ledwie parę sekund.

— Porozmawiam z Marcusem i znów cię odnajdę. Sypiasz zawsze o tej samej porze?

— Tak. Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

Nie wiem, czy to usłyszała, bo nagle znalazłem się sam w ogrodzie, w pełnym słońcu Malibu, z fontanną szumiącą za plecami. Wpatrywałem się w miejsce, w którym stała jeszcze przed chwilą, i pozwoliłem, by sen się rozwiął. Powróciłem do pokoju. Stałem przed drzwiami, właśnie szedłem odwiedzić matkę. Ale teraz wszystko się zmieniło. Odnalazłem Sydney! Widziałem ją, całą i zdrową... w pewnym sensie.

Na myśl o matce poczułem ukłucie w sercu, lecz nie mogłem teraz do niej pójść. Chciałem naprawić sytuację między nami, chciałem pogadać z Charlotte, Dymitrem, Rose i Lissą. Ale żadne z nich nic by teraz dla mnie nie zrobiło. Musieli poczekać. Teraz liczyli się ludzie, którzy pomogą mi odnaleźć Sydney.

Sięgnąłem po komórkę i zacząłem przeglądać ceny biletów do Palm Springs.

ROZDZIAŁ 11

Sydney

ROZSTANIE Z ADRIANEM było udręką, ale obudziłam się z nową nadzieją. Ogarnął mnie większy entuzjazm niż wtedy, gdy zablokowałam dopływ gazu. Kiedy się ubierałam, zauważyłam, że Emma przygląda mi się bacznie, więc moja mina musiała coś zdradzać. Postarałam się to ukryć. Emma nie odważyła się o nic zapytać, dopóki byliśmy pod obserwacją kamer, ale widziałam, że jest zaciekawiona. Dopiero gdy dołączyliśmy do reszty w drodze na śniadanie, zrównałam się z nią.

— Udało się — mruknęłam. — Wysłałam wiadomość.

Była alchemiczką, przywykła do nadzwyczajnych zjawisk, więc nie pytała o szczegóły. Uwierzyła mi bez słowa i skoncentrowała się na konkretach.

— To znaczy, że pomoc jest w drodze? Jakiś rycerz w lśniącej zbroi uwolni nas wszystkich?

— Niezupełnie — przyznałam. — Tym bardziej że nie wiem, gdzie jesteśmy. Ty wiesz?

Westchnęła tylko, przewracając oczami.

— A jak myślisz? Mieszkamy w jednym pokoju. Widziałaś po mojej stronie okno?
— rzuciła i dołączyła do Amelii i reszty.

Właściwie nie zdziwiłam się, że Emma nie wie, gdzie nas przetrzymują. Duncan także nie wiedział. Żaden z więźniów nie potrafił rozwikłać tej tajemnicy. Musiałam to rozgryźć sama, jeśli znów będę miała okazję porozmawiać z Adrianem. Nie, kiedy będę miała okazję.

Szorstość Emmy już mnie nie bolała, bo uwaga reszty przeniosła się na innego nieszczęśnika. Chłopak o imieniu Jonah, rówieśnik Duncana, nieopatrznie wyraził swoje poglądy na lekcji historii i zrobił to bardziej radykalnie niż ja pierwszego dnia. Zasłużył tym samym na przeczystwienie i dezaprobatę władz. Część więźniów natychmiast się od niego odsunęła, ale Duncan i ludzie przy jego stoliku nadal z nim rozmawiali. Od niedawna wolno mi było siedzieć z nimi, dzięki czemu usłyszałam całą historię.

— Wszystko zepsułem — mrucał Jonah, by nikt poza nami go nie mógł słyszeć. — Tak dobrze mi szło. Mogłem stąd wyjść! Ale Harrison tak mnie wkurzył swoimi tak zwanymi historycznymi faktami na temat dampirów i...

— Cii — odezwał się Duncan. Uśmiechał się przy tym beztrząsowo na użytek tych, którzy nas obserwowali. — Wyluzuj. Oni wszystko widzą. Pogarszasz tylko swoją sytuację. Uśmiechaj się.

— Jak mam się uśmiechać?! — wybuchnął Jonah. — Wiem, co mnie czeka. To samo co Renee. Nałożą mi nowy tatuaż o silniejszym działaniu! Kompletnie mnie przenieją!

— Tego nie wiesz — zaprotestował Duncan, ale zdradził go wyraz twarzy.

— Ludzie różnie reagują — dodała Emma. Kiedy tu przyszłam, odsunęła się ode mnie z krzesłem, ale zdążyłam się już zorientować, że nie jest taka zła, tylko przerażona jak wszyscy.
— Nie trzymaliby nas tutaj, gdyby chcieli nas wszystkich przenieć. Może zwalczysz skutki.

Jonah był sceptyczny.

— Zależy, jak silną dawkę mi wstrzykną.

Przypomniał mi się Keith, który po wyjściu stąd zachowywał się jak automat. Zorientowałam się już, że mogli go tak odmienić przez szczególnie surowe traktowanie lub silny

atrament, jaki podali Renee. Przy stoliku zapadła cisza, a ja zmagalam się z decyzją. Duncan zapowiedział mi, że akceptację grupy mogę zdobywać tylko małymi krokami i chociaż pozwolili mi się przysiąc, nie powinnam się wychylać. Zapewne była to cenna rada, ale nieoczekiwanie wypaliłam:

— Chyba mogę ci pomóc.

Jonah utkwil we mnie wzrok.

— Jak? — spytał.

— Wyglupia się — rzucił Duncan. — Prawda, Sydney? — spytał z naciskiem.

Byłam mu wdzięczna za troskę, ale strach Jonaha podziałał na mnie silniej. Jeśli mogłam zapobiec temu, by przemienił się w drugiego Keitha, musiałam to zrobić. „Jesteś pewna? — spytał wewnętrzny głos. — Zrobiłaś wielki krok, kontaktując się z Adrianem. Musisz siedzieć cicho, zanim ustalą coś z Marcusem. Po co ryzykować wszystko, pomagając komuś innemu?”.

To było istotne pytanie, ale znałam odpowiedź: ponieważ tak należy postępować.

— Nie wyglupiam się — oznajmiłam stanowczo. Duncan westchnął, ale pozwolił mi kontynuować. — Mogę przyrządzić składnik, którzy przewalczą skutki ich magii.

Jonahowi nieco zrzędlą mina.

— Prawie ci uwierzyłem. Za nic w świecie nie dadzą ci dostępu do banku alchemicznych chemikaliów.

— Nie są mi potrzebne. Wystarczy... — Spojrzałam na stół. — Ta solniczka. A właściwie sól. Myślicie, że mogę ją wynieść tak, żeby nikt nie zauważył?

Patrzyli na mnie z powątpiewaniem, tylko Emma się włączyła.

— Wynieść tak... ale na pewno zauważą później jej zniknięcie i zaczną zadawać pytania.

Miała rację. Znając alchemików, na pewno liczyli wszystkie sztuczki po każdym posiłku. Brak solniczki nasunie im podejrzenie, że szykujemy bombę z plastikowego pojemnika. Nieznacznie przesunęłam swoją serwetkę na środek stołu i sięgnęłam po solniczkę. Uniosłam ją nad tacą, żeby posolić jajecznicę i jedną ręką poluzowałam zakrętkę. Gdy cofnęłam rękę, żeby odstawić solniczkę na miejsce, wysliznęła mi się i upadła na stół, a sól się rozsypała na serwetkę.

— Och — zawołałam cicho, odstawiając solniczkę. — Nakrętka była poluzowana. Przesunęłam serwetką po stole, jakbym go wycierała, a tymczasem złożyłam ją, tworząc zawiniątko z solą. Położyłam je obok swojej tacy, by wsunąć je do kieszeni, gdy będziemy wychodzić. Serwetki wyrzucano przy odnoszeniu tac. Nikt ich nie liczył.

— Zgrabnie ci poszło — zauważył Duncan, który wciąż miał jednak niezadowoloną minę. — To ci wystarczy?

— Właściwie tak — potwierdziłam. Nie byliśmy aż tak zaprzyjaźnieni, bym mogła im opowiedzieć o magii. — Poszłoby łatwiej, gdybym miała składniki łączące się z atramentem, ale wstrzyknięcie roztworu soli — po tym, jak go przyrządzę — powinno załatwić sprawę. — Kiedy wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie kolejny problem i jęknęłam. — Nie mam czym zrobić zastrzyku! — Sól było łatwo zdobyć, ale nikt nie rozkładał strzykawek w ogólnie dostępnych miejscach.

— Pistolet do tatuaży? — spytał Jonah.

Rozważałam to, co wiedziałam o procesie nakładania tatuaży, i swoje doświadczenia w tym względzie.

— Tak byłoby idealnie. Prawdziwy tatuaż z solidną dawką atramentu zapewniłby ci trwałą ochronę. Ale może udałoby się osłonić cię tymczasowo. Wystarczy zwykła strzykawka, jakich używają do wzmacniania tatuaży.

Duncan uniósł brew.

— Tymczasowa osłona?

— Uodporni go na wszelkie manipulacje alchemików w najbliższej przyszłości — wyjaśniłam z przekonaniem. — Powiedzmy w ciągu kilku miesięcy. Ochrona na całe życie wymaga nałożenia specjalnego tatuażu.

— Mogą być miesiące — rzucił Jonah.

— Szkopuł w tym, że nie mogę ci podać roztworu bez igły. Nie stworzę jej z niczego. Przykro mi. Chyba się niepotrzebnie wyrwałam.

— Wcale nie — zaprzeczył. — W gabinecie, gdzie nam serwują przeczyszczanie, leży mnóstwo takich igieł. Widziałem je w szafce przy umywalce. Postaram się tam trafić i jedną zwinę.

Siedząca obok Lacey zachnęła się.

— Jeśli znów coś przeskrobiesz w tak krótkim czasie, nie wyślą cię na przeczyszczenie. Nałożą ci drugi tatuaż albo coś jeszcze gorszego. — Nagle wszyscy poczuliśmy groźbę tej sytuacji. — Biorę to na siebie — oświadczyła. — Na następnej lekcji.

— Nie — sprzeciwiłam się. — Ja to zrobię. Zdobędę igłę i nikt nie będzie musiał mi jej przekazywać. Jonah może zostać zabrany szybciej, niż się spodziewamy. — Miałam rację, ale tak naprawdę po prostu nie chciałam, żeby ktoś przechodził tortury z mojego powodu. Spojrzenie Amelii wciąż rzucało mi gromy. Nie chciałam narobić sobie więcej wrogów. Przeczyszczanie było obrzydliwe, ale nie trwało wiecznie. Poza tym okazało się nieszkodliwe, skoro na widok Adriana bynajmniej nie poczułam mdłości. Przeciwnie, miałam ochotę go pocałować.

Siedzący przy stoliku uznali, że jest to bohaterski gest z mojej strony. Zwłaszcza Jonah był pod wrażeniem. Pozostali uważali tak jak Duncan, że popełniam wielki błąd, lecz nie próbowali mnie powstrzymać.

— Dziękuję — powiedział Jonah. — Poważnie. Będę twoim dłużnikiem.

— Jesteśmy w tej samej sytuacji — odparłam skromnie.

Zaskoczyłam ich tą uwagą, ale właśnie odezwały się dzwonki obwieszczające koniec śniadania i musieliśmy zakończyć rozmowę. Udało mi się wynieść sól i ukryć ją w bucie, gdy w drodze do klasy przyklęłam, żeby podciągnąć skarpetkę. Patrząc, jak zajmują miejsca, pomyślałam, że najlepiej od razu zabrać się do dzieła. Nie chciałam, żeby Lacey się dla mnie poświęcała, lecz postanowiłam ją wykorzystać, jako że siedziała najbliżej.

— Posłuchaj, Lacey — podjęłam, nawiązując do rzekomej rozmowy prowadzonej wcześniej w stołówce. — Niczego ci nie zarzucam... po prostu wprowadzono cię w błąd. Dopóki strzygi nie zostaną unicestwione raz na zawsze, nie ma nic złego w uprzejmym traktowaniu morojów.

Zauważyłam z uznaniem, że błyskawicznie zorientowała się w moich zamiarach.

— Nie mówiłaś o uprzejmym, ale o przyjacielskim ich traktowaniu. Wszyscy wiemy, że to grząski grunt, popatrz na siebie.

Zrobiłam obrażoną minę.

— Uważasz, że raz na jakiś czas nie wolno się nawet umówić z którymś na lunch?

— Nie, jeśli to nie spotkanie w interesach.

— To naprawdę idiotyczne! — wykrzyknęłam.

Kennedy, наша instruktorka, podniosła głowę znad biurka.

— Jakiś problem, moje panie?

Lacey oskarżycielsko wskazała mnie palcem.

— Sydney próbuje mnie przekonać, że można swobodnie kontaktować się z morojami poza pracą.

— Nie mówiłam nic o swobodnych kontaktach! Twierdzą jedynie, że jeśli się z nimi pracuje, można czasem wyskoczyć razem na obiad czy do kina.

— I w ten sposób narobić sobie kłopotów. Trzeba pilnować granic, jasno odróżniać czarne od białego.

— Tylko jeśli się nie ma oleju w głowie i uważa, że są równie niebezpieczni jak strzygi. Ja potrafię bezpiecznie poruszać się w szarej strefie.

Lacey zgrabnie nawiązała do wykładu z poprzedniego dnia. Kennedy użyła wówczas metafory czerni, bieli i szarości. Teraz próbowała nas uciszać, ale jej nie słuchałam i nadal atakowałam Lacey. Dziesięć minut później pomaszerowałam do gabinetu. Sheridan wyglądała na zaskoczoną moim widokiem.

— Szybko wróciłaś — zauważyła. — A tak dobrze ci szło.

— Wiecznie zdarzają im się wypadki — wtrącił jeden z opryszków.

Skinęła głową i wskazała mi krzesło.

— Znasz procedurę.

Znałam. Było równie okropnie jak zawsze, może nawet gorzej, bo chwilę wcześniej zjadłam śniadanie. Kiedy wreszcie mogłam wszystko zwymiotować, pozwolili mi umyć zęby w umywalce. Zapasowe szczoteczki znajdowały się tuż obok szafki ze strzykawkami. Odkręciłam kurek i rozejrzałam się, a potem udawałam, że spluwam. Nie patrzyli na mnie, pewnie uznali, że w tym pomieszczeniu nie mogę wywinąć żadnego numeru. Sięgnęłam po szczoteczkę, zamierzając jednocześnie otworzyć szafkę.

Nieoczekiwanie pojawił się problem, a ja miałam tylko ułamek sekundy, żeby go rozwiązać. Jak wynieść stąd strzykawkę? Nie miałam kieszeni. Strzykawka była opakowana folią, a igła okryta kapturkiem. Teoretycznie mogłabym ją wsunąć do skarpetki, nawet do stanika. Wówczas jednak zwróciłabym na siebie uwagę.

Nagle ktoś stanął w drzwiach i wszyscy zwrócili się w tę stronę. Do gabinetu wszedł Duncan pod eskortą dwóch strażników.

Spojrzał na mnie nagłaco i zaczął głośno protestować.

— Dajcie spokój, tylko się wygłupiałem! To był żart, na litość boską. — Próbowali go zaciągnąć na fotel, ale on się zaparł nogami. — Przepraszam, nigdy więcej tego nie zrobię! Proszę, nie każcie mi przez to przechodzić. Od tak dawna już nie musiałem.

Zrozumiałam, że nieprzypadkowo trafił tutaj w krytycznej dla mnie chwili. Musiał starannie wyliczyć moment, w którym pozwolił sobie na „żart”, by ułatwić mi zadanie. Tymczasem ja gapiłam się na niego, marnując cenną okazję. Błyskawicznie sięgnęłam do szafki, zabrałam strzykawkę oraz szczoteczkę do zębów, a potem wsunęłam strzykawkę do skarpetki. Jak gdyby nigdy nic umyłam zęby, pozornie obojętna na los przyjaciela, który mi pomagał.

Duncan siedział już w fotelu, gdy mnie wyprowadzali. Sheridan kręciła głową we frustracji.

— Co za poranek.

Kiedy dołączyłam do reszty na następnej lekcji, Jonah i kilkoro innych zerkało na mnie z ciekawością. Zdobyłam się na krótkie skinienie głową, a z Jonahem porozmawiałam później, gdy wychodziliśmy z klasy.

— Roztwór jeszcze nie jest gotowy, ale mam wszystko, czego mi potrzeba.

— Nie chcę cię ponaglać — szepnął, patrząc prosto przed siebie. — Podśledzałem jednak, jak Addison mówiła Harrisonowi, że po tych wszystkich wybrykach powinni podjąć bardziej radykalne rozwiązania.

— Zrozumiałam — mruknęłam.

Duncan wrócił na następną lekcję Świadomego i Moralnego Życia. Był w kiepskiej formie. Od razu przybrał odpowiednio skruszoną minę. Szczegóły incydentu poznałam dopiero w drodze na lunch.

— Miałaś nie robić nic głupiego — przypomniałam.
— Nie zrobiłem nic głupiego. Chroniłem ciebie. Nie dałabyś rady wynieść tej strzykawki. Podobno serwują dziś manicotti na lunch. Mój największy przysmak — westchnął. — Proszę bardzo.

— Co takiego powiedziałaś Lacey, że cię ukarali? — spytałam.
Omam się nie uśmiechnął, lecz przypomniał sobie, że nas obserwują.
— Podjąłem wasz spór i powiedziałem jej, żeby nie bała się tak kontaktu z morojami. Zasugerowałem, że straszna z niej sztywniara i powinna trochę wyluzować.

Bardzo się starałam, by nie parsknąć śmiechem.
— Czy Lacey wie, że nie mówiłaś poważnie?
— Mam nadzieję. Oboje uratowaliśmy ją dzisiaj od męki przeczyszczania. Dokąd to? Byliśmy już blisko stołówki, ale zamierzałam zawrócić.
— Do jedyne go miejsca, w którym dziewczyna może liczyć na odrobinę prywatności. Zaraz wracam.

Skręciłam w korytarz, przy którym znajdowały się toalety. Miałam prawo z nich korzystać w porze przerwy na lunch, o ile nie zabawiłabym tam zbyt długo. W pomieszczeniu z umywalkami zainstalowano kamery (pewnie się bali, że ktoś zbije lustro i użyje go jako broni), ale kabiny nie były pod obserwacją. Zamknęłam się w jednej i od razu zabrałam się do pracy, wiedząc, że mam mało czasu.

Od miesiący nie praktykowałam magii i zdziwiłam się, jak naturalnie i szybko przeprowadziłam cały proces. Wyjęłam cenne zawiniątko z solą i ostrożnie wsypałam ją do strzykawki. Zaczęłam od magii ziemi. Na ostatniej lekcji celowo dotknęłam rośliny doniczkowej i pobrudziłam palce ziemią. Teraz mogłam wezwać jej esencję, powtarzając słowa, które czerpały z niej moc i napełniały nią sól. Wraz z przyływem magii przeszedł mnie dreszcz, omam głośno nie westchnęłam. Nie uświadamiałam sobie, jak bardzo za tym tęskniłam i jak ożywiona się czułam podczas rytuału. W tym piekielnym miejscu było to krzepiące uczucie.

Następnie wezwałam żywioł powietrza, co również nie nastroczało trudności, skoro znajdowało się wszędzie. Podobnie woda, miałam przed sobą muszlę klozetową, a higieną nie musiałam się przejmować, skoro odwoływałam się jedynie do magicznej esencji żywiołu. Najtrudniej było przywołać ogień, alchemicy nie zostawiali zapalek na widoku. Nic dziwnego, pożar w tym budynku byłby katastrofą. Musiałam wykrzesać magiczny płomień.

Panna Terwiliger długo kazała mi ćwiczyć ciskanie kulami ognia, więc opanowałam tę sztukę doskonale. Wypowiedziałam szeptem zaklęcie i już po chwili na mojej dłoni rozjarzyła się maleńka iskra. Miała wystarczającą moc, żeby nasycić sól żywiołem ognia. Potem rozpuściłam płomień w nicość.

Ukrywając strzykawkę w jednej ręce, spuściłam wodę i wyszłam z toalety.

Myjąc ręce, odkryłam ze zdziwieniem, że kręci mi się w głowie. Był to skutek długiej przerwy w praktykowaniu magii, zwłaszcza że sama wyczarowałam ogień, zamiast posłużyć się rzeczywistym. Zaklęcie mnie osłabiło, lecz wciąż jeszcze pamiętałam uczucie błogości, jakie towarzyszyło rzucaniu czarów. Pomagała mi dodatkowo myśl, że nie jestem bezbronna, że potrafię komuś pomóc i popsuć szyki alchemikom. To było coś.

Podeszłam do stolika Duncana ze swoją tacą. Wszyscy gawędzili beztrudnie. Siadając, wyczułam panujące w tej grupie napięcie. Nadal rozmawiali o ostatniej lekcji historii, lecz nikt nie był naprawdę zainteresowany tematem. W pewnej chwili Jonah uśmiechnął się beztrudnie, jakbyśmy byli uczniami normalnej szkoły, ze zwykłymi problemami, i powiedział: — Addison mówiła mi, że bym nie przychodził na lekcję sztuki. Mam zostać na korytarzu i poczekać na Sheridan.

Wszyscy spochmurnieli.

— Nie tracą czasu — mruknęła Lacey. Zerknęła na mnie. — Czy dzisiejsza błazenada przyniosła jakiś skutek?

— W pewnym sensie — odparłam cicho, mieszając widelcem w manicotti. Mój żołądek reagował lepiej niż żołądek Duncana, ale wolałabym zjeść coś lżejszego. — Zdobyłam strzykawkę i napełniłam ją solą. Potrzebuję tylko czystej wody, żeby zrobić roztwór. Najlepiej byłoby podgotować sól z wodą — dodałam — ale może wystarczy dobrze potrząsnąć strzykawką. Nauczyciele zwykle mają wodę w butelkach. Może udałoby się z którejś odlać odrobinę.

— Nie ma czasu — stwierdził Jonah. — Daj mi tę strzykawkę. Napełnię ją wodą z kranu w łazience. Jeśli ktoś z was zablokuje kamerę.

Skrzywiłam się.

— Musisz to sobie wstrzyknąć. Nie powinieneś używać wody z kranu.

— Jest zdatna do picia — upierał się. — Poza tym oni zamierzają mi wstrzyknąć coś znacznie gorszego. Zaryzykuję.

Nadal czułam wątpliwości natury higienicznej.

— Żałuję, że nie mamy więcej czasu.

— No nie mamy — odparł. — Wiele dla mnie zrobiłaś i jestem ci wdzięczny. Teraz ja muszę zaryzykować. Podaj mi strzykawkę, kiedy będziemy wychodzić. Powiniennem zrobić coś szczególnego? Poza tym, co oczywiście?

Pokręciłam głową, wciąż sfrustrowana, choć świadoma, że ma rację.

— Wstrzykuj po trochu prosto w tatuaż, tak jak oni, gdy nakładają drugą warstwę. Nie musisz być precyzyjny. Ta ilość wystarczy, żeby cię uodpornić na działanie ich atramentu.

— A co znajduje się w twoim roztworze? — spytała Elsa.

— Nie odpowiadaj — rzucił ostrzegawczo Duncan. — Im mniej wiemy, tym lepiej dla nas wszystkich, a szczególnie dla Sydney.

Po posiłku wszyscy stoczyliśmy się wokół Jonaha, czekając na swoją kolej do odłożenia tac, dzięki czemu udało mi się przekazać mu strzykawkę. Teraz już nic nie zależało ode mnie. Musiałam wierzyć, że Jonah znajdzie sposób na zmieszanie soli z wodą i robi sobie zastrzyk, zanim po niego przyjdą.

Lekcje ciągnęły się w nieskończoność, szczególnie zajęcia ze sztuki. Jonah nie wracał. Denerwowałam się, bo nie wiedziałam, co z nim robią. Duncan trochę ze mnie pokpiwał, ale wiedziałam, że też jest napięty.

— Jonah to dobry chłopak — powiedział. — Naprawdę chciałbym, żeby twój plan się powiódł. Widziałem, co potrafią zrobić z ludźmi. Niektórzy wracają w naprawdę kiepskim stanie.

Nagle przypomniałam sobie, że Duncan jest tu od bardzo dawna.

— Spotkałeś może chłopaka o imieniu Keith? Takiego z jednym okiem.

Duncan spochmurniał.

— Tak. Nie zbliżyliśmy się do siebie, kiedy tu był. Należał do tych... którzy wracali w kiepskim stanie.

Jonah pojawił się dopiero na społeczności. Sprawiał wrażenie przygaszonego i nie odzywał się podczas zwyczajowej rundy. Sheridan dała mu spokój i zajęła się pozostałymi. My także byliśmy przygnębieni, wiedząc, co chłopak musiał przejść. Prawie żałowałam, że Sheridan go o nic nie pytała. Wtedy mogłabym stwierdzić, w jakim jest stanie. Alchemiczka uznała jednak, że dość przeszedł. Siedział nieruchomo, z niewidzącym wzrokiem. Chwilami drgała mu twarz. Serce mi się ścisnęło na ten widok.

Gdy pozwolono nam iść na kolację, Jonah zachowywał się tak samo jak na początku.

Duncan polecił mi usiąść przy naszym stoliku, tak jak ja kazałam to zrobić Renee. Chłopak nie odzywał się, podczas gdy my rozmawialiśmy o nieważnych rzeczach, zbyt przestraszeni, by mówić o tym, co naprawdę nas trapiło. Jonah zachowywał się dokładnie tak jak ktoś potraktowany solidną dawką magicznego atramentu. Nie wiedzieliśmy: udaje czy nie? Jeśli udawał, nie powinniśmy go zagadywać, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Jeśli nie, mógł na nas donieść.

Przy naszym stoliku zapanowała cisza. Duncan dokończył wiśniowy deser, który wyglądał tak, jakby go podgrzano w mikrofalówce.

— Smakowało lepiej, niż się spodziewałem — zauważył.

— Wiecie, co jeszcze jest lepsze, niż się spodziewaliście?

Podnieśliśmy głowy zdumieni, po raz pierwszy słysząc głos Jonaha.

Odezwał się dzwonek sygnalizujący koniec kolacji i wszyscy zaczęli podnosić się z miejsc. Jonah także wstał.

— Ja — dokończył cicho. — Czuję się świetnie. Nic się nie zmieniło. — Posłał mi uśmiech, który zaraz potem zgasł. — Ocaliłaś mi życie, Sydney. Dzięki — rzucił, przechodząc obok mnie, by stanąć w kolejce do kosza. Gapiłam się na niego osłupiała.

Wciąż oszołomiona dołączyłam w końcu do kolejki. Jonah nie odezwał się już do mnie tego wieczoru, ale widziałam blask w jego oczach, gdy się uśmiechał. Był z nami. Jego osobowość i umysł pozostały nienaruszone. Nie dobrali się do niego — moja formuła go ochroniła. Świadomość tego faktu towarzyszyła mi przez cały wieczór, dawała mi siłę. Od miesięcy moi prześladowcy odnosili zwycięstwo za zwycięstwem, potęgując we mnie uczucie bezsilności. Tego wieczoru to ja zwyciężyłam. Nie dokonałam wielkiej rzeczy, ale coś osiągnęłam.

Byłam tak dumna z sukcesu, że straciłam czujność. Wchodząc wieczorem do łazienki wraz z innymi dziewczynami, wciąż w myślach poklepywałam siebie po plecach. Nie zauważyłam, kiedy weszła Emma. Nieoczekiwanie popchnęła mnie w kąt. W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć, że odważyła się zaatakować pod obserwacją kamer. Dopiero później zorientowałam się, że popchnęła mnie pod kamerę. Amelia i parę innych dziewcząt zaczęły nagle głośno rozmawiać, żeby zagłuszyć cichy, złowieszczy głos Emmy, która się nade mną nachyliła.

— Jonah dostał dziś drugą warstwę tatuażu — wysyczała. — Solidną dawkę, po której ludzie zapominają, jak się nazywają. Mimo to podobno wyszedł z tego bez szwanku. Mówią, że to ty go uodporniłaś.

— Nie wiem, o czym mówisz — warknęłam. — Na mój gust porządnie oberwał.

Emma przycisnęła mnie do ściany z siłą, jakiej nie podejrzewałam u tej drobnej dziewczyny. — Pomogłaś mu czy nie?

Utkwiłam w niej wściekły wzrok.

— Po co chcesz wiedzieć? Żeby mnie wydać i wyjść wcześniej za dobre sprawowanie?

— Nie — odparła. — Bo chcę, żebyś pomogła również mnie.

ROZDZIAŁ 12

Adrian

MINEŁO LEDWIE KILKA tygodni od mojego wyjazdu z Palm Springs, a miałem wrażenie, że nie było mnie tam od miesięcy. Wszedłem do mieszkania, nie wiedząc, czego się spodziewać. Może Trey zamieszkał w nim razem z Angeline? Ale nic podobnego. Siedział w salonie. Rozłożył wokół siebie podręczniki. W pierwszej chwili tak silnie skojarzył mi się z Sydney, że ogarnęło mnie wzruszenie. Szybko się jednak pozbierałem i nakazałem sobie opanowanie.

Trey bacznie przyjrzał się mnie i mojej walizce.

— Wróciłeś? Jak minęły wakacje?

— Rozjaśniły mi w głowie — odparłem. — Trafiłem na ślad Sydney. Wszyscy są już w drodze.

Trey wybałuszył oczy.

— Co takiego?

Nie odpowiedziałem, bo skierowałem się już do swojej sypialni. W środku przekonałem się, że zajął ją Trey, zapewne słusznie po moim nagłym wyjeździe. Wzruszyłem ramionami, odniosłem walizkę do salonu i cisnąłem w kąt. Tymczasem mogłem spać na sofie — o ile w ogóle tu zostanę. Nie miałem pojęcia, dokąd zaprowadzą mnie poszukiwania Sydney i jak długo potrwać.

Dziesięć minut później pukanie do drzwi obwieściło przybycie Jill, Eddiego, Angeline i Neila. Wszyscy rzucili się na mnie i zaczęli ścisnąć — nawet powściągliwy Neil — chociaż Jill najdłużej zawisała na mojej szyi.

— Tak bardzo się o ciebie martwiłam — powiedziała, wpatrując się we mnie błyszczącymi oczami. — Wyprawiałeś szalone rzeczy na dworze, nie nadążałam za tobą...

— Skończyłem z tym — oświadczyłem stanowczo. — I wpadłem na trop Sydney.

— Już mówiłeś — zauważył Trey. — Ale nie rozwinąłeś tematu.

— Dlatego że... — Nie dokończyłem, bo znów rozległo się pukanie. Otworzyłem drzwi i wpuściłem Marcusa. Tak się ucieszyłem na jego widok, że go uściskałem. Był zaskoczony. — W samą porę — stwierdziłem.

Z Marcusem najtrudniej było się skontaktować. Zadzwoeniłem do niego zaraz po tym, jak zarezerwowałem bilet na samolot, i stwierdziłem z ulgą, że wciąż przebywa w Kalifornii, w swoim starym lokum w Santa Barbara. Kiedy streściłem mu, czego się dowiedziałem, obiecał przyjechać do Palm Springs. Zapadał wieczór, miałem za sobą wyczerpującą podróż, ale czułem się pełen energii. To było to. Znów byliśmy razem, przyjaciele Sydney, której mogliśmy pomóc.

— Możesz nas wprowadzić w szczegóły? — zażądał Trey, gdy usiedliśmy w kręgu w salonie. — Gdzie jest Sydney? Nic się jej nie stało?

— Nie wiem — przyznałem. — Czują się na tyle dobrze, żeby ze mną rozmawiać we śnie, ale nie rozwodziła się nad tym, co tam przeżywa. Była jednak sobą.

Marcus skinął głową z aprobatą.

— Ma silną wolę. Dzięki niej może wiele przetrwać. Problem w tym, że jeśli oni to odkryją, będą próbowali ją złamać. Sydney stąpa po cienkim lodzie.

— Od bardzo dawna — wtrąciłem, myśląc o miesiącach, które spędziła w Palm Springs,

przyjaźniąc się z nami, wbrew wszystkiemu, czego ją nauczono. Ostatecznie dokonała wyboru i teraz za to płaciła. — Ona również nie wie, gdzie jest, ale twierdzi, że Keitha trzymano w tym samym miejscu. Musimy go odnaleźć.

— To będzie bardzo trudne — powiedział Marcus. Oparł się o kanapę i westchnął. — Fakt, że pytałem o niego tylko kilka osób, ale podobno ukrywają go lepiej niż innych alchemików. Bardzo pilnują swoich „zreformowanych” agentów, nie pokazują ich publicznie. Zapewne posadzili go za biurkiem.

Czując, że ogarnia mnie mroczne zniechęcenie, szybko je odsunąłem.

— Ale możesz szukać dalej.

Marcus potwierdził ruchem głowy.

— Oczywiście. Popytałem też u innych źródeł, ludzi, którzy przeżyli pobyt w ośrodkach reedukacji, czy pamiętają szczegóły otoczenia, ale do tej pory nic nie wskórałem. Większość przebywała tam dawno temu, w porównaniu z nimi Keith trafił tam stosunkowo niedawno, może więc pamiętać więcej. Roześlę wici, żeby go szukano. Zobaczymy, czy dowiemy się czegoś za parę dni. Tymczasem... mam pewien trop, który może okazać się bardziej przydatny. Wiem, gdzie jest Carly Sage.

Eddie zmarszczył czoło.

— Sądysz, że zna miejsce pobytu Sydney? Niewiele o niej wiem, ale zdaje się, że alchemicy ją wykluczyli.

— Fakt — potwierdziłem, zgadując, do czego zmierza Marcus. — Za to coś łączy ją z Keithem. — Opowiedziałem Marcusowi o wyznaniu Keitha na ścianie ośrodka reedukacji. Nie zdradziłem szczegółów tej historii, wspomniałem tylko, że zrobił Carly straszną krzywdę. — Myślisz, że próbował się z nią skontaktować?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — przyznał Marcus. — Nie znam żadnego z nich. Wiem tylko, że wyrzuty sumienia fatalnie wpływają na poczucie własnej wartości. Zatem Keith mógł się z nią kontaktować po wyjściu na wolność.

— To byłby pierwszy przejaw przyzwoitości z jego strony — mruknęła ponuro Jill. Przeczytała w moich myślach o tym, co Keith zrobił Carly.

— Uznałem, że nie zaszkodzi jej odwiedzić — wyjaśnił Marcus. — I tak musimy czekać na informacje dotyczące Keitha. Carly mieszka niedaleko stąd. Studiuje na Uniwersytecie Stanowym w Arizonie. — Marcus uśmiechnął się do mnie. — Gotów na przejażdżkę?

— Jasne. Możemy ruszać zaraz. — Chciałem wstać, ale uspokoił mnie machnięciem ręki.

— Wolałbym poczekać do rana. W dzień podróżuje się lepiej, a tej nocy możesz jeszcze porozmawiać z Sydney. Zapytaj ją o coś, co pomoże nam wzbudzić zaufanie Carly. Wyobrażam sobie, że kiedy dwóch dziwnych gości zjawia się w drzwiach i wypytuje cię o siostrę i organizację, której twoja rodzina przysięgała lojalność, nie jesteś zbyt rozmowny.

Odrężyłem się nieco.

— Racja. Skoro Sydney nie znajduje się już pod wpływem gazu, powinniśmy utrzymywać stały kontakt. Biorąc pod uwagę godzinę, o której się obudziła, przebywa w tej samej strefie czasowej co my. Ale mogę się mylić. Kto wie, jakie porządki panują wśród tych świrów.

— Myślę, że funkcjonują w normalnym trybie, nawet jeśli siedzą pod ziemią. — Marcus przewrócił oczami. — Przecież nie przejmą wampirzych zwyczajów, Boże uchojaj.

Neil przysunął się do nas bliżej. — Chwileczkę. Mówiłeś coś o gazie?

Skoro już zaplanowaliśmy odnalezienie Carly, uspokoiłem się trochę i opowiedziałem im wszystko, co wiedziałem. Sen z udziałem Sydney był krótki, ale opisałem go w szczegółach, wspomniałem o narkotykach i o niejasnej uwadze Sydney na temat kar.

Angeline położyła głowę na ramieniu Treya.

— Lepiej dla nich, żeby jej nie skrzywdzili. W przeciwnym razie zapłacą mi za to, kiedy tam już wtargniemy.

— My? — Marcus się uśmiechnął.

Eddie przybrał wojowniczą minę, jakiej nie powstydziliby się sam Dymitr.

— Chyba nie sądzicie, że zostawimy was z tym samych?

Staralem się powściągnąć uśmiech.

— Wakacje jeszcze się nie zaczęły, a poza tym waszym głównym zadaniem jest chronić Ślicznotkę.

— Zostały najwyżej dwa tygodnie — wtrąciła Jill. — Mamy teraz sesję egzaminacyjną. Możecie wziąć ze sobą jednego z dampirów. A nawet dwóch. Angeline ze mną zostanie.

— Hej! — zachnęła się Angeline. — Dlaczego mnie nie wolno skopać alchemicznych tyłków?

— Bo tylko ty spośród nas nie ukończyłaś szkoły średniej — wyjaśnił Eddie.

— Wszyscy zostaliście wyznaczeni do ochrony Jill — przypomniałem. — I zostanieie z nią, przynajmniej na razie. Ani Marus, ani ja nie potrzebujemy ochrony, żeby zajrzeć na parę studenckich imprez.

Eddie nie był przekonany.

— Ale co dalej? Co zrobicie, kiedy już będziecie wiedzieli, gdzie trzymają Sydney?

Wiedziałem, że przeżywa wewnętrzny konflikt. Powierzone zadanie — i serce — wiązały go z Jill. Ale Sydney była również jego przyjaciółką, poza tym czuł się winny, że nie zapobiegł jej porwaniu.

— Nie wiemy, kiedy to się stanie. Może w czasie wakacji, kiedy wszyscy wrócimy na dwór. — Poklepałem go po plecach.

— Na razie szukamy Carly i Keitha. Potem będziemy się zastanawiać nad resztą.

Eddie był niezadowolony, ale nie istniało tymczasem żadne dobre rozwiązanie. Gdyby wyjechał z nami nazajutrz, zdręczałby się ze strachu o Jill. Nie było mu łatwo.

Marcus wyszedł wcześniej, po tym jak ustaliliśmy szczegóły wycieczki do Tempe. Reszta została, opowiadaliśmy sobie, co się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni. Nie spowiadałem się im z moich dekadencjonalnych wybryków. Wstydzilem się, że prawie straciłem przez to Sydney. Tylko Jill знаła prawdę, ale ona nigdy by mnie nie zdradziła. Wyjawiała jednak inny sekret.

— Hej, Trey — zaczęła z błyskiem w oku. — Może powinieneś dać Adrianowi ten ważny list.

Teraz Treyowi rozbłysły oczy. Zerwał się z miejsca i popędził do kuchni. Wrócił z kopertą z nadrukiem, która została już otwarta. Przysłano ją z Carlton, była zaadresowana do mnie.

— Otworzyłeś list do mnie?! — wykrzyknąłem.

— Sama mu kazałam — wtrąciła Jill, jakby miała do tego prawo. — Przeczytaj.

W kopercie znajdował się wydruk moich ocen z college'u. Zdziwiłem się, widząc, że zaliczyłem wszystkie przedmioty na trójki i jedną czwórkę minus. Nic z tego nie rozumiałem.

— Jakim cudem dostałem cztery minus z malarstwa olejnego? Którą pracę oddaliście jako projekt końcowy? — spytałem z niedowierzaniem.

— Sam ją wybrałem — oznajmił z dumą Trey. — Takie długie płótno, stało w kącie, było na nim coś dziwnego, w kolorze złota i purpury.

Poczułem ściskanie w gardle.

— Aura Sydney — mruknąłem. Odłożyłem kartkę i uściskałem Jill i Treya. — Uratowaliście mnie. Nie dałbym rady bez was.

— Sam się uratowałeś — szepnęła mi do ucha Jill. — A teraz uratujesz ją.

Wkrótce potem sobie poszli, bo w Amberwood zbliżała się pora ciszy nocnej. Tylko Neil się ociągał.

— Adrian — zaczął, gdy wyszli. Nie patrzył mi w oczy. — Czy Olive była na dworze?

Współczułem każdemu zakochanemu, więc niczego przed nim nie tałem.

— Nie, ale była Charlotte. Olive zerwała kontakt także z siostrą, ale Charlotte zagłąda do niej w snach i wie, że z Olive wszystko w porządku. Potrzebuje tylko czasu, by wszystko przemyśleć. Na pewno niełatwo jest żyć po tym, jak się było strzygą.

Kanciasta twarz Neila się rozpogodziła.

— Serio? To świetnie. To znaczy, przykro mi, że jest jej ciężko, ale bałem się, że to ze mną nie chciała rozmawiać. Zbliżyliśmy się do siebie, utrzymywaliśmy stały kontakt i nagle wszystko prysło.

— Nie chodzi o ciebie — zapewniłem. — Charlotte mówiła, że Olive chce być zupełnie sama. Daj jej czas. Dojdzie do siebie. Widziałem, że szaleje na twoim punkcie.

Neil splonął rumieńcem, a ja parsknąłem śmiechem i odesłałem go do reszty. Trey wrócił do odrabiania lekcji, a ja sprawdzałem co jakiś czas, czy Sydney już śpi. W pewnej chwili Trey zaproponował, bym na powrót zajął swoją sypialnię, ale zapewniłem go, że i tak nie będę spał. Lepiej, żeby on dobrze wypoczął w czasie sesji. Potrzebował stypendium.

Ostatecznie zostałem sam w salonie i koło północy udało mi się nawiązać kontakt z Sydney. Spotkaliśmy się w Getty Villa. Przytuliłem ją, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak bardzo się bałem, że nasze ostatnie spotkanie było przywidzeniem.

— Zanim zacznę cię całować i zupełnie stracę głowę, powiedz, jak długo już śpisz.

Oparła złotą głowę na mojej piersi.

— Nie wiem. Mniej niż godzinę.

— Hmm. — Odgarnąłem jej piękne włosy, rozważając tę informację. — Biorąc pod uwagę godzinę twojego ostatniego przebudzenia, uznałem, że jesteś w strefie czasowej wybrzeża Pacyfiku. Było koło piątej. Ale to by oznaczało, że krótko sypiasz. Sześć, może siedem godzin.

— To się zgadza — powiedziała Sydney. — To jeden z ich sposobów na podtrzymywanie w nas rozdrażnienia. Pozwalają nam spać wystarczająco długo, byśmy mogli funkcjonować, ale nie wypoczywamy naprawdę. Wciąż jesteśmy poirytowani, a tym samym bardziej podatni na to, co nam robią i mówią.

Już miałem puścić ten komentarz mimo uszu, lecz zastanowił mnie dobór słów.

— Co to znaczy „jeden ze sposobów”? — spytałem. — Co jeszcze wam robią?

— To bez znaczenia — odparła. — Mamy inne...

— Przeciwnie — uparłem się i przysunąłem bliżej. Już wcześniej ją o to pytałem, lecz wówczas się wywinęła. — Sama mówiłaś, że Keith stracił rozum w tym miejscu. Widzę minę Marcusa, gdy opowiada o ośrodkach reedukacji.

— Drobną deprywacja snu to nic takiego — odparła znów wymijająco.

— Co jeszcze wam robią? — nalegałem.

W jej oczach na krótko rozblysnęła płomień.

— I co zrobisz, gdy ci powiem? Będziesz bardziej się starał, by mnie odnaleźć?

— Ja już...

— Otóż to — przerwała mi. — Więc nie dodawaj sobie zmartwień, tym bardziej że mamy mało czasu.

Staliśmy naprzeciwko siebie przez kilka pełnych napięcia sekund. Rzadko się kłóciliśmy, zanim ją uprowadzono, i dziwnie się czułem z tą kłótnią w świetle wszystkiego, co się wydarzyło. Nie zgadzałem się, gdy mówiła, że jej przeżycia w ośrodku są nieważne, ale nie

chciałem jej denerwować. Poza tym naprawdę nie mieliśmy czasu. Kiwnąłem w końcu głową z niechęcią i zmieniłem temat. Opowiedziałem jej o naszych planach wizyty u Carly.

— To nie jest zły pomysł. Nawet jeśli Keith się z nią nie kontaktował, Carly pochodzi z rodziny alchemików i może się czegoś dowiedzieć na własną rękę. — Przez cały ten czas Sydney mocno się do mnie przytulała. Czułem jej niepokój, jakby bała się mnie puścić. Starła się być dzielna, ale ci dranie musieli jej zrobić jakąś krzywdę. Nienawidziłem ich za to. Przyciągnąłem ją mocniej do siebie.

— Czy mógłbym jej coś od ciebie przekazać, żeby uwierzyła, że mam z tobą kontakt? — spytałem.

Sydney zastanawiała się, a potem się uśmiechnęła.

— Spytaj ją, czy studia nadal budzą w niej ochotę na przyjęcie filozofii Cycerona.

— Dobrze — odparłem. Nic nie zrozumiałem, ale ostatecznie o to chodziło.

— Zapytaj ją też... — uśmiech Sydney przygasł — ...czy wie, co u Zoe. Jak sobie radzi.

— Zapytam — obiecałem zdumiony, że Sydney nadal troszczy się o siostrę, która ją zdradziła. — A teraz powiedz mi coś o swoim życiu w tym miejscu. Martwię się o ciebie.

Poruszyła się niespokojnie i już się przestraszyłem, że ją zdenerwowałem, ale postanowiła mi co nieco wyjawić.

— Nic mi nie jest... naprawdę. Może nawet udało mi się komuś pomóc. Spreparowałam trochę solnego atramentu nasączonego magią, żeby uchronić kogoś przed nadmierną kontrolą alchemików.

Odsunąłem się lekko, żeby spojrzeć jej w oczy.

— Praktykujesz magię w ośrodku reedukacji? Mówiłaś, że najmniejsze odchylenie od normy jest tam karane.

— Nie złapali mnie — zaperzyła się. — I naprawdę komuś pomogłam.

Znów ją przytuliłem.

— Powinnaś przede wszystkim pomóc sobie.

— Mówisz jak Duncan.

— Duncan? — spytałem zazdrośnie.

Uśmiechnęła się.

— Nie musisz się obawiać. To tylko przyjaciel, zawsze mi powtarza, żebym trzymała się z dala od kłopotów. Ale ja nie umiem się powstrzymać. Wiesz, że zawsze pomagam.

Chciałem jej przypomnieć, jak zarzucała mi, że nadużywam mocy ducha. Twierdziłem wówczas, że warto ryzykować, jeśli komuś to posłuży. Sydney upierała się, że muszę dbać przede wszystkim o siebie, bo przez lekkomyślność mogę stracić zdolność udzielenia pomocy komukolwiek.

Nie zdążyłem jednak nic powiedzieć, bo niespodziewanie przyciągnęła mnie bliżej i nasze wargi się spotkały. Poczulem falę ciepła i pożądania. Były to uczucia tak silne i realne, jakbyśmy całowali się na jawie. Musnęła wargami mój policzek, a potem szyję.

— Rozpraszasz mnie, to nie fair — wymruczałem.

— Mam przestać? — spytała.

Też coś.

— Oczywiście, że nie.

Nasze usta znów spotkały się w namiętym pocałunku. Ledwo zdobyłem się na to, by przenieść nas ze słonecznego dziedzińca do sypialni w górskiej gospodzie. Sydney roześmiała się cicho, rozpoznając to miejsce.

— Wspomnień czar — zakpiła. — Nasza pierwsza wspólna noc. Udało ci się nawet wyczarować śnieżycę.

Położyłem ją na okazałym łożu.

— Adrian Iwaszkow zapewnia pełną obsługę.

— A gwarancja zwrotu pieniędzy?

— Nic o tym nie wiem — odparłem. — Nikt się nie skarży.

Roześmiała się, a potem znów się całowaliśmy. Znów posłużyłem się wyobraźnią i przemieniłem jej brzydki brązowy łańch w dopasowaną bordową sukienkę, w której ją kiedyś widziałem. Uroda Sydney olśniła mnie tak samo jak wówczas, przesunąłem dłonią wzdłuż talii ukochanej i zatrzymałem na krągłości biodra. Jej ręce, które do tej chwili spletały się na mojej szyi, teraz powędrowały w dół i zerwały ze mnie koszulkę ze śmiałością, jakiej nie podejrzewałem podczas naszego pierwszego spotkania. Dotyk jej palców na mojej piersi był delikatny, a jednak mocny, nagły. Poczulem dreszcz. Coś mi mówiło, że jej namiętność jest spowodowana nie tylko naszą bliskością, że zrodziła się z wielu miesięcy rozpaczy i osamotnienia. Odchyliłem głowę Sydney, żeby pocałować ją w szyję, a wolną rękę zanurzyłem w jej włosach. Westchnęła z błogością i zdumieniem, gdy otarłem się o jej skórę zębami, chociaż starałem się zrobić to bardzo delikatnie.

Powolnym prowokującym ruchem sunąłem dłonią wzdłuż jej ciała. Reakcja dziewczyny na mój dotyk wprawiała mnie w zachwyt. Odnalazłem sprzączkę zamka błyskawicznego na jej plecach i próbowałem go rozpiąć, lecz okazało się to trudniejsze, niż myślałem. Robiłem to jedną ręką.

Sydney otworzyła oczy i popatrzyła na mnie z rozbawieniem i pożądaniem.

— Mógłbyś po prostu wyśnić, że nie mam na sobie tej sukienki.

— Wtedy straciłbym całą przyjemność — sprzeciwiłem się i z triumfem rozpiąłem suwak. Powoli zdejmowałem z niej odzienie.

— Och, Adrian — wysapała. — Nie masz pojęcia, jak bardzo...

Nie musiałem pytać, dlaczego urwała. Zacząłem ją tracić. Budzili ją.

— Nie odchodź — poprosiłem na próżno. Nie chodziło mi o fizyczne spełnienie, odezwał się we mnie głęboki lęk, którego nie mogłem wyrazić: boję się, że jeśli odejdziesz, już nigdy cię nie zobaczę. Widziałem po jej minie, że domyśla się, co czuję.

— Wkrótce znów będziemy razem. W realnym świecie. Środek wciąż spaja. — Stawała się coraz bardziej przezroczysta. — Prześpij się trochę. A potem znajdź Carly i Keitha.

— Na pewno. I odnajdę cię. Obiecuję.

Już jej prawie nie było, ledwo widziałem lży błyszczące w jej oczach.

— Wiem. Wierzę w cię. Zawsze wierzyłam.

— Kocham cię.

— Ja cię też.

Znikła.

Obudziłem się na kanapie z uczuciem pustki i niespełnienia głębszego od tęsknoty fizycznej. W równym stopniu jak za jej ciałem tęskniłem za sercem i umysłem Sydney. Potrzebowałem jej, czułem ból w piersi, gdy zapadałem w sen. Objąłem się ramionami, udając, że przytulam ukochaną.

Marcus pojawił się wczesnym rankiem świeży jak skowronek. Nasza wyprawa dobrze się zapowiadała, przeszkadzał mi tylko jeden szczegół. W efekcie prawie się pokłóciliśmy o wybór samochodu.

— Twój jest na pewno kradziony — upierałem się.

Przewrócił oczami.

— Nie jest. Poza tym to prius.

— To kolejny powód, by nim nie jechać.

— Dojedziemy do Tempe bez przerwy na tankowanie.

— Mój stylowy wóz jest wart kilku przystanków — odparowałem.

— I opóźnienia w poszukiwaniu pomocy dla Sydney?

Zagrał atut i dobrze o tym wiedział.

— Dobra — burknąłem. — Jedźmy twoją landarą, która nie potrzebuje tankowania.

Mimo burzliwej historii naszej znajomości — przy pierwszym spotkaniu próbowałem mu przyłożyć — dobrze się nam razem jechało. Marcus nie był zbyt rozmowny, co mi odpowiadało. Podczas gdy ja rozmyślałem o Sydney, on raz po raz odbierał telefony od swoich informatorów. Część tych rozmów dotyczyła Sydney i Keitha, inne misji, które brzmiały bardzo poważnie, nawet kiedy słuchało się tylko jednej strony.

— Jesteś bardzo zapracowany — zauważyłem, gdy wjechaliśmy na teren Arizony. — Doceniam to, że poświęcasz czas na poszukiwanie Sydney. Zdaje się, że masz jeszcze wielu innych podopiecznych.

Uśmiechnął się.

— Sydney to szczególna osoba. Chyba nie zdaje sobie sprawy, jak wielu ludziom pomogła dzięki swojemu atramentowi. Wszyscy są zachwyceni, że uwolnili się spod kontroli alchemików. Przynajmniej za pośrednictwem tatuaży. Jestem jej to winien i...

— I co? — spytałem, widząc, że spochmurniał.

— Kiedy ktoś, kto dokonuje niewiarygodnych rzeczy, zostaje złapany, zawsze myślę, że to powinno spotkać mnie. Że innych spotyka kara, która należy się mnie.

— Sydney tak nie uważa. — Przypomniałem sobie o jej planach pomagania ludziom w ośrodku. — Ryzykuje na własną rękę.

— Wiem — powiedział. — Tym chętniej jej pomagam.

Po południu dotarliśmy na teren uczelni. Trwały zajęcia, więc w kampusie było pusto. Marcus dowiedział się, że Carly studiowała w normalnym trybie i mieszkała w koedukacyjnym akademiku. Nikt nas nie zatrzymywał i bez przeszkód dotarliśmy pod jej drzwi oklejone plakatami różnych zespołów i akcji społecznych.

Po tym, jak poznałem Zoe, nie wiedziałem, czego się spodziewać po trzeciej siostrze Sage, chociaż wcześniej wyobrażałem ją sobie jako cichą i potulną istotę. Nie doniosła na Keitha ani nie pozwoliła tego zrobić Sydney.

Dziewczyna, która nam otworzyła, całkowicie mnie zaskoczyła. Była wysoka i umięśniona, z krótko ściętą fryzurą i przekłutym nosem. Miała jednak tę samą barwę włosów i oczu co Sydney oraz inne cechy, które powiedziały mi, że odnalazłem właściwą osobę. Przywitała nas szczerym uśmiechem, który nieco przygasł, gdy mi się przyjrzała. Może nie była alchemiczką, ale umiała rozpoznać moroja.

— Cokolwiek planujecie, nie zamierzam się w to angażować — oznajmiła.

— Chodzi o Sydney — wyjaśnił Marcus.

— Prosiła, żeby cię spytać, czy studia nadal skłaniają cię do przyjęcia filozofii Cyncerona — dorzuciłem pośpiesznie.

Carly uniosła brwi, a potem westchnęła i wpuściła nas do środka. Na podłodze siedziały jakieś dziewczyny, na oko z pierwszego roku. Spojrzała na nie przeproszająco.

— Wypadło mi coś pilnego. Możemy dokończyć wieczorem?

Dziewczyny wstały i zaczęły się żegnać. Marcus nachylił się do mnie i wyszeptał:

— Jesteś pewien, że właściwie przekazałeś słowa Sydney? Cynceron był mężem stanu, nie filozofem.

Wzruszyłem ramionami.

— To właśnie powiedziała. A Carly nas wpuściła, prawda?

Kiedy zostaliśmy sami, Carly usiadła na brzegu łóżka i pokazała nam gestem, byśmy znaleźli miejsca na podłodze.

— Dobrze. Czemu zawdzięczam wizytę moroja i człowieka, który nie jest alchemikiem, ale ma bardzo podejrzany tatuaż?

— Potrzebujemy twojej pomocy w odnalezieniu Sydney — odparłem po prostu, nie chcąc tracić czasu.

Carly przekrzywiła głowę w zdumieniu.

— A zaginęła?

Wymieniliśmy się spojrzeniami z Marcusem.

— Miałś od niej jakieś wieści? — spytał.

— Nie... właściwie już od dawna. Ale to nic dziwnego. Tata także czasem znikał na jakiś czas. Taką mają pracę. Powiedział nam, że Sydney wypełnia jakąś tajną misję. — Milczeliśmy, więc spojrzała na nas badawczo. — To nieprawda? Czy wszystko z nią w porządku?

— Nie — odparł powoli Marcus. Starannie dobierał słowa. — Ale nie pełni żadnej misji. Wpadła w kłopoty i próbujemy ją z nich wyciągnąć, zanim będzie gorzej.

Carly spojrzała na niego ostro.

— Nie musisz mówić wymijająco. Wiem, co oznaczają kłopoty ze strony alchemików. Zamknęli ją, prawda? Tak jak zamknęli Keitha.

— Rozmawiałaś z nim?! — wykrzyknąłem. — Osobiście?

Skrzywiła się z odrazą.

— Osobiście i mailowo. Nagle pojawił się znikąd, tak jak wy. To było w marcu. Opowiedział żalosalną historię o tym, jak bardzo boleje nad tym, co zrobił, potrzebuje mojego przebaczenia i prosi, żebym wydała go policji.

— Zaraz... — zdziwiłem się. — Keith prosił, żebyś wydała go policji? Zrobiłaś to?

— Nie. — Założyła ręce na piersi i patrzyła na nas z satysfakcją. — Chociaż mnie o to błagał. Przerazało go, że znów może trafić do ośrodka alchemików, i uznał, że będzie bezpieczniejszy w normalnym więzieniu. Dlatego odmówiłam. Niech żyje w ustawicznym lęku, jak kiedyś ja.

Kierowała się pokrętną logiką. Nie wiedziałem, jak to skomentować. Marcus był zdezorientowany, nie znał szczegółów tej historii.

— Carly i Keith popadli w konflikt... — mruknąłem w nadziei, że to wyjaśnienie mu wystarczy.

Carly spojrzała Marcusowi prosto w oczy.

— Keith mnie zgwałcił na randce, a potem twierdził, że go sprowokowałam. Zagroził, że jeśli komuś o tym powiem, obwinia mnie. Uwierzyłam mu i długo się tym zdręzczałam. Jediną osobą, której się zwierzyłam, była Sydney. Obiecała zachować sprawę w tajemnicy. Dopiero po latach zrozumiałam, jaką byłam idiotką. Teraz troszczę się o inne dziewczyny, żeby nie spotkał ich podobny los. — Pokazała plakaty wiszące na ścianach i dopiero w tej chwili zauważyłem, że wszystkie dotyczyły gwałtów. — Jeśli zdołam ocalić choć jedną osobę przed wstydem i wątpliwością w sobie... pocuję, że wypełniłam swój życiowy cel.

Marcus, którego niełatwo było zaskoczyć, wyglądał na kompletnie zszokowanego. Widziałem mnóstwo dziewczyn padających mu do stóp, ale po raz pierwszy widziałem, jak on sam schylił głowę przed którąś.

— To wyjątkowa postawa — wyjąkał. — Jesteś bardzo odważna.

Rozbawiła mnie jego zachwycona mina, ale nie było czasu na żarty. Pstryknąłem mu palcami przed nosem.

— Skup się. — Potem zwróciłem się do Carly. — Nadal nie chcesz donieść na Keitha?

Pokręciła głową.

— Wiem, że to obłąd, ale w ten sposób bardziej cierpi. Błagał, żebym to zrobiła. Prawie się rozplakał, gdy odmówiłam. Ale nie rozmawiajmy o nim. Zależy mi przede wszystkim na Sydney. Powiedz, co mogę zrobić, żeby jej pomóc i wyrwać ją ze szponów tych drani.

— Możesz nam pomóc odnaleźć Keitha? — spytałem.

Wyjęła z kieszeni komórkę, poszukała numeru i podała mi, pytając:

— To wystarczy?

Zobaczyłem jego nazwisko, numer telefonu i adres w Boise w stanie Idaho.

— Boise? — zdziwiłem się. — Czy nie odpokutował wystarczająco?

Marcus zerknął mi przez ramię i skrzywił się w uśmiechu.

— Mają tam alchemiczny ośrodek badawczy. Odpowiednie miejsce dla niego: praca biurowa, żadnych kontaktów ze światem ani zagrożeń. Jesteś pewna, że nadal tam przebywa?

Carly przewróciła oczami.

— Całkowicie. Píše do mnie co miesiąc, wciąż prosi o wybaczenie i o kontakt, jeśli zmienię zdanie. Na pewno poinformowałby mnie setki razy o przenosinach.

Marcus wpisał dane Keitha do swojej komórki i oddał telefon Carly.

— Nie powinniśmy uprzedzać go o wizycie. Gotów na dalszą przejażdżkę?

Nie jestem dobry z geografii, ale wiedziałem, że przed nami szmat drogi.

— Pod warunkiem że najpierw coś zjemy.

— Czy Keith naprawdę może wam pomóc odnaleźć Sydney? — spytała Carly z poważną miną.

Marcus złagodniał. Zastanawiałem się, czy zdążył się zadurzyć w Carly, czy tylko w ten sposób przekazywał złe wieści.

— Nie mamy pewności, ale nie tracimy nadziei. Sądzymy, że Keith był przetrzymywany w tym samym miejscu, w którym teraz przebywa Sydney. Jeżeli powie nam, gdzie to było, pojedziemy po nią.

Carly zbladła.

— W tym samym miejscu... tak strasznym, że Keith wolałby pójść do więzienia, niż tam wrócić?

— Uwolnimy ją — zapewnił rycersko Marcus. — Przysięgam.

— Chciałabym pomóc — nalegała.

— Już pomogłaś. — Marcus pokazał jej telefon. — Mamy jego adres. Nie musisz więcej ryzykować.

Carly zerwała się z miejsca, zaciskając ręce w pięści. W tej chwili była uderzająco podobna do Sydney.

— To moja siostra! Oczywiście, że muszę zaryzykować. Myślicie, że ona by mi nie pomogła?

Ścisnęło mnie w gardle.

— Masz rację. Zrobiłaby dla ciebie wszystko, ale na razie zbieramy informacje. Jeśli będziemy mieli plan, w którym się przydasz, zawiadomimy cię.

— Oby tak było — odparła z naciskiem. — Proszę, to mój numer.

— Ja go zapiszę — rzucił Marcus.

— Tymczasem proszę, żebyś nikomu nie mówiła o całej sprawie. Szczególnie rodzinie — zwróciłem się do niej, gdy Marcus zapisywał jej numer.

Żachnęła się.

— Masz na myśli tatę i Zoe? Nie obawiaj się. Rzadko się do mnie odzywają, szczególnie po rozwodzie rodziców.

— Już się rozwiedli? — spytałem. Byłem tego ciekaw, ale nie miałem czasu wypytywać Sydney we śnie.

— Tak. — Carly spochmurniała. — Robiłam, co mogłam, żeby pomóc mamie uzyskać opiekę nad Zoe, ale ojciec miał przeciwko niej „twarde dowody”. Zastanawiałam się, dlaczego nie powołali Sydney na świadka... teraz rozumiem. Skoro ma takie kłopoty, nawet ojciec nie zdołałby załatwić jej obecności w sądzie.

Carly najwyraźniej nie miała pojęcia, jaką rolę w aresztowaniu Sydney odegrał jej ojciec, a ja nie zamierzałem jej uświadamiać, żeby nie pogarszać ich relacji.

— Sydney na pewno stawiałaby się w sądzie — zapewniłem — żeby zeznawać na korzyść matki.

Carly skinęła głową.

— Szkoda, że nie mogła tego zrobić. Znam powody postępowania alchemików, ale czasem... sama nie wiem. Przekraczają granice i umyka im, co naprawdę ważne. Zoe ciągle przebywa z ojcem, boję się, że to nic dobrego. Za to kiedy rozmawiałam ostatnio z Sydney, odniosłam wrażenie, że widzi sprawy z szerszej perspektywy. Nie wiem, co się wydarzyło w jej życiu, ale bardzo się wyciszyła. Jakby była szczęśliwsza. Miałam nadzieję, że pomoże Zoe, lecz to chyba nie będzie realne w najbliższym czasie.

„Nie wiem, co się wydarzyło w jej życiu, ale bardzo się wyciszyła. Jakby była szczęśliwsza”. Słowa Carly mnie poruszyły, nie mogłem wykrztusić słowa. Tę zmianę spowodował nasz związek. Carly uważała ją za korzystną i ja też chciałem za taką ją uważać. Nie mogłem jednak zaprzeczyć, że to przede mną Sydney miała teraz kłopoty.

Podeszliśmy do drzwi, gotowi wyruszyć w dalszą podróż, lecz Marcus przystanął i się odwrócił. Sądziłem, że spróbuje się umówić z Carly, ale spytał:

— Jak rozumieć ten tekst z Cycleronem? Nigdy nie słyszałem, a znam się na temacie, by miał jakąś filozofię.

Carly się uśmiechnęła.

— Cycleron to imię naszego kota. Żartowałyśmy z Sydney, że on wie najlepiej, co się liczy w życiu: jedzenie, sen i kąpiele. Bardzo żałowała, że sama nie może studiować w college’u, a ja próbowałam złagodzić jej żal, mówiąc, że nie nauczę się tam więcej ponad to, czego nauczył nas Cycleron. Kiedy go wspomniałaś, wiedziałam, że naprawdę przysyła cię Sydney.

Może sprawiło to podobieństwo rodzinne, jakie dostrzegłem w uśmiechu Carly, a może wzmianka o marzeniu Sydney, by studiować — poczułem ból, którego nie doświadczałem już od dawna. „Odejź — nakazałem mu. — Później będzie czas na opłakiwanie straty. Teraz muszę ją odzyskać”.

Marcus uściśnął rękę Carly i przytrzymał chwilę.

— Jeszcze raz dziękuję za pomoc — powiedział. — Nie zawiedziemy cię.

— Nie o mnie tu chodzi — odparła. — Nie zawiedźcie Sydney.

ROZDZIAŁ 13

Sydney

ZACZAROWANIE SOLI w ośrodku reedukacji było znacznie trudniejsze niż na wolności, lecz możliwe. Proces posuwał się powoli i zmusznie. Musiałam wynosić drobne ilości ze stołówki, a potem zamykać się w toalecie, żeby nasycać ją żywnościami. Najtrudniejsze jednak okazało się zdobywanie strzykawek.

— Prawie codziennie jedno z nas przechodzi przeczyszczanie. Kierują nas tam za karę albo wręcz rutynowo — odparła Emma, gdy oświadczyłam, że to najtrudniejsza część zadania. — Rozpowiemy wszystkim, żeby za każdym razem wynosili po strzykawce i oddawali tobie.

— Nawet jeśli to zadziała, strażnicy w końcu się zorientują, że giną im strzykawki — zauważyłam. — Poza tym nie podoba mi się pomysł z „rozpowiadaniem”.

Emma potrząsnęła głową.

— Nie jestem głupia. Powiem tylko wybranym zaufanym osobom. To ludzie, którzy cenią własną tożsamość ponad zdradę. Wszyscy już wiedzą, co zaszło z Jonahem. Zachowają tajemnicę, bo każdy chciałby zyskać taką ochronę.

— Jakoś mnie to nie uspokoiło — wymamrotałam. Ostatnia rozmowa z Adrianem natchnęła mnie optymizmem, lecz wciąż rozmyślałam o ewentualnych komplikacjach. — I nie rozwiązuje problemu strzykawek.

Dotarliśmy do klasy i musiałyśmy zakończyć rozmowę.

— Szkoda, że nie można ich używać po kilka razy — westchnęła Emma.

Skrzywiłam się.

— Ugh. Wystarczy, że nie mam wody destylowanej. To i tak niehigieniczne.

— Potrzebujemy swobodnego dostępu do szafek ze środkami medycznymi. Wiesz, że znajdują się na tym samym piętrze co gabinety?

— Wiem — przytaknęłam. — Tylko jak się do nich dostać, skoro zawsze prowadzą nas pod eskortą?

Wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła.

— Nie twierdzę, że to plan idealny.

— To żaden plan.

Ale cały dzień myślałam o naszej rozmowie. Perspektywa spotkań z Adrianem podniosła mnie na duchu, podobnie jak fakt, że miał wkrótce porozmawiać z Carly. Rozpaczliwie pragnęłam, by Keith naprowadził ich na mój ślad. Nie miałam pojęcia, jak mogliby mnie później uwolnić, ale wyobrażałam sobie, że wyjdę stąd z pozostałymi osobami z ośrodka. Jeśli uda mi się uwolnić współtowarzyszy do świata, w którym sami będą kontrolowali swoje umysły, uznam, że dobrze się spisałam.

Obracałam w głowie słowa Emmy, szukając jakiegoś rozwiązania. Potrzebowałam swobodnego dostępu do piętra, gdzie przechowywano zapasowe środki medyczne, do szafek, które Sheridan poleciła mi uporządkować. Musiałabym się tam dostać niezauważona, co nie było proste, choć łatwiejsze niż opuszczenie zamkniętego na noc pokoju.

O dziwo w znalezieniu rozwiązania najbardziej pomógł mi Duncan. Trwały zajęcia plastyczne. Duncan do tej pory niewiele mówił o swojej przeszłości, lecz co nieco o niej już wiedziałam. Najważniejsza była oczywiście tajemnicza Chantal. Poza tym Duncan wspominał, że

malował. Raz bąknął też coś o zamiłowaniach technicznych, ale nigdy nie powrócił do tego wątku. Jednak ilekroć ktoś miał problem z rozstawieniem sztalugi, to on pierwszy ruszał z odsieczą. Widziałam, że pomagał nawet naszym instruktorom, na przykład wtedy, gdy zepsuł się projektor Harrisona.

— Czy wiesz, jak działają zamki w drzwiach naszych pokoi? — zagadnęłam go.

Skończyliśmy już z malowaniem martwych natur, ale Duncan twierdził, że to popularny temat i na pewno do niego wrócimy. Obecnie otrzymaliśmy nużące zadanie ręcznego formowania glinianych misek.

— Zatrząskują się — wyjaśnił tępo. — Potem drzwi nie można otworzyć.

Usiłowałam nie przewrócić oczami.

— Tyle wiem. Pytałam jak...

— Tak, wiem, o co pytałaś — przerwał mi. — Nie zwracaj sobie tym głowy. Już i tak sporo ryzykujesz.

Rozejrzałam się, ale nikt nas nie słuchał.

— To poważna sprawa! Mogę zapobiec ogólnemu praniu mózgow. Powtórzyć to, co zrobiłam dla Jonaha.

— I skończyć w izolatce. — Drobną zmarszczka między brwiami była jedyną oznaką jego niepokoju. — Nie chcę stracić drugiej przyjaciółki, Sydney.

Zamrugalam, żeby odpędzić łzy. On pierwszy zaoferował mi przyjaźń i zrobił to tylko dla mnie, nie dla jakichś korzyści.

— Nie stracisz mnie — odparłam łagodniej. — Muszę wyjść nocą z pokoju. Najlepiej jeszcze dzisiaj. To ważne. Mogę pomóc wielu ludziom.

Miska Duncana, tak jak i jego rysunki, była prawie doskonała. Zaczęłam się zastanawiać, czy miał wrodzony talent, czy po prostu utknął tutaj na wystarczająco długo.

— Drzwi zamykają się automatycznie na centralny zamek — powiedział w końcu. — Prosty bolec, który wyskakuje z drzwi i wchodzi w otwór w ścianie. Łatwo go zablokować. Wystarczy, że natrafi na przeszkodę.

— Czy przeszkoda spowoduje awarię całego systemu? — spytałam.

— Nie, chyba że zmienili go od zeszłego roku. Jakies osiem miesięcy temu czyjeś drzwi nie działały, a władze nic nie zauważyły. Zorientowali się dopiero, kiedy jeden z mieszkańców tego pokoju usiłował uciec.

To była przydatna informacja, choć również niebezpieczna.

— Naprawili usterkę?

— W tych konkretnych drzwiach? Tak. Ale, o ile mi wiadomo, bolec nadal łatwo zablokować. Co zresztą nie ma wielkiego znaczenia, bo nawet jeśli komuś udałoby się wsunąć przeszkodę, kamery z korytarza od razu zarejestrowałyby... — Nagle spojrzał na mnie z bólem. — Proszę, powiedz, że nie planujesz ucieczki.

— Zostaję tutaj... na razie. — Dotknęłam plakietki z moim imieniem, przypiętej do bluzki. Była cieńsza od karty kredytowej. — Coś podobnego mogłoby z powodzeniem zablokować zamek.

— Mogłoby — potwierdził. — Pamiętaj jednak, że drzwi nie zamykają się szczelnie. Nie możesz tak po prostu wsunąć w nie plakietki, bo spadnie.

— Muszę ją więc jakoś przymocować. — Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałam gdzieś klej. Nie widziałam. I nagle mój wzrok padł na biurko Addison. Znajdowało się tam coś dużo lepszego. — Guma do żucia. Nawet nie musiałabym wkładać plakietki. Wystarczy, jeśli zablokuję bolec gumą, prawda?

Duncan zachichotał mimo woli.

— Dziecinada, ale owszem, to się może udać.

— Poproś ją o pomoc — powiedziałam podekscytowana. — W tym czasie zwinę jej gumę.

— Sydney. — Duncan pokazał mi obie miski, swoją i moją. — Jak myślisz, które z nas powinno poprosić o pomoc?

Popatrzyłam na nie i zrozumiałam, że jego dzieło można od razu wstawić do wypalania, podczas gdy moje wymagało mnóstwa pracy.

— Nie pochwalasz moich działań. Nie mogę cię prosić, żebyś ukradł gumę.

— Nie pochwalam planów, którym brak logiki — sprostował. — A to, że poprosisz o pomoc, jest logiczne. Poza tym potrzebuję igły garncarskiej. Ta jest tępa.

— Wszystkie są tępe — przypominałam. Alchemicy pilnowali, by nie dawać nam do ręki niczego, co mogłoby posłużyć jako broń. — Dobrze, poproszę ją.

Addison zawsze się irytowała, gdy zadawaliśmy jej pytania, ale jednocześnie rejestrowała, kto prosił o pomoc. Należałam do garstki, która przeżywa katusze, zanim zwróci się z pytaniem do zwierzchników. Wiedziałam, że traktują to jako wyraz rezygnacji, znak, że nasz opór został złamany. Addison zrobiła naburmuszoną minę, lecz wyjaśniła, dlaczego moja miska wciąż się zapada. Czułam, że ten incydent zostanie odnotowany. Rozmawiając z nią, widziałam, jak Duncan idzie do biurka. Wstrzymałam oddech ze strachu, że Addison nagle się odwróci.

Nie zrobiła tego jednak i pięć minut później, gdy znów spotkaliśmy się przy stole, Duncan podał mi ukradkiem dwie gumy.

— Korzystaj mądrze — ostrzegał. — A w każdym razie nie rób dziś nic głupiego. I obiecaj, proszę, że wszystko przemyślałaś. Nie mogą cię złapać, gdy wyjdiesz z pokoju. Wiesz, że w korytarzach są kamery.

— Zaplanowałam wszystko — bąknęłam. — Ale nie mogę ci więcej powiedzieć.

— To mi wystarczy.

Wciąż nie wiedziałam, czy mój plan się powiedzie, ale cieszyłam się z tego drobnego sukcesu. Miałam wspaniałą nastrój i przeżyłam szok, gdy podczas społeczności Sheridan zwróciła się do mnie:

— Sydney, nie masz nam nic do powiedzenia?

Zamarłam i mogłabym przysiąc, że serce mi stanęło. Rozejrzałam się po twarzach siedzących, zastanawiając się, które z nich mnie zdradziło.

— Nie rozumiem, proszę pani?

— Jesteś z nami już od pewnego czasu — wyjaśniła. — I rzadko mówisz cokolwiek o swojej przeszłości. Każdego dnia ktoś się tutaj otwiera, ale ty nigdy. To nie fair, nie uważasz?

Chciałam odparować, że to nie jest jej sprawa, ale upomniałam się w duchu. Powinnam się cieszyć, że się niczego nie dowiedziała.

— Co chciałyby pani wiedzieć?

— Może powiesz nam, dlaczego tu trafiłaś?

— Ja... — Mój buńczuczny nastrój prysł bez śladu. Odważny plan nocnej wyprawy w celu stworzenia magicznej ochrony dla moich współtowarzyszy nie budził we mnie takich obaw jak ich badawcze spojrzenia. Nieważne, jak bardzo się do nich zbliżyłam. Nie chciałam im opowiadać o sobie.

„To jest gra, Sydney — przypominałam sobie. — Nieważne, co robisz, liczy się ostateczne zwycięstwo”.

Utkwiłam wzrok w Sheridan.

— Złamałam jedną z kardynalnych zasad alchemików. Sprzeciwiłam się naszej wierze.

— W jaki sposób? — nie ustępowała.

Odetchnęłam głęboko.

— Zaangażowałam się w związek z morojem.

Patrzyłam tylko na Sheridan, bojąc się spojrzeć na innych. Wszyscy byli na swój sposób zbuntowani, każde z nich miało na sumieniu jakieś grzechy, lecz mój był najcięższy.

— Dlaczego?

Zmarszczyłam brwi.

— Nie rozumiem?

— Dlaczego zaangażowałaś się w związek z tak odrażającym stworzeniem? Nie tylko sprzeniewierzyłaś się naszym zasadom. Postąpiłaś wbrew prawu natury. Dlaczego?

Moje serce znało odpowiedź, lecz usta nie mogły jej wypowiedzieć. Ponieważ on jest cudowny, wrażliwy i zabawny. Bo budzimy w sobie nawzajem to, co w nas najlepsze, ta miłość nas uszlachetnia. Bo gdy jesteśmy razem, czuję, że rozumiem sens swojego życia.

— Nie umiem tego sprecyzować — odparłam, szukając wiarygodnej odpowiedzi, jaką chciałyby usłyszeć Sheridan. — Sądziłam, że jestem zakochana.

— W jednym z nich? — spytała takim tonem, że miałam ochotę ją uderzyć.

— Wydawał się inny — odparłam. — Dobry i czarujący. Posiada... dużą łatwość wpływania na innych. Nie wiem, czy mnie zaczarował. Może po prostu okazałam się słaba.

— Nie wstyd ci? — drążyła. — Nie czujesz się brudna i wykorzystana? Nawet jeśli stąd wyjdiesz, sądzisz, że ktokolwiek spośród nas będzie chciał cię dotknąć po tym, jak pozwoliłaś się wykorzystać?

Ostatnie słowa wywarły na mnie wrażenie. Przypomniałam sobie, że tego właśnie bała się Carly. Dlatego nie powiedziała nikomu, co jej zrobił Keith. Powinam była zareagować ulegle, lecz odpowiedziałam Sheridan niemal to samo, co tłumaczyłam kiedyś Carly.

— Mam nadzieję, że następny partner będzie mnie postrzegał i cenił taką, jaką jestem naprawdę. Reszta nie ma znaczenia.

Sheridan zrobiła współczującą minę.

— Nie sądzę, byś kiedykolwiek spotkała kogoś takiego.

„Już spotkałam — odparowałam w myślach. — On mnie stąd wyciągnie, zabierze daleko”.

Głośno powiedziałam tylko:

— Nie wiem, proszę pani.

Bezpieczniej było przyznać się do niewiedzy.

— Cóż — ciągnęła Sheridan. — Obyś miała mniej złudzeń wobec wampirów, niż jeśli chodzi o czystość swojej duszy. Co teraz do niego czujesz?

Tę odpowiedź miałam przygotowaną.

— Zdradził mnie — wypaliłam. — Mieliśmy się spotkać tej nocy, kiedy tu trafiłam, ale się nie pojawił. Zostałam oszukana.

Tego kłamstwa nie zdołaliby przejrzeć. Żaden z alchemików nie wiedział, co się wydarzyło w noc uprowadzenia. Pozwoliłam im sądzić, że zapobiegli mojemu pojednaniu z Adrianem, pomogli mi zwrócić się przeciwko niemu.

— Oni tacy są, Sydney. — Sheridan była bardzo zadowolona. — Oszukują.

Dopiero kiedy wychodziliśmy z sali, dostrzegłam reakcję współtowarzyszy. Część z nich, nawet tych, z którymi się zbliżyłam, unikała mnie, zupełnie jak na początku.

— Dlaczego tak się zachowują? — spytałam półgłosem Emmę, która szła obok mnie.

— Sheridan przypomniała im, jak bardzo się splamiłaś — wyjaśniła.

Patrzyłam na wszystkich ze ściśniętym sercem.

— Naprawdę tak myślą? Sądziłam, że część...

Nie dokończyłam, lecz Emma zrozumiała.

— Udaje, żeby tu przetrwać? Niektórzy rzeczywiście grają, ale nauczyli się, że jeśli chcesz tu przetrwać, musisz trzymać się z dala od ludzi, którzy wpakują cię w kłopoty. Przekroczyłaś granicę — nie, właściwie ją podeptałaś — więc nawet jeśli uważają, że jesteś w porządku, nie pozwolą, by Sheridan i spółka poznali ich prawdziwe nastawienie.

— A co ty myślisz? — spytałam.

Uśmiechnęła się bez wesołości.

— Myślę że ty i twój atrament sprawią, że alchemicy nie namieszają mi w głowie. Ale ja również zamierzam się od ciebie odsunąć. Na razie.

Odeszła szybkim krokiem, a ja do końca dnia dopracowywałam swój plan. Tego wieczoru podczas kąpieli włożyłam do buzi jedną z gum Addison. Żułam pracowicie, by stała się odpowiednio lepka. Wychodząc z łazienki, trzymałam ją w garści, a wracając do pokoju, musnęłam ręką drzwi, dokładnie tam, gdzie znajdował się zatrzask. Miałam nadzieję, że system okaże się tak czuły, jak zapowiadał Duncan, i że guma zablokuje bolec. Z początku chciałam użyć obu gum, ale uznałam, że druga może mi się jeszcze przydać. Wsunęłam ją w skarpetkę.

Później, gdy zgasły światła, usłyszałam ciche kliknięcie od strony drzwi. Nie wiedziałam, czy się zatrzęsnyły. Wstałam i ostrożnie podeszłam do szpary, przez którą sączyło się słabe światło. Nasłuchiwałam chwilę, czy ktoś jest na korytarzu. Nikogo nie było. Spróbowałam otworzyć drzwi... udało się. Zablokowałam zatrzask! Odetchnęłam głęboko, gotując się do kolejnego zadania: musiałam wyjść z pokoju niezauważenie.

Stosowałam wcześniej zakłęcie niewidzialności. Raz nawet użyłam go, by dostać się do innej instytucji alchemików. Ironia losu. To była magia dla zaawansowanych, w przeciwnym razie — jak podkreślała panna Terwiliger — każdy chciałby jej spróbować. Osiągnięcie pożądanego efektu niewidzialności wymagało wielu zabiegów. Najbardziej brakowało mi specjalnego amuletu. Ale nawet gdybym dysponowała całą gamą magicznych akcesoriów, zakłęcie przestałoby działać w zetknięciu z kimś, kto by mnie szukał. Teraz mogłam liczyć jedynie na swoją moc. Wiedziałam, że stanę się niewidzialna najdłużej na pół godziny i czar pryśnie, jeśli ktoś spojrzy mi prosto w oczy. Liczyłam jedynie na to, że nie zarejestrują mnie kamery. Korytarze powinny być puste o tej porze, skoro nasi strażnicy trwali w przekonaniu, że śpimy głęboko pod kluczem.

Nie wiedziałam, jak często następują zmiany warty w budynku, lecz zakładałam, że personelu ubywa w miarę upływu czasu. Siedziałam na łóżku jeszcze pół godziny w nadziei, że do tej pory wszyscy już zasną. Przed wyjściem przykryłam poduszkę kołdrą. W pokoju było niemal zupełnie ciemno. Zakładałam, że jeśli ktoś omiecie spojrzeniem nasze łóżka, uzna, iż obie z Emmą śpimy. Stojąc przed drzwiami, niemal bezgłośnie wypowiedziałam zakłęcie, nie chcąc się zdradzać przed współlokatorką. Właściwie słowa i koncentracja były ważniejsze od natężenia głosu. Natychmiast poczułam falę mocy, która przeniknęła moje ciało. Zakłęcie działało, ale czas uciekał. Upewniwszy się ponownie, że korytarz jest pusty, powoli otworzyłam drzwi na tyle, by się przez nie prześliznąć, i zasunęłam je za sobą. To była kolejna trudność związana z czarem niewidzialności. Ty stawałaś się niewidoczna, ale efekty twoich działań nie. Gdyby ktoś zobaczył rozsuwające się drzwi, od razu zorientowałby się w sytuacji. Nie mogłam zwracać na siebie uwagi.

Nikogo nie było, tylko kamery działały. Szybkim krokiem ruszyłam do punktu, gdzie przecinały się korytarze. Tam spotkałam pierwszego strażnika, mężczyznę o zaciętej twarzy, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Wystukiwał coś w telefonie, stojąc w miejscu, skąd mógł obserwować kilka korytarzy jednocześnie. Nie podniósł głowy, gdy go minęłam i skręciłam do windy. Wciąż zadziwiał mnie fakt, że jedyna droga wyjścia z tego piętra nie prowadziła na

zewnątrz — tak nakazywałyby zasady bezpieczeństwa — ale alchemicy pewnie byli gotowi ryzykować nasze życie, by odciąć nam drogę ucieczki.

Stojąc przed windą, uświadomiłam sobie kolejny problem. Windę można było przywołać tylko przez zeskanowanie karty identyfikacyjnej. Wielokrotnie widziałam, jak robią to nadzorujący nas alchemicy, ale zupełnie wyleciało mi to z głowy. Nie mogłam skorzystać z windy ani schodów zabezpieczonych w taki sam sposób. Usiłowałam wymyślić jakieś inne rozwiązanie, gdy nagle rozległ się dzwonek obwieszczający nadjeżdżającą windę. Za chwilę miały otworzyć się drzwi. Szybko stanęłam z boku, żeby nie znaleźć się na linii wzroku wysiadającego pasażera. Chwilę później zobaczyłam Sheridan.

Bez wahania weszłam do środka, modląc się w duchu, by winda wciąż działała na polecenie jej identyfikatora. W przeciwnym razie groziło mi uwięzienie w środku na dłuższy czas. Miałam szczęście — wcisnęłam odpowiedni guzik i zapaliło się światelko. Zjechałam na piętro, gdzie mieściły się gabinety, i wybiegłam na pusty korytarz, starając się nie myśleć teraz o drodze powrotnej.

Pamiętałam lokalizację magazynów, ale kiedy do nich dotarłam, odkryłam coś, na co wcześniej nie zwróciłam uwagi. Tutaj także potrzebowałam identyfikatora. Sheridan musiała otworzyć drzwi przed naszą wcześniejszą wizytą, lecz teraz były zamknięte. Czas uciekał, lada chwila moje zaklęcie miało przestać działać, a ja stałam w miejscu. Zaczęłam się już godzić z myślą, że będę musiała wrócić do pokoju i opracować nazajutrz jakiś lepszy plan. Przynajmniej zachowałam drugą gumę.

Nagle usłyszałam czyjś śmiech i ujrzałam dwóch alchemików idących w moim kierunku. Przywarłam do ściany. Nie było w pobliżu żadnego kąta ani niszy, gdzie mogłabym się wcisnąć. Jeśli będę miała szczęście, po prostu mnie miną. Musiałam tylko opuścić wzrok, żeby nie napotkać ich spojrzeń. Bałam się jednak, że to nie wystarczy.

Przystanęli przed drzwiami prowadzącymi do pokoju, z którego obserwowano cały budynek. Nagle oświeciło mnie, że oto nadarza się fantastyczna okazja. Oderwałam się od ściany i wsunęłam do środka, zanim drzwi zamknęły się automatycznie za wchodzącymi. Stałam nieruchomo, wstrzymując oddech. Bałam się, że ktoś mnie zauważył, ale nikt nie spojrzał w moją stronę. Przed ścianą monitorów siedział znudzony mężczyzna ze słuchawkami na uszach. Jadł jogurt. Większość ekranów była ciemna. Pokazywały wnętrza naszych pokoi. Na innych dostrzegłam klasy i korytarze, w większości opustoszałe.

Pomieszczenie było zastawione biurkami i komputerami. Krążyłam po nim z uczuciem *déjà vu*, wspominając podobną wizytę w innej alchemicznej instytucji. Wówczas chroniło mnie jednak dużo silniejsze zaklęcie niewidzialności. Nie traciłam jednak determinacji. Szukałam tak długo, aż znalazłam to, po co przyszłam. Mężczyzna jedzący jogurt zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła. Dostrzegłam przypięty do klapy identyfikator. Nie wiedziałam, czy wszyscy pracownicy mają jednakowe uprawnienia, lecz z pewnością zyskam przynajmniej dostęp do windy. Zabrałam identyfikator, podczas gdy jego właściciel siedział tyłem do mnie, i przypięłam go do paska spodni. Z początku sądziłam, że dyżurny bacznie obserwuje teren, ale podchodząc bliżej, odkryłam, że słucha jakiejś kapeli metalowej. Ciekawe, co by na to powiedzieli jego zwierzchnicy.

Udało się. Dwaj alchemicy stanęli tymczasem przed ekranami i głośno rozmawiali. Chciałam się już niepostrzeżenie wymknąć, ale zmieniłam plany. Zobaczyłam panel dotykowy na ścianie, opatrzony napisem: KONTROLA USYPIANIA. Sprawdziłam odczyt. System pracował w trybie nocnym, na panelu oznaczono wszystkie pomieszczenia, z których korzystaliśmy: sypialnie, korytarze, jadalnię i sale lekcyjne. W sypialniach natężenie gazu sięgało 27 procent, w pozostałych pomieszczeniach wynosiło zero.

Zrozumiałam wszystko. Przebywając w izolatce, miałam wrażenie, że ktoś rozpyła tam gaz w zależności od sytuacji. Zasypiałam natychmiast, gdy rozmowa zaczynała się toczyć nie po myśli zwierzchników. Wspólne pomieszczenia były kontrolowane przez centralny system, który automatycznie wpuszczał odpowiednią ilość gazu każdej nocy. Sądząc po opcjach zaznaczonych na dolnym pasku panelu, czasem musieli przechodzić na sterowanie ręczne. PRZESILENIE — ZATRZYMAĆ WSZYSTKIE SYSTEMY, RESET, PROTOKÓŁ NADZWYCZAJNY — WSZYSTKIE REJONY 42 PROCENT.

Przeżyłam szok, uświadamiając sobie, co mogą z nami zrobić. Skoro ponaddwadziestoprocentowe stężenie gazu w powietrzu powodowało głębokie uśpienie, jaki efekt wywołałoby stężenie sięgające czterdziestu dwóch procent? Ależ tak. Wszyscy w jednej chwili popadalibyśmy jak muchy. Zasnęlibyśmy na miejscu, właściwie zapadlibyśmy w śpiączkę. Bardzo użyteczne rozwiązanie na wypadek masowej próby ucieczki.

Nie wiedziałam dokładnie, jak Adrian i Marcus zamierzają mnie odbić, kiedy już tu dotrą, ale system stanowił poważną przeszkodę dla każdego planu. Odcięcie dopływu gazu w moim pokoju nie wystarczy. Musiałam wyłączyć całe piętro, a to nie była błaħostka. Próba dokonania tego w tym pomieszczeniu mijała się z celem, bo wystarczyło dotknąć panelu, żeby system znów zaczął działać. Z pewnością mieli gdzieś maszynownię, w której należało coś popsuć.

Ale nie tej nocy. Po raz ostatni zerknęłam na panel i zawróciłam do wyjścia. Nikt mnie nie zauważył. Teraz musiałam jak najszybciej dostać się do zapasów. Otworzyłam drzwi nieznacznie, tak jak poprzednie, i wsunęłam się do środka. Znalazłam wszystko, czego potrzebowałam. Zabrałam dwie butelki wody destylowanej, które wetknęłam za pasek, i dwanaście strzykawkę, które poukrywałam w skarpetkach i w staniku. Nie czułam się z tym komfortowo. Musiałam wszystko pochować, żeby skradzione przedmioty również stały się niewidzialne. Odkryłam ze zdziwieniem, że w szafkach przechowywano także zapasy żywności: keczup, musztardę i sól. Mogłam więc zabrać całą solniczkę i przestać wynosić niewielkie ilości ze stołówki.

Obciążona skradzionymi dobrami cofnęłam się do windy. Widząc rozprężenie panujące wśród nocnej zmiany, przestałam się bać, że zauważą lekkie rozsuniecie drzwi. Kiedy jednak wjechałam na piętro z sypialniami, strażnik zajęty wcześniej telefonem ruszył nagle w moją stronę. Zaniepokoiła go nadjeżdżająca winda, z której nikt nie wysiadł. Znów przywarłam do ściany i spuściłam wzrok. Minął mnie, zatrzymał się parę kroków dalej i wpatrywał się w windę ze zmarszczonym czołem. Wstrzymałam oddech. Nawet jeśli nie spotkaliśmy się wzrokiem, moje zakłęcie miało lada chwila przestać działać.

Po ciągnącej się dla mnie w nieskończoność chwili wzruszył ramionami i wrócił na posterunek. Minęłam go chwilę później i wróciłam do pokoju. W środku omal nie zemdlałam z wrażenia. Ukryłam wszystko między materacem a prześcieradłem. Kazano nam zmieniać pościel raz w tygodniu, ale ostatnio miało to miejsce dwa dni temu. Pozostało mi pięć dni, by wykorzystać całe zapasy i nie narazić się na ryzyko, że ktoś zauważy strzykawki wypadające spod materaca w dzień prania.

Na koniec wpełzłam z ulgą do łóżka. Mimo zmęczenia mój umysł nadal pracował na pełnych obrotach. Nie mogłam zasnąć i wiedziałam, że Adrian będzie się martwił.

Rzeczywiście, kiedy zmaterializowałam się na dziedzińcu Getty Villa, chodził nerwowo w tę i z powrotem. Obrócił się gwałtownie, gdy zawołałam go po imieniu.

— Sydney, dzięki Bogu! — Podbiegł i chwycił mnie w ramiona. — Nie masz pojęcia, jak się martwiłem, gdy nie zjawiałaś się o zwykłej porze.

— Przepraszam — mruknęłam, przytulając się do niego. — Miałam parę spraw do załatwienia.

Odsunął się i przyjrzał mi się uważnie.

— Jakich spraw?

— No wiesz, włamanie z użyciem magii.

— Sydney! — jęknął. — Jesteśmy coraz bliżej. Musisz się przycząić. Zdajesz sobie sprawę z ryzyka?

— Tak — odparłam, powracając myślami do panelu kontroli gazu. — Nie będziesz zadowolony, kiedy ci powiem, że będę musiała to wkrótce powtórzyć.

ROZDZIAŁ 14

Adrian

CHCIAŁEM WIERZYĆ SYDNEY, gdy twierdziła, że kontroluje sytuację, ale miałem wątpliwości, zwłaszcza że nie zdradzała szczegółów swojego życia w ośrodku. Zamiast się zamartwiać, starałem się jednak skupić na pozytywach, na tym, że możemy się widywać i że pomimo wszystkich tajemnic wyglądała zdrowo i dobrze.

Ciotka Tatiana, moja sojuszniczka i adwokat diabła na przemian, nie ułatwiała mi sprawy.

Kto wie, co tam z nią wyprawiają? — syczała w moich myślach. — *Może teraz cierpi, woła o pomoc, a ty nic nie robisz.*

„Sydney ma się dobrze — odpowiadałem stanowczo. — Sytuacja nie jest idealna, ale ta dziewczyna jest twarda”.

Ciotka Tatiana nie dawała się uciszyć.

Ona tylko tak mówi, a potajemnie pragnie, byś po nią przyjechał.

Ogarnęły mnie gniew i poczucie winy.

„Przecież się staram! Już bym tam pojechał, gdybym tylko wiedział dokąd. Nie zdręczaj mnie”.

Nagle dobiegł mnie głos Marcusa:

— Adrian?

Patrzył na mnie zaniepokojony z drugiej strony stolika.

— Co z tobą? — spytał. — Wołałem cię po imieniu trzy razy.

— Przepraszam, to zmęczenie — skłamałem.

Kiwnął głową i zapytał:

— Gotów do drogi?

Po wizycie u Carly wpadliśmy na szybki obiad i teraz ruszaliśmy w dalszą podróż do Boise. Nie zdołaliśmy tam dojechać w ciągu dnia, więc spędziliśmy noc na przedmieściach Las Vegas, w motelu obok bulwaru, którym często się przechadzałem podczas odwiedzin w mieście. Teraz zupełnie nie miałem na to ochoty. Szukałem przede wszystkim noclegu, miejsca, skąd mógłbym spokojnie nawiązać kontakt z Sydney. Następnego ranka znów wyruszyliśmy w trasę wiodącą do Ziemniaczanego Stanu.

— Do Stanu Klejnotów — poprawił mnie Marcus.

— Co takiego?

— Idaho to Stan Klejnotów, nie Ziemniaków.

— Czy na pewno? — nie kryłem sceptycyzmu. — Bez przerwy słyszę o ziemniakach z Idaho. Nikt jakoś nie mówi: „Och, mój pierścionek zaręczynowy ma rzadki diament z Idaho”.

Marcus się uśmiechnął, nie spuszczać wzroku z drogi.

— Na pewno — powiedział.

Nie zamierzałem się podkładać i spierać o taką błażostkę z byłym alchemikiem, ale gdy przekroczyliśmy granicę stanu i pojawiły się tablice rejestracyjne z napisami „Słynne ziemniaki”, nie miałem wątpliwości, który z nas miał rację.

Sprawa klejnotów przypomniła mi, że w kieszeni dzinsów wciąż wożę ze sobą spinki do mankietów od ciotki Tatiany. Schowałem je tam na czas podróży samolotem. Teraz mogłem je łatwo zgubić. Wyjąłem jedną i podziwiałem przez chwilę, jak słońce lśni w diamentach

i rubinach. Może to głupie, ale czułem, że spinki przynoszą mi szczęście, jakby to ciotka Tatiana mi pomagała — to znaczy prawdziwa ciotka Tatiana. Nie jej głos w mojej głowie.

Dotarliśmy do Boise w porze obiadu i od razu skierowaliśmy się pod adres, który podała nam Carly. Był to skromny budynek. Keith mieszkał na parterze, w apartamencie z maleńką werandą, z której skorzystaliśmy, gdy nikt nam nie otworzył. W środku było ciemno, nie słyszeliśmy żadnych odgłosów, więc pewnie wyszedł, a nie ukrywał się przed nami. Był przyjemny letni wieczór, przyjemny dla ludzi i morojów, ale nie miałem ochoty zostawać tam dłużej.

— Może Keith pracuje na nocną zmianę? — zasugerowałem.

Marcus oparł stopy o balustradę.

— Narobił sobie kłopotów za łamanie zasad i różne wysokości. Gdyby zadawał się z wampirami i istniałoby ryzyko, że nawiąże kontakt ze strzygami, wyznacziliby mu nocną służbę, żeby mieć go na oku. Ale za zwykłą niesubordynację? Pewnie pracuje od ósmej do siedemnastej, żeby przypomnieć sobie, jak wygląda normalne ludzkie życie. Nocną zmianę alchemicy rezerwują dla tych, którzy stanowią realne zagrożenie.

Dziesięć minut później okazało się, że Marcus miał rację. Keith wjechał na parking kia sorrento i po chwili ruszył w stronę domu. Na nasz widok — zwłaszcza mój — stanął jak wryty i wyraźnie pobladł.

— Nie. Nie... — wyjąkał. — Nie macie prawa tu być. O mój Boże! A jeśli jest już za późno? Jeśli ktoś was widział? — Rozejrzał się gorączkowo, jakby spodziewał się ataku alchemicznego oddziału SWAT.

— Spokojnie, Keith — powiedziałem, wstając. — Chcemy tylko pogadać.

Potrząsnął gwałtownie głową.

— Nie mogę. Nie mogę z wami rozmawiać, chyba że oficjalnie. Nawet oficjalnie nie wolno mi się z wami zadawać, dopóki...

— Chodzi o Carly Sage — przerwałem mu.

Natychmiast umilkł. Wpatrywał się w nas dłuższą chwilę, wyraźnie bijąc się z myślami.

— Dobra — zdecydował w końcu. — Możecie wejść.

Minał nas i otworzył drzwi, raz po raz oglądając się za siebie. Od razu zaciągnął wszystkie zasłony i stanął jak najdalej od nas, krzyżując ręce na piersi w obronnym geście.

— Co się dzieje? — rzucił. — Kim jest ten facet? Czy z Carly wszystko w porządku?

— To mój kolega, mhm... John — odparłem, uznawszy, że nie powinienem zdradzać imienia człowieka znajdującego się na pierwszym miejscu listy renegatów poszukiwanych przez alchemików. Marcus wcześniej zamaskował makijażem swój tatuaż w kolorze indygo. — Carly ma się doskonale. Widzieliśmy się z nią wczoraj.

Keith nieco się odprężył.

— Widzieliście się z nią? I dobrze się czuje?

— Bardzo dobrze — potwierdził Marcus. — To ona dała nam twój adres. Chciała, żebyśmy cię odwiedzili.

— Naprawdę? — Keith wybałuszył oczy ze zdziwienia, co wyglądało niesamowicie, bo jedno oko miał szklane.

— Sydney zaginęła — wyjaśniłem. — Carly chce, żebyś nam pomógł ją odnaleźć.

Keith był chyba szczerze zaskoczony, a potem zrobił się nieufny.

— Jak to zaginęła?

— Wywieźli ją do ośrodka reedukacji — powiedziałem wprost.

— Nie! — jęknął. — Nie. Czułem, że nie powinienem być was wpuszczać. Nie mogę się w to mieszać. Nie mogę mieć z nią nic wspólnego, skoro tam trafiła. — Zamknął oczy i usiadł na

podłozie. — O Boże. Dowiedzą się, że tu przyszlście, i odeślą mnie tam z powrotem.

— Nikt się nie dowie — zaprzeczyłem w nadziei, że to prawda. Do tej chwili nie sądziłem, że będę mu współczuł. — Musimy się dowiedzieć, gdzie zamknęli Sydney. Wiemy, że trzymali cię w tym samym ośrodku. Gdzie on się znajduje?

Keith otworzył oczy i zdobył się na krótki śmiech.

— Myślicie, że nam powiedzieli? Nawet nie widzieliśmy słońca! Rzadko w ogóle widzieliśmy jakieś światło.

Zmarszczyłem brwi.

— Co masz na myśli?

Keith zrobił udręczoną minę.

— Tak się dzieje, kiedy trafisz do izolatki.

— Sydney nie jest w izolatce — sprostowałem. — Przebywa wśród ludzi.

— To rodzaj tortury — odparł z goryczą. — Szybko się uczysz, co wolno, a czego nie, żeby ułatwić sobie życie.

Miałem ochotę dowiedzieć się czegoś więcej, ale Marcus wrócił do interesującego nas tematu.

— Dobra, rozumiem, że nie powiedzieli ci, gdzie się mieści ten ośrodek, ale przecież stamtąd wyszedłeś. Musiałeś jakoś tu przyjechać.

— Tak. Z zawiązanymi oczami — wyjaśnił Keith. — Zdjęli mi opaskę dopiero daleko od tego miejsca. I nie pytajcie jak daleko, bo nie mam pojęcia. Zmieniali samochody i samoloty... Straciłem rozeznanie. Poza tym myślałem tylko o tym, żeby tam nigdy nie wrócić.

— Jednak byłeś przytomny — przypomniał mu Marcus. — Nie widziałeś, lecz mogłeś korzystać z pozostałych zmysłów. Pamiętasz cokolwiek? Dźwięki? Zapachy?

Keith już miał zaprzeczyć, lecz dostrzegłem błysk w jego oku. Nie odezwał się jednak, wciąż był nieufny.

— Nie wiem, czy Carly kiedykolwiek ci wybaczy, nawet jeśli nam pomożesz — powiedział cicho. — Wiem jednak, że nie wybaczy ci nigdy, jeśli zataisz informacje, które mogą pomóc jej siostrze.

Keith zachwiał się tak, jakbym go uderzył.

— Próbowałem wszystkiego — mruknął. — Błagałem. Prosiłem. Nawet przed nią uklęknąłem.

Zrozumiałem, że mówi o Carly, nie o reedukacji.

— Dlaczego? — spytałem wbrew sobie. — Po co ci jej przebaczenie? Gdzie było twoje sumienie przez te wszystkie lata?

— To skutek reedukacji — odparł, wpatrując się w swoje stopy. — Nigdy nie czułem się tak bezradny — tak beznadziejny — jak tam. Sprawowali nade mną władzę absolutną, nie miałem do kogo się zwrócić o pomoc. Sprawiali, że człowiek czuł się winny niemal bez przerwy... Uświadomiłem sobie, że dokładnie to zrobiłem Carly. Nie potrafię się z tym uporać.

I znów zrobiło mi się go żal, chociaż nie mogłem mu zapomnieć krzywdy, jaką wyrządził siostrze Sydney. Nawet mnie rzucały czasem dziewczyny, ale zawsze sobie z tym radziłem mimo urażonej dumy. Nigdy nie posunąlbym się do przemocy. Keith musiał zdawać sobie sprawę, że to, co zrobił, było złe, zanim alchemicy zamknęli go w ośrodku. Chociaż wydawało się, że naprawdę odczuwa skruchę, Carly miała pełne prawo pozwolić mu cierpieć do końca życia.

Nie powiedziałem tego wszystkiego głośno, bo nie wierzyłem, że tym przekonam Keitha. Zamiast tego zwróciłem się do niego łagodniejszym tonem.

— Teraz wszystko zależy od Carly. Ale na pewno będzie wdzięczna, jeśli podpowiesz nam cokolwiek. Każdy szczegół może okazać się ważny.

Zapadła długa cisza, która, zdaje się, ciążyła w równym stopniu Keithowi. W końcu odetchnął głęboko.

— Na zewnątrz było bardzo gorąco — oznajmił. — Pamiętam, że mnie to zaskoczyło, mimo że wyszedłem w środku dnia. Był koniec listopada i spodziewałem się chłodu. Ale tam panował upał. Jakbym wciąż był w Palm Springs.

Wyrwało mi się głośne westchnienie i Marcus błyskawicznie skarcił mnie wzrokiem, zanim palnąłem coś głupiego.

— Tam jej nie ma. Palm Springs nie jest na liście. Czy poza tym, że było gorąco, było również sucho? Jak na pustyni? A może wilgotno jak w tropikach?

Keith zmarszczył brwi.

— Sucho. Na pewno.

— A co rozumiesz przez „gorąco”? — drażył Marcus. — Jaka była temperatura?

— Nie miałem przy sobie termometru! — wykrzyknął Keith z frustracją.

— Oszacuj to w przybliżeniu. Ponad trzydzieści stopni? — dociekał zniecierpliwiony Marcus.

— Nie... nie aż tak. Gorąco jak na listopad, w każdym razie dla mnie. Wychowałem się w Bostonie. Bliżej... dwudziestu sześciu, siedmiu stopni.

Patrzyłem na Marcusa. Miałem cichą nadzieję, że nagle powie: „Aha!” i będzie miał odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie miał, ale zrobił taką minę, jakby uzyskał przydatne informacje.

— Pamiętasz coś jeszcze? — spytał.

— To wszystko — odparł ponuro alchemik. — Pójdziecie już sobie? Próbuję zapomnieć o tym miejscu. Nie chcę tam wrócić za pomoc w jego zlokalizowaniu.

Spojrzałem pytająco na Marcusa. Pokiwał głową.

— Mam nadzieję, że to wystarczy — powiedział.

Podziękowaliśmy Keithowi i ruszyliśmy do wyjścia. Nagle nas zatrzymał.

— Poczekajcie. Jeszcze jedno.

— Tak? — spytałem, mając nadzieję, że przypomniał sobie coś więcej.

— Kiedy będziecie widzieli się z Carly... Powiedzcie jej, że naprawdę żałuję.

— Wciąż chcesz, żeby cię wydała policji? — spytałem.

Keith znów miał to nieobecne spojrzenie.

— Tak byłoby lepiej. Na pewno wolałabym to, niż wrócić do ośrodka. Może nawet wolałabym to, niż zostać tutaj. — Zatoczył krąg dłonią, pokazując mieszkanie. — Niby jestem wolny, ale wciąż mnie obserwują, czyhają na każdy błąd. Nie tak wyobrażałem sobie swoje życie.

Wsiadaliśmy już do samochodu, gdy mi się wymknęło:

— Dwa miesiące. Był tam tylko dwa miesiące, a spójrz, co się z nim stało...

— Tak działa na ludzi to miejsce — mruknął posępnie Marcus.

— Sydney jest tam dwa razy dłużej.

Umilkliśmy przytłoczeni tą świadomością. Odniosłem wrażenie, że Marcus próbuje mnie pocieszyć.

— Zachowywała się tak samo jak on? — spytał.

— Nie.

— Bo jest od niego silniejsza.

Ogarnął mnie smutek.

— I dlatego wciąż ją tam trzymają. — Marcus nie odpowiedział, więc przeszedłem na lepiej rokujący temat. — Masz jakieś pomysły na miejsce po tej rozmowie? Z tym gorącym

i suchym klimatem?

— Chyba tak. Dobra. Zamieńmy się. — Otworzył drzwiczki od strony kierowcy. — Ty prowadzisz, a ja trochę podzwonię.

— Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Może powinniśmy tu zostać, zanim nie dowiemy się, gdzie ona jest. Co, jeśli zdążamy w niewłaściwym kierunku?

— Zakładam, że Keith nas nie okłamywał. Pewnie nie trzymają jej w Palm Springs, ale na pewno gdzieś na południu. — Wyjął telefon, a ja jechałem w stronę I-84. — Tak długo studiowałem listę potencjalnych ośrodków, że prawie znam ją na pamięć. Nie ma tak wielu miejsc w Stanach, gdzie temperatura w listopadzie sięga dwudziestu sześciu stopni.

— Przeciwnie, jest całe mnóstwo... — Miałem wrażenie, że znów prowadzimy spór o Stan Ziemniaczany. — Hawaje, Kalifornia, Floryda, Teksas. Właśnie byliśmy w Las Vegas, a czułem się jak w piekarniku!

Marcus pokręcił głową.

— Większość nie ma suchego klimatu. Zimy są ciepłe, lecz deszczowe. Poza tym w miejscach położonych wysoko, gdzie panuje klimat pustynny — jak w Las Vegas — nie jest gorąco w listopadzie. Na podstawie listy potencjalnych ośrodków, informacji Keitha i twojego oszacowania strefy czasowej... zostają dwie możliwości. Jedna to Dolina Śmierci, druga — okolice Tucson.

Omali nie zjechałem z drogi.

— Kalifornia i Arizona? Byliśmy tam w ciągu ostatniej doby.

— To duży obszar — skwitował.

Zakręciło mi się w głowie. Oba miejsca znajdowały się w odległości niecałego dnia jazdy z Palm Springs. Niemożliwe, żeby Sydney była tak blisko. Cierpiałem i tęskniłem, a ona znajdowała się ledwie kilka godzin drogi stąd! Marcus zaczął wybierać numer, ale przerwał, widząc moją wstrząśniętą minę.

— Hej, wszystko w porządku — orzekł. — Nie mogłeś wiedzieć.

Czy to możliwe? — odezwała się ciotka Tatiana w mojej głowie. *Była tak blisko! Przez cały ten czas. Mogłeś niemal wyciągnąć rękę i jej dotknąć.*

Nie potrzebowałem krytyki. Sam sobie ją fundowałem. Ogarnęło mnie ciężkie poczucie winy i rozpacz. Tak blisko! Sydney była tak blisko, a ja ją zawiodłem... tak jak zawiodłem we wszystkich innych sprawach...

— Powinienem był wiedzieć — wyszeptałem. — Powinienem to czuć tutaj. — Dotknąłem swojej piersi. — Powinienem był wiedzieć, że jest w pobliżu.

Marcus westchnął.

— Po pierwsze, połóż obie ręce na kierownicy. Po drugie, oczywiście wierzę, że jesteś wampirem obdarzonym fenomenalnymi zdolnościami magicznymi, ale nawet ty nie masz szóstego zmysłu.

Jego słowa nie przedarły się przez chmurę rozpacz, która mnie spowijała.

— Nie chodzi o magię. Chodzi o nas oboje. Powinienem wyczuć, gdzie jest Sydney.

Marcus, podobnie jak Jackie Terwiliger, był jedną z osób, które nie wiedziały dokładnie, co mnie łączyło z Sydney, ale wiele się domyślały.

— To tylko smutny zbieg okoliczności, ironia losu. Alchemicy mają jeden ośrodek reedukacyjny w tym kraju i akurat mieści się on kilka godzin jazdy od miejsca, z którego ją uprowadzili. Z tego, co mówili Keith i pozostali, równie dobrze mógł się znajdować lata świetlne dalej. Znamy w przybliżeniu lokalizację, ale czeka nas jeszcze sporo pracy. Dasz radę się skupić na drodze czy mam przejąć kierownicę?

— Rób, co masz do zrobienia — mruknąłem ponuro.

Milczałem, gdy dzwonił do swoich tajnych agentów, prosząc, by porzucili swoje zadania i zajęli się odnalezieniem instytucji leżącej w Tucson albo w Dolinie Śmierci. Rozesłał ludzi, by dowiedzieli się o tym miejscu wszystkiego, a w pewnej chwili zamówił nawet pistolety na środki uspokajające i „inne podobne zapasy”. Czułem się otępiały i przygnębiony, raz po raz słyszałem w głowie oskarżycielskie słowa z ust ciotki Tatiany. Kiedy Marcus zakończył ostatnią rozmowę, wyjaśnił, że najpierw musi namierzyć budynek ośrodka. Dopiero potem uzyska więcej informacji.

— Kiedy już będziemy znali dokładną lokalizację budynku, możemy zacząć szukać jego dokumentacji. Nawet alchemicy nie potrafią zbudować czegoś tak dużego jak ośrodek i nie zostawić żadnych śladów. Z całą pewnością dobrze go zamaskowali, ale powinien być jakiś zapis w dokumentach. Musimy tylko wiedzieć, czego szukać. Mam kilku ludzi w ich strukturach, pomogą nam, gdy będziemy znali więcej szczegółów.

Kiwnąłem głową i ostatecznie otrząsnąłem się z rozpacz. Zastąpiło ją inne uczucie: złość. Właściwie coś silniejszego. Wściekłość. Wściekłość na tych, którzy zrobili to Sydney. Marcus był specjalistą od zbierania informacji. Sam najchętniej wtargnąłbym do tego piekła i wyprowadził stamtąd Sydney. Skutecznie.

Tak — syknęła ciotka Tatiana. *Zapłacą nam za to, co zrobili.*

— Jak długo potrwa namierzenie? — spytałem. — Wcześniej mówiłeś, że tydzień albo dwa.

— To było wtedy, gdy byliśmy skazani na błądzenie po omacku. Nowe informacje przyspieszą sprawę. Jeśli to Dolina Śmierci, możemy pójść bardzo szybko. Nie ma tam wielu zabudowań. Przeszukanie Tucson potrwa nieco dłużej, to właściwie metropolia otoczona pustynią. Moi ludzie rozpoczęli poszukiwania w obu miejscach. Liczmy na szczęście.

Zanocowaliśmy w południowej Nevadzie, w hotelu sąsiadującym z licznymi kasynami cieszącymi się tu wielkim zainteresowaniem. Nie mogę powiedzieć, że spaliśmy w luksusie, ale hotel okazał się przyzwoity jak na lokum w miasteczku bez nazwy. Mieliśmy do dyspozycji kablówkę i internet, a także minibar, do którego jednak nie zająrałem. Na dworze znieczulałem się bez opamiętania, ale teraz byłem zdeterminowany, by zachować kontrolę. Sydney potrzebowała mnie w pełni świadomego.

Wysłałem esemesa do Jill i wkrótce uzyskaliśmy na laptopie Marcusa połączenie wideo z całą bandą z Palm Springs.

— Znaleźliście Sydney? — zapytał od razu Eddie.

Jill знаła wszystkie szczegóły naszej wyprawy, ale nie zdążyła przekazać ich reszcie.

— Lada moment będziemy wiedzieli, gdzie dokładnie przebywa — odparł Marcus. — Tymczasem odkryliśmy już, że całkiem niedaleko. Trzymają ją w Dolinie Śmierci albo w Tucson. Czekamy na potwierdzenie.

Przyjaciele dzielali moje zaskoczenie na wieść o tym, że Sydney była tak blisko.

— Dajcie nam znać, kiedy się upewnicie, a natychmiast się tam stawimy! — wykrzyknęła Angeline.

Przez chwilę zapragnąłem ponad wszystko, by znaleźli się przy mnie. Dopiero potem przyszła świadomość, że Sydney nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby cel jej pierwotnej misji został zaprzepaszczone. Zobaczyłem, jak Jill się krzywi, czytając w moich myślach.

— Nie — sprzeciwiłem się. — Macie egzaminy. A Jill nie wyruszy na żadną szaloną eskapadę. Jej życie nadal jest zagrożone.

— Egzaminy skończą się za dwa dni — protestowała. — I nic mi już nie grozi. Nie słyszałeś, kiedy byłeś na dworze? Lissa spodziewa się głosowania w ciągu miesiąca, mają zmienić prawo wymagające od królowej posiadania żyjącego członka rodziny. Kiedy to się

zmieni i moja osoba straci znaczenie, Lissa sprowadzi mnie na dwór. Zostałam na lato w Amberwood tylko do rozwiązania tej kwestii.

Nie słyszałem o tym pewnie dlatego, że spędzałem czas na dworze w pijackim odurzeniu.

— Twoja osoba nigdy nie straci znaczenia, Ślicznotko. Poza tym sama powiedziałaś, że prawo nadal obowiązuje. Jesteś dla królowej ważna, nie opuścisz kryjówki, którą tak pieczołowicie trzymaliśmy w sekrecie. I nie prosź mnie, żebym pozwolił przyjechać dampirem — dodałem, pamiętając, że wspominała o tym w ostatniej rozmowie. — Potrzebujesz ochrony.

— Nie jestem dampirem — wtrącił Trey. — I nikomu nie służę. Powiedz, gdzie mam się stawić.

Zawahałem się, lecz potem skinąłem głową. Trey rzeczywiście nie miał takich zobowiązań jak pozostali i był dobry w walce. Angelina szturchnęła go w ramię. Musiało zaboleć, lecz jeszcze bardziej go to rozjuszyło.

— To nie fair — powiedziała. — Chcę pomóc.

— Wszyscy chcemy — dorzucił Neil.

— Możecie zabrać jednego dampira — zdecydowała spokojnie Jill. — Dwoje mi wystarczy, zwłaszcza że nie opuszczam kampusu. Niech jedzie Eddie.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Nie chcesz... żebym cię bronił?

Posłała mu iście królewski uśmiech, niemal lustrzane odbicie uśmiechu Lissy.

— Oczywiście, że chcę. Nikomu nie ufam bardziej niż tobie. Ale musisz tam pojechać. Wiesz, że on jest jednym z najlepszych, Adrian.

Wątpię, czy którekolwiek z nich, nawet Eddie, uświadamiało sobie rozmiary wspaniałomyślności Jill. Nie czytałem w jej myślach, ale znałem ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że bardzo pragnęła wziąć udział w misji uwolnienia Sydney. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że nikt z nas jej na to nie pozwoli. Poświęciła więc całą energię, by mnie przekonać do zaangażowania Eddiego... Nie chodziło tylko o umiejętności bojowe chłopaka. On tego potrzebował. Zadręczał się od czasu, gdy Sydney zniknęła. Ale inaczej niż ja, który czułem się samotny i bezradny. Eddie uważał, że ponosi odpowiedzialność za porwanie. Sydney go oszukała, poświęciła siebie, żeby go ratować, a on nie potrafił się z tym pogodzić. Jill to rozumiała. Wiedziała, że jej strażnik dojdzie do siebie tylko wtedy, gdy uwolni Sydney. Rozumiała, bo była bystra i mądra.

I dlatego, że go kochała.

Eddie nie zdawał sobie sprawy z tego wszystkiego, więc był rozdarty.

— Złamałbym rozkaz... Przynależem, że będę cię chronił.

— Zwalniam cię z przyrzeczenia — odparła. — Mam takie prawo, ponieważ to mnie ślubowałeś i jestem członkiem rodziny królewskiej. Jako koronowana księżniczka proszę, byś pojechał na ratunek Sydney. Potem do mnie wrócisz.

Nigdy nie słyszałem, by Jill powoływała się na swój królewski rodowód, a już na pewno nie na tytuł księżniczki. Na tym właśnie polegało prawo rodzinne. Gdyby coś się stało królowej lub królowi morojów, a rada nie mogłaby sobie poradzić z sytuacją, jeden z członków rodziny władcy miał objąć rządy do czasu wyboru nowego króla. Co prawda nie powołano się na to prawo po śmierci cioci Tatiany, ale by zachować ciągłość władzy, należało zachować stary porządek w mocy.

Eddie wpatrywał się w Jill z uwielbieniem, nie do końca rozumiejąc, że mówi do niego zakochana kobieta, nie księżniczka. Przekonała go.

— Dobrze — odparł. — Sprowadzę ją. A potem, przysięgam, wrócę i będę cię chronił.

Marcus, nie do końca pojmując głębszy sens tej sytuacji, skinął głową z aprobatą.

— Zgadzą się. Nigdy nie odrzuciłbym pomocy dampira czy dwóch.

Angeline i Neil podnieśli oczy z nadzieją, słysząc o „dwóch”, ale szybko ją zgasilem.

— Zostajecie ze Ślicznotką. Nie spuszczajcie z niej oka i niech wam nie przyjdzie do głowy przywozić jej ze sobą. Wiadomość o planach Lissy może rozjuszyć wrogów, którzy teraz podwoją wysiłki, by odnaleźć Jill, póki prawo jeszcze obowiązuje.

To ich otrzeźwiło, Neil i Angeline skinęli głowami z rezygnacją. Odezwał się telefon Marcusa, więc odszedł na bok, żeby odebrać.

— Słuchaj, zapomniałem ci powiedzieć — odezwał się Trey. — Wczoraj zajrzała jakaś dziewczyna. Szukała ciebie i Sydney.

— Nas oboje? — zdziwiłem się. Niewiele osób wiedziało, że jesteśmy parą.

— Właściwie pytała o Sydney, ale z tobą również chciała pogadać. Jest człowiekiem — dodał, uprzedzając moje pytanie. — Blondynka w okularach. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

Nie miałem pojęcia, o kim mówi. Jedynym człowiekiem, który mógł pytać o mnie i o Sydney, była Rowena, ale ostatnio zafarbowała włosy na niebiesko. Poza tym mogła po prostu do mnie zadzwonić.

— Nie mówiła nic więcej? — zainteresowałem się. — Dlaczego nas szukała? Nie przedstawiła się?

— Nie. Twierdziła, że jest waszą starą znajomą i chce odnowić kontakt. Powiedziałem, że nie wiem, gdzie jesteście. Była tak rozczarowana, że zaproponowałem przekazanie wiadomości, jeśli się odezwiecie. Odmówiła jednak, skorzystała z łazienki i wyszła bez słowa.

— Nie miała tatuażu z lilią?

Trey się zachnął.

— Myślisz, że się nie przyglądałem? Od razu bym zauważył. Jeśli nawet miała, musiała go zakryć.

Powrót Marcusa sprawił, że kwestia tajemniczego gościa przestała mnie interesować. Marcus promieniał.

— Pamiętasz, jak wspominałem, że może będziemy mieli szczęście? — zaczął. — Mieliśmy. To Dolina Śmierci. Dostałem potwierdzenie. Musimy jeszcze dokładnie namierzyć sam budynek, ale już wiemy, dokąd jutro jechać.

— Dołączymy tam do was razem z Treyem — rzucił Eddie.

— Najpierw wasze egzaminy — sprzeciwił się Marcus. — Zgromadzenie niezbędnych informacji i opracowanie planu zajmie nam parę dni.

Dolina Śmierci. Niecałe pięć godzin jazdy od Palm Springs. Marcus miał rację. Nie mogłem przewidzieć, że Sydney tam jest, ale mimo wszystko trudno było mi się z tym pogodzić. Tak blisko. Była tak blisko przez cały czas. Doskwierała mi również świadomość, że chociaż zdobyliśmy ważne informacje, nie mogliśmy działać natychmiast. Tymczasem musieliśmy ustalić szczegóły z Eddiem i Treyem, zanim cała paczka rozejdzie się do swoich pokoi w internacie wraz z nastaniem ciszy nocnej. Kiedy się rozłączyliśmy, Marcus wykonał jeszcze parę telefonów, a potem ziewnął.

— Muszę odpocząć — oznajmił, idąc do jednego z podwójnych łóżek. — Możesz sobie pooglądać telewizję. I tak od razu zasnę. Nauczyłem się korzystać z każdej okazji.

Nie wątpiłem w to, Marcus spędził wiele lat na wygnaniu. Mimo wszystko wyciszyłem dźwięk i oglądałem same obrazy. Wyciągnąłem się na łóżku i spróbowałem nawiązać kontakt z Sydney. Powinna już spać od dłuższego czasu, ale nie udało mi się jej wywołać, pewnie wyruszyła na jakąś swoją misję. Telewizja bez dźwięku szybko mnie znudziła i ze dwa razy omal nie zasnąłem. W końcu trafiłem na film z napisami. Oglądałem go przez dłuższą część nocy,

walcząc z sennością, i od czasu do czasu próbowałem skontaktować się z Sydney. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, był talk show około czwartej nad ranem...

...a potem obudziłem się w promieniach słońca wpadających do pokoju, gdy Marcus wyszedł z łazienki.

— Dzień dobry — przywitał się. — Gotów do dalszej drogi?

— Ja... — Rozejrzałem się z głupią miną, usiłując przypomnieć sobie, co się stało.

— Zasnąłem.

— Zanim porozmawiałeś z Sydney? — uściślił Marcus, unosząc brew.

— Tak, ale próbowałem wiele razy... chciałem się z nią skontaktować. Nie zdołałem.

— Może późno się położyła — zasugerował.

— Po czwartej? — Poprzedniej nocy też coś knuła, a jednak nawiązałem z nią kontakt przed pierwszą. — Boję się, że w ogóle się nie położyła.

— Czy to problem?

— Właściwie nie — odparłem. — Zwłaszcza jeśli realizowała jakieś swoje plany. O problemie możemy jednak mówić, gdyby spała... a oni znów ją ode mnie odcięli.

ROZDZIAŁ 15

Sydney

BRAK CZASU nie pozwalał na zaczarowanie wszystkich strzykawek, zwłaszcza że mogłam działać tylko w krótkich chwilach spędzanych na osobności. W pierwszej turze napełniłam pięć i poleciłam Emmie rozdać je zaufanym osobom.

Poczyynałam sobie śmieiej, od czasu gdy Adrian powiedział o uzyskaniu od Carly adresu Keitha. Nie mogłam się doczekać nocy, kiedy opowie mi o wszystkim. Świadomość, że on i Marcus są coraz bliżej, kazała mi jak najszybciej znaleźć sposób na rozbrojenie „systemu alarmowego”. A byłam w stanie coś zdziałać dopóty, dopóki się nie zorientują, że ukradłam identyfikator. Gdy facet zgłosi zaginięcie plakietki, alchemicy natychmiast ją dezaktywują. A jak sabotować cały system, nie korzystając z windy? Musiałam działać szybko.

Emma była pod wrażeniem, gdy dowiedziała się, że odwiedziłam pomieszczenie kontrolne. Ale nie знаła odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie.

— Nie znalazłaś tam kontrolek gazu?

— Znalazłam — odparłam. — Mają możliwość uspienia nas wszystkich w jednej sekundzie, w dowolnym miejscu i czasie. Muszę jednak mieć dostęp do instalacji, z której płynie gaz. Nie wiem, skąd przedostaje się do rur systemu wentylacyjnego.

Emma pokręciła głową. Naprawdę było jej przykro, że nie potrafi mi pomóc.

— Nie mam pojęcia. I nie znam nikogo, kto by wiedział.

Ponieważ ja znałam, zagadnęłam Duncana na kolejnej lekcji sztuki. Emma była zakłopotana moimi pytaniami, ale Duncan przeżył szok.

— Nie, Sydney, przestań. To szaleństwo. Wystarczy, że odcięłaś dopływ gazu do waszej sypialni. Chcesz odłączyć całe piętro? To niemożliwe.

Nadal lepiliśmy gliniane miski, tym razem polecono nam wykonać parę identycznych, co pasowało do konformizmu alchemików.

— Obłędem jest to, że mogą nas błyskawicznie uspić jednym przyciskiem.

— I co z tego? — spytał. — Zrobiliby to tylko na wypadek buntu. Nikt nie jest aż tak głupi. — Ponieważ milczałam, wybałuszył na mnie oczy. — Sydney!

— Chcesz powiedzieć, że zamierzasz tu zostać do końca życia? — spytałam.

Potrząsnął głową.

— Wystarczy dobrze udawać, a w końcu nas stąd wypuszczą. To o wiele łatwiejsze rozwiązanie niż twoje pomysły, które muszą się źle skończyć.

— Ty jakoś nie wyszedłeś. — Zwiesił głowę po moich słowach, ale nie miałam wyrzutów sumienia.

— Wyszedłbym, gdybym mógł — mruknął.

— Nie wierzę — odparowałam. — Jesteś tu już tak długo, powinieneś udawać lepiej niż inni. Powinieneś mówić i robić rzeczy, które załatwiłyby ci natychmiastowe uwolnienie. Tymczasem twoje zachowanie gwarantuje ci wieczny pobyt w tym miejscu. Boisz się działać.

Po raz pierwszy zobaczyłam w jego oczach gniew.

— Działać? O czym ty mówisz, Sydney? Niby co miałbym robić na zewnątrz? Nigdy nie będę bezpieczny. Wiesz, że alchemicy po reedukacji żyją pod stałym nadzorem. Żeby tu nie wrócić, musiałbym odrzucić wszystkie swoje poglądy na temat morojów albo pilnować się na

każdym kroku, uważać na każde słowo. Z nimi nie można wygrać. Schrzaniliśmy sprawę. Wychowano nas w systemie, z którym się nie zgadzamy, i na tym nas przyłapano. Tu czy tam, jakie to ma znaczenie. Nic nas już nie czeka.

— A Chantal? — spytałam cicho. — Jest gdzieś tam.

Jego ręce, które tak wprawnie kształtowały glinę, nagle opadły.

— Nie wiem gdzie. Może wysłano ją do innego ośrodka, w innym kraju. Może się zabiła, bo nie chciała dłużej żyć w kłamstwie. Albo spotkała ją gorsza kara. Myślisz, że pobyt w izolatce i nudne zajęcia plastyczne to ich jedyna broń? Mogą nas skrzywdzić o wiele dotkliwiej. Skazać na rzeczy gorsze niż przeczyszczanie i publiczne ośmieszanie. Odwaga jawi się dobrze tylko w teorii, ale ma wysoką cenę.

— Chantal była odważna, prawda? Dlatego tak się boisz. — Duncan miał tak smutną minę, że zapragnęłam go przytulić... choć jednocześnie miałam ochotę mocno nim potrząsnąć. — Boisz się działać! Boisz się, że skończysz tak jak ona!

Przełknął ślinę i na powrót zabrał się do formowania miski.

— Nie rozumiesz.

— To mi wyjaśnij.

Milczał.

— Świetnie — warknęłam. — W takim razie sama jakoś odłączę ten gaz, nie będę cię więcej nagabywać. Proszę, to również możesz wyrzucić.

Uklękałam, jakbym sięgała po coś, co mi upadło, i szybko przełożyłam strzykawkę ze swojej skarpetki do jego, skrzętnie zakrywając ją nogawką jego spodni, zanim ktokolwiek nas zobaczył.

— Co to jest?! — syknął.

— Ostatnia z tej partii strzykawek napełnionych roztworem likwidującym działanie ich atramentu. Zachowałam ją dla ciebie, ale pewnie nie zechcesz jej użyć. Może nawet poczułbyś się lepiej, gdybyś poprosił ich o ekstremażną dawkę, żebyś w ogóle nie musiał myśleć.

Dzwonek obwieścił koniec zajęć, więc odwróciłam się na pięcie i wyszłam, zostawiając go samego. Tego wieczoru w łazience udało mi się napełnić magią jeszcze kilka strzykawek, które przeschowałam do swojego pokoju. Ponownie użyłam gumy do żucia, żeby zablokować zamek w drzwiach. Nie wiedziałam, gdzie dokładnie znajduje się system kontrolujący przepływ gazu, ale mogłam zgadywać. Emma zauważyła, że zalepiałam zamek gumą, i zapytała niemal bezgłośnie:

— Naprawdę chcesz to zrobić?

Skinęłam nieznacznie głową i grzecznie położyłam się, by poczytać książkę. Kiedy później zgasły światła, odczekałam jeszcze, aż strażnicy zasiądą do swoich zajęć, i ruszyłam do akcji. Włożyłam poduszkę pod koldrę, wymruczałam zaklęcie niewidzialności i włożyłam do kieszeni skradziony identyfikator. Wymknęłam się na korytarz. Wszystko wyglądało podobnie jak poprzedniej nocy: panował spokój, a służbę pełnił ten sam strażnik.

Podkrađłam się do windy oraz schodów i przesunęłam identyfikator nad drzwiami. Panel zaświecił zielono, a ja odetchnęłam z ulgą. Ostrożnie otworzyłam drzwi i przedostałam się na drugą stronę mniej ryzykownie niż windą. Musiałam pamiętać, by tylko minimalnie uchylać każde drzwi. Na schodach zauważyłam znowu, że nie ma drogi w górę. Można było iść wyłącznie w dół.

Jak się wydostać? To pytanie zadałam sobie po raz setny. Rozważałam je od chwili, kiedy się tu dostałam. Przecież musieli nas w jakiś sposób wprowadzić, a alchemicy, którzy tu pracowali, jakoś wychodzili na zewnątrz. Duncan twierdził, że mieszkają poza budynkiem całymi miesiącami i przychodzą do pracy na zmiany. Jak to się odbywało? Tę zagadkę odłożyłam

na potem, a tymczasem skupiłam się na zadaniu. Zeszłam na piętro, na którym mieściły się gabinety, i próbowałam zaglądać za każde drzwi. Niestety, nie znalazłam pomieszczenia przypominającego maszynownię. Pamiętając o upływającym czasie, wróciłam na schody i wzmocniłam zakłęcie niewidzialności, zyskując dodatkowe trzydzieści minut. Nie mogłam jednak tego powtarzać całą noc, bo zakłęcie pochłaniało mnóstwo energii, ale zdążyłam jeszcze zejść piętro niżej.

Nie byłam tam od prawie trzech tygodni i teraz przystanąłam ze strachem. Tutaj mieściła się moja cela, tutaj trzymali mnie w ciemnościach przez trzy miesiące. Choć od dawna do tego nie wracałam, zadrżałam na wspomnienie tamtego chłodu, mięśni zeszywniałych od leżenia na surowym podłożu, mroku. Jak cudowna wydawała się teraz wąska smuga światła wpadająca nocą przez szparę w drzwiach w moim obecnym lokum. Otrząsnęłam się i ruszyłam dalej.

Kiedy mnie stąd wyprowadzali, nie zauważyłam, że wszystkie izolatki oznaczono na drzwiach literą R oraz numerem. Czy R oznaczało refleksja? Drzwi było dwadzieścioro, nie miałam pojęcia, czy kogoś za nimi więżą. Nie odważyłam się użyć identyfikatora, żeby to sprawdzić. Coś mi mówiło, że uprawnienia do otwierania izolatek mają nieliczni pracownicy. Poza tym pewnie znajdowały się pod ścisłą obserwacją i nawet najmniejszy błysk światła w tym miejscu natychmiast zwróciłby uwagę strażników. Mijałam kolejne cele ze ściśniętym żołądkiem, myśląc o tych, którzy być może cierpią tak blisko mnie.

W pewnej chwili zatrzymałam się przed podwójnymi drzwiami opatrzonymi tabliczką z napisem: KONTROLA REFLEKSJI. Większość wejść do biur i pomieszczeń operacyjnych była przeszklona, tutaj dawało się dociec, co znajduje się wewnątrz. Zastanawiałam się, czy warto zaryzykować użycie plakietki, tymczasem drzwi nagle się otworzyły i z pokoju wyszło dwóch alchemików. Pospiesznie zeszłam im z oczu. Na szczęście ruszyli szybkim krokiem w przeciwnym kierunku. Ciężkie drzwi zakołysały się i zamknęły za nimi, zanim zdążyłam się wśliznąć, ale zajrzałam do środka.

Stały tam małe kabiny, w których przed ekranami zasiadało kilkunastu alchemików w słuchawkach na uszach. Na biurkach wyposażonych w panele kontrolne zainstalowano wielkie mikrofony. Nie mogłam odczytać napisów na kontrolkach. Zrozumiałam jednak, że z tego miejsca monitorują więźniów w izolatkach. Każdego więźnia ktoś pilnował i głosy pilnujących były zniekształcane. Na panelach musiały znajdować się przyciski zapalające światła i rozpylające gaz w celach. Podejrzewałam już wcześniej, że personel pracuje w systemie zmianowym i oto zyskałam dowód. Nie miałam czasu policzyć wszystkich, zresztą nie widziałam całej sali, ale dostrzegłam co najmniej pięciu ludzi.

Ujrzałam także tabliczkę z napisem WYJŚCIE. Widniała na drugim końcu sali, daleko za biurkami, ale świecące na czerwono litery nie pozostawiały wątpliwości. Serce zabiło mi żywiej. Znalazłam drogę na zewnątrz! Przez kilka sekund kusiło mnie, żeby po prostu stąd uciec. Wydawało się to takie łatwe! Ale prawda wyglądała inaczej. Przede wszystkim musiałabym się najpierw dostać do tamtego pokoju. Nie sposób było się wsunąć przez te drzwi, które w dodatku robiły wiele hałasu. Ktoś na pewno by zauważył, że się same otwierają. Nikt ich wprawdzie nie obserwował, lecz część pracowników siedziała stanowczo zbyt blisko.

Poza tym wyjście na pewno było dodatkowo strzeżone. Nie zdziwiłabym się, gdyby oprócz regularnej warty zabezpieczono je czytnikami i kodami. Alchemicy dobrze pilnowali swoich więźniów. Jedyne drzwi na świat musiały być dobrze kontrolowane.

Mimo wszystko trudno było mi stamtąd tak po prostu odejść, wiedząc, co jest za tymi drzwiami. „Już wkrótce — obiecałam sobie. — Wkrótce”. Nie znalazłszy nic godnego uwagi w korytarzu, zawróciłam na schody. Nagle otworzyły się drzwi prowadzące na klatkę schodową i wyszła nimi Sheridan. Natychmiast przywarłam do ściany i wbiłam wzrok w podłogę. Kątem

oka widziałam, że się zatrzymała, jakby czegoś szukała, a potem udała się dalej. Kiedy mnie minęła, podniosłam głowę i popatrzyłam za nią. Poruszała się powoli, niemal leniwie. Dotarła na koniec korytarza i przystanąła tam przez chwilę, a potem zniknęła we wnętrzu pokoju z monitorami. Pobiełam w kierunku schodów, zdecydowana wypróbować ostatnią opcję: zejście na najniższe piętro.

Winda nie zjeżdżała niżej, schody także kończyły się na tym poziomie. Tylko tam jeszcze nie byłam i nawet nie umiałam sobie wyobrazić, co może kryć to miejsce. Drzwi, które odnalazłam, nie dawały odpowiedzi. Wyglądały identycznie jak tamte na piętrze z celami, pomyślałam nawet, że może i tu mieszczą się izolatki. Na tych drzwiach widniała litera P i numery, lecz nie dostrzegłam pomieszczenia kontrolnego, które wyjaśniłoby co to „P” oznacza. Znalazłam jeszcze troje drzwi opatrzonych tabliczkami: MASZYNOWNIA 1, MASZYNOWNIA 2 i MASZYNOWNIA 3. Dobiegał zza nich szum agregatów i innej aparatury. Nie można ich było otworzyć identyfikatorem, miały staroświeckie zamki.

Z trudem przypomniałam sobie zakłęcie otwierające, które kiedyś skopiowałam dla panny Terwiliger. Można nim było otworzyć każdy zwykły zamek. Wymruczałam słowa po łacinie i przywołałam magię w nadziei, że zamki nie kryją żadnej niespodzianki. Poczułam przypływ mocy i chwilę później usłyszałam cichy trzask. Lekko zakręciło mi się w głowie, lecz zlekceważyłam to i zabrałam się do inspekcji. W pierwszym pomieszczeniu odkryłam kotłownię z piecem i innymi urządzeniami inżynierii sanitarnej, ale nic, co przypominałoby instalację gazową. Odnalazłam ją dopiero za drugimi drzwiami. Oprócz generatora i systemu hydraulicznego odkryłam wielki zbiornik, na którym wypisano wzór chemiczny. Podejrzewałam, że to jakaś substancja o działaniu usypiającym. Ze zbiornika wychodziły cztery rurki, każda opatrzona numerem piętra. Każda miała również ręczny zawór, którym można było manipulować. Wszystkie zawory były odkręcone.

Nie dostrzegłam śladu czujnika alarmującego o manipulacjach na tym poziomie. Zaryzykowałam więc i zakręciłam zawór opatrzony numerem piętra, gdzie znajdowały się pokoje więźniów. Nie rozległ się żaden dźwięk, nie zgasło światło. Ośmielona tym faktem już rozważałam zakręcenie pozostałych, lecz uświadomiłam sobie, że wówczas zorientują się, co zrobiłam. Może i nie było tu czujników, ale alchemicy natychmiast zauważą, jeśli gaz zostanie odcięty na piętrze z celami. Tam sterowano dopływem ręcznie i bezpośrednio obserwowano rezultaty. Odcięcie dopływu gazu na piętrze wspólnym odczują wyłącznie więźniowie, alchemicy niczego nie zauważą. Może nawet nie odkryją tego moi towarzysze niedoli. Nie pozwalano nam się wysypiać, więc raczej nikt nie będzie się skarżył na bezsenność.

Nielatwo było mi pozostawić więźniów w izolatkach bez pomocy, ale na razie nic nie mogłam dla nich zrobić. Musieli poczekać, najpierw należało odciąć dopływ gazu na naszym piętrze. Sądząc po rozmiarach zbiornika, rzadko go napełniano, ale pewnie w końcu zjawi się tu jakiś konserwator i odkryje zakręcony zawór. Pytanie: kiedy to nastąpi.

W tym samym pomieszczeniu stał inny zbiornik, na którym również wypisano wzór chemiczny. Nie wiedziałam czego, byłam jednak pewna, że jest to ta substancja, która wywoływała nienaturalne pobudzenie i lęk. Nie podawano jej tak regularnie jak środków usypiających, ale zakręciłam również ten zawór na naszym piętrze, tak na wszelki wypadek. I tak byliśmy dość nieufni.

Uporawszy się z zaworami, szybko opuściłam pokój, nie zaglądając do trzeciej maszynowni za drzwiami opatrzonymi literą P. Osiągnęłam swój cel i musiałam wrócić do pokoju, zanim zakłęcie straci moc. Poza tym Adrian na pewno będzie się martwił, jeśli się nie pojawię we śnie. Weszłam po schodach na piętro i wyjrzałam przez okienko w drzwiach wychodzących na nasz korytarz. Nikogo nie dostrzegłam. Ostrożnie uchyliłam drzwi, żeby

kamery nie zarejestrowały ruchu i wcisnęłam się do środka...

...prosto w objęcia Sheridan.

Ukryła się we wnęce przy windzie tak, że nie mogłam jej dostrzec przez szybkę w drzwiach. Wypatrywałam przechodzących ludzi, nie kogoś, kto by mnie szukał. A ona szukała — osoby, która wymknęła się z pokoju. Spojrzałyśmy sobie w oczy i natychmiast mnie rozpoznała. Zakłęcie przestało działać.

— Sydney! — wykrzyknęła.

Zobaczyłam, że trzyma w ręku jakiś przedmiot, chyba paralizator. Potem poczułam przeszywający ból i zapadłam się w ciemność.

Kiedy się ocknęłam, ciemność nadal mnie otaczała. Przemknęło mi przez myśl, że znów mnie zamknęli w celi, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że jestem gdzie indziej. Nie leżałam na chropowatej posadzce i wciąż byłam ubrana. Związali mi ręce i nogi, i unieruchomili głowę. Wyczułam pod sobą chłodną metalową powierzchnię.

— Sydney — dobiegł mnie znajomy głos. — Przykro mi cię tutaj widzieć.

— Wiem, że to ty, Sheridan — wycedziłam. Spróbowałam się wyszarpnąć z więzów. Bez powodzenia. — Nie musisz się ukrywać w ciemnościach.

Na suficie rozbłysło słabe światło, pozwalające dojrzeć piękną, acz okrutną twarz Sheridan.

— Nie dlatego jest ciemno. Otacza cię mrok, bo w nim właśnie zanurzona jest twoja dusza. Nie zasługujesz na światło.

— To dlaczego nie zamknęłaś mnie w celi?

— Pobyt w celi służy refleksji nad popełnionymi grzechami, dostrzeżeniu błędów — powiedziała. — Potrafisz się maskować, ale niczego się nie nauczyłaś. Straciłaś szansę na odkupienie swoich win. Poza tym musisz nam wyjaśnić, co właściwie robiłaś. — Podniosła skradziony przeze mnie identyfikator. — Kiedy i jak go zdobyłaś?

— Znalazłam na podłodze — rzuciłam bez namysłu. — Powinniście być ostrożniejsi.

Sheridan westchnęła.

— Nie kłam, Sydney. Nie znoszę kłamstw. Spróbujmy jeszcze raz. Skąd masz identyfikator?

— Już mówiłam.

W jednej chwili ból ogarnął całe moje ciało. Wpełzł pod skórę i rozpałał nerwy. Czułam, jakby jednocześnie poddawali mnie elektrowstrząsom, rozcinali skórę i napuścili na mnie rój pszczoł. Trwało to zaledwie parę sekund, ale nie mogłam powstrzymać krzyku.

Światło nad głową Sheridan zgasło, pogrążając ją w ciemności, ale gdy się znów odezwała, jej głos dobiegał z tego samego miejsca.

— Zaaplikowałam ci ból w najmniejszym natężeniu, ledwie przedsmak tego, co mogę. Proszę, nie każ mi tego powtarzać. Chcę wiedzieć, jak zdobyłaś identyfikator i czego szukałaś.

Tym razem nie skłamałam, po prostu milczałam.

Ból powrócił z tą samą intensywnością, ale teraz trwał dłużej. Nie mogłam sformułować żadnej spójnej myśli. Każdą cząsteczką ciała odbierałam tę potworną mękę. W chwilach bliskości z Adrianem najbardziej zachwycało mnie, że mój wiecznie analizujący wszystko umysł się wtedy wyłącza i skupiam się jedynie na doznaniach fizycznych. To samo działo się teraz, choć wrażenia były odwrócone. Mój umysł przestał myśleć. Stałam się wyłącznie bólem.

Miałam łzy w oczach, gdy ból ustąpił, ledwo słyszałam, jak Sheridan powtarza pytanie. Chciała też wiedzieć więcej.

— Jakim cudem kamery cię nie wykryły? Jak wyszłaś z pokoju?

Nie zostawiła mi czasu na odpowiedź, zaatakowała od razu. Kiedy ból ustąpił po

nieskończenie długim czasie, znów usłyszałam pytania. I jeszcze raz.

Podczas krótkiej chwili ulgi dotarło do mnie, co Sheridan chciała osiągnąć. Zarzucała mnie pytaniami, bym skołowana cierpieniem wreszcie na któreś odpowiedziała. Pewnie na początek to by ich satysfakcjonowało. Chcieli, żebym w ogóle zaczęła mówić. Pomyślałam, że ludzie znajdujący się w mojej sytuacji pewnie nie przestawali mówić, gdy już raz zaczęli. Odczuwali przemożną potrzebę powiedzenia wszystkiego, byle tylko ból ustąpił. Sama również odczuwałam tę potrzebę i musiałam zagryźć wargi, żeby się powstrzymać. Jednocześnie usiłowałam przywołać w wyobraźni twarze tych, których kochałam, Adriana i pozostałych przyjaciół. Pomagało w chwilach ulgi, lecz gdy znów zaczynały się tortury, nie potrafiłam wytworzyć w umyśle żadnego obrazu.

— Niedobrze mi — wypaliłam w pewnym momencie.

Nie wiem, ile czasu minęło. Sekundy, godziny czy może dni. Sheridan mi nie uwierzyła, lecz zaczęłam kaszleć i się dławić. Uczucie towarzyszące mdłościom różniło się od tego, które znałam z sesji przeczyszczających. Tym razem mój organizm dawał sygnały, że nie może dłużej znosić bólu. Ktoś podszedł do mnie z drugiej strony, poluzował więzy i przewrócił mnie na bok, żebym mogła zwymiotować. Nie miałam pojęcia, czy zdążyli coś podstawić i zupełnie mnie to nie obchodziło. To był ich problem.

Kiedy najgorsza fala nudności opadła, ledwo słyszałam, jak Sheridan zwraca się do kogoś, kto znajdował się w pokoju:

— Przyrowadź jakiegoś „asystenta”.

Męski głos zabrzmiał sceptycznie.

— Oni się nie kochają.

— Znam takie jak ona. Nie robi tego dla siebie, ale dla kogoś innego może się poświęcić.

Trzask zamykanych drzwi sygnalizował, że mężczyzna wyszedł. Otarto mi twarz i wzmocniono więzy. I nagle uderzyła mnie straszna myśl. Ktoś mnie zdradził! Sheridan od początku mnie szukała, dlatego zakłęcie nie zadziało. Jakże byłam głupia, myślałam, że sporządzając atrament, zaskarbię sobie lojalność współwięźniów. Udało mi się jedynie odłączyć gaz, ale za jaką cenę?

Moje rozmyślenia przerwała nowa fala bólu — jeszcze bardziej intensywnego. Już nie czułam mdłości, może ciało dało za wygraną, lecz krzyczałam wniebogłosy. Byłam na siebie wściekła, że okazuję słabość, że widzą, jak bardzo cierpię... Ale musiałam krzyczeć, żeby nic im nie powiedzieć. Będę milczeć, przysięgam sobie. Jeśli wytrzymam, dowiodę, że nie mają nade mną władzy.

— Czemu nas do tego zmuszasz, Sydney? — Sheridan przemawiała z udawanym smutkiem. — Wiedz, że mnie nie podoba się to tak samo jak tobie.

— Szczerze w to wątpię — wysapałam.

— A myślałam, że robisz postępy. Byłam prawie gotowa nagrodzić cię za dobre zachowanie. Zaprosić twoją rodzinę. Albo oddać ci to.

Znów rozbłysło słabe światło nad jej głową. Zobaczyłam, że trzyma w ręku jakiś drobny przedmiot. To był mój krzyżyk, mały drewniany krzyżyk podarowany przez Adriana, pomalowany w powoje. Próbowali mnie nim przekupić na początku, jakby można mnie było złamać zwykłym przedmiotem. Na widok krzyżyka ścisnęło mi się serce — choć może był to efekt długotrwałego odczuwania bólu — oczy mi się zaszklily, tym razem ze smutku.

— Możesz go dostać teraz — zaproponowała niemal jowialnie. — I uwolnić się od bólu. Musisz tylko powiedzieć nam to, co chcemy usłyszeć. Naprawdę ładne cacko. — Uniosła krzyżyk i przyjrzała mu się z aprobatą, a potem ku memu najwyższemu przerażeniu zawiesiła go

sobie na szyi. — Jeśli ty go nie chcesz, wezmę go sobie.

Omam nie wypaliłam, że to dzieło wampira, ale przestraszyłam się, że wówczas go zniszczy. Milczałam, a w środku paliła mnie wściekłość — przynajmniej do czasu, kiedy wznowili torturę, bo wtedy wrócił wyłącznie ból.

Nie wiem, po jakim czasie wrócił towarzysz Sheridan. Ból ustąpił na chwilę i zapalono kilka świateł, z których jedno było skierowane prosto na mnie. Zobaczyłam, że mężczyzna nie jest sam.

— Popatrz, Sydney — zwróciła się do mnie Sheridan. — Sprowadziliśmy twoją przyjaciółkę.

Mężczyzna przyciągnął kogoś do stołu, na którym leżałam. To była Emma. Omam nie oskarżyłam jej w myślach o zdradę. Była idealną kandydatką. Musiała odpokutować za grzechy swojej siostry i własne. Dostała już ode mnie roztwór i nie miała nic do stracenia. Mogła mnie zdradzić, tym bardziej że w ten sposób przekonałaby ich o swojej niewinności. Poza tym tylko ona wiedziała, że tej nocy wymknęłam się z pokoju.

Spojrzałam jej w oczy i dostrzegłam w nich tak wielki lęk, że wycofałam się ze wszystkich podejrzeń. Może i była idealną kandydatką na zdrajczynię, ale nie powinnam jej z góry oskarżać.

— Kto powiedział, że to moja przyjaciółka? — spytałam.

— Przejdzie przez to samo co ty — odparła Sheridan. — Jeśli to nie podstawa przyjaźni, to nie wiem, co nią jest. — Skinęła głową i Emma została odciągnięta. Pojawił się ktoś jeszcze, kto pomógł mi usiąść, bym widziała, co się dzieje. Związali Emmę i położyli ją na identycznym stole.

— P...proszę — zająknęła się bezradnie. — O niczym nie wiem. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

— To prawda — wtrąciłam. — Ona nic nie wie. Traciecie czas.

— Nie obchodzi nas, co wie — rzuciła pogodnie Sheridan. — Chcemy usłyszeć, co ty masz do powiedzenia. Skoro jesteś odporna na nasze metody perswazji, może zdecydujesz się na współpracę, gdy zaaplikujemy je komuś innemu.

— Perswazji — mruknęłam z odrazą. — Pewnie to oznacza litera P na drzwiach. Jesteśmy na najniższym piętrze.

— W rzeczy samej — potwierdziła Sheridan. — Sporo zdążyłaś zwiedzić tej nocy, sądząc po liczbie otwieranych drzwi. Powiedz, co tam robiłaś, dlaczego kamery cię nie zarejestrowały, albo...

Ponownie skinęła głową i zrozumiałam, co się stało. Nie zdradziła mnie. Nikt mnie nie zdradził. Sama byłam sobie winna. Zakładałam, że kiedy gość, któremu wykradłam identyfikator, zgłosi jego brak, plakietka przestanie działać. Tymczasem zamiast dezaktywować identyfikator, alchemicy postanowili sprawdzić, kto z niego skorzysta. Rejestrowali każde użycie karty. Zachowałam się jak idiotka, wszędzie zostawiałam za sobą ślady i tylko zakłęcie niewidzialności nie pozwalało mi namierzyć. Miałam tylko nadzieję, że liczba odwiedzanych przeze mnie pomieszczeń zamaskuje moje działania, szczególnie że do maszynowni weszłam innym sposobem. Może nie zorientują się, co tam zrobiłam.

Ale to nie ocaliło Emmy przed torturą. Skóra mi cierpła na widok tego, jak jej ciało wije się z bólu. Znów zaczęło mnie mdlić.

— Ona jest niewinna! — wykrzyknęłam podczas przerwy. — Jesteście chorzy! Jak możecie robić coś takiego?

Sheridan zachichotała.

— Nikt nie jest całkiem niewinny. W każdym razie nie tutaj. Ale jeśli w to wierzysz, nie

powinnaś pozwalać na jej cierpienie.

Patrzyłam na Emmę, nie mogąc się zdobyć na decyzję. Miałam zrezygnować ze swoich planów? A z drugiej strony, czy mogłam pozwalać dłużej na te tortury? Alchemicy uznali moje milczenie za upór i znów zaaplikowali Emmie ból. Nie wytrzymałam i gdy przerwali na moment, wykrzyknęłam:

— A co mogłam tam robić waszym zdaniem? Szukałam wyjścia!

Sheridan podniosła rękę, by wstrzymać niewidzialnego kata.

— I znalazłaś?

— Sądziś, że wówczas jeszcze bym tu była?! — warknęłam. — Zauważyłam wyjście w pomieszczeniu, z którego kontrolujecie izolatki, ale było dobrze strzeżone.

— Jak się poruszałaś, że cię nie zobaczyliśmy? — naciskała.

— Unikałam kamer — odparłam.

Na skinienie głowy Sheridan podjęto torturowanie Emmy, której ciało wykręciło się nienaturalnie.

— Odpowiedziałam! — krzyknęłam.

— Skłamałaś — odparowała chłodno Sheridan. — Nie mogłaś uniknąć wszystkich. Żadna z kamer cię nie zarejestrowała, lecz analiza nagrań pozwoliła nam dojrzeć, że drzwi prowadzące na schody otworzyły się samoczynnie. Wyjaśnij to.

Milczałam, sądząc, że wytrzymam kolejną sesję bólu Emmy. Nie wytrzymałam. Cierpiała przeze mnie. Krzyczała tak głośno, szarpała się rozpaczliwie, na próżno usiłując się uwolnić. Powtarzałam sobie, że to tylko chwilowe, że Emma wiedziała, na co się decyduje, gdy postanowiła mi pomóc. Czym są cierpienia jednej osoby wobec naszego celu...?

Niemal przekonałam sama siebie, ale zobaczyłam łzy płynące jej z oczu. Załamalam się.

— To czary! — wrzasnęłam, żeby mnie usłyszeli. — Użyłam czarów.

Sheridan dała znak, by przerwano torturę, i zwróciła się do mnie wyczekująco.

— Poruszałam się po budynku dzięki magii. Ludzkiej magii. I jeśli sądziś, że dręcząc Emmę, wyciśniesz ze mnie coś więcej, to się mylisz. Możecie torturować wszystkich, nie powiem już ani jednego słowa. Musiałabym zdradzić ludzi żyjących na zewnątrz, a w porównaniu z nimi ci tutaj nic dla mnie nie znaczą.

Blefowałam. Nie wiem, czy naprawdę zdołałabym znieść torturowanie wszystkich moich towarzyszy niedoli, ale Sheridan mi uwierzyła.

— Nie sądziłam, że to się powtórzy — mruknęła.

— To się ciągle zdarza. Prędzej czy później musiało się powtórzyć — odparł jej kolega. Wywołał gestem pomocnika stojącego w ciemności, by podszedł do Emmy. — Pomóż jej wstać i odprowadź na piętro. Nie dowiemy się, jak wiele spowodowała szkody. Musimy wszystkim nałożyć podwójny tatuaż.

Byłam zrozpaczona. Zabezpieczyłam ledwie połowę więźniów! Zapasy atramentu wciąż leżały w moim łóżku.

— Nikogo nie nawróciłam, jeśli to was martwi — powiedziałam.

— Mówiłam ci już, że tu nie ma niewinnych — odparła Sheridan. — Zaprowadź Emmę na jej piętro, a Sydney połóż na stole.

— Powiedziałam już wszystko — protestowałam, gdy podeszli do mnie asystenci. Emma została wyprowadzona. — Wasze tortury na mnie nie działają.

Sheridan parsknęła niskim, chrypliwym śmiechem i nagle wszystkie światła znowu zgasły.

— Och, Sydney. Teraz, kiedy wiem, jaka jesteś, nie będę miała najmniejszych wyrzutów sumienia i podkręcę natężenie. Nie wiemy wszystkiego o ludziach parających się magią, ale

jedno odkryliśmy na pewno: mają zaskakująco dużo wigoru. Zaczynamy.

ROZDZIAŁ 16

Adrian

PO DRUGIEJ NOCY bez kontaktu z Sydney wiedziałem na pewno, że stało się coś złego. Widziałem, że Marcus także jest zmartwiony, lecz starał się mnie pocieszać.

— Mówiła, że nocami usypiają ich gazem, prawda? Może alchemicy odkryli, że go odłączyła, i naprawili system. Przetrwała trzy miesiące bez kontaktu i nie miała kłopotów, to znaczy miała, ale takie jak wszyscy w ośrodku.

— Możliwe — przyznałem. — Ale nawet gdyby tak było, na pewno zaczęliby dociekać, kto odciął dopływ gazu. Ukaraliby ją.

Jego telefon zadzwonił, zanim zdążył mi odpowiedzieć. Machnąłem, żeby odebrał. Od chwili, gdy się dowiedzieliśmy, że ośrodek mieści się w Dolinie Śmierci, Marcus niemal bez przerwy z kimś konferował. Wczoraj dotarliśmy na miejsce i okazało się, że nie ma tam hoteli. Urządziliśmy bazę operacyjną w motelu miasteczka położonego dwadzieścia pięć kilometrów od parku stanowego. Nie było tam restauracji, więc kupowaliśmy prowiant w lokalnym sklepie prowadzonym przez miłą kobietę o imieniu Mavis, która nieustannie zamartwiała się bladością mojej skóry.

— Powinieneś więcej przebywać na słońcu, złotko — powtarzała.

Powinieneś napić się krwi — podpowiadała ciotka Tatiana. *Nie od niej, oczywiście. Musimy się trzymać standardów.*

Miała rację w pierwszym punkcie. Minęło sporo czasu, od kiedy ostatnio piłem krew na królewskim dworze i wiedziałem, że wkrótce będę musiał się o to zatroszczyć.

Marcus rozmawiał przez telefon, a ja podszedłem do okna wychodzącego na ulicę Główną, przy której mieściły się sklep i stacja benzynowa. Dostaliśmy najlepszy pokój, jakim dysponował motel. Ku memu zdumieniu ujrzałem znajomy samochód. Zatrzymał się na hotelowym parkingu, a jego słoneczny kolor kontrastował z ponurą okolicą. Nie mówiąc słowa Marcusowi, wybiegłem z pokoju i pomknąłem po schodach.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, Eddie i Trey wysiadali z mojego mustanga. Był wczesny ranek, ale już zrobiło się gorąco, rozgrzany asfalt parował w słońcu.

— Zdałeś egzaminy? — zagailem.

— Po raz drugi w życiu — potwierdził Eddie.

— Sesja jeszcze trwa — powiedział Trey. — Ale panna T. porozmawiała z nauczycielami i pozwolili nam zdawać wczoraj. Przysyła coś dla Sydney. Damy to jej, gdy już ją odbijemy.

Wziąłem od niego małą torbę podróżną wypełnioną magicznymi akcesoriami. Były tam zioła, amulety i książka, której nie znałem, lecz zapewne zachwyciłaby Sydney. „Gdy już ją odbijemy”. Trey powiedział to z pełnym przekonaniem. Miałem nadzieję, że się nie myli. Byłem przybity po tych dwóch nocach bez kontaktu.

— A ja przywozłem to — oświadczył Eddie z uśmiechem.

Podał mi Skoczusia, którego zostawiłem w mieszkaniu w postaci złotej figurki. Poglądziłem pięknie rzeźbione łuski, a potem włożyłem malca do torby.

— Jakies nowe wieści w sprawie Sydney? — zapytał.

Pokazałem budynek.

— Chodźcie do kwatery głównej, zejdziemy ze słońca.

Marcus już skończył rozmawiać i powitał nowo przybyłych przyjaznym skinieniem głowy.

— Dostałem potwierdzenie, że jutro dołączy do nas troje pomocników. Dwóch mężczyzn i jedna dziewczyna. Dwoje było kiedyś w ośrodku reedukacji. Nie mieli pojęcia, gdzie ich przetrzymywano, ale jak nietrudno sobie wyobrazić, do dziś chowają urazę. Mniej więcej orientują się w rozkładzie pomieszczeń, choć nie tak dokładnie, jak bym chciał. Tymczasem zebraliśmy sporo informacji na temat otoczenia budynku. Trudno w to uwierzyć, ale oficjalnie to pustynny ośrodek badawczy. Nie znajduje się na terenie samego parku, a jakieś dwadzieścia parę kilometrów od nas. To miasteczko leży najbliżej. Nie zdziwiłbym się, gdyby alchemicy tankowali tu w drodze do pracy.

Mieliśmy sporo informacji, lecz nagle okazało się, że to za mało, gdy Eddie spytał:

— Kontaktowaliście się z Sydney?

Przed chwilą ożywiona twarz Marcusa spochmurniała.

— Nie. Od dwóch nocy.

— Ale nie musimy być z nią w kontakcie, żeby wejść do budynku, prawda? — zauważył Trey. — Wtargniemy tam i ją uwolnimy.

— Jasne — przytaknął Marcus. — Chociaż byłoby miło nawiązać łączność z kimś ze środka.

Opadłem na wąskie łóżko, które skrzyknęło pod moim ciężarem.

— Miło byłoby również wiedzieć, że z nią wszystko w porządku.

— Szkoda, że nie mamy tam nikogo poza Sydney — wtrącił Eddie. — Nie znasz przypadkiem któregoś z więźniów?

Marcus potrząsnął głową. Znow ogarnęła mnie rozpacz. Trzeźwość oraz codzienne przywoływanie mocy ducha stanowiły śmiertelnie niebezpieczną kombinację dla mojego nastroju. Przeżywałem trudną do zniesienia huśtawkę emocjonalną. Co gorsza, Sydney znow zniknęła. Uznałem, że potrzeba cudu, bym zachował zdrowe zmysły do czasu, gdy ją uwolnimy.

Zdrowe zmysły są przereklamowane, złotko — usłyszałem w głowie głos ciotki Tatiany.

Zacisnąłem powieki.

„Odejdź — nakazałem jej w myślach. — To ich muszę teraz słuchać”.

Po co? — spytała.

„Muszę się skupić. Skontaktować się z Sydney, żeby sprawdzić, czy nic jej nie zrobili, i dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w budynku”.

Twoja ludzka dziewczyna przekazała ci potrzebną informację — odparowała zjawa. *Po prostu jej nie zarejestrowałeś.*

Otworzyłem oczy.

— Duncan — powiedziałem głośno.

Trójka przyjaciół spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— Dobrze się czujesz? — zaniepokoił się Eddie, który był świadkiem moich gorszych momentów.

— Tak ma na imię — ciągnąłem. — Sydney wspomniała raz o chłopaku, z którym się tam zaprzyjaźniła. Duncan przebywa w ośrodku od dłuższego czasu. Gdybyśmy znali jego nazwisko albo zdobyli zdjęcie, mógłbym nawiązać z nim kontakt we śnie. Pod warunkiem że nie trują go tym gazem. — Nie wiedziałem, ile pomieszczeń Sydney udało się zablokować. — Nosi rzadkie imię. Mógłbyś popytać?

Marcus zmarszczył czoło.

— Możliwe... zależy, od jak dawna tam siedzi. Może nawet zna go jeden z dawnych więźniów, który zjawi się tu jutro.

— Zadzwoń do niego — poleciłem stanowczo. — Od razu.

— Jeśli nie możesz porozumieć się z Sydney, bo znów podłączyli u niej gaz, nie skontaktujesz się również z tym chłopakiem — ostrzegął Marcus.

Uniosłem ręce w desperackim geście.

— Masz inny plan?

Marcus wyraźnie nie wierzył, że uda mu się czegoś dowiedzieć, ale już po kilku telefonach okazało się, że się mylił. Rozmawiał z jakąś dziewczyną.

— Twierdzi, że gdy przebywała w ośrodku w ubiegłym roku, był tam Duncan Mortimer — oznajmił Marcus. Siedział przed laptopem i jednocześnie coś pisał. — Nie wiemy na pewno, czy to znajomy Sydney, ale wiele na to wskazuje. Mortimer to popularne nazwisko. Ciekaw jestem...

Nie powiedział nic więcej, lecz wkrótce znalazł dane Duncana wraz ze zdjęciem i krótką notatką. Większość wybrańców ducha nie potrafiłaby przywołać we śnie osoby nieznanej. Poczulem dumę, że mnie się to udaje. Uzyskawszy niezbędne informacje na temat Duncana, poświęciliśmy resztę dnia na zaplanowanie wejścia do ośrodka. Nie umiem myśleć taktycznie, ale mogłem im czasem coś doradzić.

Kiedy nastąpiła noc, a wraz z nią to, co nazywałem „reedukacyjną porą snu”, najpierw spróbowałem skontaktować się z Sydney. Bez skutku. Pozostał nam plan B, który wymagał udziału Marcusa. Na moją prośbę położył się wcześniej. Był mózgiem naszej operacji i to on powinien rozmawiać z Duncanem. Marcus zmaterializował się przy fontannie Getty Villa. Oglądał swoje ręce, jakby je widział po raz pierwszy.

— Nie starzeją się — zauważył. — Jesteś pewien, że uda się przywołać tego gościa?

— Zaraz się przekonamy.

Przez cały dzień wpatrywałem się w zdjęcie Duncana i teraz wyobraziłem go sobie tak wyraźnie, jak umiałem, jednocześnie posyłając po niego ducha. Sięgnąłem do świata snów uzbrojony w skąpe informacje na jego temat. Duncan Mortimer, lat dwadzieścia sześć, śpiący dwadzieścia kilometrów stąd. Powtarzałem te słowa raz po raz niby mantrę i skupiałem się na wyobrażeniu twarzy chłopaka. Z początku nic się nie wydarzyło i zaczynałem już wątpić w swoje umiejętności, choć równie dobrze Duncan mógł też być pod wpływem gazu. I nagle obok nas zmaterializował się ktoś trzeci.

Był wysoki i tyczkowaty, a jego twarz przypominała tę ze zdjęcia. Poza tym miał na sobie taki sam obrzydliwy strój, w którym pojawiała się Sydney. Rozejrzał się wokół ze zdziwieniem jak większość osób, które przywołałem po raz pierwszy. Jeszcze nie pojmował, że to nie jest zwykły sen.

— Huh — sapnął. — Dawno już nie śniłem.

— To nie jest sen — wyjaśniłem, podchodząc bliżej. — W każdym razie nie taki, do jakich przywykłeś. Wytworzyłem go z mocy ducha. Jestem Adrian Iwaszkow. — Podałem mu rękę. — Chciałbym z tobą porozmawiać o Sydney Sage.

Duncan wciąż był lekko rozbawiony, jakby sądził, że podświadomość płata mu figle. W pewnej chwili jednak dotarło do niego, co powiedziałem.

— No nie. To naprawdę ty. Seksowny i posępny wampir, jej chłopak.

— Mówiła, że jestem seksowny i posępny? — spytałem. — Nieważne. Dlaczego nie mogę się z nią skontaktować? Gdzie ona jest?

— W miejscu, z którego nikt jeszcze nie wrócił, o ile wiem — odparł ponuro. — Nie miałem nawet pojęcia, że ono istnieje, dopóki Emma mi o nim nie powiedziała.

— Kim jest Emma? — spytał Marcus, podchodząc do nas.

Duncan nieco się zdziwił na widok kolejnej osoby, ale uznał, że to część tego

dziwaczego snu.

— Współlokatorka Sydney. To znaczy była, bo Sydney została przeniesiona.

Chciałem go zasypać pytaniami, ale postanowiłem przejść do pilniejszych spraw.

— Potrafisz ją sobie wyobrazić? Emmę. Spróbuj intensywnie o niej myśleć, o wszystkim, co o niej wiesz.

— Dobra... — mruknął, a między jego brwiami pojawiła się drobna zmarszczka.

Jeśli ktoś, kogo wprowadziłem w swój sen, wyobrazi sobie osobę, jakiej nie spotkałem, mogę posłużyć się jego wyobraźnią jak kotwicą i sprowadzić również takiego nieznanego. Wymaga to tylko odpowiedniej koncentracji. Duncan podołał zadaniu, bo chwilę później stanęła obok niego szczupła dziewczyna w identycznym stroju koloru khaki. Wyjaśniliśmy jej pospiesznie, gdzie się znajduje. Zdenerwowała się dużo bardziej niż Duncan. Nawet liberalnie nastawieni alchemicy mieli problem z zaakceptowaniem magii wampira. Zwyciężyła w niej jednak ciekawość.

— Więc o to chodziło Sydney — powiedziała. — Kontaktowała się z tobą dzięki mocy ducha. Dlatego tak jej zależało, żeby zablokować gaz.

— Żadne z nas nie zostało uśpione gazem, skoro tu jesteśmy — zauważył Duncan. — Nie sądzę, by Sydney tego dokonała.

Emma kiwnęła głową z poważną miną.

— Owszem, tej nocy, gdy została złapana. Choć nie sądzę, by tam była. Kiedy ją zobaczyłam, nie wiedzieli, co robiła.

— Dobra, dzieciaki — przerwałem im. — Musicie nam wszystko opowiedzieć ze szczegółami.

Wspólnie zrelacjonowali, jak Sydney przygotowywała dla wszystkich roztwór solny i jak wyłączyła system alarmowy, który pozwalał na uśpienie całego piętra w jednej chwili. Widziałem, że Marcus był pod wrażeniem tych wyczynów, ale nawet nim wstrząsnęła wiadomość o cenie, jaką Sydney musiała zapłacić.

— To było okropne. — Emma zadrżała i zbladła. — Nie wiem, jak to robili. Musieli to mieć wbudowane w stół. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakim cudem Sydney to wytrzymała i nic im nie zdradziła. Ja powiedziałabym wszystko, a ona tylko zaciskała usta... przynajmniej dopóty, dopóki nie zaczęli torturować mnie. Wtedy przyznała, że używała magii. To mnie ocaliło... a ją wpędziło w jeszcze większe kłopoty.

Serce mi się ścisnęło.

— Taka już jest. Nie wiesz, gdzie ją teraz trzymają?

— Myślę, że nadal na czwartym piętrze — zastanowiła się Emma. — Chyba że znów ją przenieśli do izolatki.

Marcus westchnął.

— Cóż, przynajmniej wiemy, do czego służą im te wszystkie piętra. — Przyjrzał się bacznie obojgu, wiedząc, że ma w zanadru prawdziwą bombę. — Wkrótce ją stamtąd uwolnimy. Właściwie to uwolnimy was wszystkich.

Zareagowali odmiennie. Emma się rozpromieniła, ale Duncan był oburzony. Wyrzucił rękę w górę i odszedł na bok.

— Duncan! — zawołała za nim. — Wracaj!

Zatrzymał się i odwrócił.

— Po co? Nie chcę tego słuchać. To daremne.

— Nawet nie wiesz, co zaplanowaliśmy — wtrącił Marcus niemal urażony.

— To bez znaczenia — odparł Duncan. — Nie dostaniecie się do środka. Nie uwolnicie nas. A nawet gdyby wam się udało, co z nami będzie? Dokąd pójdziemy? Przecież zaczną nas

szukać.

— Wiem — rzucił pojednawczo Marcus. — Zapewnię wam bezpieczną kryjówkę.

Duncan pozostał sceptyczny, ale Emma już była przekonana do naszego pomysłu.

— Co mamy robić?

— Opowiedzcie nam, jak wygląda budynek od środka, podając jak najwięcej szczegółów — poprosił Marcus. — Chcemy przede wszystkim wiedzieć, co znajduje się tuż za drzwiami wejściowymi. Nikt z naszych, którzy tam byli, nie widział wyjścia.

— Sydney je widziała — sprostowała Emma. — Słyszałam, jak o tym mówiła. Znajduje się na tym samym piętrze co izolatki, w pomieszczeniu kontrolnym. Zdaje się, że w środku pracuje mnóstwo ludzi.

— Wyobrażam sobie — przytaknął Marcus. — Skoro to jedyna droga ewakuacji. Cały ten budynek nie spełnia warunków bezpieczeństwa przeciwpożarowego.

— Fakt — zgodził się Duncan, niemal niechętnie. — Dlatego zainstalowali tyle zraszaczy i dzwonek alarmowych.

— Czy kiedykolwiek wybuchł tam pożar? — zaciekawilem się. Próbowałem włączyć się do rozmowy, lecz nie mogłem przestać myśleć o Sydney, którą właśnie teraz poddawali torturom. — Przeprowadzono ewakuację?

Emma spojrzała pytająco na Duncana. Potrząsnął głową.

— Nie. Zdaje się, że kiedyś pojawił się ogień w kuchni, parę lat temu, ale szybko go ugasil. Pożar musiałby być większy, żeby zdecydowali się nas wyprowadzić na zewnątrz.

Widziałem, że w głowie Marcusa obracają się kółka.

— Potrafilibyście wzniecić pożar? Macie dostęp do jakichś materiałów łatwopalnych? — spytał.

— Sydney mogłaby spalić wszystko, gdyby była wolna — mruknąłem.

— Robią co w ich mocy, żeby ograniczyć nam dostęp do takich rzeczy — odparła Emma. Zauważyłem, że Duncanowi zmienił się wyraz twarzy. Ona również to dostrzegła.

— Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

Wzruszył ramionami.

— To bez znaczenia.

— Przeciwnie! — Podbiegła do niego i zaczęła go okładać pięściami. — Jeśli wiesz o czymś, co się teraz przyda, zdradź to! Przestań tchórzyć. Odważ się wreszcie uwierzyć, że zdołamy stąd wyjść. Gdybyś tak bardzo się nie bał i pomógł Sydney odnaleźć aparaturę kontrolującą przepływ gazu, może by jej nie złapali!

Duncan skrzywił się, jakby uderzyła go w twarz.

— Nie mogłem nic zrobić! Obserwowali ją.

— Więc spraw, żeby jej wysiłki nie poszły na marne! — zawołała Emma. — Naprawdę chcesz tu tkwić do końca życia? Ja nie chcę. Pragnę stąd uciec. Nie dbam o to, że będę musiała się ukrywać. To lepsze niż więzienie. Powinieneś myśleć tak samo.

— Sądysz, że myślę inaczej? — odparował ze złością.

Emma wyrzuciła ręce w górę.

— Szczerze? Tak. Brakuje ci kręgosłupa, nawet alchemikom to przeszkadza.

Duncan zaśmiał się ostro.

— I sądysz, że dlatego właśnie tu trafiłem?

— Nigdy się nie sprzeciwiasz. Dlaczego niby trzymają cię tutaj tak długo?

Nie odpowiedział, lecz Marcus zrobił to za niego.

— Ponieważ jest synem Gordona i Sheili Mortimerów.

Emma wybałuszyła na niego oczy.

— Serio?

— Kogo? — spytałem, nic nie rozumiejąc.

— Uświadomiłem to sobie, gdy podano mi twoje nazwisko — ciągnął Marcus. — Jego rodzice są wielkimi przywódcami alchemików, Adrian.

— I nie chcieli ryzykować, że świat dowie się o tym, jak ich syn złamał reguły i pomógł morojom podczas pełnionej misji — dodał Duncan z goryczą. Potem zwrócił się do Emmy. — Dlatego wciąż mnie tu trzymają i na pewno nie wypuszczą. Nieważne, że zachowuję się przykładowie, moi rodzice nie zniesliby takiej hańby, nie dopuszczą, by niechlubna przeszłość syna zepsuła ich wizerunek.

— Więc im się postaw! — wykrzyknęła Emma. — Walcz. Nie pozwól sobą pomiatać. Pomóż nam. Dla siebie i dla Chantal, kiedy ją odnajdziesz.

Nie słyszałem wcześniej tego imienia, lecz musiało ono wiele znaczyć dla Duncana.

— Nie ma sposobu, żeby ją odnaleźć — powiedział smutno.

— Odnajdę ją — przerwał mu Marcus. — Kimkolwiek jest. Mam kontakty na całym świecie, wiele powiązań z alchemikami. Może nie od razu, ale na pewno ją znajdę. Tak jak Sydney.

Duncan miał niepewną minę, ale Emma złapała go za rękę.

— Proszę cię, Duncan. Zrób coś. Zaryzykuj. Zaczynaj żyć. Nie pozwól sobie wszystkiego odebrać.

Duncan zamknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Niecierpliwiłem się, pragnąc jak najszybciej ruszyć na ratunek Sydney, ale w tej chwili zrobiło mi się go żal. Alchemicy, nawet tak beznadziejni jak Keith, byli zazwyczaj bystrzymi i kompetentnymi ludźmi. Duncan z pewnością był taki kiedyś i może takim pozostał. Trudno było się pogodzić z myślą, że tak go stłamsili. Modliłem się, byśmy w porę uwolnili Sydney.

— Tak — powiedział na koniec, otwierając oczy. — Wiem, jak wzniecić pożar.

Przez resztę nocy omawialiśmy plan. Marcus i dwójka więźniów przez cały ten czas spali, ale moje ciało nie odpoczywało ani przez chwilę. Byłem wykończony, kiedy sen skończył się tuż przed świtem. W lustrze zobaczyłem, że mam oczy przekrwione jak strzyga. Eddie i Trey także się wyspali i bardzo chcieli usłyszeć o wszystkim, co się wydarzyło w nocy.

— Zdrzemnij się — nakazał Marcus. — Streszczę im wszystko przy kawie i rozmówię się z innymi. Działamy dzisiaj.

Wyszli, a ja leżałem na tandetnym łóżku przekonany, że nie zdołam zasnąć teraz, kiedy jesteśmy tak blisko uwolnienia Sydney. Zwyciężyło jednak zmęczenie i kiedy Marcus mnie obudził, wydawało mi się, że zasnąłem tylko na kilka minut.

— Żołnierzu, wstań — powiedział. — Nadjeżdża kawaleria.

Zmrużyłem oczy w popołudniowym świetle, kiwając głową naszym nowym pomocnikom, których kolejno mi przedstawiał: Sheili, Grifowi i Wayne'owi. Przyjaciele zaplanowali wszystko sami, pozwalając mi jak najdłużej pospać. Marcus obudził mnie dopiero, gdy przyjechali nowi, żebym lepiej opisał swoją rolę w całym przedsięwzięciu. Później zrelacjonował mi najnowsze ustalenia. Nie było tego wiele, dopięli ostatnie szczegóły, a ludzie Marcusa dokładnie zbadali teren. W końcu ruszyliśmy w drogę i niemożliwe stało się możliwe: jechałem po Sydney.

Nasze samochody utworzyły prawdziwą karawanę. Marcus polecił komuś przyjechać półciężarówką, do której zamierzaliśmy zapakować więźniów. Pamiętając powściągliwość Duncana, zastanawiałem się, czy zechcą z nami pojechać, ale Emma zapewniła, że tak będzie. Kiedy zabrano Sydney, znalazła solny atrament w jej pokoju i zaskarbiła nim lojalność pozostałych więźniów.

— Zrobiją, co im każemy — oświadczyła. — I namówią pozostałych.

Półtora kilometra od budynku nasza karawana się rozdzieliła. Marcus jadący moim samochodem i jego znajomi w furgonetce mieli zaparkować w pobliżu ośrodka i dotrzeć tam piechotą. Eddie, Trey i ja zamierzaliśmy podejść pod drzwi frontowe. Sheila napracowała się, żeby wymalować nam na policzkach złote lilie. Wyglądały bardzo autentycznie. Ta część planu jednak wiązała się z ryzykiem. Choć Marcus mógł z powodzeniem odegrać rolę alchemika, jego twarz powszechnie znano, a ja nie miałem tyle mocy, żeby magicznie odmienić wygląd nas obu. Może zdołałbym to uczynić, gdybym występował jako moroj nieprzypominający Adriana Iwaszkowa, lecz musiałem się upodobnić do człowieka. Żaden moroj nie stanąłby w drzwiach ośrodka reedukacji.

Jechaliśmy priusem Marcusa („klasyczny wóz alchemika”, zapewniał) i zatrzymaliśmy się przy budce wartownika przed budynkiem. Dyżurny sprawdził nasze fałszywe identyfikatory, które spreparował Marcus, i nas przepuścił. Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Marcus uprzedził nas, że ten wartownik nie sprawdzi naszych identyfikatorów w elektronicznej bazie danych. To nastąpi dopiero w środku.

— Niesamowite, mam déjà vu — odezwał się Eddie, gdy zatrzymaliśmy się na parkingu. Stało tam kilka solidnych pojazdów. — Podobnie było, gdy razem z Rose i Lissą uprowadziliśmy Wiktora Daszkowa. To niepokojące.

— Z jedną różnicą. Daszkow był przestępcą, który zasłużył na swój los — powiedziałem. — Teraz działamy po stronie sprawiedliwości, ratując ludzi w potrzebie.

— Wiem — odparł. — Tylko że wówczas nie obyło się bez niespodzianek, a mieliśmy wyprowadzić tylko jedną osobę. Teraz będzie ich z tuzin.

— Co właściwie ułatwia sprawę — wtrącił pogodnie Trey. — Wszystko albo nic. Nie musimy się martwić o subtelności. Robimy regularne wtargnięcia.

— I to mnie martwi — dorzucił Eddie.

Hol budynku uchodzącego za pustynny ośrodek badawczy prezentował się imponująco. Zbudowano go w całości ze szkła i metalu i ozdobiono fotografiami przedstawiającymi piaszczyste krajobrazy, które miały obrazować funkcję tutejszej placówki. Para szklanych drzwi prowadziła w lewo do skrzydła, o którym wiedzieliśmy, że mieści nadziemne biura alchemików. Przy biurku siedziała młoda kobieta, a za nią dostrzegłem złowieszcze nieoznakowane drzwi. To musiało być jedyne wejście do ośrodka reedukacji. Podniosła głowę zaniepokojona naszym widokiem.

— Wielkie nieba! — zawołała. — Nie zauważyłam was na obrazie z kamer.

— Przepraszamy — odezwałem się, przywołując czar wpływu. — Mam nadzieję, że pani nie przestraszyliśmy.

Jeden z członków bandy Marcusa odwiedził to miejsce z samego rana i przestawił kamery tak, że były zwrócone na siebie nawzajem, a nie na wejście. Czar zmieniający mój wygląd nie działał w oku kamery. Poza tym oddział Marcusa nie musiał się teraz silić na podchody.

— Ależ skąd. — Dziewczyna uśmiechała się do nas. Wytworzona przeze mnie iluzja okazała się skuteczna. — Czym mogę służyć?

— Przyjechaliśmy z wizytą do Grace Sheridan — wyjaśniłem, pokazując identyfikator.

Eddie i Trey poszli za moim przykładem. Na Sheridan kazał nam się powołać Duncan.

Recepcjonistka ściągnęła brwi, biorąc od nas identyfikatory, żeby je zeskanować.

— Nie powiadomiono mnie o tym. Zaraz do niej zadzwonię.

Spodziewaliśmy się, że to zrobi oraz że będzie zaskoczona, gdy komputer odpowie jej, że nie istniejemy.

— Nasz departament jest... jakby to ująć... ściśle tajny — wyjaśnił Trey. — Nie

figurujemy w bazie, ponieważ nie lubimy opowiadać o przedmiocie naszych badań. Obecnie pole naszych zainteresowań poszerzyło się o to miejsce, a panna Sheridan doskonale wie, o co chodzi.

Recepcjonistka powtórzyła to enigmatyczne wyjaśnienie do słuchawki i po chwili ją odłożyła.

— Przyjmie was. Tymi drzwiami, proszę.

Wszedłem, nie wiedząc, czego się spodziewać. Po tym, co słyszałem, nie zdziwiłbym się na widok kolczastych zasieków i łańcuchów na ścianach. Alchemicy utrzymywali jednak na tym piętrze pozory typowego biura. Pokój, do którego weszliśmy, przypominał wystrojem hol.

Prężyło się tam sześciu mężczyzn rozstawionych strategicznie wokół dwojga drzwi prowadzących do windy i na schody. Byli ubrani w garnitury i mieli na policzkach złote lilie. Nie widziałem do tej pory tak wysokich i dobrze zbudowanych alchemików. Tutejszy dział kadr musiał się bardzo postarać, by znaleźć takich mięśniaków w swoich szeregach. Bardziej niż ich postura onieśmielał jednak fakt, że mężczyźni byli uzbrojeni — w broń, która mogła zabić, nie pistolety ze środkiem uspokajającym, w jakie Marcus wyposażył Treya i Eddiego. Podobno środek zwał z nóg. Nie chcieliśmy używać prawdziwych naboju, żeby nie narażać niewinnych ludzi. (Było oczywiste, że mnie nawet nie zaproponowano broni).

Uśmiechałem się lekko, jakby widok zbrojnego oddziału nadzorującego grupkę nieszczęsnych więźniów, by nie zaczęli samodzielnie myśleć, był dla mnie czymś najnormalniejszym w świecie. Rozległ się sygnał nadjeżdżającej windy. Po chwili wysiadła z niej elegancka młoda kobieta. Na oko należała do tych osób, które wpakują ci sztylet prosto w serce, nie tracąc uśmiechu. Uśmiechała się nadal, gdy się sobie przedstawialiśmy.

— Obawiam się, że mnie zaskoczyliście — oświadczyła. Nachyliła się nieco, żeby odczytać mój identyfikator. — Nie spodziewałam się tej wizyty. Nie wiedziałam nawet o istnieniu Departamentu Transgresji Arkanów i Wiedzy Tajemnej.

— DTAWT nie lubi się ujawniać — odparłem ostro. — Ale gdy raport o tak olbrzymiej porażce ląduje na moim biurku, musimy interweniować.

— Porażce? — spytała Sheridan. — To chyba przesada. Panujemy nad sytuacją.

— Chce pani powiedzieć, że jedna z waszych pensjonariuszek nie użyła zakazanej magii, by wymknąć się spod kontroli i przeprowadzić działanie, którego nadal w pełni nie rozumiecie?! — wybuchnąłem. — Trudno to nazwać panowaniem nad sytuacją.

Zaczerwieniła się. Poważnie, zasłużyłem na Oscara.

— Skąd o tym wiecie?

— Mamy oczy i uszy w miejscach, o jakich wam się nie śniło — odparłem. — Do rzeczy. Będzie pani współpracować czy mam wezwać obu pani zwierzchników?

Sheridan zawahała się, a potem zerknęła na nieruchomych strażników.

— Porozmawiajmy tutaj. — Pokazała nam niewielki gabinet przylegający do pokoju. Poszliśmy za nią, a gdy wszyscy znaleźliśmy się w środku, zamknęła za nami drzwi.

— Nie wiem, kto wam naopowiadał tych bredni, ale naprawdę panujemy nad...

Sygnał alarmu przeciwpożarowego zagłuszył jej słowa. Zaraz potem rozległ się trzask i z małej krótkofalówki przypiętej do jej paska wydobył się głos.

— Sheridan? Tu Kendall. Mamy problem.

Sheridan uniosła krótkofalówkę.

— Tak, słyszę alarm. Gdzie się pali?

— W kilku miejscach na drugim piętrze.

Sheridan skrzywiła się, słysząc o kilku miejscach.

— Jak duży jest ogień? — podniosła głos. — Zrasczacie powinny załatwić sprawę. — Spojrzała na sufit i zrobiła zdziwioną minę. — Działają u was? Zwykle uruchamiają się

samoczynnie. Cały budynek powinien już zostać zalany.

— Nie działają — odparł głos. — Czekamy czy zarządzisz ewakuację?

Sheridan wpatrywała się w krótkofalówkę z niedowierzaniem, a potem przeniosła wzrok na zraszacz zainstalowany w suficie. Zdaniem Duncana niewiele rzeczy mogło spowodować ewakuację całego budynku, więc się postaraliśmy. Nauczycielka plastyki walczyła z nałogiem tytoniowym i obok sporego zapasu gum do żucia trzymała w biurku papierosy i zapałki. To – plus zapas rozcieńczalnika do farb, pozwoliło Duncanowi i spółce wzniecić pożar w kilku miejscach jednocześnie. Pożar zagrażał wprawdzie wszystkim wewnątrz, ale jeden z ludzi Marcusa odnalazł zewnętrzny panel kontroli systemu zraszania i opóźnił jego aktywację.

W krótkofalówce znów zatrzeszczało.

— Sheridan, słyszysz mnie? Zarządzasz ewakuację?

Widziałem wyraźnie po jej minie, że nigdy nie spodziewałaby się, iż zostanie postawiona przed taką decyzją. Odpowiedziała po kilku sekundach.

— Tak, masz moje zezwolenie. Ewakuujcie ludzi. — Idąc do drzwi, zerknęła na nas. — Proszę mi wybaczyć, mamy nagły wypadek.

Strażnicy w drugim pokoju byli gotowi do interwencji.

— Kod Pomarańczowy! — krzyknęła do nich. — Bądźcie gotowi. Wy dwaj wyprowadzicie więźniów i zatrzymacie w bezpiecznym miejscu. Reszta niech przygotuje broń i pilnuje...

Krótkofalówka znowu ożyła, tym razem odezwał się męski głos. — Sheridan, jesteś tam? Zmarszczyła czoło. — Kendall?

— Nie, tu Baxter. Coś jest nie tak. Pensjonariusze przejmują kontrolę. Nie słuchają poleceń.

Sheridan zbladła. — Powiadom ośrodek kontroli, żeby włączyli gaz. Uśpimy wszystkich. Sami włożcie maski. Zaraz przyślemy wam ludzi do pomocy...

— Już próbowaliśmy. System jest uszkodzony.

— Uszkodzony?! — wykrzyknęła. — Ale...

W tej chwili otworzyły się drzwi wychodzące na hol i do środka wtargnął Marcus z asystą. Trzymali w rękach usypiacze. Nie była to śmiertelna broń, ale skuteczna, szczególnie że zaskoczyli wszystkich. Eddie i Trey błyskawicznie wyciągnęli pistolety. Nie minęła minuta, a wszyscy strażnicy leżeli pokotem na podłodze. Tylko dwóm udało się zrobić parę kroków, zanim upadli. Marcus wepchnął przerażoną recepcjonistkę do pokoju i ocenił sytuację. Poleciał Grifowi i Wayne'owi umieścić nieprzytomnych strażników w gabinecie, podczas gdy Sheila pilnowała Sheridan i recepcjonistki. Przestałem się maskować i obie alchemiczki jęknęły, uświadamiając sobie, że tak miło flirtowały z morojem. Szok był tym większy, że Sheridan nagle rozpoznała Marcusa.

— Ty! — wypluła z siebie.

Nie miała okazji powiedzieć więcej. Chwilę później otworzyły się drzwi prowadzące na schody i wtedy zapanował prawdziwy chaos. Ujrzałem wybiegających pensjonariuszy w bitych strojach i bardziej formalnie ubranych alchemików. Część więźniów była przerażona, nie chcieli wychodzić i koledzy musieli ich za sobą ciągnąć. Przypomniałem sobie obietnicę Emmy, że dopilnuje, by wszyscy opuścili budynek. Marcus pospiesznie zarządził manewr przeciwny do zamierzonego przez Sheridan: przy wyjściu rozdzielano pensjonariuszy i personel, przy czym ta druga grupa od razu trafiała pod straż. Przyglądałem się temu wszystkiemu z niepokojem, zaciskając szczęki tak mocno, że zaczęły mnie boleć. Nie poznawałem nikogo z wychodzących, ale tego się spodziewałem. Kiedy grupa się przeredziła, mój niepokój wzrósł.

W każdej chwili mogłem się spodziewać Sydney w towarzystwie Emmy i Duncana.

I wtedy wyłonili się Emma i Duncan. Sydney z nimi nie było.

— Co, do diabła?! — wykrzyknąłem. — Gdzie ona jest? Mówiliście, że ją uwolnicie!

— Próbowaliśmy! — zawołała Emma. Rzuciła na podłogę cztery identyfikatory.

— Żaden nie otworzył drzwi na czwartym piętrze. Nie mieli do nich dostępu... chociaż widziałam, jak wcześniej schodzili na to piętro.

Zwróciłem się z wściekłością do Sheridan.

— Dlaczego drzwi na czwartym piętrze się nie otwierają?! — wrzasnąłem. — Kto ma do nich dostęp?!

Cofnęła się o krok.

— Tam przebywają najniebezpieczniejsi przestępcy — odparła, siląc się na godność.

— System zamyka się automatycznie w nieprzewidzianych sytuacjach. Normalny dostęp zostaje zablokowany. Są zbyt groźni, by pozwolić im uciec.

Dotarło do mnie pełne znaczenie jej słów.

— Więc pozwalacie im zginąć? To chore! Kim wy jesteście?!

Wytrzeszczyła na mnie oczy z przerażeniem, ale nie wiedziałem, czy spowodował to mój gniew, czy nagle obudziło się w niej sumienie.

— To ryzyko, jakie podejmujemy... moi ludzie także ryzykują. Dwoje jest w środku, po jednym z każdym z więźniów.

— Jesteście bardziej szaleni, niż sądziłem! — ryknął Marcus. — Któryś identyfikator musi zadziałać. Może twój? — Kiedy skinęła głową z niechęcią, zerwał go jej z kłapy marynarki.

— Za chwilę włączą się zraszacze. Wtedy po nich zejdziemy. Pożar nie powinien dotrzeć na niższe piętro, ale na schodach będzie...

— Marcus — odezwał się Grif z niepokojem. — Zraszacze powinny już działać. Aż tak bardzo nie opóźniłem aktywacji.

Marcus wybałuszył na niego oczy.

— Co ty mówisz, do cholery? Uszkodziłeś je trwale?

— Nie zrobiłem tego celowo! Tylko na czas śledztwa.

— Pędź tam i napraw je! — krzyknął Marcus. — I przyprowadź wartownika!

Grif wybiegł z budynku.

Dość już słyszałem. Sydney została na dole, była uwięziona w celi, podczas gdy na górze szalał ogień. Lada chwila mógł zająć jej piętro. Podbiegłem do Marcusa i odebrałem mu identyfikator Sheridan.

— Ilu ich tam jest? Mówiłaś o dwóch więźniach i dwóch pracownikach. Ktoś jeszcze?

Szybko policzyła stłoczonych alchemików.

— Wszyscy moi ludzie są tutaj — wyjąkała.

— My także jesteśmy w komplecie — rzuciła Emma. — Zabraliśmy sześcioro z izolatek. Sprawdziliśmy każdą celę.

— Świetnie — rzuciłem i wypadłem na schody. Nie było tam dymu, ale słaba woń w powietrzu nie rokowała dobrze. — Idę po tamtą czwórkę. Ktoś idzie ze mną?

Eddie znalazł się przy mnie jednym susem.

— Musisz pytać?

ROZDZIAŁ 17

Sydney

NIE OD RAZU dotarło do mnie, że odezwał się alarm przeciwpożarowy. W pierwszej chwili pomyślałam, że zastosowali jakąś nową torturę.

Kiedy trzymali mnie w izolatce, zasypiałam na rozkaz. W pokoju perswazji było odwrotnie. W ogóle nie pozwalali nam zasnąć. Przypomniałam sobie, co czytałam na temat technik przesłuchiwania i torturowania. Ludzie pozbawieni snu są bardziej skłonni do mówienia. Podczas pobytu w ciemniej celi, a nawet później, nigdy nie czułam się w pełni wypoczęta, ale to, czego doświadczałam obecnie, było niewyobrażalną męką.

W przerwach między torturami i zadawaniem wiecznie tych samych pytań oślepiano mnie światłem i bombardowano irytującymi dźwiękami, nie dając ani chwili wytchnienia. Nie musieli stosować żadnych środków pobudzających; nie miałam szans nawet się zdrzemnąć. Szybko straciłam poczucie czasu, w tym względzie nie pomagały już pory nędznych posiłków (znowu papka) ani wizyty w toalecie.

Mimo potwornej udręki nieźle się trzymałam. Powtarzałam historyjkę o tym, że szukałam drogi ucieczki i odmawiałam podania informacji związanych z magią oraz nazwiska mojej mentorki. Nie wierzyłam, że mogliby skrzywdzić pannę Terwiliger, ale nie chciałam ryzykować. Pozwoliłabym się rozerwać na strzępy, zanim wydobyliby ze mnie jej nazwisko.

Gdy rozległ się pisk alarmu i w kącie celi zapaliło się ostre światło, ocknęłam się z miłego półsnu. Rzadko pozwalano mi na taki luksus, więc niechętnie otworzyłam oczy, wiedząc, co mnie czeka. Pokój tonął w ciemnościach, zostawili tylko jedną zapaloną żarówkę, i nie miałam pojęcia, ilu ludzi znajduje się w środku. Nagle usłyszałam męski głos mówiący coś do radia lub telefonu. Właściciel głosu miał na imię Grayson. Nie odstępował mnie na krok. Torturował mnie i przesłuchiwał, gdy Sheridan nie robiła tego osobiście.

— Halo? — mówił. — Tu Grayson z P2. Jest tam kto? Czy to ćwiczenia?

Nie było odpowiedzi, w każdym razie jej nie słyszałam. Grayson raz po raz ponawiał próby nawiązania połączenia, a potem usłyszałam, że podchodzi do drzwi i próbuje je otworzyć.

— Coś popsuło plany alchemikom? — spytałam.

Nie byłam pewna, czy mnie słyszy w tym hałasie, tym bardziej że nie miałam siły mówić głośniej. Po chwili jednak odpowiedział.

— Cicho — syknął rozkazującym tonem. — I módl się, żebyśmy stąd wyszli. Choć twoje modlitwy raczej nie zostaną wysłuchane.

Napięcie w jego głosie mówiło więcej niż słowa. Usiłowałam przewalczyć znużenie i skupić się na ocenie sytuacji. Cokolwiek się działo, z pewnością nie zostało zaplanowane, a alchemicy nie znoszą przeszkód. Pytanie brzmiało, czy to dla mnie dobrze, czy źle. Ośrodek reedukacji działał jak doskonały mechanizm, trzeba było się bardzo postarać, by coś w nim zepsuć... Tylko Adrian zdołałby tak namieszać.

Grayson jeszcze nie dawał za wygraną i wzywał kogoś przez radio. Kiedy umilkł, odważyłam się odezwać.

— Naprawdę się pali?

W tej chwili rozbłysły dwa jaskrawe światła: jedno nad jego głową, drugie skierowane prosto na moją twarz.

— Bardzo prawdopodobne. Tak jak to, że tu zginiemy — odparł.

Zauważyłam na jego czole kropelki potu i wychwyciłam w jego głosie niepokój, mimo że silił się na obojętny ton. Zorientował się, że go rozszyfrowałam, i się najeżył.

— Kto wie? Może twoja dusza dozna oczyszczenia w płomieniach...

Dobiegł nas cichy trzask od strony drzwi, które zaraz potem się otworzyły. Zaskoczony Grayson przerwał swoją nużącą tyradę i się obrócił. Żałowałam, że nie mogę widzieć jego twarzy, gdy dobiegł mnie znajomy głos.

— Sydney?

Serce mi podskoczyło, rozbłysła w nim nadzieja, jakiej nie czułam od wieków.

— Adrian?

W jednej chwili nadzieja zgasła. Tygodnie spędzone w paranoicznej sytuacji nauczyły mnie podejrzliwości. „To na pewno jakaś nowa sztuczka — myślałam. — Znowu coś knują. Straciłam kontakt z Adrianem dawno temu. Nie mógł mnie tak szybko odnaleźć. I przecież nie włamałby się tutaj. Alchemicy opracowali nowy plan wdarcia się do mojego umysłu...”. Ale znów usłyszałam głos Adriana. To na pewno był on.

— Coście jej zrobili, do diabła?

Chciałam go zobaczyć, ale więzy nie pozwalały mi ruszać głową. Widziałam tylko, jak Grayson wyciąga broń i celuje. Tyle zdążył zrobić, zanim pistolet wyleciał mu z ręki i wylądował na podłodze. Patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Bestia...

Ktoś przypominający Eddiego wtargnął do ciemnego pokoju i znokautował Graysona jednym ciosem. Obaj zniknęli mi z oczu, lecz nagle ujrzałam najpiękniejszy widok, jaki mogłabym sobie wyobrazić: Adriana.

I znów na chwilę zwątpiłam. Pomyślałam, że alchemicy zafundowali mi halucynacje. Ale nie, on naprawdę stał przede mną. Adrian. Mój Adrian, patrzący na mnie tymi przenikliwymi zielonymi oczami. Poczułam, jak wzbiera we mnie uniesienie. Adrian. Adrian tu był. Próbowałam coś powiedzieć, przekazać mu całą tę miłość, nadzieję i lęk, jakie zgromadziły się we mnie w ciągu ostatnich miesięcy.

— Jesteś w garniturze? — wyjąkałam w końcu. — Nie musiałeś się dla mnie stroić.

— Cicho bądź, Sage — odparł. — To ja będę cię rozśmieszał podczas tej brawurowej akcji. — Jego oczy, ciepłe i pełne miłości, wpatrywały się we mnie i naraz ogarnęła mnie wielka tkliwość. Adrian spojrział teraz na moje więzy i zielone oczy zwęziły się z gniewem.

— Co to jest, na Boga? Jakieś średniowieczne pęta? Zamykają je na klucz?

Eddie i Grayson przez cały ten czas walczyli w zapamiętaniu.

— Nie widziałam, żeby używali klucza — odparłam.

Po kilku próbach Adrianowi udało się rozpiąć jeden z łańcuchów. Dalej poszło już sprawnie i wkrótce byłam wolna. Mój ukochany troskliwie mnie objął, pomagając usiąść akurat wtedy, gdy Eddie przygwoździł Graysona do podłogi. Zdumiałam się, widząc, że przystawił alchemikowi broń do głowy, lecz po chwili zorientowałam się, że to nie jest zwykła broń.

— Wstawaj — wydyszał dampir. — Powoli. Ręce na głowę.

— Wolę zginąć w walce, niż stać się więźniem takiego piekielnego stwora! — odparował Grayson, ale posłusznie wykonał polecenie.

— Spokojnie, nie bierzemy jeńców — wtrącił Adrian. — Chcemy ci ocalić głupi tyłek, żebyś mógł dołączyć do reszty niedobitków.

Eddie rozejrzał się po celi.

— Znajdą się dla niego jakieś kajdanki?

— Na pewno — potwierdziłam. Chciałam wstać, ale zakręciło mi się w głowie.

Zwróciłam się więc do Adriana. — Sprawdź pod ścianami. Tam trzymają narzędzia.

Adrian odszedł i najpierw znalazł coś równie użytecznego: pilota, którym rozświetlił pomieszczenie. Zmrużyłam oczy, bo długo tkwiłam w ciemnościach. Adrian szybko odnalazł kajdanki, którymi skuł dłonie Graysona. Na półkach zgromadzono różne chemikalia, sprzęty i noktowizory, dzięki którym alchemicy mogli obserwować tortury przy zgaszonym świetle. Napawało mnie to obrzydzeniem, więc odwróciłam wzrok.

— Możesz iść? — spytał Adrian.

— Spróbuję — odparłam.

Przytrzymał mnie ramieniem, gdy chwiejnie stanęłam na nogach. Wspierał mnie fizycznie i mentalnie, pomagając wyjść z celi. Eddie szedł przodem, popychając Graysona. Na korytarzu wciąż dźwięczał alarm, ale nie było ognia. Eddie zwrócił się do swojego więźnia.

— Która cela jest zajęta? — Ponieważ Grayson nie odpowiedział, dampir zbliżył wściekłą twarz do jego twarzy. — No, dalej! Próbujemy ocalić twojego kolegę.

— Wolę zginąć, niż złamać przysięgę i poprosić o waszą pomoc! — warknął alchemik.

Eddie westchnął i oddał swoją broń Adrianowi.

— Pilnuj go, sprawdzę pozostałe cele.

Byłam pewna, że Adrian nigdy w życiu nie używał broni, ale wycelował w alchemika całkiem przekonującym gestem. Oparłam się o ścianę i obserwowałam Eddiego, który przykładał identyfikator do kolejnych drzwi, otwierał je i zaglądał do środka. Przy trzeciej próbie zniknął w celi. Nie widziałam, co tam się działo, ale słyszałam odgłosy bójki.

Adrian zerkał na mnie, marszcząc czoło. Teraz widział wyraźniej, w jak kiepskim jestem stanie. Postępy, jakie poczyniłam po wyjściu z izolatki, zniweczył pobyt w celi.

— Nie mówiłaś mi prawdy. Tyle razy pytałem cię, jak cię traktują...

— Nie kłamałam — odparłam, odwracając wzrok.

— Ale mi nie powiedziałaś — upierał się. — Kiedy ostatnio coś jadłaś?

Na szczęście nie musiałam odpowiadać, bo Eddie właśnie wyprowadził innego alchemika. Tym razem miał w ręku prawdziwą broń, więc pewnie go rozbroił.

— Zwiąż go — polecił Adrianowi — i uwolnij dziewczynę, skoro już się nauczyłaś to robić. Nie mogłem się w tym połapać.

Skinęłam głową Adrianowi, który niechętnie mnie zostawiał. Związawszy alchemika, zniknął w celi. Spojrzałam na Eddiego.

— Jesteś pewien, że to nie pożar? Alarmy nadal nie milkną.

— Pożar wybuchł naprawdę — odparł. — Ale nie powinien dotrzeć tutaj. Pali się kilka pięter wyżej. W każdym razie tak było ostatnio.

Obracałam w głowie jego słowa, niepewna, czy dobrze zrozumiałam. Mogłam się przesłyszeć, wciąż jeszcze byłam oszołomiona. Wydawało mi się, że czuję dym, ale nie wiedziałam, czy sobie tego nie wyobraziłam. Mniej więcej po minucie Adrian wyprowadził z pokoju dziewczynę nieco starszą ode mnie, ubraną w identyczny kostium. Na jej widok przyszła mi do głowy tylko jedna myśl: czy ja również wyglądam aż tak źle? Nie, uznałam, to niemożliwe. Wyglądałam źle, tego byłam pewna, ale coś mi mówiło, że ona przebywała tu znacznie dłużej. Miała wymizerowaną i nienaturalnie bladą twarz. Brunatny kostium dosłownie na niej wisiał: od chwili gdy go włożyła, musiała bardzo schudnąć. Czarne włosy wymagały porządnego mycia i strzyżenia. Byłam w podobnym stanie zaraz po opuszczeniu izolatki, ale ona wyglądała dziesięć razy gorzej. Nie trzymali mnie długo na tym piętrze, poza tym przez parę tygodni jadłam i spałam w miarę normalnie.

Na twarzy Eddiego przez chwilę malowało się współczucie, ale jego natura twardziela natychmiast wzięła górę.

— Idziemy. Dasz radę je prowadzić?

Oderwałam się od ściany i machnęłam ręką.

— Pomóż jej. Dam radę o własnych siłach, tylko powoli.

Adrian miał niezdecydowaną minę, ale było jasne, że ta dziewczyna potrzebuje jego pomocy bardziej niż ja. Szłam obok niej, gdy nasza dziwaczna grupka skierowała się do wyjścia. Po drodze starałam się ją pocieszać, wyjaśniając sytuację, o której nie wiedziałam prawie nic.

— Wszystko w porządku — zapewniałam. — Będzie dobrze. Wyprowadzimy cię stąd. Jak masz na imię?

Ciemne oczy wpatrywały się w przestrzeń, nie byłam pewna, czy dziewczyna mnie słyszy. Może w ogóle udało jej się przetrwać tę udrękę dzięki temu, że przestała słuchać, co się do niej mówi.

— Ch...chantal — wyjąkała ledwie szeptem. Nie usłyszałabym jej w hałasie syren alarmowych, gdybym nie nachyliła się bliżej.

— Chantal! — wykrzyknęłam. — Słyszałam o tobie. Znam Duncana. Jest moim przyjacielem.

W czarnych oczach rozblęsnęła słaba iskierka.

— Duncan? Duncan tu jest?

— Tak, czeka na nas. — Mówiąc to, zerknęłam pytająco na Adriana, a on skinął głową. Ośmieliło mnie to. — Wkrótce się zobaczycie. Będzie uszczęśliwiony. Bardzo za tobą tęsknił. Nie wiedział, że byłeś tutaj przez cały ten czas.

Przeszedł mnie dreszcz. „Przez cały ten czas”. Duncan mówił, że alchemicy zabrali ją przed rokiem. Czyżby tak długo przebywała w strefie „perswazji”? To przerażające. Nic dziwnego, że tak wyglądała. Z drugiej strony fakt, że to wytrzymała i że nadal traktowali ją jak zagrożenie, wiele mówił o charakterze tej dziewczyny. Może powinno nam pochlebiać, że znalazłyśmy się w ekskluzywnym klubie.

Na korytarzu i na schodach nie natrafiliśmy na żadne przeszkody. Dopiero gdy weszliśmy wyżej i otworzyliśmy drzwi klatki schodowej, ściana gęstego palącego dymu odgrodziła nas od centrum kontroli, gdzie znajdowało się wyjście z budynku. Eddie zmarszczył brwi.

— Nie spodziewałem się, że ogień tak szybko się rozprzestrzeni. Szczególnie że nie ma go na schodach.

Nie odpowiedzieliśmy. Byłam zaskoczona, gdy pierwsza zareagowała Chantal.

— Tak działa system wentylacyjny — mruknęła. — Gdzie się pali?

— Na piętrze dla pensjonariuszy — odparł Adrian.

Zastanawiała się. Z każdą sekundą coraz bardziej się ożywiła.

— Więc pewnie to tylko dym. Oczywiście nie powinnam mówić „tylko”. Ludzie często myślą błędnie, że jedyne niebezpieczeństwo stanowi ogień, podczas gdy dym może zabić.

— Naprawdę jesteś alchemiczką — zauważył Adrian z kpiarskim uśmiechem. Nie dodał nic więcej, bo się rozkaszał.

Zrobiłam krok naprzód, wciąż jeszcze chwiejnie, ale zdecydowana dorównać moim przyjaciołom, którzy tego dnia tak wiele dla mnie zrobili. Nie tak dawno rzucałam czary niewidzialności i używałam magii żywiołów... To było jednak po kilku tygodniach umiarkowanego odpoczynku i znośnej diety. Czy mogłam to powtórzyć teraz, gdy byłam tak osłabiona? Nadal nie miałam odpowiednich składników, musiałam polegać na sile woli i własnych słowach. Przypomniałam sobie, jak wezwałam żywioł powietrza, żeby zaczarować solny atrament, i uniosłam rękę w górę, by wezwać go ponownie. Poczulałam leciutki powiew wiatru, który stopniowo zaczął odpychać od nas dym. Szło mi opornie, nie odważyłam się przywołać silniejszego podmuchu, żeby nie podsycić płomieni szalejących na piętrze. Szybko

poczułam się wyczerpana. W pewnej chwili nogi się pode mną ugięły i musiałam się oprzeć o ścianę wolną ręką. Dwoje alchemików przyglądało mi się z odrazą. Gdyby nie mieli skrępowanych rąk, z pewnością uczyniliby znaki przeciwko złu.

Ostatecznie rozwiałam dym, otwierając nam przejście do centrum kontroli. Adrian zlekceważył moje oświadczenie, że czuję się dobrze, i jedną ręką ujął mnie pod ramię. Drugą nadal podpierał Chantal. Eddie wyraźnie miał ochotę nas wesprzeć, lecz musiał pilnować alchemików. Wepchnął ich do pokoju i skierował do tajemniczych drzwi, które dostrzegłam podczas nocnej wędrówki po budynku. Weszliśmy po schodach...

...i po raz pierwszy od wielu miesięcy zobaczyłam światło słoneczne.

Tak mnie oczarowało, że przystanąłam, a idący obok Adrian się potknął. Stojąca u jego drugiego boku Chantal także otworzyła szeroko oczy, wpatrując się w światło wpadające przez niewielkie okno. Pomarańczowozłota poświata zapowiadała zachód słońca.

— Piękne — wymruczałam.

— Zgadza się — przyznał Adrian i zobaczyłam, że patrzył na mnie.

Uśmiechnęłam się do niego, ale nic nie powiedziałam, mieliśmy inne sprawy na głowie. W kącie zgromadził się cały personel ośrodka reedukacji. Pilnowali ich Marcus, Trey i jakiś inny chłopak.

— Gdzie są wszyscy? — spytał Eddie.

— Gdzie jest Duncan? — zawtórowała mu Chantal.

— Sheila zabrała ich w bezpieczne miejsce — wyjaśnił Marcus. — Uznałem, że najlepiej będzie ich stąd od razu wywieźć. — Posłał mi swój uśmiech gwiazdy filmowej. — Miło cię zobaczyć w realu, Sydney. — Dostrzegłam w jego oczach gniewny błysk. On również zauważył, jak źle wyglądam.

— Bezpieczne miejsce?! — syknęła Sheridan. Dopiero teraz ją zobaczyłam. — Naprawdę sądzisz, że jest jakieś bezpieczne miejsce, w którym ich...

Urwała, bo Chantal z piskiem oderwała się od Adriana i próbowała się na nią rzucić.

— Ty! — krzyczała. — Ty mi to zrobiłaś! Jesteś odpowiedzialna za każdą torturę. Wydawałaś rozkazy! — Chantal krzyczała jak zwierzę. Poczułam ból w piersi na myśl o tym, że sama zachowywałabym się podobnie, gdyby zamknięto mnie na równie długi czas.

Inni alchemicy natychmiast zasłonili sobą Sheridan. Podbiegłam na słabych nogach i próbowałam delikatnie odciągnąć Chantal.

— Już po wszystkim — mówiłam. — Odsuść.

— Ty wiesz, co ona robiła! — Nienawiść i ból malujące się na twarzy Chantal odzwierciedlały moje najczarniejsze uczucia. — Wiesz, jakim jest potworem!

— To nie my jesteśmy potworami — syczała Sheridan. — My z nimi walczymy, a wy zdradziłyście swoją rasę.

Chantal znów się szarpnęła, lecz tym razem Adrian pomógł mi ją przytrzymać.

— To koniec — powtarzałam jej. — Nie robi ci już krzywdy.

— Tak myślisz, Sydney? — Piękna twarz Sheridan się wykrzywiła. — Naprawdę sądzisz, że uda się wam uciec? Nie ma takiego miejsca, w którym zdołasz się ukryć. Żadne z was się przed nami nie ukryje, ale ty szczególnie, Sydney. To twoja wina, żaden alchemik nie spocznie, dopóki cię nie dopadniemy i...

Znowu nie mogła dokończyć, bo alarm nagle ucichł i włączył się system zraszania.

— No, no — mruknął Marcus, gdy staliśmy w strugach wody. — Wygląda na to, że Grifowi wreszcie się udało.

— Powinniśmy się zbierać — zauważył jeden z byłych alchemików, którego nie znałam. — Nawet jeśli pomoc dla nich nie nadjedzie od razu, ktoś mógł ją wezwać.

Marcus skinął głową.

— Upewnijmy się tylko, że ta banda nie stanowi zagrożenia.

— Masz — rzucił Adrian. Opróżnił kieszeń z iluś par kajdanek. — Pomyślałem, że mogą się przydać.

Trey i kolega Marcusa związali wszystkich alchemików, a Marcus pozbił broń. — Nie zostawię tego tutaj. Zabieramy broń i ją zniszczymy. — Rozejrzył się po towarzyszach i kiwnął głową z zadowoleniem. — Jedziemy.

Ruszyłam za nimi.

— Nie masz dokąd pójść! — zawołała za mną Sheridan. — Nie uda ci się uciec!

Obejrzałam się, lecz zanim zdążyłam jej odpowiedzieć, jakiś szczegół przykuł mój wzrok. Podczas szarpaniny z Chantal dwa guziki bluzki Sheridan się rozpięły. Podeszłam bliżej i wyciągnęłam rękę. Wzdrygnęła się. Bez wątplenia przestraszyła się, że rzucę na nią jakiś czar. Ale ja zerwałam jej z szyi naszyjnik od Adriana.

— To — powiedziałam — należy do mnie.

— Nie zasługujesz na to — warknęła. — Nie myśl, że to koniec. Zastąpiłaś Marcusa Fincha jako numer jeden na liście najbardziej poszukiwanych.

Nie odpowiedziałam. Założyłam wisiołek na szyję. Potem obróciłam się na pięcie i dołączyłam do przyjaciół, nie patrząc więcej na Sheridan.

Słońce wprawdzie już zachodziło, ale na zewnątrz wciąż było upalnie. Mokra odzież nieoczekiwanie okazała się błogosławieństwem.

— Gdzie jesteśmy? — spytałam.

— W Dolinie Śmierci — odparł Marcus. — Nie można powiedzieć, alchemicy mają wycucie stylu.

— Albo tanio kupili ten obiekt — mruknęłam.

Trey zaskoczył mnie, nieoczekiwanie chwytając w objęcia.

— Nie masz pojęcia, jak mi ciebie brakowało, Melbourne.

Łzy napłynęły mi do oczu.

— Też za tobą tęskniłam. Dziękuję... dziękuję za to. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

— Nie ma za co. — Zmarszczył lekko czoło, przyglądając mi się. — Odpocznij i zjedz coś.

Zaraz potem uściskał mnie Marcus.

— Kobieta sukcesu. — Chłopak uśmiechnął się do mnie. — Zastąpiłaś mnie na pierwszym miejscu ich listy.

Odwzajemniłam uśmiech, nie chcąc pokazać, że słowa Sheridan naprawdę mnie poruszyły.

— Dziękuję, Marcus. Przepraszam, że zarzucałam ci nieumiejętność działania i lenistwo.

— Zatoczyłam ręką łuk. — To... wielka akcja.

— Cóż, byłaś dla nas wielką inspiracją — odparł. — Jak i dla tych, którzy wyszli razem z tobą.

Eddie podszedł do mnie ostatni. Patrzyliśmy na siebie, a ja nie zdołałam dłużej powstrzymać łez.

— Eddie, przepraszam, że cię oszukałam tamtej nocy.

Potrząsnął głową i przyciągnął mnie do siebie. Usłyszałam, że łka.

— To ja przepraszam, że nie zdołałem temu zapobiec. Nie ochroniłem cię.

— Och, Eddie... — Pociągnęłam nosem. — Nie ma lepszego strażnika. Ani przyjaciela.

Nawet Marcus był wzruszony, ale powiedział rzeczowo:

— Słuchajcie, nie chciałbym przerywać, ale musimy się stąd zmywać. Potem będziemy

się śmiać i płakać do woli.

Otarłam oczy i uścisnęłam Eddiego po raz ostatni.

— Zrób coś dla mnie — poprosiłam. — Wracaj do Jill.

— Oczywiście — odparł. — Zrobię to, gdy już wszyscy będą bezpieczni. Odpowiadam za nią.

— Nie to miałam na myśli. Jedź do niej i powiedz, że ją kochasz.

Omam nie opadła mu szczęka. Chyba nikt nigdy nie powiedział mu tego wprost, ale po tym, co przeszłam, nie chciałam tracić cennego czasu na konwenanse. Podeszłam do Adriana, a chłopak o imieniu Grif wyciągnął do nas rękę z kluczykami.

— Sprowadziłem mustanga. Kto prowadzi?

— My — oświadczyłam ku zaskoczeniu wszystkich. Wzięłam od niego kluczyki. — Chyba... macie inny samochód?

— Priusa — odparł pośpiesznie Adrian.

Policzyłam szybko i uznałam, że wszyscy się zmieszczą. Uśmiechnęłam się do pozostałych przepraszająco.

— Moglibyśmy pojechać sami z Adrianem? Potrzebuję spędzić z nim chwilę na osobności.

— Będziemy ściśnięci jak sardynki — zaprotestował Trey. Złagodniał jednak, gdy na mnie spojrział. — Nie będę stał na drodze prawdziwej miłości. Zgadzam się cierpieć dla twojego szczęścia, Melbourne. Jak zawsze.

Adrian wyjął z priusa swoją torbę i oddał kluczyki Marcusowi. Z kolei Marcus podarował mi coś niespodziewanego.

— Kazałem je dla ciebie zrobić już jakiś czas temu — wyjaśnił. — Weź je, na wszelki wypadek. Zdobędę takie same dla reszty uwolnionych.

Podał mi dwa prawa jazdy. Jedno było prawdziwe, wyrobiłam je jeszcze w Utah, ale rzadko używałam w Palm Springs, podając się za Sydney Melrose. Byłam zdumiona, że udało mu się zdobyć duplikat z Urzędu Miejskiego. Jeszcze bardziej zaskoczył mnie drugi dokument, fałszywy, wyrobiony w stanie Maryland na bardzo dziwne nazwisko.

— Serio? — spytałam. — Misty Steele?

Marcus wzruszył ramionami.

— Adrian mi to podpowiedział.

— Podpis twardejki — upierał się Adrian.

Uściskałam Marcusa w podzięce. Żyjąc wśród alchemików, nauczyłam się, że jeśli chcesz się wtopić między ludzi, musisz mieć solidnie zbudowaną tożsamość. Niełatwo zdobyć dobrą fałszywkę, ale prawo jazdy Misty Steele było bez skazy. Marcus i reszta wsiedli do samochodu. Eddie posłał mi ostatni uśmiech na pożegnanie, a ja omam znów się nie rozplakałam.

— Nigdy nie sądziłem, że zobaczę Castile'a we łzach — mruknął Adrian, odpalając mustanga. — Nieźle go trafiło. Do diabła, wszystkich nas trafiło, ale jego najbardziej. Nigdy sobie nie wybaczył, że pozwolił ci się wymknąć.

— Miejmy nadzieję, że się z tym upora — odparłam, zapinając pas. — Bo sytuacja się powtórzy. Nie spotkamy się z nimi w bezpiecznym miejscu.

ROZDZIAŁ 18

Adrian

BYŁEM ZAKOCHANY po uszy. Kobieta, która przeszła przez piekło, używa magii jakby nigdy nic i konfrontuje się ze swymi prześladowcami, zasługuje na podziw. Ktoś inny mógłby się załamać albo natychmiast zacząć opowiadać o przeżytych cierpieniach. Ale nie ona. Sydney nie tylko była gotowa do działania, lecz także chciała zmieniać nasz plan.

To było godne podziwu. I absolutnie wykluczone.

— Nie, Sydney. Marcus wszystko zaplanował. Całą akcję. Eddie i ja go wspieraliśmy, ale większość roboty odważył on. Znalazł kryjówkę, w której mamy się spotkać. Będziemy tam bezpieczni, dopóki nie porozysła nas po świecie. — Sydney wciąż nie była przekonana, więc dodałem: — On tak żyje od lat. Ukrywa ludzi. Sam się ukrywa. Wie, co robi.

— Do tej pory udawało mu się ukryć najwyżej parę osób naraz, Adrian — odparła spokojnie. — Nie więcej niż tuzin. Tak szeroko zakrojona operacja musi zająć dużo czasu. Ludzie, którzy dopiero wyszli z izolacji, nie potrafią funkcjonować samodzielnie. Potrzebują opieki, nie tylko schronienia. Uwolnił ich, a ja jestem za nich odpowiedzialna.

Zobaczyłem, że prius odjeżdża z parkingu. Wiedziałem, gdzie się umówili, ale powinniśmy jak najszybciej pojechać za nimi.

— Nie jesteś za nic odpowiedzialna, Sydney. Cała akcja została przeprowadzona dla ciebie. Dzięki tobie wyszli na wolność.

— A teraz narażam ich na niebezpieczeństwo. — Spojrzała na mnie, w rozświetlonych brązowych oczach widziałem pewność, że ma rację. — Adrian, słyszałeś, co mówiła Sheridan. Teraz ja jestem ich celem. Jeśli trafią na mój ślad, zrobią wszystko, by mnie dopaść. Nie mogę narażać wszystkich. Będzie bezpieczniej, jeśli ukryjemy się gdzieś tylko we dwoje. Łatwiej nam będzie zniknąć.

Ten argument zabrzmiał bardziej przekonująco, o wiele bardziej niż bezpieczeństwo pozostałych. Nie byłem zimnym draniem, któremu na niczym nie zależało, zależało mi. Nie mogłem znieść myśli o tym, co przeszli. Ale najważniejsza zawsze była dla mnie Sydney. Dwojgu łatwiej uciec niż dwudziestu. Pytanie, czy starannie opracowany plan nie ma jednak większych szans powodzenia. Bo my nie mieliśmy żadnego planu.

— Dokąd mielibyśmy ruszyć? — spytałem w końcu.

— Nie wiem — przyznała. — Na początek odjedźmy jak najdalej z tego piekła. Muszę się zastanowić, gdzie będzie najbezpieczniej, może za granicą. Nie twierdzę, że nie poproszę o pomoc Marcusa. Możemy jej potrzebować. Ale jeśli się rozdzielimy od razu, to za mną podążą alchemicy.

— Naprawdę tego chcesz? — spytałem z niedowierzaniem.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie chcę, żeby ścigali kogokolwiek. Ale jeśli pojedą za nami, wierzę, że zgubimy ich łatwiej niż oni. — Zmarszczyła brwi. — Ruszaj do autostrady i daj mi swój telefon. — Podałem jej komórkę i wyjechałem na drogę szczęśliwy, że zostawiamy to miejsce za sobą. — Dokąd ich zabrał? — spytała Sydney.

— Na południe. W stronę Meksyku, chociaż zaplanowaliśmy się spotkać godzinę drogi od Doliny Śmierci. Nie wiedział, czy przekroczą granicę, ale w pobliżu ma kryjówkę.

Kiwnęła głową i sprawdziła kilka rzeczy w internecie.

— Dobrze, w takim razie pojedziemy na północ — oznajmiła. — A ściślej na północny wschód. — Zaśmiała się. — Wciąż jesteś dobry w pokera?

— Czemu pytasz? Zgodzisz się wreszcie zagrać ze mną w rozbieranego? Prosiłem cię o to setki razy.

— Nic z tego. Na razie. Za to będziemy potrzebowali gotówki, a Nevada jest tuż za rogiem. Założę się, że tuż po przekroczeniu granicy stanu natkniemy się na kasyna.

— Wiem — odparłem. — Przejeżdżałem obok dwukrotnie w tym tygodniu. Nie mogę wiele zaoferować w zastaw, więc jeśli liczysz na zdobycie fortuny w jeden wieczór, nie pomogę.

— Wystarczy mi pokój w hotelu, kolacja i nowe ubranie.

— Tyle mogę zdobyć. Chociaż... — Zerknąłem na nią. — Zdaje się, że nie pochwalasz hazardu?

Nie potrafię czytać w cudzych myślach, lecz wystarczy spojrzeć na czyjąś aurę. Zawsze wiem, kto blefuje, a kto naprawdę ma dobre karty.

Westchnęła i oparła się o siedzenie.

— Nie pochwalam. Także używania mocy ducha. Ale znajdujemy się w ekstremalnej sytuacji. Może kiedy to wszystko minie, będziesz mógł wrócić do zażywania leków.

— Nie bylibyśmy teraz razem, gdybym ich nie odstawił — powiedziałem cicho.

— Wiem... i jestem ci wdzięczna. Później przyjdzie czas, żeby się tobą zająć, ale...

— Tymczasem mamy większe problemy? — dokończyłem.

— Nie ma dla mnie nic ważniejszego od ciebie — oświadczyła stanowczo. — Jak się czujesz? Mówiłeś we śnie, że odstawiłeś pigułki wkrótce po moim zniknięciu. Jak to przeżyłeś? Wyglądasz dobrze, jakbyś panował nad huśtawką nastrojów.

Wyczułem w jej głosie nutę nadziei i nie mogłem wyjawic jej prawdziwej przyczyny swojego opanowania: widmowego głosu zmarłej ciotki odzywającego się w mojej głowie.

— Jestem cały i zdrowy, prawda — rzuciłem gładko. — Nie próbuj zmieniać tematu. Przeszłaś znacznie więcej niż ja.

— Nie musimy o tym teraz rozmawiać — powiedziała.

Umilkliśmy oboje. Woleliśmy zachować to, co przeżyliśmy w czasie rozłąki, w tajemnicy. Zastanawiałem się, czy w ten sposób próbujemy chronić siebie nawzajem, czy raczej nie chcemy się przyznać do lęków i słabości. Nie, nie uważałem, że Sydney jest słaba. Widziałem jej aurę jeszcze w ośrodku reedukacji, gdy otaczali ją alchemicy. Wyraźnie odczuwała przed nimi lęk, podobnie jak inni pensjonariusze. Pewnie ganiła się za to w myślach.

— No — odezwałem się weselszym tonem, żeby ją rozluźnić. — Przynajmniej rozpakuj prezenty.

— Z okazji wyjścia z ośrodka reedukacji? — spytała.

— Niezupełnie. Zajrzyj do tamtej torby.

Zajrzała i wydała z siebie okrzyk zdumienia.

— Mój Boże! Gdybym miała te amulety w ośrodku, byłoby mi o niebo... Skoczusz!

Kątem oka widziałem, jak bierze do ręki małego złotego smoka. Kiedy znów otworzyła usta, sądziłem, że się rozplacze.

— Och, Skoczusz. Myślałam o nim. Zastanawiałam się, co się z nim dzieje, co przeżywa... — Zamierzała wypowiedzieć zaklęcie, ale się powstrzymała. — Będzie głodny. Przywołam go, gdy zdobędziemy coś do jedzenia. Sama chętnie zjadłabym porządny posiłek.

— To mogę załatwić, nie siadając do pokera — zaproponowałem. — Na co masz ochotę? Stek? Sushi? Tylko powiedz.

Roześmiała się.

— Nic wykwintnego. Mój żołądek mógłby odmówić współpracy po... — spoważniała.

— Po czym? — spytałem cicho.

— Później — odparła. — Opowiem ci o tym później.

Westchnąłem.

— Wciąż to odkładamy. Kiedy będzie później?

— Kiedy znajdziemy się dalej niż kilka minut drogi od alchemicznego więzienia — odpowiedziała. — Na razie musimy stąd uciec.

Miała rację, co wcale mi się nie podobało. Szczerze mówiąc, denerwowałem się coraz bardziej. Nie miałem pojęcia, przez co musiała przejść. Powtarzała, że mnie kocha, że tęskniła i nic nie uszczęśliwiło jej bardziej niż fakt, że znów jesteśmy razem. Wierzyłem jej, lecz przeszłość wciąż mnie dręczyła.

Jesteś pewien, że to prawda? — szepnęła ciotka Tatiana. Może jednak nie chcesz wiedzieć, co się z nią działo? Widziałeś, jak wyglądało więzienie. Chcesz posłuchać o okrucieństwie, z jakim ją traktowano?

— „Skoro Sydney to wytrzymała, mogę przynajmniej jej wysłuchać” — odparowałem w myślach. Mimo to... zacząłem się zastanawiać, czy zjawy nie trafiła w sedno.

Półtorej godziny później wjechaliśmy do Nevady. Nikt nas nie ścigał. Kiedy podjechaliśmy pod niewielki hotel przylegający do kasyna, zadzwonił Marcus.

— Zgubiliście się? — spytał. Nie był zły, ale coś w tonie jego głosu mówiło, że przeczuwa, co się stało.

— Zmieniliśmy trasę — odparłem lekko.

Jęknął.

— Adrian, zaplanowaliśmy wszystko szczegółowo! Do tej pory szło nam gładko. Dlaczego się wyłamujecie?

— Próbujemy wypracować najlepsze wyjście.

Sydney odebrała mi telefon, zanim znalazłem bardziej przekonujące wyjaśnienie. Podawała te same argumenty, które przekonały mnie, ale Marcus nie dał się omamić. Nie zgadzał się z nią i Sydney zakończyła rozmowę zdawkowym:

— Będziemy w kontakcie.

Zaprosiłem ją na dobry obiad, ale nie chciała nawet słyszeć o podejściu do recepcji w swoich łachach, a co dopiero o wizycie w restauracji. Okazało się, że wystarczy nam pieniędzy na skromny apartament. To nie było nic specjalnego — bez luksusów, jakimi rozkoszowaliśmy się w zaśniewanej Pensylwanii — ale z osobną sypialnią i łazienką większą niż typowy pokój hotelowy. Może i nie wiedziałem, co moja dziewczyna przeżyła w ośrodku, ale czułem, że potrzebuje odrobiny luksusu.

Potwierdziła to jej mina, gdy usiadła na łóżku. Ocenilem je jako przeciętne, ale ona westchnęła z błogością, jakby opadła na puch anielskich skrzydeł. Wyciągnęła się na pościeli i zamknęła oczy.

— To. Jest. Cudowne — stwierdziła.

Położyłem się obok niej i poczułem, jak wzbiera we mnie radość. Kiedyś myślałem, że leżąc obok Sydney, będę miał ochotę tylko na jedno, ale teraz? Największą przyjemność sprawiał mi widok ukochanej bezpiecznej i szczęśliwej, w zasięgu moich ramion. Po tak długiej rozłące sama jej obecność była cudem.

— Po drugiej stronie ulicy jest centrum handlowe — poinformowałem ją. — Kupię coś... chyba że chcesz mi towarzyszyć? Nie chciałbym cię zostawiać samej...

Pokręciła głową.

— Poradzę sobie. Poza tym panna Terwiliger podarowała mi amulet zdolny wyburzyć tę ścianę. Tylko wracaj szybko.

Taki miałem zamiar. Przebiegłem przez ulicę, na pół świadomy tego, że łamię wszelkie zasady bezpieczeństwa obowiązujące morojów. Wyszedłem samotnie o zmroku na obcym terenie. Od dziecka wpajano nam, że nocą nie jesteśmy bezpieczni. Nie sądziłem, że kiedykolwiek uznam, iż strzygi nie stanowią dla mnie głównego zagrożenia.

Rozbierałem Sydney wystarczająco często, by znać jej rozmiar. Kupiłem jej kilka ubrań i przybory toaletowe. W sąsiednich delikatesach dostałem kanapki z indykiem i przekąski. Miałem nadzieję, że jej żołądek nie będzie protestował przeciwko temu menu. Nie chciałem wydawać więcej, bo potrzebowałem pieniędzy na pokera. Wróciłem już po dwudziestu minutach, ale Sydney nie było w saloniku ani w sypialni. Serce mi stanęło. Poczuję się jak w bajce, jak ktoś, kto się nagle budzi i uświadamia sobie, że wszystko, co zdobył, okazało się snem, który prysł jak bańka mydlana.

Zauważyłem, że drzwi łazienki są lekko uchylone i pali się w niej światło. Zawahałem się.

— Sydney?

— Wejź! — zawołała.

Otworzyłem drzwi szerzej i niemal mnie zamroczyło od intensywnego zapachu jaśminu. Sydney leżała w wannie, po szyję zanurzona w pianie. Było parno jak w saunie.

— Jak gorąca jest woda? — spytałem, patrząc na parę unoszącą się w powietrzu.

Roześmiała się.

— Tak gorąca, jak to możliwe. Nie masz pojęcia, od jak dawna nie czułam ciepła. — Jej smukłe ramię sięgnęło po małą plastikową buteleczkę z hotelowym logo. — Ani nie wahałam czegoś... przyjemnego. W ośrodku wszystko było sterylne, niemal jak w szpitalu. Oszalałam na punkcie tego zapachu, chyba zużyłam wszystko.

— Zamówimy więcej, jeśli tak ci się podoba. — Odczytałem napis na etykiecie butelki. To był tani żel do kąpieli. — Albo kupimy ci prawdziwe perfumy jaśminowe, gdy tylko wygram w pokera.

— Nie rozumiesz — odpowiedziała, zanurzając się głębiej. — Po tym, co przesłam... to dla mnie szczyt luksusu. Nic mi więcej nie potrzeba.

— Moglibyśmy wreszcie o tym porozmawiać — zaproponowałem. — Zrozumiałbym cię lepiej.

— Innym razem — odparła wymijająco. — Wolalabym coś zjeść, jeśli przyniosłeś zakupy.

— I wyjdiesz z parującego kotła?

— Będę mogła wykapać się znowu — oznajmiła po prostu. — Ogoliłam sobie nogi, to już połowa zwycięstwa. Po czterech miesiącach. Ugh.

Wstała bez ostrzeżenia, pokazując nagie ciało, okryte tylko gdzieniegdzie pianą. Zrobiło mi się ciepło na myśl, że nadal nie czuje się przy mnie skrępowana. Musiałem się jednak bardzo postarać, żeby nie okazać szoku. Gdy uciekaliśmy z ośrodka, zauważyłem, że schudła, lecz nie uświadamiałem sobie, jak bardzo. Mogłem policzyć jej żebra i nawet ona, tak obsesyjnie kontrolująca swoją wagę, musiała zdawać sobie sprawę, że ma wyniszczony organizm.

— Nie tego się spodziewałeś, prawda? — zauważyła smutno.

Owinąłem ją ręcznikiem i przygarnąłem do siebie.

— Spodziewałem się zobaczyć najpiękniejszą kobietę na świecie, przy której serce bije mi żywiej, i pragnąłem zanieść ją do łóżka, żeby spędzić noc, której nigdy nie zapomnimy. Odpowiadając na twoje pytanie, dostałem dokładnie to, czego oczekiwałem.

Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu, nachyliła się do mnie.

— Och, Adrian.

W pokoju pokazałem jej zakupy. Śmiała się, przeglądając ubrania. Podniosła podkoszulkę w kolorze fuksji.

— Czy kiedykolwiek widziałeś, bym nosiła ten kolor?

— Nie — przyznałem. — A czas najwyższy, szczególnie po tym. — Pokazałem na burą kupkę ubrań leżącą na podłodze. — Spalimy to.

Znowu się zaśmiała i był to najcudowniejszy dźwięk, jaki słyszałem. Włożyła podkoszulkę i białe szorty.

— Jesteś najlepszy — oświadczyła.

Siadając z nią do posiłku, przekonałem się, że nie tylko mnie darzy miłością. Wybudziła Skoczusia i łzy napłynęły jej do oczu, gdy przemienił się z twardej lśniącej figurki w słabe drobne stworzonko o matowych łuskach, niemal tak wychudzone jak ona sama. Przytuliła go i kołysała, powtarzała te wszystkie bezsensowne słowa, jakimi pociesza się zwierzaki albo małe dzieci. Powtarzała, że teraz już wszystko będzie dobrze, a ja pomyślałem, że być może w ten sposób stara się pocieszyć siebie samą. Odrywała małe kawałki kanapki z indykiem i karmiła go. Zorientowałem się w sytuacji, gdy malec pożarł połowę jej porcji.

— Hej, hej — zaoponowałem. — Zostaw trochę dla siebie.

— Jest taki głodny — tłumaczyła. — Nawet nie kwili tak żałośnie jak zwykle, gdy chce coś zjeść.

— Za to na tobie wisi podkoszulka w najmniejszym dostępnym rozmiarze. Zjedz do końca tę kanapkę, a jemu oddam resztki swojej.

Przekazała mi go niechętnie. Skoczuś był wyraźnie obrażony, że go od niej odrywam. Też go kochałem, ale nie zamierzałem traktować go lepiej niż Sydney. Dopilnowałem, żeby zjadła kanapkę, lecz stanowczo odmówiła spróbowania batoników, które dla niej kupiłem. Bardzo chciałem, żeby zjadła wszystkie, ale nie odważyłem się napomknąć o tym, jak bardzo potrzebuje cukru i tłuszczu.

Po posiłku Skoczuś zasnął. Sądziłem, że Sydney zrobi to samo. Ale ona zaprosiła mnie do sypialni i pociągnęła na łóżko.

— Na pewno nie potrzebujesz wypocząć? — spytałem.

Zarzuciła mi ręce na szyję.

— Potrzebuję ciebie.

Nasze usta spotkały się w pierwszym rzeczywistym pocałunku od czasu, gdy ją porwali. Poczułem żar, który uświadomił mi, jak mocno dręczyła mnie jej nieobecność. Powiedziałem prawdę: nieważne, jak bardzo schudła, dla mnie wciąż była najpiękniejszą kobietą na świecie, nikogo nie pragnąłem równie bardzo. I więcej, niczyja bliskość nie wydawała mi się tak bardzo właściwa. Uciekaliśmy z Doliny Śmierci, groziło nam nieustanne niebezpieczeństwo, a jednak bycie z Sydney napełniało mnie spokojem i pewnością, przy niej wiedziałem, że pokonamy wszystko.

Całowałem jej szyję i odwołałem w myślach to, co powiedziałem o tanim żelu do kąpieli. Mieszanka jaśminu i zapachu jej skóry była odurzająca, znacznie lepsza od wszystkich perfum. Czulem dotyk jej jedwabistych nóg i zdumiałem się, jak szybko ogarnęło mnie pożądanie... Jeszcze bardziej zaskoczyła mnie namiętność Sydney. Obawiałem się, że zbyt szybko się pospieszyliśmy, ale kiedy próbowałem przystopować, przyciągnęła mnie mocniej.

— Nie rozumiesz — wymruczała, przesuwając ręką po moich włosach. — Nie rozumiesz, jak bardzo tego potrzebuję, potrzebuję ciebie i poczucia, że jestem żywa i zakochana. Próbowano mi to odebrać, ale ja nie zapomniałam. Nigdy nie zapomniałam ciebie, Adrian, a teraz, gdy jesteś tutaj...

Nie dokończyła, nie musiała. Zrozumiałem wszystko. Znów się całowaliśmy i ten

pocałunek związał nas ze sobą nie tylko fizycznie. Próbowalem zdjąć z niej podkoszulkę, gdy nagle znieruchomiła i spytała niemal bez tchu:

— Kupiłeś je w sklepie, prawda?

Byłem tak oszołomiony pożądaniem i myślami o niej, że w pierwszej chwili nie zrozumiałem.

— Słucham? Kupiłem wiele rzeczy.

— Mówię o zabezpieczeniu — wyjaśniła. — Była tam chyba apteka? Mają większy wybór.

— Ja... och. To. Nie, nie kupiłem. Chyba zapomniałem.

Zanim Sydney została uprowadzona, brała pigułki antykoncepcyjne i nie musiałem się martwić kontrolą narodzin. Tak wołała, w ważnych sprawach ufała przede wszystkim sobie. Westchnąłem.

— Więc moja troska o to, żebyś coś zjadła i ubrała się w żywe kolory zupełnie się nie liczy. Masz pretensje, że nie myślę tylko o łóżku?

Pocałowała mnie lekko w usta i się uśmiechnęła.

— Liczy się, liczy. Niestety to drugie odpada.

Nachyliłem się nad nią i odgarnąłem jej złote kosmyki z twarzy.

— Czy wiesz, co teraz przeżywam? Jestem rozczarowany, to oczywiste... ale jednocześnie kocham cię jeszcze bardziej za tę twoją niesamowitą skrupulatność i ostrożność. Po tym wszystkim co przeszłaś.

— Naprawdę? — Przesunęła się, żebym mógł oprzeć głowę na jej piersi. — Kochasz mnie za skrupulatność i ostrożność?

— Tak różne rzeczy można pokochać, Sydney. Kto się w tym połapie?

Byłem sfrustrowany, bo liczyłem na namiętą noc, ale wciąż syciłem się jej bliskością. Czy miałem ochotę na seks? Oczywiście, ale bardziej pragnąłem jej obecności, śmiechu, ducha. Szalejące hormony wkrótce się uciszyły, leżałem w ramionach Sydney i przepelniała mnie słodycz. Kiedy zasnęła wkrótce potem, pomyślałem, że dobrze się stało, że zapomniałem odwiedzić aptekę. Sydney musiała teraz przede wszystkim się wzmocnić, a ja byłem przekonany, że zapewnią jej to solidny odpoczynek i batoniki.

Byłem zbyt pobudzony, by zasnąć. Tak dużo się wydarzyło tego dnia i Sydney znalazła się tak blisko. Poza tym zwykle nie zasypiam wcześniej. Wpatrywałem się w moją ukochaną, lecz po chwili ostrożnie wstałem i starannie przykryłem ją kołdrą. Popatrzyłem na nią z czułością, a potem zgasilem światło i wymknąłem się do saloniku, ostrożnie zamykając za sobą drzwi, żeby jej nie obudzić.

Usiadłem na sofie z batonikiem w garści i oglądałem telewizję bez fonii. Musiałem jakoś uspokoić umysł. Czułem, że Sydney wkrótce przedstawi mi doskonale przemyślane plany i wnioski, a mimo to niepokoiłem się. Dokąd moglibyśmy pojechać? Czy gdzieś znajdziemy bezpieczne schronienie? Niezależnie od tego, czy zwiążemy nasze losy z Marcusem, czy będziemy próbowali urządzić się na własną rękę, przyszłość nadal rysowała się bardzo mgliście. Już to, że byliśmy razem, stwarzało ogromne ryzyko i wymagało wiele wysiłku. Rzadko zastanawialiśmy się nad tym, co chcemy robić w życiu. Nie wiedziałem, czy zrealizujemy jeden z naszych szalonych planów ucieczki. Czy Sydney pójdzie do college'u? Może zaszyjemy się gdzieś na pustkowiu albo będziemy walczyć o wolność morojów i byłych alchemików?

Nie zaznacie spokoju — szepnęła ciotka Tatiana, tego wieczoru nastawiona antagonistycznie. *Ani ty, ani ta ludzka dziewczyna. To był błąd.*

— Nie — sprzeciwiłem się. — Uda się nam. Musi nam się udać.

Jak? — spytała ostro.

Nie znałem odpowiedzi. Oglądałem telewizję ponad godzinę i zamierzałem się położyć, gdy nagle dobiegły mnie krzyki dochodzące z sypialni. W jednej chwili zerwałem się z sofy i tam pobiegłem. Otworzyłem drzwi i zapaliłem światło, przywołując w myślach moc ducha, by odeprzeć atak zgrai alchemików, którzy najwyraźniej dostali się tu przez okno. Nie było nikogo. Tylko Sydney siedziała na łóżku i przeraźliwie krzyczała. Wygasilem moc i podbiegłem do niej. Ku memu zdziwieniu wyszarpnęła się.

— Nie! Nie! Nie dotykaj mnie!

— Sydney, to ja — próbowałem chwycić ją za rękę, żeby ze mną nie walczyła. Na pół śpiąca najwyraźniej pamiętała nauki naszego dawnego instruktora samoobrony, Malachiego Wolfe'a. — Wszystko w porządku. Nic się nie dzieje. Nikogo tu nie ma.

Walczyła jeszcze przez chwilę. W słabym świetle widziałem jej rozgorączkowany, przerażony wzrok. W końcu się uspokoiła i rozejrzała się przytomniej. Po chwili ukryła twarz na mojej piersi i się rozplakała. Nie były to słodkie łzy radości płynące ze spotkania z Eddiem ani żal nad nieszczęsnym Skoczusiem. Szloch wstrząsał jej ciałem, zawładnął nią całkowicie. Nie pomagały moje kojące słowa ani pytania, co się stało. Trzymałem ją w ramionach i głaskałem po włosach, czekając, aż się uspokoi. Kiedy zaczęła mówić, przerywało jej łkanie.

— Ja... myślałam, że tam wróciłam, Adrian. Do ośrodka. Kiedy się obudziłam. Było tak ciemno... dopóki nie dołączyłam do reszty. W celi nie było światła. Trzymali mnie w mroku. Kiedy wyszłam, nie mogłam patrzeć na światło. Trzy miesiące, Adrian. Spędziłam trzy miesiące w celi mniejszej niż ta łazienka, w ciemności. Sądziłam, że to zniosę... Myślałam, że jestem silniejsza... ale kiedy się obudziłam, a Ciebie nie było, nic nie widziałam i...

Znów się rozplakała, a ja usiłowałem nad sobą panować. Było mi smutno, to oczywiste. Bolało mnie, że tak wiele wycierpiała. Ale jednocześnie czułem się wściekły. Gdybym o tym wiedział wcześniej, stanąłbym po stronie Chantal, nie powstrzymałbym jej. Nie jestem skłonny do agresji ani przemocy, ale ogarniała mnie furia na myśl o tym, co alchemicy zrobili komuś tak mądrym i błyskotliwym, kto służył im tak wiernie i służyłby nadal, gdyby jednocześnie mógł podążać za swoim sercem. Próbowali ją złamać — zmienić nie tylko jej myśli, lecz także ją samą. Jednocześnie dotarło do mnie, że to być może jeszcze nie koniec, że nie wystarczy samo uwolnienie Sydney. Do jakiego stopnia udało im się zmanipulować jej umysł? Czy będzie nas to prześladować do końca życia, nawet jeśli będzie wolna? W tamtej chwili nienawidziłem alchemików jak nigdy nikogo.

Zniszcz ich! — syknęła ciotka Tatiana. *Znajdziemy ich i rozerwiemy na strzępy!*

— Nie jesteś już w ośrodku — powiedziałem, przytulając ją mocniej. — Jesteś ze mną, a ja nie pozwolę, by stała ci się krzywda.

Przywarła do mnie i wyjąkała:

— Nie chcę spać przy zgaszonym świetle.

— I już nigdy nie będziesz musiała — zapewniłem.

Zostałem z nią w łóżku, przy zapalonym świetle. Tym razem potrzebowała więcej czasu, żeby się wyciszyć i zasnąć, ale gdy wreszcie zamknęła oczy, poczułem, że śpi zdrowo i głęboko. Sam spałem gorzej z powodu światła i faktu, że raz po raz budziłem się, żeby sprawdzić, co z nią. Warto było, bo mogłem się przekonać, że jest bezpieczna.

Obudziła się świeża i wypoczęta, po załamaniu wczorajszej nocy nie było śladu. Najważniejsze, że nabrała apetytu.

— Nie wiem, co zamówić — przyznała, przeglądając kartę dań ze Skoczusiem na kolanach. — Na pewno kawę, nie masz pojęcia, jak mi jej brakowało. Ale nie umiem wybrać między omletem farmerskim a naleśnikami z nadzieniem jagodowym.

Nachyliłem się nad nią i pocałowałem w czubek głowy.

— Zamów oba dania.
— Masz pieniądze? — spytała kpiarsko.
— Wkrótce będę miał. Dziś wybieram się do kasyna. Będiesz mi towarzyszyć w charakterze maskotki?

Potrząsnęła głową.

— Zostanę tutaj i będę jeść. Zamówić coś dla ciebie?

— Wypiję kawę na dole. To wystarczy.

Potrzebowałem krwi, czego początkowo w ogóle nie wziąłem pod uwagę. Podobnie jak wiele spraw i tę odłożyłem na później. Wiedziałem, że jeszcze trochę wytrzymam, lecz wkrótce będę musiał rozwiązać ten problem.

Po wczorajszej nocy sądziłem, że Sydney nie zechce mnie wypuścić, ale w świetle dnia była nieustraszona, miała też torbę pełną amuletów od Jackie. Wzięliśmy wspólnie prysznic — co było rozkoszne i dręczące zarazem — a gdy wjechało jej obfite śniadanie, odprawiła mnie.

— Nie oddawaj wszystkiego Skoczusiowi — ostrzegłem.

Uśmiechnęła się i pomachała mi na pożegnanie.

W kasynie było mniej osób niż nocą, ale działało na pełnych obrotach. Na tym polega uroda Nevady. Niezależnie od pory dnia ludzie pragną próbować szczęścia. Wypatrzyłem stolik z czwórką graczy, których aurę odczytałem bez trudu, i zabrałem się do pracy. Musiałem zachować ostrożność, żeby nie zwracać na siebie uwagi personelu. Wygrywałem, ale starałem się od czasu do czasu coś przegrać, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Zaproponowałem także graczom kolejkę porannej Krwawej Mary, co zaskarbiło mi ich przychylność i osłabiło ich koncentrację.

Mogłem grać znacznie dłużej, lecz po paru godzinach zgromadziłem wystarczającą sumę, by powrócić do Sydney. Postanowiłem rozegrać jeszcze parę kolejek i gdy krupier rozdawał karty, obejrzałem aury pozostałych graczy. Coś zwróciło moją uwagę. Właściwie już wcześniej to zauważyłem, lecz byłem zbyt zajęty grą, by to przeanalizować. Zaciekawilo mnie, że wielu ludzi miało żółte aury. Żółć — czasem również oranż, którego także widziałem sporo — jest barwą osób myślących, uczonych. Aura Sydney zawierała wiele żółci. Rzadko spotyka się takie aury u hazardzistów, a już na pewno nie o tej porze dnia. Ci, którzy przychodzili zagrać dla rozrywki, robili to wieczorami, nigdy o poranku. Obecni stanowili gromadę desperatów... i ich aury powinny to potwierdzać.

Zastanawiałem się nad tym, stawiając zakład i grając z ręki. Rozbiłem bank z gościem siedzącym obok mnie. Był zachwycony. Przy następnym zakładzie znów sprawdziłem aury i znów zaskoczyła mnie wszechobecność żółci. Zauważyłem coś jeszcze. Nikt z posiadaczy żółtej aury nie patrzył mi w oczy, za to wszyscy siedzieli wokół mnie w równych odstępach. Rozejrzałem się po sali. Inni gracze mieli aury typowe dla gości kasyna.

Żółty. Kolor ludzi myślących.

Kolor alchemików.

Znów zaczynały się zakłady. Wstałem od stolika i sięgnąłem po komórkę, żałując w duchu, że nie kupiłem wcześniej Sydney telefonu na kartę. Obiecałem sobie, że będzie to moje priorytetowe zadanie. Starając się przybrać obojętną minę, napisałem esemesa do Marcusa.

Zadzwoń do Hotelu Silver Springs w West Side, Nevada, i poproś pokój 301. Powiedz Sydney, żeby się natychmiast spakowała i spotkała ze mną przy samochodzie.

Miałem wysłać wiadomość, gdy nagły wybuch na zewnątrz zatrzęsł murami kasyna. Rozległy się brzęk szkła i okrzyki.

— Nieważne — mruknąłem, usuwając wiadomość i kierując się do wyjścia.

ROZDZIAŁ 19

Sydney

JADŁAM I JADŁAM, i to było cudowne. Nie sądziłam, że tak szybko odzyskam apetyt, ale po dobrze przespanej nocy moje ciało było gotowe zaakceptować wszystko. Skoczuś dzielił ze mną obfite śniadanie. Zauważyłam z zadowoleniem, że wyglądał już lepiej.

Włożyłam inną koszulkę w jaskrawym kolorze (niebieskim), którą kupił mi Adrian, i rozważałam, czy nie odwiedzić go w kasynie. Wiedziałam, że to by go ucieszyło, ale myśl o konfrontacji z tłumem ludzi mnie peszyła. Tęskniłam za normalnym światem, lecz nie na wszystko byłam jeszcze gotowa. Wystarczająco dużo obejrzałam w Wiadomościach i nasłuchiwałam się o wydarzeniach, które miały miejsce, gdy przebywałam w ośrodku. Spikerzy opowiadali o nich jak o faktach dobrze wszystkim znanych... Wszystkim z wyjątkiem tych, którym zabrano cztery miesiące życia.

Postawiłam sobie za cel, że nadrobię zaległości, i spakowawszy wszystko, zasiadłam ze Skoczusiem na sofie. Zastanawiałam się, co zrobimy dalej. Musieliśmy opuścić hotel i choć nie chciałam tego głośno powiedzieć, musieliśmy również wymienić mustanga na wóz, który nie będzie zwracał uwagi. Czekala nas decyzja, z którą najczęściej mierzą się moroje szukający schronienia przed strzygami: wybrać miejsce zaludnione czy może raczej pustynię? Każda opcja miała swoje dobre i złe strony.

Podskoczyłam, słysząc pukanie do drzwi. Błyskawicznie spojrzałam na klamkę i odkryłam, że kartka z napisem: „Nie przeszkadzać” zniknęła. Wywiesiliśmy ją na zewnątrz wczoraj wieczorem. Nie poruszyłam się, czekałam, aż intruz zorientuje się, że się pomylił, i odejdzie. Chwilę później pukanie znów się rozległo i tym razem usłyszałam głos:

— Obsługa hotelowa.

To wyjaśniło wszystko. Gdyby nadszedł kelner, zapukałby mimo kartki, bo przyniósłby zamówienie. Obsługa nigdy nie pukała. Podkrađłam się do drzwi zamkniętych na łańcuch i ośmieliłam się zerknąć przez wizjer. Zobaczyłam miło uśmiechniętą młodą kobietę w hotelowym uniformie. Wyglądała niewinnie i już zaczęłam się zastanawiać, czy nasza kartka nie spadła.

W następnej chwili coś zwróciło moją uwagę. Zobaczyłam cień z pewnością nienależący do kobiety. W pewnej chwili przesunął się lekko i uświadomiłam sobie, że stoi tam ktoś jeszcze. Może więcej niż jedna osoba. Cofnęłam się bezszelestnie i wymruczałam zaklęcie przemieniające Skoczusia w figurkę. Włożyłam go do torby na zakupy, do której spakowałam nasze ubrania. Przerzuciłam na ramię torbę od panny Terwiliger i rozejrzałam się, szukając drogi ucieczki. Okno w sypialni było za ciasne, by się przez nie wymknąć. Małe przeszklone drzwi w salonie wychodziły na balkon... mieszczący się na trzecim piętrze.

Wydostałam się z pokoju na balkon i rozważałam możliwości. Nie było ich wiele. Okna naszego pokoju wychodziły na parking, na którym nie było nic, co mogłoby zamortyzować mój skok. Bezpośrednio pod balkonem znajdował się inny. Zastanawiałam się, czy zdołam się na niego opuścić. Pół roku temu nie miałabym wątpliwości, ale teraz nie byłam pewna. Zanim podjęłam decyzję, na parking podjechał duży czarny SUV, z którego wysiadło dwóch mężczyzn w okularach przeciwsłonecznych. Stanęli tak, by móc mnie obserwować. Dostrzegłam z daleka, że jeden z nich miał w uszach słuchawki i chyba coś mówił.

Z pewnością nawiązał kontakt z grupą stojącą za moimi drzwiami, bo pukanie nagle się nasiliło. Przeszłam już udawać obsługę hotelową:

— Sydney, wiemy, że tam jesteś. Nie utrudniaj nam tego. — Po tych słowach usłyszałam dźwięk towarzyszący wsunięciu karty hotelowej w zamek, ale gdy próbowali otworzyć drzwi, powstrzymał ich łańcuch. Cofnęłam się do pokoju i zobaczyłam czyjeś oko w szczelinie drzwi. — Nie masz dokąd pójść, Sydney.

— Powiedz kolegom na parkingu, żeby jak najszybciej odsunęli się od wozu! — krzyknęłam do niej.

Potem wyszłam na balkon i wyjęłam jeden z amuletów podarowanych mi przez pannę Terwiliger. Czar był gotowy, wystarczyło tylko wymówić zaklęcie. Wypowiedziałam właściwe słowa i cisnęłam amuletem w czarny samochód, dorzucając pospiesznie zaklęcie powietrza, żeby krążek poszybował dalej, niż zdołałabym go posłać. Alchemicy zorientowali się, co się święci — może ostrzegła ich koleżanka — bo błyskawicznie odskoczyli od wozu i padli na ziemię. Wielki SUV eksplodował. Odwróciłam głowę, bo uderzyła mnie fala ciepła po wybuchu. Pomyślałam z ulgą, że na parkingu nie było niewinnych ludzi.

Później już nie traciłam czasu. Przeszłam przez poręcz balkonową, zaczepiając rękoma i nogami o metalowe pręty. Poszło mi całkiem sprawnie. Dopiero kiedy spróbowałam opuścić się na niższe piętro, odezwały się skutki czteromiesięcznego bezruchu. Nie miałam siły się utrzymać w pozycji wiszącej, a co dopiero odepchnąć się od ściany i zeskoczyć na balkon pode mną. Spróbowałam opuścić się jak najniżej i zacisnęłam ręce na dolnej krawędzi balkonu. Moje stopy zawisły tylko kilkanaście centymetrów nad balustradą niższego podestu. Spadając, musiałabym o nią zaczepić, ale jak wylądować bezpiecznie na podłodze? Z trudem wytrzymywałam rwący ból mięśni i stawów. Poluzowałam uchwyt.

— Sydney! — rozpoznałam głos Adriana, lecz go nie widziałam. Wiedziałam tylko, że znajduje się gdzieś w dole, zapewne obok wozu alchemików.

— Skacz! — krzyknął.

— Spadnę! — zawołałam.

— Nie spadniesz!

Skoczyłam i przez ułamek sekundy byłam absolutnie pewna, że rozbiję się o ziemię. Nagle zawisłam w powietrzu podtrzymywana jakąś niewidzialną siłą, która w następnej chwili popchnęła mnie w stronę balkonu na niższym piętrze. Przeleciałam nad krawędzią i wylądowałam na nim niezgrabnie, ale bezpiecznie. Nie miałam pojęcia, co mnie ocaliło. Dopiero kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Adriana na parkingu. Stał w bezpiecznej odległości od płonącego SUV-a. Alchemicy w okularach przeciwsłonecznych ruszyli w jego stronę, a on utkwiał w nich wzrok i niewidzialną ścianą mocy powalił obu na ziemię. Skrzywiłam się. Skoro Adrian posłużył się telekinezą, musiał utracić olbrzymie zasoby mocy ducha. To go z pewnością osłabi na resztę dnia.

— Drzwi są otwarte? — zapytał.

Sprawdziłam i kiwnęłam głową.

— Spotkajmy się tam, dokąd zapomniałem wczoraj pójść. Biegiem!

Alchemicy już się podnosili i Adrian korzystając z zasłony płonącego wozu, rzucił się do ucieczki. W oddali rozległy się syreny, z budynków wychodzili gapie. Wbiegłam do pokoju hotelowego i zauważyłam z ulgą, że jest pusty. Wyszłam na korytarz drugiego piętra, rozważając co dalej. „Spotkamy się tam, dokąd zapomniałem wczoraj pójść”.

Oczywiście nie mogliśmy się spotkać przy samochodzie. Alchemicy na pewno go obstawili. Co Adrian miał na myśli? Po chwili sobie przypomniałam. Korytarz kończył się z jednej strony wyjściem ewakuacyjnym, a z drugiej schodami i windą prowadzącymi na parter

i do kasyna. Usiłowałam myśleć jak alchemiczka i ruszyłam schodami w dół. Ukryte tylne przejście z pewnością monitorowano.

Na dole panowało zamieszanie, co było mi na rękę. Wszyscy słyszeli wybuch, ale nikt nie wiedział, co się stało. Część gości próbowała wyjść na zewnątrz, podczas gdy inni słysząc, że się pali, woleli zostać w środku. Ochrona hotelowa nie radziła sobie z tą sytuacją, aż w końcu któryś z pracowników uznał, że najbezpieczniej będzie wyprowadzić ludzi na zewnątrz drzwiami znajdującymi się po przeciwnej stronie niż parking. Dołączyłam do nich, rozglądając się w poszukiwaniu alchemików. Nie miałam pojęcia, kim byli oraz czy nosili hotelowe uniformy, czy normalne ubranie. Czułam się bezpiecznie w popychającym mnie tłumie ludzi, którzy przeciskali się do wyjścia w trosce o własną skórę.

Byłam już niemal przy drzwiach, gdy napotkałam wzrok mężczyzny w koszuli w egzotyczne wzory, który zdecydowanie bardziej niż ucieczką interesował się mną. W pewnej chwili zaczął się do mnie przepychać, ale na szczęście tuż obok stał ochroniarz nadzorujący ewakuację.

— Okna mojego pokoju wychodzą na parking — poinformowałam go. — Widziałam tego mężczyznę tuż przed wybuchem. Kręcił się obok SUV-a!

Taki donos normalnie puszczone by mimo uszu, ale moje słowa zabrzmiały wiarygodnie, zwłaszcza że podałam szczegóły zajścia. Ochroniarz był młody i miał bystre spojrzenie kogoś, kto pragnie się wyróżnić. Minął mnie i zatrzymał mężczyznę w hawajskiej koszuli w chwili, gdy dzieliło go ode mnie już tylko parę osób.

— Proszę pana — powiedział ochroniarz. — Możemy porozmawiać?

Facet był zniecierpliwiony, nie chciał mnie spuścić z oczu i popełnił błąd. Próbował wyminąć ochroniarza, który natychmiast go unieruchomił i zaczął wzywać pomoc.

— Puszczaj pan! — wrzasnął alchemik. — Muszę przejść!

— Proszę usiąść na ziemi!

Nie czekałam, co będzie dalej. Zostawiłam ich i prześliznęłam się przez drzwi. Po drugiej stronie inny równie gorliwy pracownik ochrony usiłował zaprowadzić porządek. Zignorowałam go i od razu oderwałam się od grupy gości hotelowych, starając się nie pogubić toreb. Wyszliśmy na ulicę w pobliżu drzwi frontowych. Po drugiej stronie tłoczego bulwaru ujrzałam centrum handlowe, które Adrian odwiedził wczorajszej nocy. Ruszyłam biegiem w tę stronę, żałując, że nie znajdujemy się w większym mieście takim jak Las Vegas, gdzie łatwiej zgubiłabym się w tłumie. Wkrótce usłyszałam za plecami krzyki. Obejrzałam się i zobaczyłam dwóch mężczyzn w okularach przeciwsłonecznych. Biegli za mną. Byłam wyczerpana gimnastyką na balkonach i nie miałam siły wymyślać stosownych zakłęb.

Stałam przed przejściem dla pieszych, za którym znajdowało się centrum handlowe. Zastanawiałam się gorączkowo, co oni zamierzali. Byliśmy w publicznym miejscu, w pełnym świetle dnia. Sądziłam, że uda im się mnie tak po prostu zgarnąć z ulicy? Tak, uświadomiłam sobie, właśnie to zamierzali zrobić. Na pewno później wszystko zatuszują. Przecież postępują tak za każdym razem, wytrwale zacierają ślady po wszelkich niezwykłych zdarzeniach. Uprowadzenie człowieka było znacznie łatwiejszym zadaniem.

Gdy zapaliło się zielone światło, wybiegłam na ulicę tak szybko, jak pozwalały mi osłabione mięśnie. Zbyt wolno. Alchemicy mnie doganiali. Wbiegłam na parking i skierowałam się do sklepu, w którym Adrian kupił mi ubranie. Nie odwracając się za siebie, popędziłam prosto w alejkę z artykułami papierniczymi, mrużąc po drodze zakłęb niewidzialności. Poczulałam, że spowija mnie magia, ale na wszelki wypadek skręciłam jeszcze w inną alejkę. Nikt za mną nie pobiegł. Idąc przed siebie, zatoczyłam pełne koło i znów znalazłam się przed wejściem do sklepu. Jeden z alchemików stanął przy drzwiach, drugi zapewne w tym czasie

przeszukiwał sklep. Wypatrywali mnie, więc zaklęcie nie będzie działać, jeśli na siebie wpadniemy. Miałam w torbie dużo silniejszy amulet, ale nie chciałam go marnować, skoro umówiłam się z Adrianem. Postanowiłam znaleźć drugie wejście do sklepu albo odwrócić uwagę wartownika.

Uchylając się przed jego wzrokiem i rozglądając bacznie dokoła, podeszłam zygzakiem do stoiska ze strojami kąpielowymi, które wyglądały na niezwykle łatwopalne. Potrafiłam wywołać ogień bez najmniejszego wysiłku. Nawet przez sen. Nie chciałam jednak zwracać na siebie powszechnej uwagi. Kiedy stroje zapłoną, wszyscy — także alchemicy — popędzą w tę stronę. Tego właśnie chciałam. Ale wówczas powinnam się znaleźć daleko stąd.

Zamknęłam oczy i rozpałam na dłoni małą iskierkę. Trudno było mi utrzymać coś tak wątłego, bo z panną Terwiliger ćwiczyłam głównie wytwarzanie wielkich kul ognia. Tym razem potrzebowałam ledwie płomyca, tak jak wtedy w ośrodku reedukacji. Udało mi się jednak i strzepnąwszy iskrę na parę spodenek kąpielowych w kolorze khaki, cofnęłam się błyskawicznie i przykucnęłam dalej przy wózkach. Poczułam swąd, lecz kostium nie zajął się tak szybko, jak się spodziewałam. Przeżywałam katusze, czekając, aż ktoś dostrzeże ogień. Alchemik wciąż stał przy drzwiach. Ku memu przerażeniu zobaczyłam przed sobą tego drugiego. Nie zdając sobie z tego sprawy, szedł prosto na mnie. Myślałam gorączkowo, jak zejść mu z oczu, gdy ktoś nagle krzyknął i z taniego materiału wystrzeliły płomienie.

Alchemik przystanął i obejrzał się na ogień, kolega poszedł za jego przykładem. Skoro obydwaj patrzyli gdzie indziej, minęłam ich i przebiegłam o trzy sklepy dalej do apteki. Na zewnątrz stał autokar z napisem LAS VEGAS, do którego wsiadała grupa starszych ludzi. Biegając na oślep, wpadłam na jednego z nich. Zamrugał ze zdziwieniem i dopiero teraz mnie zobaczył. Pojawiłam się w niewytłumaczalny sposób, ale on po chwili tylko potrząsnął głową i poszedł do autokaru.

Wparowałam do apteki i odnalazłam Adriana tam, gdzie się spodziewałam, w dziale z antykoncepcją.

— Mam nadzieję, że znalazłeś coś porządnego — powiedziałam.

— Dzięki Bogu — wysapał, chwytając mnie w ramiona. — Nie chciałem cię tam zostawiać, ale w pojedynkę mieliśmy większe szanse. Wiedziałem, że jesteś bystra i tu trafisz.

— Do miejsca, które zapomniałeś wczoraj odwiedzić? — spytałam z uśmiechem. — Tak, doszłam do tego, musiałam tylko najpierw zgubić ogon. Są w hipermarkecie... w którym za chwilę zjawi się straż pożarna. Szkoda, że nie wymyśliłam czegoś mniej rzucającego się w oczy niż pożar.

— Pod tym względem jednak cię przebiłem — odparł Adrian. — Kiedy usłyszałem wybuch w kasynie, użyłem mocy ducha i zwałem z nóg całe stado alchemików, żeby się stamtąd wydostać. Nie sądzę, by wiedzieli, czyja to sprawa, ale kasyno jest monitorowane, później będą się nad tym głowić.

— Niekoniecznie — zauważyłam. — Alchemicy na pewno powyłączali wszystkie kamery, zanim weszli do środka. Nie lubią zwracać na siebie uwagi.

Adrian odetchnął z ulgą.

— To już coś. Tylko co dalej? Dzwonimy do Marcusa po pomoc?

— Nie — odparłam. — Nie chcę, żeby tu przyjeżdżał i ryzykował, gdy w mieście roi się od alchemików.

— Jak nas znaleźli? Przez samochód?

Westchnęłam, bo zrobiło mi się głupio, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

— Szczerze mówiąc, myślę, że mają szpiegów we wszystkich miastach położonych w pobliżu ośrodka, na wypadek taki jak nasza ucieczka. Na pewno rozestali rysopisy i ktoś nas

rozpoznał. Może pracownik hotelu. Powinnam była to przewidzieć i poszukać noclegu znacznie dalej. To moja wina.

— Całą winę ponoszą ci dranie, którzy zamykają ludzi w ciemnych celach w Dolinie Śmierci — sprzeciwił się Adrian. — Przestań się oskarżać, Sage, i rusz swoim pięknym mózgiem, który znam i kocham.

Przełknęłam ślinę i kiwnęłam głową.

— Dobrze. Musimy jak najszybciej wydostać się z miasta i chyba wiem, jak to zrobimy.

— Skradzionym wozem? — spytał z nadzieją. — Oczywiście nie pochwalam kradzieży, ale Rose i Dymitr często stosowali takie zabiegi i powiem ci, że to bardzo emocjonujące.

Chwyciłam go za rękę i wyprowadziłam z apteki.

— Mój plan jest znacznie skromniejszy.

Przed budynek zajęchała już straż pożarna i na deptaku zebrał się spory tłum gapiów. Nie rozglądając się za alchemikami, ruszyłam prosto do autokaru, w którym siedzieli już wszyscy pasażerowie. Kierowca obrzucił nas podejrzliwym wzrokiem.

— Nie jesteście z tej grupy — powiedział.

Adrian zajrzał do środka i zobaczył, że wszyscy mają siwe włosy.

— Trafna uwaga — mruknął.

Szturchnęłam go.

— Dopisało ci szczęście w kasynie?

Zrozumiał i wyciągnął portfel.

— Ale chcielibyśmy do niej dołączyć — oświadczył.

Kierowca pokręcił głową.

— Tak nie można. To wycieczka zorganizowana przez biuro, które podpisało umowę z moim szefem i... — Wytrzeszczył oczy, gdy Adrian podał mu kilka banknotów studolarowych. Po chwili wahania przyjął je i wepchnął do kieszeni. — Zapraszam. Są chyba jeszcze wolne miejsca z tyłu.

Pasażerowie przyglądali nam się ze zdumieniem. Zajęliśmy fotele na końcu. Chwilę później drzwi autobusu zatrzasnęły się i opuściliśmy parking. Adrian objął mnie ramieniem i westchnął z ulgą.

— Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o tym naszym dzieciom: „Hej, skarbie, pamiętasz, jak przekupiliśmy kierowcę wycieczki seniorów do Las Vegas?”.

Roześmiałam się mimo woli.

— Prawdziwa *love story*. Na pewno będą zaskoczone.

Adrian miał rozbawioną minę, ale w jego oczach pojawił się smutek.

— Po tym, czego ostatnio się dowiedziałem o małżeństwie, to naprawdę romantyczna historia.

— O czym mówisz?

Przestał się uśmiechać.

— Nie warto o tym wspominać. Powiedzmy, że małżeństwo moich rodziców jest w rozsypce. Mama mieszka pod jednym dachem z mężczyzną, który ma ją za nic, ale płaci jej rachunki.

— Adrian! — zawołałam, kładąc rękę na jego dłoni. — Dlaczego nic mi o tym nie wspomniałeś?

Uśmiechnął się znowu, lecz tym razem kpiarsko.

— Miałem na głowie inne zmartwienia.

Nachylił się i pocałował mnie w czoło, ale jego słowa przypomniały mi o czymś, o czym od dawna nie myślałam: o moich rodzicach.

— Widziałeś się z Carly — zaczęłam. — Nie wiesz, co słychać w mojej rodzinie?

Podróż do Las Vegas zajęła nam półtorej godziny, więc Adrian zdążył mi opowiedzieć, czego się dowiedział o mojej rodzinie i sprawie rozwodowej. Słuchałam z ciężkim sercem. Nie zdziwiłam się, że ojciec uzyskał prawo do opieki nad Zoe, chociaż do końca miałam nadzieję, że uda się to mamie.

— Ale to nie znaczy, że mama przegrała sprawę — powiedziałam, próbując przekonać również siebie. — Zoe może jeszcze przejrzeć na oczy.

— Może — przytaknął, ale widziałam, że w to nie wierzy.

W Las Vegas poinformowano nas, że autokar kończy kurs w Tropicanie. Przed hotelem czekała przewodniczka. Zbierała opłaty za wycieczkę i miała oprowadzić całą grupę po miejscowych atrakcjach. Była zaskoczona naszym widokiem, ale Adrian pomachał do niej nonszalancko, jakby nasza obecność w autokarze była czymś naturalnym. Tak ją to zbiło z pantafelku, że nie próbowała nawet nas zatrzymać.

Niestety, odkryliśmy, że i na nas ktoś już tam czekał.

— Adrian — rzuciłam ostrzegawczo.

Powędrował za moim spojrzeniem do hotelowych drzwi, przy których stali mężczyzna i kobieta. Patrzyli prosto na nas.

— Jasna cholera — mruknął Adrian, przystając.

Spodziewałam się, że za chwilę rozegra się powtórka ostatnich wydarzeń, że alchemicy zaatakują. Tymczasem kobieta dotknęła ramienia innego mężczyzny stojącego do nas tyłem. Odwrócił się i wtedy zobaczyłam, że to pracownik ochrony. Kobieta mówiła coś do niego, wskazując na nas. Natychmiast ruszył w naszą stronę, a alchemicy postępowali krok za nim. Rozejrzałam się, szukając drogi ucieczki albo przynajmniej wolnej taksówki.

— To oni — mówiła kobieta. — Mówiłam panu.

— Przepraszam — zwrócił się do nas ochroniarz. — Muszę państwa zaprosić do środka i zadać kilka pytań. Istnieje podejrzenie, że jesteście zamieszani w sprawę interesującą władzę.

— Adrian — wycodziłam przez zaciśnięte zęby. — Nie możemy tam wejść. — Wiedziałam, jak to działa. Jeśli wylądujemy na policji lub choćby w pomieszczeniu dla ochrony hotelowej, alchemicy użyją magii, by nas im wydano.

Adrian spojrzał ochroniarzowi prosto w oczy.

— Nastąpiła pomyłka — powiedział przyjaźnie. W jego głosie pobrzmiwała ciepła nuta, która nawet mnie wydała się pociągająca. — Jesteśmy tu dla rozrywki, wydaliśmy mnóstwo pieniędzy w kasynie. Za to ci dwoje sprawiają problemy. Próbuje odciągnąć pana uwagę od tego, co knują.

Ochroniarz nastroszył brwi, już zawładnęła nim magia wpływu. Wzdrygnęłam się, uświadomiwszy sobie, jak wielką moc posiadał Adrian.

Alchemicy zorientowali się w sytuacji.

— On kłamie — warknął mężczyzna. — Musi pan ich ująć i aresztować. Pomożemy.

— Ująć? Mówisz serio? — zachnął się Adrian. — Wiem, że wasze metody pochodzą ze średniowiecza. Nie sądziłem tylko, że wydaje wam się, że nadal w nim żyjecie. — Skupił się na ochroniarzu. — Proszę nas puścić. Właśnie podjechała nasza taksówka. Niech pan nie pozwoli, by nas zatrzymali.

— Oczywiście — zgodził się mężczyzna.

Adrian poprowadził mnie do auta, które faktycznie właśnie podjechało. Alchemicy próbowali nas zatrzymać, ale ochroniarz, wciąż będący pod wpływem czaru Adriana, zablokował im drogę. Alchemik nie zawahał się i solidnie mu przyłożył, podczas gdy jego towarzyszka próbowała dobiec do taksówki. W tym czasie jednak oboje z Adrianem byliśmy już w środku.

Drzwiczki się zatrzasnęły i kobieta tylko uderzyła pięścią w szybę.

— Proszę jechać — polecił kierowcy Adrian. — Teraz.

Taksówkarz był zaniepokojony zachowaniem kobiety, szczególnie że po chwili dołączył do niej alchemik.

— Jedźmy! — krzyknęłam.

Kierowca nacisnął pedał gazu.

— Dokąd?

Przez chwilę żadne z nas się nie odezwało. Potem powiedziałam:

— Do Godziny Czarownic.

Adrian spojrzał na mnie ostro.

— Jesteś pewna? — spytał cicho, gdy włączyliśmy się do ruchu. — Moroje współpracują z alchemikami.

— Zaryzykuję. — Widząc jego zdumiony wzrok, dodałam: — Ostatecznie jesteśmy w Las Vegas.

Jechaliśmy bulwarem, a gdy dotarliśmy pod lokal, ostrzegłam Adriana.

— Pewnie i tutaj będą na nas czekali alchemicy. Nie rozglądaj się i nie pokazuj nic po sobie, jeśli ich zauważysz. Idź prosto do środka, do łazienki. Pójdę za tobą. Kiedy wyjdiesz, nie czekaj na mnie. Zajmij się grą w karty. Znajdę cię.

Zmarszczył czoło, ale się nie sprzeciwiał. Zapłaciliśmy i wysiedliśmy z taksówki. Nigdy nie byłam w Godzinie Czarownic, choć było to miejsce dobrze znane w kręgach alchemików. Kasyno i hotel prowadzili moroje i mimo że zjawiało się tam mnóstwo ludzi, właściciele dbali o zaopatrzenie przede wszystkim dla swoich. Drzwi otworzył nam morojski portier. W środku wszystko wyglądało podobnie jak w każdym kasynie: światła i hałas rozbudzonych emocji. Adrian postępował ściśle według moich wskazówek. Poszedł prosto do toalety mieszczącej się z boku. Sama weszłam do łazienek dla kobiet i zamknęłam się w kabinie.

Natychmiast wyjęłam amulet zapewniający niewidzialność, który dostałam od panny Terwiliger, i zawiesiłam go sobie na szyi, a następnie wypowiedziałam zaklęcie aktywacyjne. Zużyłam dużo energii, ale rezultat był imponujący. Amulet działał znacznie dłużej niż zaklęcie, jakim posługiwałam się w ośrodku, a dodatkowo teraz mogłam nawet patrzeć ludziom prosto w oczy. Tylko ktoś, kto wiedziałby, że Sydney Sage stoi przed nim niewidzialna, mógł mnie naprawdę zobaczyć. Niewidoczna dla wszystkich wyszłam z łazienki, odczekawszy, aż ktoś otworzy dla mnie drzwi.

Adrian właśnie opuszczał męską toaletę. Poszłam za nim i widziałam, jak zamawia drinka, a potem szuka stolika pokerowego. Drink był bezalkoholowy, ale zawierał krew, co było dodatkową korzyścią naszej wizyty. Wiedziałam, że Adrian od dawna nie pił krwi. Kiedy ostatecznie usiadł do gry, stanęłam za nim i wyszeptalam mu do ucha:

— Nie odwracaj się. Jestem tutaj, niewidzialna. Jeśli na mnie spojrzysz, czar może prysnąć. Kiwnij głową, że rozumiesz.

Kiwnął.

Rozejrzałam się i nachyliłam się do niego.

— Chyba widzę jednego alchemika. Przygląda ci się. Rozegraj kilka partii. Na razie nikt cię nie zaczepi. Nie zdziwiłabym się, gdyby wkrótce przysłano wsparcie.

Przeszłam się po sali. Zorientowałam się, że biura ochrony i personelu znajdowały się na parterze. Potem wróciłam do Adriana. Wciąż obserwowałam pokój, od czasu do czasu sprawdzając, jak idzie gra. Mój ukochany był naprawdę dobry, ucieszyłam się, że nie przystałam na jego propozycję rozgrywki w pokera rozbieranego. Wprawdzie i ja byłam niezłym graczem, lecz opierałam się głównie na analizie statystycznej. Nie mogłam się równać z Adrianem, który

czytał w myślach i emocjach przeciwników.

Wkrótce na sali pojawił się drugi alchemik.

— W porządku — mruknęłam do Adriana. — Dokończ tę partię i wynajmij pokój. Zamelduj się pod swoim nazwiskiem i głośno powtórz numer pokoju. Potem idź tam. Pójdą za tobą. Nie wahaj się, wdaj się z nimi w głośną bójkę, ale poczekaj, by zaatakowali pierwsi. Resztą zajmę się ja. Kiedy zarząd hotelu będzie cię przepytywał, podkreślaj, kim jesteś i jak cię potraktowano.

Posłuchał mnie bez słowa. Poszłam za nim do recepcji, trzymając się poza linią jego wzroku. Alchemicy wyszli za nami i przystanęli w zasięgu słuchu. Kiedy Adrian odebrał klucz do pokoju, powtórzył głośno:

— Pokój numer 707? To szczęśliwa liczba.

Alchemicy wymienili spojrzenia i skierowali się do windy. Adrian pojechał drugą. Skręciłam w boczny korytarz i podniosłam słuchawkę aparatu hotelowej linii telefonicznej, upewniając się, że nikt nie patrzy. Wykręciłam numer ochrony.

— Pomocy! — wykrzyknęłam. — Ktoś został napadnięty na korytarzu siódmego piętra!

Miałam nadzieję, że warto było tak ryzykować. Wróciłam pod biuro ochrony i czekałam na reakcję. Dziesięć minut później pojawiło się czterech strażników w towarzystwie Adriana i dwóch alchemików. Wszyscy weszli do pokoju, a ja wśliznęłam się za nimi, starannie omijając wzrok Adriana. Wkrótce dołączył do nas kierownik zmiany dziennej.

— Co się tu dzieje? — zapytał od progu.

Jeden z ochroniarzy chciał wyjaśnić, ale Adrian nie pozwolił mu dojść do słowa.

— Ja panu powiem! Zajmowałam się swoimi sprawami, kiedy ci dwaj — pokazał kolejno alchemików — rzucili się na mnie bez powodu! Macie pojęcie, kim jestem? Nazywam się Adrian Iwaszkow. Może słyszeliście o mojej zmarłej ciotce, królowej Tatianie Iwaszkow. Albo znacie moją najlepszą przyjaciółkę, obecną królową?

Kierownik zeszytniał, a potem zmierzył wzrokiem alchemików. Było oczywiste, że doskonale sobie zdawał sprawę, z kim ma do czynienia.

— Rzadko do nas zagładcacie.

— To przestępca — zaprotestował jeden z pojmanych. — On i dziewczyna człowiek zniszczyli jeden z naszych ośrodków! Mamy prawo ich aresztować.

— Ich? — spytał kierownik. — Widzę tu tylko jedną osobę.

— Ona także musi być w pobliżu — upierał się drugi alchemik.

Jeden z ochroniarzy pokazał duży monitor.

— Obserwujemy całe kasyno. Lord Iwaszkow był tu sam. — Odtworzył nagranie stolika pokerowego, a ja modliłam się, by nie sprawdzano, jak wchodziliśmy do środka. — A tu mamy scenę napaści.

Kolejne nagranie pokazało dwóch alchemików czyhających na siódmym piętrze. Po chwili z windy wysiadł Adrian. Było oczywiste, że to oni go zaatakowali, usiłując wykręcić mu rękę i unieszkodliwić pistoletem na środki uspokajające. Adrian dzielnie walczył, nie tylko mocą ducha — czego się spodziewałam — lecz wymierzając jednemu z napastników solidny cios. Wolfe byłby z niego dumny. Z pokoiów wyglądali goście hotelowi, wkrótce zjawili się ochroniarze i położyli kres bójce.

— To niedopuszczalne — rozżościł się kierownik. — Nie macie prawa wchodzić do mojego hotelu i napadać na morojów! Nie obchodzi mnie, kim jesteście. Nie wolno wam się tak zachowywać.

— On ma wiele na sumieniu — upierał się pierwszy alchemik. — To wy nie macie prawa go chronić.

— Jakie macie dowody? — spytał kierownik. — I gdzie niby jest ta tajemnicza dziewczyna? Musieliście się pomylić. Wyprowadzić ich — nakazał ochroniarzowi.

— Chodzili za mną cały dzień — mruknął Adrian. — Skąd mam wiedzieć, że tu nie wrócą?

— Nikt nie będzie zastraszał naszych gości — oburzył się kierownik. — Powiadomcie cały personel. Przeszukajcie hotel, okolice i tunele. Usuńcie stąd wszystkich alchemików i zawiadomcie dwór królewski. Dopóki będzie pan naszym gościem, lordzie Iwaszkow, gwarantujemy panu nietykalność.

— Dziękuję — odparł Adrian z powagą. Wstał. — Jeśli to wszystko, pójdę do siebie i sam również zawiadomię dwór.

Wyprowadzono protestujących alchemików, a kierownik osobiście odprowadził Adriana, przepaszając go po drodze i proponując rekompensatę za doznane przykrości. Kiedy Adrian został nareszcie sam w windzie, wyszłam z za jego pleców.

— Nie odwracaj się — rzuciłam ostrzegawczo. — Nie powinnam się pokazywać w kamerach.

— Czy wszystko poszło zgodnie z planem? — spytał.

— Nawet lepiej.

Przytrzymałam drzwi pokoju, żebym mogła wejść. Kiedy się za nami zamknęły, stanęłam przed nim i powiedziałam:

— Jestem. — Czar przestał działać, a Adrian chwycił mnie w ramiona i podniósł.

— To było wyśmienite — oświadczył. — Jak to przewidziałaś?

— Niczego nie przewidziałam — zapewniłam. — Zaryzykowałam. — Postawił mnie na ziemi i usiadł na sofie. — Byłam jednak pewna, że kierownictwo hotelu nie pozwoli im zabrać moroja bez dowodów. Wiedziałam, że nie mają niczego na poparcie swoich słów. Marcus wyłączył kamery w ośrodku. Alchemicy mogli cię oskarżyć jedynie na podstawie zeznań świadków, a tych nie mieli pod ręką. Ich zwierzchnicy na pewno złożą oficjalną skargę do królowej. Co do mnie... cóż, to osobna sprawa. Pewnie moroje by mnie wydali. Nie mają powodu mnie chronić... Dlatego stałam się niewidzialna.

Adrian usiadł przy mnie i cmoknął mnie w policzek.

— Mówiłem to już i będę powtarzał: jesteś genialna, Sage. Wciąż odkrywam nowe powody, żeby cię kochać, a nie sądziłem, że to możliwe.

— Nie jestem genialna — zaprzeczyłam, siadając wygodniej.

Łzy napłynęły mi do oczu. Wciąż rozpaczałam w duchu nad tym, co zrobili mi alchemicy. Kiedyś nie doświadczałam tak silnych emocji! Kierowałam się logiką, nigdy nie płakałam, a teraz chciałam tylko zwinąć się w kłębek i szlochać. Stres wywołany pobytem w ośrodku i ostatnia napaść wyczerpały mnie.

— Powinniśmy byli pojechać z Marcusem. Nie wiem, czy zdołam uciec alchemikom. Sądzisz, że jestem sprytna, ale wiesz, kto mnie tego nauczył... Masz pojęcie, do czego oni są zdolni? Mieli swoich agentów we wszystkich miastach sąsiadujących z Doliną Śmierci. Obserwowali, jak wsiedliśmy do autokaru, dowiedzieli się, dokąd jechał, i czekali na nas przed Tropikaną. Tam albo odczytali numer licencji taksówkarza, który nas zabrał, albo już wcześniej przysłali swoich agentów do Godziny Czarownic, sądząc, że najprawdopodobniej zawitamy właśnie tutaj. — Spojrzałam z powagą w oczy Adriana. — Jak się im wymknąć? Wszędzie mają oczy i uszy. Kto nas obroni? Nie możemy do końca życia ukrywać się pod czarami. Nie zostaniemy wiecznie w tym hotelu!

Zdawałam sobie sprawę, że histeryzuję, a spokój Adriana jeszcze bardziej to uwypuklał.

— Chyba mam pewien pomysł — stwierdził. — Zdobędę nam najlepszą możliwą

ochronę... ale nie wiem, czy się zgodzisz.

— Jestem otwarta na każdą propozycję — zapewniłam.

Wahał się chwilę, a potem pokiwał głową. Ku memu absolutnemu, najwyższemu zdumieniu uklęknął przede mną i ujął moje ręce w swoje dłonie.

— Sydney Katherine Sage — powiedział, patrząc na mnie zielonymi oczami, pełnymi miłości i szczerości. — Czy uczynisz ten zaszczyt posępnemu i skonanemu morojowi i zostaniesz jego żoną?

ROZDZIAŁ 20

Adrian

SPODZIEWAŁEM SIĘ NAJRÓŻNIEJSZYCH reakcji. Ale na pewno nie płaczu.

— Dobra — zacząłem ostrożnie. — Może poszłoby mi lepiej, gdybym podarował ci pierścionek.

Potrząsnęła głową, gwałtownie ocierając z oczu łzy.

— Nie, nie... to było cudowne. Po prostu nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, dlaczego płaczę. Co się ze mną stało?

Ale ja wiedziałem. Trzymano ją w zamknięciu przez cztery miesiące, spędziła wiele dni w ciemności, poddana torturom psychicznym i fizycznym. Mówiono jej, że wszystko, w co wierzyła, było złe i chore — że ona sama była zła i chora. Wystarczyło dodać do tego stres związany z ucieczką — szeregiem uciezek — i nastąpiło załamanie. Nawet najsilniejszy człowiek nie otrzęsnałby się łatwo po tym wszystkim. Sydney potrzebowała wytchnienia, czasu na powrót do zdrowia, a ci przekłęci alchemicy jej tego odmawiali.

— W porządku, mów dalej — odezwała się po chwili. Widziałem, że się pozbierała, usiłowała nie popadać w rozpacz, bo na tym jej zdaniem polegała siła. Chciałem jej powiedzieć, że siła nie tkwi w ukrywaniu uczuć, że ma prawo czuć się źle po tym, co przeszła. — Wyjaśnij mi, w jaki sposób ślub może rozwiązać nasze problemy.

Nie wstawałem z klęczek.

— Wiem, że nie takie miałaś plany — podjąłem. — W każdym razie nie teraz. Wiem, że idealnie byłoby najpierw wysłać cię do college'u, a małżeństwo odłożyć na później.

Skinęła głową.

— Masz rację. I nie myśl, że cię nie kocham. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym poślubić kogoś innego. Ale jesteśmy jeszcze bardzo młodzi...

— Wiem. — Mocniej uścisnąłem jej dłonie. — A jednak uznałem, że to najlepsze wyjście, kiedy powiedziałaś, że moroje będą mnie chronić, bo jestem jednym z nich. Ciebie również objęliby ochroną, gdybyś została moją żoną.

Lissa, gdy ją poprosiłem o pomoc, zakomunikowała: „Gdyby jeden z moich poddanych był w niebezpieczeństwie, wtedy tak, miałabym pełne prawo przeciwstawić się alchemikom”. Nie miałem wątpliwości, że na dworze będziemy bezpieczni. Lissa ochroniłaby mnie, nawet jeśli nie byłem dobrym przyjacielem. Sydney słusznie zakładała, że nie może liczyć na to samo, nawet kierownik hotelu to potwierdził. Gdyby jednak została panią Iwaszkow...

Nastroszyła brwi.

— Przyrównałaś naszą sytuację do małżeństwa zawieranego między ludźmi będącymi obywatelami różnych krajów. Po ślubie jedno z nich automatycznie otrzymuje obywatelstwo. Nie sądzę, by to działało tak samo z morojami i ludźmi. Nie stanę się morojką poprzez sam fakt ślubu. Twoja rasa nie zaakceptuje mnie jako swojej. Będą się bali.

— Możliwe — zgodziłem się. — Ale to nie znaczy, że pozwolą, by mojej żonie stała się krzywda. Pojedziemy na dwór, tam będziemy bezpieczni. — Nie odpowiedziała od razu i jej milczenie obudziło we mnie lęk. Zacząłem wymyślać jakieś irracjonalne problemy, niemające nic wspólnego z tym planem. — Jeśli nie jesteś pewna co do nas...

Spojrzała mi prosto w oczy.

— Och, Adrian, to nie to. Jest tak, jak powiedziałam. Nie chciałam wychodzić za mąż tak wcześniej, ale nie wyobrażam sobie życia z kim innym. Myślałam o tym, że kiedyś się pobierzemy. Tylko teraz przeżyłam szok. Nie umiem sobie wyobrazić takiego życia. Jeśli dostaniemy schronienie wśród morojów, czy będziemy musieli na zawsze pozostać na dworze? Czy kiedykolwiek zobaczą jeszcze moją rodzinę?

Nie pomyślałem o tym. Spodziewałem się największych komplikacji ze strony mojej rodziny... i innych osób, takich jak Charlotte. Z pewnością nie przyjmą nas z otwartymi ramionami, lecz musiałem dbać przede wszystkim o nasze bezpieczeństwo. Byłem gotów poradzić sobie z każdą reakcją morojów, lecz nie zastanawiałem się nad tym, co czeka Sydney. Nie wiedząc, co powiedzieć, wypaliłem z przekonaniem:

— To nie potrwa długo. Nie wiem kiedy, ale kiedyś minie i będziemy wolni. Będziemy mogli robić, co zechcemy, i spotykać się, z kim zechcemy.

Na twarzy Sydney malowało się zwięźnięcie.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. Nieważne, co się wydarzy, poradzimy sobie, dopóki będziemy razem.

— Dobrze — odparła po chwili zastanowienia. — I jeszcze jedno. Odkładając na bok kwestię zamieszkania wśród morojów, czy myślisz, że nasz związek jest dostatecznie silny? Małżeństwo to nie tylko zapis na papierze.

Wstałem i usiadłem obok niej.

— Wiem — przyznałem. — I wiem, że będzie ciężko, z wielu powodów. Mimo wszystko myślę, że przetrwamy, jeśli nadal będziemy się kochali tak jak teraz. — Pomyślałem o rodzicach i ich nieudanym związku. Ich wybór wydał mi się dużo bardziej szalony niż decyzja, którą musieliśmy podjąć z Sydney.

— Jak to sobie wyobrażasz? — spytała. — W hotelu na pewno mają kaplicę weselną, ale nie urządzają nam ślubu.

— Nie zrobią tego — zgodziłem się. Żaden urzędnik morojski nie pobłogosławiłby tego związku. — Tymczasem alchemicy nie mają tu wstępu. Możemy się wydostać na zewnątrz przez to małe okienko. Pojedziemy do urzędu stanu cywilnego i... Co ci jest? — Sydney znów się rozplakała.

— Nic, nic — powiedziała. — Tylko... nie. Nieważne.

— Powiedz — poprosiłem.

— No... — Westchnęła. — Wszystkie moje plany spaliły na panewce. Nauka w college'u, sytuacja w rodzinie... a teraz przyspieszam ślub o dobrych parę lat. I nawet ten ślub będzie wyglądał inaczej, niż sobie wyobrażałam. Chciałam zaprosić przyjaciół, mieć piękną suknię i wszystko, co trzeba. Wiem, że to naprawdę nie jest ważne, i serio, chętnie wezmę z tobą ślub w podkoszulce. Po prostu wszystko wygląda inaczej. Potrzebuję chwili, żeby się z tym oswoić.

Pogłaskałem ją po policzku.

— Nie potrzebujesz. Przynajmniej nie w tej sprawie. Daj mi sekundę.

Wstałem i sięgnąłem po telefon komórkowy. Przeglądałem strony w internecie, podczas gdy Sydney przyglądała mi się z zaciekawieniem. Po paru minutach miałem gotowy plan. Obym tylko nie przysporzył nam nowych problemów.

— W porządku. Wyjdziemy od razu, dopóki alchemicy nie mają tu dostępu. Wkrótce na pewno wrócą, może z przypudrowanymi tatuażami. Masz więcej tych amuletów niewidzialności?

Potrząsnęła głową.

— Mogę rzucić słabsze zaklęcie... ale nie podziała tak skutecznie w zatłoczonym miejscu.

— W takim razie ja zapewnię nam osłonę. Chodźmy. — Wyciągnąłem do niej rękę. — Musimy stąd wyjść.

Zeszliśmy po schodach. Otoczyłem nas magią ducha, żeby nikt nas nie zapamiętał i nie rozpoznał naszych twarzy. Zorientowałem się, że mój czar zadziałał, gdy mijaliśmy ochroniarza, który mnie odprowadzał wcześniej. Nie zwrócił na mnie uwagi. Wiedziałem, że zostaniemy rozpoznani, jeśli ktoś nas zauważy z daleka. Nie potrafiłem wpływać na umysły osób znajdujących się w większej odległości, dlatego tak ważne było zdążyć przed powrotem alchemicznych szpiegów. Prowadziłem Sydney podziemnymi tunelami wychodzącymi z Godziny Czarownic do znanych miejsc na Bulwarze. Po drodze minęliśmy kilka wyjść. Nie wątpiłem, że alchemicy szybko je zabezpieczą. Miałem tylko nadzieję, że ich wyprzedziliśmy i że to, które wybrałem, jeszcze nie jest obserwowane.

Wkrótce znaleźliśmy się w dużym hotelu położonym przy Bulwarze. Nie zauważyliśmy, by ktokolwiek nas śledził, więc idąc przez hol, przestałem nas osłaniać czarami. Skierowałem się bezpośrednio do wyjścia. Zatrzymaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do najbliższego urzędu miejskiego. Szczęście dopisywało nam po raz pierwszy od dłuższego czasu i w urzędzie prawie nie było kolejki. Podaliśmy swoje dokumenty urzędnikowi, a ja uśmiechnąłem się do Sydney.

— Bierzesz ślub jako ty? Nie jako Misty Steele?

— Tak byłoby bezpieczniej — odparła z kpiarskim uśmiechem. — Ale jeśli mamy się zwrócić z prośbą o azyl do morojów, musimy im pokazać legalny dowód. Żenisz się z Sydney Sage — czy tego chcesz, czy nie.

Pocałowałem ją w czoło.

— Niczego więcej nie pragnę.

Żaden z alchemików nie pojawił się w urzędzie, co przyjąłem za dobry znak. Kiedy uzyskaliśmy akt ślubu, wróciliśmy taksówką na Bulwar, do innego hotelu, tym razem przylegającego do wielkiego podziemnego centrum sklepowego. Ponownie sprawdziłem adres w komórce i zaprowadziłem Sydney do wcześniej wybranego przybytku, którego jedynym celem było umożliwienie młodym parom szybkich ślubów w Vegas. Pomieszczenie było obwieszane sukniami ślubnymi. Na nasz widok wyłoniła się ekspedientka.

— Wyglądacie na szczęśliwą parę — powiedziała. Zastanawiałem się, czy mówi szczerze, bo oboje byliśmy bardzo spięci. — W czym mogę wam pomóc?

— Bierzemy ślub — oświadczyłem. — Macie dwie godziny, żeby dać jej wszystko, czego pragnie i potrzebuje, żeby się przygotować.

Nawet Sydney zrobiła zaniepokojoną minę.

— Adrian... — zaczęła nerwowo.

— Macie tu fryzjera i makijażystkę? — spytałem, pokazując salon. — Proszę ją tam zaprowadzić i pomóc w wyborze sukni. Prawdziwej sukni ślubnej, nie takiej jak te. — Wskazałem wieszak, obok którego staliśmy, opatrzony tabliczką z napisem: WYPRZEDAŻ.

— Adrian... — powtórzyła Sydney.

— Mnie również potrzebny będzie frak — ciągnąłem. Wyjąłem z kieszeni kartkę i zabrałem ekspedientce z ręki długopis. — Oto moje wymiary. Proszę dobrać odpowiedni strój do jej sukni. Ufam pani ocenie. I wszystko, o co ona poprosi.

— Wychodzisz? — zdziwiła się Sydney.

— Mam parę spraw do załatwienia. Wrócę za dwie godziny. — Obie kobiety patrzyły na mnie w osłupieniu. — Ach tak... — przypomniałem sobie. — Powinniśmy porozmawiać o pieniądzach. Ależ ze mnie głupiec. — Znów sięgnąłem po długopis i napisałem sumę — bardzo wysoką sumę — obok moich wymiarów. — Czy to pokryje koszty? — Sydney wydała z siebie cichy okrzyk na jej widok. Konsultantka tylko uniosła brew.

— Tak, proszę pana. W sam raz. Nie sędzę, by miał pan przy sobie zaliczkę?

— Nie — zgodziłem się. — Ale to zbędne. Mam uczciwą twarz, która wzbudziła w pani zaufanie.

Błyskawicznie włączyłem czar wpływu i po chwili wahania konsultantka skinęła głową. Mogłem ją skłonić, by podarowała nam to wszystko za darmo. Wiedziałem jednak, że Sydney nigdy by mi nie darowała, gdybym rozpoczął nasze małżeństwo od oszustwa. No i ta biedna kobieta niechybnie straciłaby pracę. Pocałowałem Sydney w policzek.

— Baw się dobrze. Niedługo wrócę.

Pobiegła za mną i chwyciła mnie za ramię.

— Adrian, co zamierzasz? Nawet ty nie zdołasz zdobyć takiej sumy w dwie godziny.

Pocałowałem ją jeszcze raz.

— Zamierzam spełnić jedno twoje życzenie, Sage. Nie trać wiary. A gdyby pojawili się alchemicy... — Wydawało się to nieprawdopodobne, ale musieliśmy być przygotowani na wszystko. — Uciekaj. Spotkamy się we śnie albo skontaktujemy przez Marcusa.

— Uwważaj na siebie — poprosiła z niepokojem.

Rozumiałem ją.

— Będę — skłamałem.

Starałem się ukryć niepokój. Najrozsądniej byłoby uciec z Vegas i pobrać się w jakimś innym miejscu. Ale ślub był tu możliwy błyskawicznie i naprawdę chciałem spełnić marzenie Sydney. Miałem tylko nadzieję, że nie zapłacimy za to zbyt wysokiej ceny. Usłyszałem sygnał esemesa i zerknąłem na ekran telefonu, spodziewając się jakiegoś złowieszczonego ostrzeżenia od Marcusa. Ale to przyszła wiadomość od Jill:

To najbardziej romantyczna rzecz, o jakiej słyszałam. Zupełnie jak w filmie.

Dzięki, odpisałem. Jakaś odpowiedź?

Nie, świetnie sobie radzisz. Eddie jest wściekły, że uciekliście. Może teraz poprawi mu się humor.

Poczułem ulgę, że Eddie wrócił do Jill i jego udział w uwolnieniu Sydney nie miał żadnych konsekwencji. Napisałem: *Niech to będzie tajemnica. Potem im wszystko powiesz. Pod warunkiem że uda mi się nas stąd wywieźć.*

Mogę pomóc, odpisała.

Nie wiedziałem, co miała na myśli, ale nie odezwała się więcej, a ja zająłem się obowiązkami.

Wkrótce dotarłem do sklepu jubilerskiego, w którym skupowano i sprzedawano biżuterię. Nie był to lombard, lecz funkcjonował na podobnych zasadach. Ostatecznie byliśmy w Las Vegas. Starszy siwowłosa mężczyzna powitał mnie od drzwi i zapytał, czym może służyć. Wziąłem głęboki oddech i zrobiłem rzecz nie do pomyślenia. Wyjąłem jedną ze spinek od ciotki Tatiany.

— Ile za to dostanę?

Mężczyzna wstrzymał oddech, oglądając spinkę pod szkłem jubilerskim.

Jak możesz mi to robić?! — zawołała ciotka Tatiana. Pozbywasz się moich klejnotów!

„Nie wyrzucam ich — odparłem. — Czynię to w słusznej sprawie. W imię przyszłości”.

Przyszłości z człowiekiem!

„Z kobietą, którą kocham — powiedziałem. — Kocham cię, ciociu Tatiano, ale ty odeszłaś. Sydney jest tutaj i moje miejsce jest przy niej. Te spinki nikomu się nie przydadzą, jeśli je zachowam”.

Zjawa ciotki Tatiany wciąż była oburzona.

Zdradziłeś mnie!

Zrobiło mi się nieswojo, lecz nie zmieniłem zdania. Kiedyś wyjąłem rubin z tych spinek i zaniósłem go do lombardu z zamiarem wykupienia go później. Odzyskałem kamień cudem i silnie to przeżyłem. Teraz nie było odwrotu. Nie tylko sprzedawałem całą spinkę, nie zamierzałem jej wykupić. Czas nas naglił i wiedziałem, że nie zdołam wygrać całej sumy w karty i przyjść po klejnot. To było moje poświęcenie dla marzenia Sydney.

Jubiler podał niską cenę, oczywiście, i zaczęliśmy się targować. Niemal doszliśmy do porozumienia (choć poniżej rzeczywistej wartości spinki), kiedy zdecydowałem się na kolejny ruch. Wyjąłem drugi klejnocik.

— Zgadzam się na tę cenę — powiedziałem — ale pod jednym warunkiem. Chcę mieć te kamienie w pierścionku zaręczynowym oprawione w białe złoto. Potrzebuję również dwóch kapel weselnych. Proszę zatrzymać platynę jako zapłatę. Jest warta o wiele więcej, niż da mi pan w zamian. A, i muszę to mieć w ciągu godziny.

Spieraliliśmy się jeszcze o szczegóły, ale facet wiedział, że robi dobry interes, i nie chciał się wycofać. Ostatecznie doszliśmy do porozumienia. Pokazał mi różne pierścionki. Nie miałem dużo czasu, więc zdecydowałem się na prosty wzór: prostokątny diament z małymi prostokącikami rubinów po bokach. Planowałem kupić proste obrączki, lecz jubiler zaprezentował mi zestaw z białego złota wysadzany maleńkimi rubinami. Przypadły mi do gustu. Przypominały spinkę, którą poświęciłem, by zrealizować szalony plan. Podpisałem stosowne dokumenty, przyjąłem gotówkę i przypomniałem mu, że wrócę za godzinę.

Dalej poszedłem prosto do kasyna, w którym grano w pokera na wysokie stawki. Po drodze odbyłem bardzo ważną rozmowę telefoniczną. Grałem o duże pieniądze, ryzykowałem, mając niewiele czasu, i wiele ode mnie zależało. Gdybym przegrał, nie miałbym czasu się odegrać i nasze plany ległyby w gruzach. Zachowywałem spokój i próbowałem traktować to jak zwykłą grę, opartą na mojej sztuczce odczytywania aury. Ci gracze nie różnią się od innych, powtarzałem sobie. Po prostu rzucają na stół wyższe sumy.

Godzinę później opuściłem stół z kieszenią wypchaną wystarczająco, by pokryć koszty wesela oraz wyjazdu z Las Vegas. Wróciłem do jubilera, który dotrzymał słowa. Schowałem obrączki i odbyłem kolejną rozmowę, zatrzymując się po drodze w dwóch miejscach: aptece i winiarni. Odetchnąłem z ulgą, gdy uświadomiłem sobie, że wypełniłem ostatnie zadanie przed ślubem. Wszedłem do salonu z uczuciem zdziwienia, że wszystko poszło zgodnie z planem.

Ostatnie dwie godziny były tak gorączkowe, że miałem wrażenie, iż czas przyspieszył i wszystko trzeba zrobić natychmiast. Potem ujrzałem Sydney... i czas nagle się zatrzymał.

Mówiłem poważnie, gdy kazałem jej zamówić wszystko, czego pragnęła. Ale mogła stanąć przed ołtarzem w podkoszulce, a ja ożeniłbym się z nią w największym zachwycie, z sercem pełnym miłości. Skoro to było jasne, mogłem sobie wyobrazić jej sukienkę. Coś skromnego, z długimi wąskimi rękawami. Albo równie prostą sukienkę z krótkimi rękawami bez ozdób. Ostatecznie miałem do czynienia z Sydney. Osobą na wskroś pragmatyczną.

Nie spodziewałem się blichtru w starym hollywoodzkim stylu. Zdobiona kryształkami i falbanami z organzy suknia opinała jej ciało, zakrywając nienaturalnie szczupłą sylwetkę. Tuż pod linią bioder tkanina układała się w syreni ogon dzięki falbanom z tiulu i maleńkim ozdobom. Ramię opasywała tylko delikatna lamówka wyszywana kryształami, drugie było odsłonięte. Włosy, obecnie dłuższe niż zwykle, zostały upięte w prosty kok za pomocą kryształowego grzebienia przytrzymującego je z tyłu głowy. Z tego miejsca na plecy Sydney opadał lśniący welon. Jediną biżuterią były roziskrzone wiszące kolczyki, a jakiś mistrz wizażu zakrył wszelkie ślady przemęczenia na jej twarzy oraz złotą lilię. Dokonał tego, w dodatku nie przesadzając z pudrem. Wyglądała idealnie.

Była idealna. Promienna. Rozsiewająca blask. Marzenie.

— Chyba powinienem znów paść na kolana — powiedziałem cicho.
Uśmiechnęła się w zdenerwowaniu i przesunęła dłonią po lśniącej sukni.
— Powiedz, że cię na to stać, bo jeszcze mogę się przebrać w podkoszulkę.
— Stać mnie — odparłem, wciąż olśniony jej urodą.
Szturchnęła mnie lekko.
— W takim razie i ty się przebierz.

Konsultantka z radością poprowadziła mnie do przebieralni, radością tym większą, że zobaczyła pieniądze. Wybrano dla mnie czarny klasyczny frak. Bardzo elegancki. Kobieta upewniła się, że zamierzam go kupić, nie wypożyczyć. Wypożyczenie wymagało karty kredytowej, a ja nie chciałem używać swojej, żeby nie zostawiać śladów. Im częściej mogłem płacić gotówką, tym lepiej.

Oczy Sydney błyszczały, gdy wyszedłem z przebieralni. Czulem się znacznie gorzej ubrany od niej, ale zapewniła mnie, że prezentuję się zachwycająco. Konsultantka przypięła białą piwonię do mojego fraka i wtedy zauważyłem, że Sydney także trzyma w ręku mały bukietik różowych piwonii. W drugiej ręce miała dwie torby, z którymi przyjechaliśmy tu aż z Nevady, a ja przyniosłem ze sobą więcej pakunków. Przed wyjściem z salonu udało nam się upchnąć to wszystko w dużej torbie. Sydney odczytała na niej ze zdziwieniem etykietkę winiarni.

— A to po co?
— Na nasz miesiąc miodowy — wyjaśniłem.
— Sądziłam, że do tego wystarczy torebka z apteki — zauważyła.
— To także — zapewniłem.

Zapłaciliśmy za ostatni zakup i wyszliśmy ręką w rękę, pokonując ostatni odcinek drogi na piechotę. Zmieraliśmy do Firenze, nowego hotelu we włoskim stylu, z którym połączone było centrum handlowe. Widziałem, że Sydney jest nieco spięta, idąc w tłumie w sukni ślubnej, ale nie był to odosobniony widok w Las Vegas. Ludzie uśmiechali się do nas, wielu składało nam gratulacje. Zapewne zwracaliśmy na siebie uwagę, ale podobała mi się myśl, że wszyscy, których mijamy, są naszymi weselnymi gośćmi. Poza tym byłem dumny, że pokazuję się w towarzystwie tak olśniewającej panny młodej.

Przed wejściem do Firenze przysłała wiadomość od Jill. Odczytawszy ją, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— O co chodzi? — spytała Sydney.
— Poczekaj, a się przekonasz — odparłem. — Właśnie dostaliśmy wielki prezent ślubny.

W Firenze, jak w większości hoteli Las Vegas, mieli kaplicę weselną. Zaprowadziłem tam Sydney przez kasyno. Nerwowy człowiek w hotelowym uniformie przemierzał skrzydło. Przystanął na nasz widok.

— Pan Adrian? — spytał.
— Z całą pewnością.

Chyba mu ulżyło.

— Dobrze, macie dziesięć minut, żeby wejść i wyjść, zanim będę miał poważne kłopoty. Zarezerwowano u nas wielką imprezę i wkrótce się zaczyna.

— Tyle nam wystarczy — zapewniłem, wtykając mu sporą gotówkę.

— Tędy — powiedział, pokazując nam drzwi z napisem KAPLICA TOSKAŃSKA. Otworzył je przed nami.

Sydney posłała mi zdziwione spojrzenie.

— Wkupiłeś nas na ten ślub?

— Porządne lokale rezerwuje się z wyprzedzeniem, nawet w Las Vegas. — Zaprosiłem ją gestem do środka. — To był jedyny sposób, żeby cię zabrać do Włoch.

Weszła i się roześmiała, rozglądając się wokół z zachwytem. Kaplica była mała, mogła pomieścić najwyżej pięćdziesiąt osób, wymalowana zgodnie z amerykańskim wyobrażeniem włoskiego splendoru. Murale na ścianach przedstawiały plantacje winorośli, a zwieńczony kopułą sufit pokrywały wizerunki aniołów. Obfitość złotych zdobień kwestionowała dobry smak, ale widziałem po błyszczących oczach Sydney, że zupełnie jej to nie przeszkadza.

W centralnym punkcie kaplicy ustawiono podium udekorowane kwiatami. Obok stał celebrant i jeden z hotelowych fotografów. Jemu również byłem winien zapłatę. Człowiek, który nas tu wpuścił, pracował w biurze rezerwacji ślubów. Musiałem go szybko przekonać podczas wcześniejszej rozmowy telefonicznej. Obiecałem więc, że ta nieoficjalna impreza będzie tego warta, jeśli zapewni nam lokal i odpowiedni personel. Zostawiliśmy bagaż na pustej ławce i ruszyliśmy w stronę celebranta, gdy coś sobie przypomniałem.

— Och, zaczekaj. Najpierw to.

Ująłem ją za rękę i wsunąłem na jej palec nowy pierścionek zaręczynowy. Sydney wstrzymała oddech, widząc lśniące klejnociki, a potem spojrzała na mnie z przestachem, gdy uświadomiła sobie, skąd wziąłem fundusze na to przedsięwzięcie. — Adrian, to należało do twojej ciotki.

Poprowadziłem ją naprzód.

— A teraz należy do ciebie.

Celebrant zdawał sobie sprawę z tego, że mamy mało czasu, i maksymalnie skrócił ceremonię, ograniczając się do niezbędnych wymogów stanu Nevada. Dodał jednak coś od siebie, słowa, które paliły mnie i które powtarzałem w myślach później, gdy wsunąłem małe lśniące rubinowe kółko na palec Sydney: „Do tej pory każde z was żyło samotnie. Każdą decyzję podejmowaliście wyłącznie we własnym imieniu. Teraz, i do końca waszych dni, wasze życie będzie związane z życiem drugiego. Każdą decyzję będziecie podejmowali za oboje. Co zrobi jedno, wpłynie na drugie. Jesteście rodziną, zespołem... nierozłącznym i nierozzerwalnym”.

Te słowa wywarły duże wrażenie zwłaszcza na mnie, który tak długo prowadziłem skrajnie egoistyczny żywot. Ale gdy napotkałem roziskrzony wzrok Sydney i zobaczyłem płynące od niej nadzieję i radość, poczułem, że się zgadzam. Byłem gotów podjąć wraz z nią tę wolną od egoistycznych pragnień drogę, wiedzieć, że wszystko, co zrobimy od tej pory, będzie dotyczyło nas obojga, a z czasem naszej rodziny. To była najważniejsza decyzja w moim życiu... którą podjąłem z największą radością.

Kiedy złożyliśmy przysięgę i włożyliśmy obrączki, ogłoszono nas mężem i żoną. Przyciągnąłem do siebie Sydney i pocałowałem ją. Wypełniały mnie miłość, energia i przedsmak szczęścia, jakie nas czekało. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, urzędnik dodał:

— Jest mi bardzo miło przedstawić światu Adriana i Sydney Iwaszkowów.

Sydney uśmiechnęła się kpiąco, a ja jęknąłem.

— O, nie. O co chodzi?

Roześmiała się.

— O nic. Zawsze myślałam, że pozostanę przy swoim nazwisku. Albo przynajmniej będę podpisywać się dwoma.

— Doprawdy, kobieto! — wykrzyknąłem. — Teraz mi o tym mówisz? Jesteś mi winna kolejny pocałunek.

Znów ją przyciągnąłem i dostałem dwa buziaki. Podpisaliśmy dokumenty, a potem zapłaciłem celebrantowi i fotografowi. Kupiłem kartę pamięci z jego aparatu, choć upierał się, że zwykle sam obrabia zdjęcia i przygotowuje je w formie slajdów.

— Nie ma na to czasu — skwitowałem, machając mu przed oczyma magicznymi banknotami. Podziały niemal równie skutecznie jak czar wpływu.

Potem zabraliśmy nasze rzeczy i pożegnaliśmy maleńki włoski zakątek.

— Co dalej? — spytała Sydney, gdy szliśmy razem do wyjścia.

— Teraz odjedziemy i, wierz mi, że zrobimy to w dobrym stylu.

Pracownik biura rezerwacji otworzył przed nami drzwi i wyraźnie odetchnął z ulgą, że zdążyliśmy. Podziękowałem mu jeszcze raz i wyszliśmy na korytarz...

...gdzie oczekiwała nas grupa alchemików.

ROZDZIAŁ 21

Sydney

GDY NIEWIDZIALNA SIŁA roztrąciła alchemików pod ściany, nie musiałam pytać, by wiedzieć, że posłał ją Adrian. Poczułam jego dłoń na plecach. Popychał mnie naprzód.

— Idziemy.

Pobiegliśmy korytarzem, nie oglądając się za siebie. Oboje wiedzieliśmy, że alchemicy szybko się pozbierają.

— Musimy dobiec do Błękitnej Laguny — powiedział mój mąż.

— To jakiś basen? — spytałam. Sukienka i buty spowalniały mnie. Adrian chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą.

— Nowy hotel. Na południowym krańcu bulwaru.

— Południowy kraniec... — Próbowałam odtworzyć w myślach mapę Las Vegas Boulevard. — To co najmniej półtora kilometra stąd!

— Przykro mi — odparł. — Musimy tam dobiec. Mamy określone parametry, to jedno z niewielu pasujących miejsc.

Nie pytałam o szczegóły, gdyż wbiegliśmy na teren kasyna. Normalnie cieszyłabym się z tłumu, w którym łatwiej byłoby się ukryć, ale oboje mieliśmy na sobie ślubne stroje. Zwracaliśmy powszechną uwagę, przepychając się i wpadając na ludzi.

— Przepraszam! — zawołałam za siebie, gdy Adrian niechcący potrącił kelnerkę niosącą tacę z drinkami. Alkohol rozlał się na grupkę zaskoczonych klientów przy stole do blackjacka, ale nie mogliśmy się zatrzymać. Obejrzałam się na krótko, lecz nie zauważyłam alchemików. Tylko zamieszanie w tłumie pozwoliło mi odgadnąć, że wkrótce nas dogonią.

Bieg przez kasyno przypominał mi błądzenie w labiryncie, ale Adrian wiedział, dokąd zmierzamy. Niedługo dotarliśmy do głównego wyjścia, na podjazd Firenze, gdzie panował prawdziwy chaos. Zapadł wieczór, przyciągając wielu gości tłoczących się przy wejściu. Przybyli w poszukiwaniu rozrywki, dla hazardu i spektakli. Alchemicy jeszcze nas nie doganiali. Szykowaliśmy się na następny ruch.

— Gdzie stoją taksówki?! — wykrzyknął Adrian.

Obok nas stała grupa młodych wystrojonych ostentacyjnie kobiet. Jedna z nich miała na sobie szarfę z napisem PRZYSZŁA PANNA MŁODA i tiarę z kryształami górskimi. Sądząc po zachowaniu koleżanek, musiały już wznieść niejeden toast na jej cześć. Na nasz widok zaczęły wiwatować.

— My także czekamy na taksówkę — odezwała się dziewczyna stojąca najbliżej mnie. Zachichotała. — Nawet na kilka.

— Macie jakieś kłopoty? — zagadnęła druga.

— Tak — odparłam po szybkim namyśle. — Wzięliśmy cichy ślub, bo mój ojciec się nie zgodził. Teraz ściga nas z rodziną, chcą nas zmusić do anulowania dokumentów.

Nie bardzo naciągnęłam prawdę, za to zrobiłam odpowiednie wrażenie na grupce dziewczyn. Adrian omiótł je spojrzeniem i odezwał się głosem słodkim jak miód:

— Przepuście nas? Byłoby super. — Podniosłam głowę i ujrzałam nadjeżdżającą żółtą taksówkę.

Trudniej jest osiągnąć efekt, rzucając czar wpływu na więcej osób, ale dziewczyny były

podchmielone, co osłabiało ich wolę. Poza tym pewnie same chętnie by się zgodziły nas przepuścić na wieść o naszych miłosnych tarapatach. Zaczęły głośno rozprawiać o prawdziwym uczuciu, a przyszła panna młoda machnęła nam ręką.

— Jedźcie!

Wsiadliśmy do taksówki w chwili, gdy alchemicy wybiegali na zewnątrz przez szklane drzwi.

— Hej! — zawołałam do dziewczyn, wymachując kwiatami. — Próbuje szczęścia! — rzuciłam bukiet tak, by upadł nieco dalej, prosto na alchemików. Podochocone dziewczyny natychmiast zwróciły się w tę stronę, roztrącając naszych zaskoczonych prześladowców. Nie widziałam końca tej historii, bo siedziałam już w aucie, a Adrian kazał kierowcy jechać do Błękitnej Laguny. Ruszyliśmy.

— Mam nadzieję, że dojedziemy bez przeszkód — rzucił ponuro. — Jakim cudem nas znaleźli?

— Trudno powiedzieć. Może po prostu zauważył nas któryś z ich szpiegów. — Westchnęłam ciężko. — To moja wina. Gdybym tak dziecinnie nie upierała się przy „prawdziwym” ślubie, już dawno byłibyśmy daleko stąd.

Objął mnie ramieniem.

— Pleciesz — odezwał się czule. — Bardzo się cieszę, że tak postąpiliśmy. Za dużo już nam odebrali. Za nic nie oddałbym im tego dnia.

— Mogłam przynajmniej wybrać inną suknię — zauważyłam drwiąco. — Ta zupełnie nie nadaje się do ucieczki. Syreni ogon krępuje ruchy, ale ekspedientka przekonywała mnie, że kiedy upnę go z tyłu, zyskam więcej krągłości.

— Masz idealną figurę — mruknął Adrian, muskając palcami kryształki na moim ramiączku.

Uśmiechnęłam się do niego i nagle rozejrzałam ze zdumieniem.

— Dlaczego stoimy?

Zirytowany taksówkarz pokazał nam widok za przednią szybą.

— Typowy korek o tej porze dnia. Wszyscy się dokądś wybierają. Mam nadzieję, że się nie spieszcicie na ślub?

— Jesteśmy już po — odparł Adrian.

— To dobrze — skwitował mężczyzna, podjeżdżając ledwo kilka centymetrów do przodu. Zauważyłam, że zerka na nas w lusterku wstecznym. — Trochę to potrwa. Tylko motocykle jako tako się przemieszczają w tym ścisiku. Spójrzcie na tych wariatów.

Odwróciliśmy się we wskazanym kierunku. W pierwszej chwili dostrzegłam tylko morze świateł na zatłoczonej jezdni, ale później wyodrębniły się z niego pojedyncze światełka wymijające stojące samochody. Adrian, któremu nocą wyostrzał się wzrok, skrzywił się.

— Sydney, mam złe przeczucia.

— Wsiadamy — rzuciłam. — Teraz.

Adrian nie zadawał pytań, podał taksówkarzowi odpowiednią sumę, wprawiając go w osłupienie.

— Zwariowaliście? Jesteście na środku jezdni!

Dotarło to do nas, gdy wysiedliśmy i usiłowaliśmy się przedostać na drugą stronę ulicy. Wszyscy na nas trąbili, gdy przebiegaliśmy Las Vegas Boulevard, ale część samochodów jednak się zatrzymywała, więc nie ryzykowaliśmy aż tak bardzo. Rzeczywiście, jedynymi pojazdami, które mogły się swobodnie poruszać, były cztery motocykle. Nie zauważyłam, by skrzywiły za nami, i już pomyślałam, że udało nam się ich zmylić. Niestety, gdy nareszcie przedarliśmy się na chodnik, jeden z motocyklistów ostro skręcił w naszą stronę. Pozostali pojechali za nim.

Na chodniku tłoczyli się piesi. Odniosłam wrażenie, że tak jak samochody, oni również stoją w miejscu.

— Przecież nie wjadą w tłum ludzi? — zastanawiał się na głos Adrian, gdy zaczęliśmy przepychać się do przodu.

— Mało prawdopodobne — przytaknęłam — ale lada chwila porzucą motory i będą nas gonić na piechotę. — Zatrzymaliśmy się przed grupą turystów z aparatami fotograficznymi. Nie rozstąpili się, więc musieliśmy ich okrążyć. — Dlaczego wszyscy stoją?

— Jesteśmy przed Bellagio — wyjaśnił Adrian, patrząc na rozłożysty budynek hotelu. — Pewnie za chwilę włączą fontanny. Jestem pewien, że jeździ tędy tramwaj albo kolejka jednotorowa. Spróbujemy wsiąść.

— Nie dobiegniemy — powątpiewałam. Spowalniała mnie nie tylko wąska suknia, lecz także pantofle. Miałam dość rozsądku, by zrezygnować z polecanych szpilek na dziesięciocentymetrowych obcasach, ale zaczynałam już odczuwać skutki paradowania w nowych butach.

Zamierzaliśmy podejść pod frontowe drzwi hotelu Bellagio, co nie było łatwe, bo podekscytowany tłum gęstniał, w miarę jak zbliżaliśmy się do fontann. Musieliśmy go obejść szerokim łukiem, w rezultacie jeszcze bardziej oddalając się od wejścia. W pewnej chwili obejrzałam się za siebie i zobaczyłam biegnących w naszą stronę czterech alchemików. Roztręcali wszystkich, którzy stanęli im na drodze.

— Nie wiedziałem, że alchemicy mają w swoich szeregach mięśniaków — zauważył Adrian.

— Czasem potrzebują oddziałów specjalnych, żeby...

Moje słowa zagłuszyły okrzyki zachwyconych gapiów, bo fontanny nagle ożyły. Strumienie wody wystrzeliły kilkadziesiąt metrów w górę. Jednocześnie rozległy się dźwięki *Viva Las Vegas*. Adrian chciał pobiec dalej, ale go zatrzymałam.

— Zaczekaj — poprosiłam.

Alchemicy przepchnęli się tak blisko fontanny, jak to było możliwe, ku oburzeniu ludzi, którzy czekali tam od dłuższego czasu. Wyraźnie wypatrywali jakiegoś podwyższenia, skąd łatwiej mogliby nas zobaczyć. Napotkałam przypadkiem wzrok jednego z nich, błyskawicznie pomachał do swoich towarzyszy. Wezwałam na pomoc magię. Poświęciłam kiedyś wiele godzin pracy z żywiołami i teraz spróbowałam zapanować nad wodą, która znalazła się w zasięgu. Alchemicy zdołali zrobić ledwie kilka kroków w naszą stronę, gdy jeden ze strumieni fontanny przechylił się niczym ramię. Wyczerpujące ćwiczenia opłaciły mi się, potrafiłam zapanować nad żywiołem dużo szybciej niż kiedyś, ale nie byłam morojką. Strumień chwiał się, oblewając ludzi stojących w promieniu dobrych siedmiu metrów od alchemików. Zaciśnęłam zęby i z całych sił skupiłam się na zadaniu. Udało się, strumień popłynął prosto na naszych prześladowców. W jednej chwili porwał ich ze sobą i uniósł w górę. W tłumie rozległy się zdumione okrzyki, poszły w ruch flesze. Szybko straciłam siły, lecz osiągnęłam cel. Gdy alchemicy znaleźli się w górze bezpośrednio nad fontanną, odpuściłam, a oni spadli do wody z głośnym pluskiem.

— No, no — cmoknął z uznaniem ktoś stojący blisko mnie. — Ostatnim razem kiedy tu byłam, nie urządzili nam takiej rozrywki.

Pobiegliśmy dalej prosto do hotelu. Wystarczająco długo byłam alchemiczką, by skrzywić się w duchu na myśl o publicznym pokazie nadnaturalnej mocy, szczególnie że tak wielu ludzi musiało go zarejestrować na zdjęciach i filmach. Sprzeniewierzyłam się regule nakazującej nam ukrywanie paranormalnego świata przed zwykłymi śmiertelnikami. Pocieszałam się myślą, że nikt nie zorientował się w sytuacji. A gdyby alchemicy naprawdę się tym przejęli, bez wątpienia zadbają o odpowiedni komentarz w mediach.

Dotarliśmy do Bellagio bez przeszkód, lecz tylko przez krótką chwilę mogłam podziwiać piękne szklane kwiaty w holu, gdy Adrian pytał recepcjonistę o przystanek tramwajowy. Nie ośmieliliśmy się zwolnić kroku i resztę drogi pokonaliśmy prawie biegiem, z pewnością zwracając na siebie uwagę przechodniów. Byłam pewna, że wyszedłszy z wody, alchemicy natychmiast zaczną o nas rozpytywać. Miałam jednak nadzieję, że zatrzyma ich ochrona hotelu i że tramwaj będzie na nas czekał na przystanku.

Nie czekał, ale nadjechał już po pięciu minutach. Alchemików wciąż nie było. Wsiadliśmy i zajęliśmy wygodne fotele. Oboje byliśmy wykończeni.

— Złap oddech — poradził Adrian. — Jedziemy do końca trasy.

Kiwnęłam głową, osłabiona biegiem i magią. Założyłam nogę na nogę i zdjęłam pantofel, żeby rozmasować obolałą stopę. Kobieta siedząca naprzeciwko w jaskrawoniebieskich botkach wpatrzyła się w niego z zachwytem.

— Piękne buty — powiedziała.

— Jaki nosi pani rozmiar? — spytałam.

— Siódmkę.

— Ja też. Zamienimy się?

Wybałuszyła na mnie oczy.

— Serio?

— Potrzebuję czegoś niebieskiego do kompletu. — Pokazałam jej biały pantofelek z kryształowymi ozdobami. — To Kate Spade.

Koleżanka trąciła ją łokciem.

— Zamień się! — poleciła scenicznym szeptem.

Po chwili miałam na nogach nowe buty. Niestety, nabawiłam się już odcisków, ale gdy wstałam, moje stopy były mi wdzięczne za tę zmianę. Tiulowa falbana u dołu sukni zasłaniała buty i nikt nie domyśliłby się, co mam na nogach. Kiedy wysiedliśmy, nikt na nas nie czekał, więc ruszyliśmy do Błękitnej Laguny niemal leniwym krokiem. Przez parę minut bawiłam się myślą, że właśnie rozpoczynamy nasz miesiąc miodowy, podziwiając widoki jak normalna para. To miłe marzenie rozwiało się w hotelowym holu. Stała tam oparta o ścianę kobieta w garsonce. Na nasz widok natychmiast się wyprostowała i powiedziała coś do słuchawki.

— Wzywa wsparcie — mruknęłam, widząc, że się nie poruszyła. — Mieli całe popołudnie, by rozesać szpiegów do wszystkich hoteli w mieście.

Adrian był niewzruszony.

— Ignoruj ją. Jesteśmy już wolni. Nigdy nie zdołają ściągnąć tu tylu ludzi, by nas zatrzymać. — Podeszedł do recepcji. — Czy mógłby pan nam wskazać drogę na lądowisko helikopterów? — zapytał.

Byłam niemal równie zaskoczona jak recepcjonista.

— Ma pan pozwolenie na wejście? To teren strzeżony, niedostępny dla gości hotelowych. — Patrzył na nas podejrzliwie. — Państwo w ogóle są naszymi gośćmi?

— Nie — odparł Adrian. — Ale mamy umówiony transport. Lada chwila wyląduje po nas helikopter z Akademii Olgi Dobrowej. — To była kolejna niespodzianka. Olga Dobrowa była małą, niedawno powstałą szkołą dla morojów na granicy Kalifornii i północnej Nevady.

Recepcjonista wpisał coś do komputera.

— Państwa nazwiska? — Podaliśmy je, lecz potrząsnął głową. — Przykro mi. Nie wpisano was na listę osób autoryzowanych.

— A mógłby nam pan przynajmniej powiedzieć, czy helikopter przyleciał? — Adrian podniósł głos. — Ląduje tu tylko dla nas!

Mężczyzna pokręcił głową.

— Przykro mi, nie mogę pomóc, jeśli nie macie autoryzacji. Następny, proszę.

Adrian spojrzał mu prosto w oczy.

— Nie, za chwilę pan...

— Powiedział, że nie może wam pomóc.

Jakiś zniecierpliwiony gość w koszulce z wizerunkiem Elvisa przepchnął się i stanął przed Adrianem. Tuż za nim pojawiła się podobnie ubrana kobieta i gromadka dzieci. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, skarżąc się na nieczynną klimatyzację. Odeszliśmy zniechęceni. Zauważyłam, że alchemiczka zniknęła.

— Co się dzieje? — spytałam.

— Najlepsze plany zawsze zawodzą — mruknął Adrian. — To był ślubny prezent od Jill: plan ucieczki z Vegas. Przekonała Lissę, że znalazłem się w niebezpieczeństwie i skłoniła ją do wysłania helikoptera z Akademii Olgi Dobrowej. Stamtąd mieliśmy się udać prywatnym samolotem prosto na dwór. Czekaliby nas długa podróż, wymagająca tankowania, ale uniknęlibyśmy lotnisk publicznych i spotkań z alchemikami. Jill twierdziła, że wszystko jest załatwione, ale musieli zapomnieć o podpisaniu stosownych papierów.

Adrian wciąż mówił o „nas”, a ja zastanawiałam się, czy Lissa wiedziała, że mu towarzyszę. Może Jill opowiedziała jej tylko o tarapatach Adriana.

Adrian szybko znalazł inne rozwiązanie.

— W porządku. Zawsze pozostaje nam gotówka w garści i zdolności magiczne. Kiedy tylko rodzina Elvisa sobie pójdzie, wrócimy do recepcjonisty i... — Rozglądał się po holu, gdzie krzątali się pracownicy. — Albo nie. Mam inny pomysł. Ktoś tutaj na pewno wskaże nam drogę na lądowisko. Nieważne, co na to kierownictwo hotelu. Liczy się tylko to, żebyśmy jak najszybciej znaleźli się na pokładzie.

Dwóch pracowników nie znało drogi, ale schodzący ze zmiany chłopiec hotelowy wahał się wystarczająco długo, by Adrian go przycisnął.

— Nie musi pan nic robić — zapewniał. — Proszę nam tylko powiedzieć, gdzie to jest, a otrzyma pan sto dolarów w gotówce.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie uda wam się tam wejść. Winda nie wjedzie na piętro Starlight Tower, jeśli nie posłużycie się kartą dostępu, a mało kto nią dysponuje. Ale...

— Tak? — podchwycił Adrian. Nie używał wpływu, ale był bardzo przekonujący. A może tylko skupiony.

— Zwykła karta hotelowa otworzy wam przejście do Aurora Tower. Stamtąd przejdziecie zachodnim skrzydłem do drzwi wychodzących na dach. Znajdziecie tam trap, który przeprowadzi was na drugą wieżę. Dalej możecie się wspiąć po drabinie na lądowisko. — Obejrzał sceptycznie moją sukienkę. — Teoretycznie.

— Damy radę — stwierdził Adrian. — Ale nie jesteśmy waszymi gośćmi. Otrzyma pan jeszcze sto, jeśli zdobędzie pan dla nas kartę.

— To łatwe — odparł chłopak. — Ale nie dam wam klucza do drzwi prowadzących na dach.

— To drobiazg — wtrąciłam z nadzieją, że tak będzie.

Chłopak dotrzymał słowa i parę minut później przyniósł nam kartę hotelową. Adrian zapłacił mu i ruszyliśmy do windy jadącej do Aurora Tower.

— Ile nam zostało pieniędzy? — spytałam.

— Niewiele — przyznał Adrian. — Kilkaset dolarów. Ale kiedy znajdziemy się w samolocie, to nie będzie miało znaczenia.

Chłopak podał nam dobre wskazówki, a karta działała. Wkrótce stanęliśmy przed

wyjściem na dach. To były ciężkie szklane drzwi, składające się z rozsuwanych paneli. Umieszczono na nich znak informujący, że w chwili otwarcia uruchomi się alarm.

— W chwili otwarcia — mruknęłam. — A co się wydarzy, jeśli usuniemy szklany panel? Powinno się udać.

— Chcesz rozbić szkło? — spytał Adrian. — Skoczus jest w formie figurki, prawda? Może moglibyśmy nim cisnąć.

— Mam bardziej eleganckie rozwiązanie.

W torbie panny Terwiliger znalazłam małe zawiniątko z ziołami o gorzkim zapachu. Rozsypałam je na większy, niższy panel i zajrzałam do załączonej książki, żeby przypomnieć sobie zaklęcie. Do tej pory byłam zmuszona improwizować z magią, więc książka z gotowymi zaklęciami i listą składników wydała mi się niemal luksusem. Pomachałam nad szklaną taflą i zaintonowałam zaklęcie w grece. Chwilę później szkło zaczęło się topić jak lód, aż w końcu zamieniło się w kałużę. Kałuża szybko stwardniała, ale dolna część drzwi stała teraz otworem. Poczulałam powiew świeżego powietrza. Najważniejsze jednak, że alarm się nie rozdzwonił.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości — oświadczył Adrian. — Jesteś najlepszą partią.

Wyszliśmy na zewnątrz, schylając głowy. Powierzchnia dachu była upstrzona wentylatorami i różnymi instalacjami. Trap łączący tę wieżę z wyższą Starlight okazał się solidny i stabilny, ale drabina zawieszona na bocznej ścianie budynku budziła moje obawy. Musieliśmy się po niej wspiąć trzy piętra wyżej, co nie stanowiło imponującej wysokości na dwudziestopiętrowej budowli, jednak przedstawiało poważny problem dla osoby ubranej w ślubną suknię, nawet jeśli miała na nogach porządne buty.

Mój lęk rozwiął jednak głośny szum zapowiadający bliskość helikoptera. Wymieniliśmy podekscytowane spojrzenia.

— Ty pierwsza — oznajmił Adrian, stając obok mnie pod drabiną. Wziął moją torbę. — W razie czego podtrzymam cię mocą ducha.

Potrząsnęłam głową.

— Ty idź przodem. W helikopterze czekają strażnicy. Powinni zobaczyć moroja. Spróbuję użyć magii powietrza, gdybym się pośliznęła.

— Spróbujesz? — spytał z naciskiem.

— Nie planuję poślizgu.

Pocałował mnie i zaczął się wspinać po drabinie. Wiatr świszcział wokół, gdy obserwowałam go, wstrzymując oddech, w napięciu. Adrian pokonywał trudną drogę, krok po kroku. Nie pośliznął się ani razu, ani nawet się nie zachwiał. Szybko znalazł się na górze i stanął bezpiecznie na dachu. Pomachał do mnie i odszedł parę kroków. Straciłam go z oczu. Dźwięk helikoptera się nasilił, miałam nadzieję, że Adrian wytłumaczył sytuację strażnikom z Dobrowej.

Nadeszła moja kolej. Nowe buty trzymały się drabiny, a sukienka nie przeszkadzała mi tak bardzo, bo szczeble były zamocowane gęsto i z łatwością wspinałam się jeden po drugim. Ta drabina nie miała zatrzymywać uciekinierów. Zawieszono ją dla robotników, żeby ułatwiała im pracę. Miałam jednak inny problem. Wiatr targał moją sukienką i welonem — a gdy nieopatrznie spojrzałam w bok, zakreśliło mi się w głowie. Poda mną rozpościerało się Las Vegas, nocne światła nad miastem lśniły, zapierając dech w piersiach. Nagle ogarnęło mnie przerażenie na myśl o tym, jak wysoko jestem.

Nie pośliznęłam się jednak i chociaż wydawało mi się, że wspinałam się dobrych parę godzin, dotarłam prawie na dach i ujrzałam przed sobą lądowisko, a nad nim helikopter.

I wtedy wszystko się skomplikowało.

Helikopter nie mógł wylądować, bo miejsce blokowało dwóch alchemików albo wynajętych przez nich ludzi. Dwóch innych stało w pobliżu drabiny. Wymierzyli we mnie broń.

Ale to nie w tej chwili zamarłam. Prawdziwą panikę wzbudził we mnie widok Adriana. Klęczał po drugiej stronie dachu. W niego również ktoś mierzył, przystawił mu broń do głowy...

...To była Sheridan.

— Jestem rozczarowana! — zawołała, przekrzykując wycie krążącego helikoptera. Wirujące śmigła smagały nas zimnem. — Na waszym miejscu byłabym już daleko stąd. Tymczasem odnaleźliśmy was ledwie kilka godzin drogi od miejsca, w którym widzieliśmy się po raz ostatni.

Zabrakło mi słów, nie umiałam nawet sformułować spójnej myśli. Nie mogłam oderwać wzroku od klęczącego Adriana z lufą przy skroni. Najgorsze tortury, którym poddawano mnie przez miesiące, nie mogły się równać z udręką, jaką przeżywałam teraz na myśl, że mogę go stracić. Wszystko, o co walczyłam, każde wyzwanie, każde zwycięstwo... to wszystko straciłoby sens bez niego. Nie miałabym nawet odwagi stać się na powrót osobą, którą byłam. Nie wiedziałabym już, czym są prawdziwe życie i miłość. *Centrum permanebit*. On był moim środkiem. Zrobiłabym wszystko, oddałabym wszystko, żeby był bezpieczny.

Spojrzałam mu w oczy i zrozumiałam, że on czuje to samo.

Milczałam, więc Sheridan drwiła dalej.

— Przyznaję, ślub w Las Vegas to jest coś. Punkt za romantyzm. I za głupotę, bo podaliście swoje prawdziwe nazwiska. Na wszelki wypadek monitorowaliśmy lokalne urzędy, ale nie sądziłam, że tak łatwo was przyłapiemy. Za to udało wam się sprytnie zorganizować sam ślub. Musieliśmy obdzwonić wszystkie kaplice w mieście, mówiąc, że przygotowujemy dla was „prezent niespodziankę”. W Firenzie z początku wszystkiemu zaprzeczali, ale jeden z koordynatorów przypomniał sobie, że jego współpracownik rozmawiał z twoim „mężem”.

— Wypuść go! — zawołałam. — Przyszłaś tu po mnie!

— Jasne — odparła. Jej ładna twarz wyglądała teraz upiornie w dziwacznej grze świateł i cieni wywołanej blaskiem reflektorów helikoptera i dachu. — Podejdz i oddaj się w ręce jednego z moich agentów, a go wypuszczę.

— Widzę kłamstwo w jej aurze, Sydney! — krzyknął Adrian. Sheridan mocniej przytknęła broń do jego głowy i nakazała mu milczeć.

Wiedziałam, że kłamstwo leży w jej naturze, ale nie umiałam ocenić, czy zrobi mu krzywdę. Zabicie moroja pociągnęłoby za sobą poważne konsekwencje, zwłaszcza że ten należał do rodziny królewskiej. Na miejscu byli świadkowie. W drzwiach krążącego helikoptera dostrzegłam ciemną muskularną sylwetkę, należącą bez wątplenia do strażnika z Akademii Olgi Dobrowej. Nie mógł wiedzieć, co się dzieje na dole, ale na pewno stanąłby po mojej stronie w obronie Adriana. Chętnie poprosiłabym go o wsparcie, lecz strażnik nie mógł mi pomóc, nie narażając na niebezpieczeństwo Adriana. Było zbyt wiele niewiadomych, a ja musiałam jak najszybciej zapanować nad sytuacją.

Poczułam przypływ magicznej siły żywiołów i połączyłam to, co wiedziałam o zaklęciu ognistej kuli, z improwizacją. Z ziemi wystrzeliła ściana płomieni i rosła tak długo, aż utworzyła gigantyczne pierścienie wokół dwóch alchemików stojących blisko mnie i dwóch pozostałych na lądowisku. Zachwiałam się, tak wiele zużyłam energii do aktywacji i podtrzymywania czaru. Zachowałam jednak kamienną twarz, by nie okazać napięcia.

— Co ty wyprawiasz?! — wrzasnęła Sheridan.

— Proponuję ci układ — odparłam. — Puść Adriana, a w zamian odzyskasz swoich agentów. Żywych.

Alchemiczka nie poruszyła się ani nie cofnęła broni, ale widziałam w jej oczach strach, gdy patrzyła na swoich ludzi uwięzionych w płomieniach. Oni sami byli jeszcze bardziej przerażeni. Już w nikogo nie mierzyli. Cofali się, podchodząc jak najbliżej siebie, by uniknąć

poparzenia. Ich koledzy z lądowiska także opuścili posterunek i ruszyli w ich stronę. Ten manewr pozwolił mi zawęzić ognisty pierścień i zwolnić lądowisko, chociaż pilot helikoptera nie zdecydował się go posadzić ze względu na szalejący ogień.

— Wiedzieli, że ryzykują, podejmując tę służbę — odparowała Sheridan. — Prędzej zginą, niż pozwolą na triumf ciemności. Są gotowi na wszystko.

— A ty? — zapytałam. — Jesteś gotowa na taki widok?

Szybkim ruchem dłoni jeszcze mocniej zacieśniłam pierścień ognia. Alchemicy stłoczyli się w zwartą grupkę. Zmniejszenie ognia ułatwiło mi zadanie, ale nadal miałam potężne trudności z utrzymaniem jego intensywności. Chciałam, by alchemicy czuli żar płomieni, lecz nie zostali poparzeni. Ścisnęło mnie w dołku, gdy słyszałam ich pełne przerażenia okrzyki. Ożyły we mnie straszne wspomnienia tego, co przetrwałam w ośrodku reedukacji. Przez cztery miesiące moje życie wypełniały lęk i trwoga. Byłam tym niewiarygodnie zmęczona. Chciałam, żeby to się skończyło. Pragnęłam zawrzeć z nimi pokój. Nie zamierzałam wyrządzać nikomu krzywdy. Nie chciałam ich nawet przestraszyć. To Sheridan mnie do tego popchnęła, nienawidziłam jej za to, że posunęłam się do aktu przemocy.

Że byłam skłonna kogoś skrzywdzić.

— Jeśli ich zabijesz, ja zabiję jego — oświadczyła.

— A wtedy nic mnie nie powstrzyma przed spaleniem cię żywcem — odparowałam. — W obu wypadkach będę wolna. Naprawdę wybierasz śmierć w płomieniach?

— Nie zrobisz tego — warknęła, ale nawet w tym hałasie i zamieszaniu wyczułam, że nie jest tego pewna.

— Czyżby? — Nie mogłam przesunąć płomieni bliżej alchemików, żeby ich nie poparzyć, ale mogłam je podnieść wyżej. Sheridan wytrzeszczyła oczy, a ja siłą woli nakazywałam sobie spokój mimo żalonych okrzyków uwięzionych mężczyzn. — Sprawdź mnie, Sheridan! Przekonaj się, do czego jestem zdolna! Dla niego mogę zrobić wszystko!

Machnęłam ręką i płomienie wzniosły się jeszcze wyżej. Alchemicy krzyczeli jak opętani. Chwiałam się z wyczerpania, ale wciąż twardo patrzyłam w oczy Sheridan. Uważała mnie za zepsutą do szpiku kości istotę o kamiennym sercu, która odwróciła się od ludzi. Uwierzyła, że jestem szaleńczo zakochana w wampirze, dla którego posunę się do ostateczności. Tylko jedno było prawdą, lecz musiałam ją przekonać, że jest inaczej.

— Sprawdź mnie! — powtórzyłam.

— W porządku, spokojnie, Sydney. — Sheridan patrzyła na przemian na mnie i na alchemików za ścianą ognia. — Co mam robić? — spytała nareszcie.

— Oddaj broń Adrianowi — rozkazałam.

Zastanawiała się, napięcie sięgało zenitu. Wiedziałam, że lada chwila utracę panowanie nad magią, i bałam się, że jej wahanie ujawni mój bluff. Opuściła jednak broń i oddała mu ją. Adrian nie tracił czasu, w jednej chwili znalazł się przy mnie. Był blady i przestraszony.

— Celuj w nią — poleciłam i zwróciłam się do alchemiczki. — Kiedy wygaszę ogień, każesz im położyć broń na ziemi i założyć ręce za głowę.

Potem z niewyobrażalną ulgą rozpuściłam magię. Płomienie zgasły, a Sheridan pośpiesznie wykonała moje polecenie. Posłuchali jej, a gdy zostali rozbrownieni, kazałam im podejść do niej, na drugą krawędź dachu. Skoro ogień zgasł, helikopter zaczął podchodzić do lądowania.

— Wszyscy na ziemię — zwróciłam się do Sheridan i jej świty. — Niech nikt się nie rusza, dopóki helikopter nie odleci. Idziemy, Adrian.

Powoli zmierzaliśmy do helikoptera, nie tracąc z oczu alchemików. Adrian wciąż do nich mierzył z godną podziwu stanowczością, choć byłam pewna, że nie trafiłby, nawet gdyby

próbował. Nieznany strażnik stanął obok drzwi śmigłowca. Był zdezorientowany.

— Miło cię widzieć — powiedział Adrian.

— Cieszę się, że mogłem pomóc — odparł niepewnie. Zerknął na alchemików leżących na ziemi. — Choć pewnie powinienem był zrobić więcej. Co tu się dzieje?

— Nieważne, zrobiliście wystarczająco dużo — zapewnił Adrian. — Możemy już lecieć? Strażnik wskazał helikopter.

— Pan przodem, lordzie Iwaszkow. — Potem się zawahał. — Bo jest pan Adrianem Iwaszkowem, prawda?

— Naturalnie — odparł Adrian. Przepuścił mnie przodem. — A to jest moja żona.

ROZDZIAŁ 22

Adrian

MYŚLĘ, ŻE OBOJE z Sydney odprężyliśmy się dopiero po paru godzinach, gdy przesiadaliśmy się do prywatnego odrzutowca Akademii Olgi Dobrowej i poleciliśmy na dwór znajdujący się na drugim krańcu kraju. Ostrzeżono nas, że będziemy musieli tankować po drodze, ale nie przejmowałem się tym. Wiedziałem, że nasi piloci wylądują w jakimś dyskretnym miejscu, a poza tym alchemicy nie odważyliby się zaatakować prywatnego samolotu lecącego na polecenie królowej morojów.

Byliśmy sami na pokładzie, nie licząc dwóch strażników. Usiedli z przodu, podczas gdy ja zająłem wygodne miejsce z tyłu, wyciągając nogi na dużym stole. Sydney zniknęła w łazience zaraz po starcie, tłumacząc, że musi doprowadzić do porządku fryzurę zniszczoną przez lot helikopterem i silny wiatr.

— To dzień mojego ślubu — mówiła. — Powinnam się godnie prezentować.

Kiedy wyszła z łazienki, zauważyłem, że niemal udało jej się odtworzyć dzieło stylisty. Nie żeby mi zależało. Uważałem, że wyglądała zachwycająco z potarganymi włosami. Strażnicy skinęli grzecznie głowami, gdy ich mijała, lecz wiedziałem, że nie wiedzieli, jak ją traktować. Nie zostali uprzedzeni, że towarzyszy mi ludzka panna młoda i chociaż z pewnością szkolono ich na różne okoliczności, z taką sytuacją nigdy wcześniej się nie spotkali.

Sydney stanęła przede mną, a ja klepnąłem się w kolano.

— Proszę usiąść, pani Iwaszkow.

Przewróciła oczami.

— Wiesz, co o tym myślę — zastrzegła. Ku memu zachwytowi usiadła mi jednak na kolanach, choć może tylko dlatego, że świeżo przebudzony Skoczuś zwinął się w kłębek i zasnął smacznie na fotelu stojącym po drugiej stronie stołu.

Objąłem jej szczupłą talię ramieniem, a drugą ręką uniosłem w górę zakup z winiarni.

— Zobacz, jak będziemy świętować — powiedziałem. — To szampan.

Sydney odczytała etykietkę.

— Tu jest napisane: musujący riesling z Kalifornii.

— W każdym razie blisko — odparłem beztrósco. — Wystrzelił, gdy wyjmowałem korek, a sprzedawca dorzucił mi te plastikowe kieliszki do szampana gratis. Mówił też coś o cytrusowym bukicie i późnych zbiorach. Nie zrozumiałem, lecz zabrzmiało odświętnie.

— Alkohol przytępia magię ludzką i morojską — zauważyła Sydney.

— Przecież świętujemy dziś nasz ślub — nalegałem. — To pewnie nasza jedyna okazja. Na dworze będziemy musieli zachowywać trzeźwość... choć nie spodziewam się już kłopotów takich jak te, które przewyciężyliśmy. W porównaniu z nimi nasze życie na królewskim dworze będzie sielanką.

Spodziewałem się dalszych protestów z jej strony, ale ku memu zdziwieniu przystała na propozycję i pozwoliła mi napełnić dwa kieliszki. Uczyniłem to skwapliwie, podczas gdy ona nadal siedziała mi na kolanach. Zaproponowałem odrobinę szampana strażnikom, ale chyba wprawiliem ich tylko w większe zakłopotanie.

— Wiesz — powiedziała Sydney, upiwszy łyk. — Rzeczywiście wyczuwam cytrusy. Leciutką nutę. Jakby zapach pomarańczy. Jest słodsze, niż myślałam, ale ostatecznie sprzedawca

mówił o późnych zbiorach. Winogrona stają się tym słodsze, im dłużej pozostają w winie.

— Wiedziałem — oświadczyłem triumfalnie. — Wiedziałem, że tak będzie, jeśli namówię cię na kieliszek.

Przechyliła głowę zaskoczona.

— Czyli jak?

— Nieważne. — Musnąłem jej usta, a potem zapatrzyłem się na nią. Dopiero teraz odważyłem się uwierzyć, że ta piękna, odważna kobieta naprawdę została moją żoną. Wyglądała tak ślicznie w blasku lamp odrzutowca, a ja miałem nadzieję, że zapamiętam tę chwilę do końca życia.

— Hm. Spójrz na to.

— Na co? — spytała.

Dotknąłem jej policzka. Wciąż miała na twarzy nieskazitelny makijaż, tylko w miejscu gdzie skrywał tatuaż, pokazały się fragmenty lilii. — Zmienia barwę na srebrną — poinformowałem.

— Naprawdę? — zaniepokoiła się. — Tatuaż Marcusa także zmienił kolor, lecz dopiero po kilku latach.

— Nie zmienił się całkowicie — sprostowałem. — Nadal jest w większej części złoty. Ale tu i ówdzie mieni się srebrem. Na krawędziach złotych linii. — Przesunąłem palcami wzdłuż jej szyi do ekskluzywnie obnażonego ramienia. — Jest piękny. Nie przejmuj się.

— Nie przejmuję się, jestem tylko zaskoczona.

— Może twoje ostatnie wyczyny przyspieszyły proces.

— Możliwe — zgodziła się. Znow upiła łyk i oparła się o mnie, wdychając z zadowoleniem. — Nie spodziewam się, że na dworze przygotują nam luksusowy apartament na noc poślubną?

Wzruszyłem ramionami, nie chcąc jej martwić. — Będziemy zapewne musieli odpowiedzieć na kilka nużących pytań, to wszystko. Dodatkowy powód, by teraz cieszyć się życiem.

— Nie mam nic przeciwko nudzie — odparła, wpatrując się w przestrzeń. — Chętnie zaznam odrobiny spokoju. Żadnych dramatów. Śmiertelnego ryzyka. Jestem tym bardzo zmęczona, Adrian. Nie złamali mnie, ale czuję się kompletnie wyczerpana po pobycie w ośrodku. Mam dość bólu i przemocy. Chciałabym dopomóc w przerwaniu tego procederu... ale najpierw muszę odpocząć.

— Odpoczniemy. — Serce mi się ścisnęło na myśl o tych okropnych minutach na dachu, gdy skonfrontowała się z Sheridan, stojąc przed nią w lśniącej sukni i ciskając płomieniami niczym bogini zemsty. Wyglądała pięknie i strasznie zarazem, a Sheridan jej się przestraszyła. Tylko ja wiedziałem, ile ją to kosztowało, i gdybym mógł cokolwiek zrobić w tej sytuacji, nigdy bym na to nie pozwolił.

— Jestem z ciebie dumna — rzuciła niespodziewanie. — Tak często używałeś mocy ducha, a jednak nie straciłeś nad sobą kontroli. To nie znaczy, że pochwalam takie zachowania, ale udowodniłeś, że sobie doskonale radzisz

O, tak — odezwała się ciotka Tatiana. *Radzimy sobie doskonale.*

Zawahałem się. Pragnąłem wyjawić Sydney wszystko — ostatecznie była moją żoną — ale wciąż nie umiałem przyznać, że dręczy mnie wytwór własnej wyobraźni. Poza tym, kiedy będzie po wszystkim, na pewno pozbędę się zjawy i szybko o niej zapomnę.

Powodzenia — wyszeptala mi do ucha.

— To część naszego nowego życia — powiedziałem do Sydney. — Jak już mówiłem, będzie sielanką.

Ponownie napełniłem kieliszki, ale zamiast wyzwolić w nas radość, alkohol spotęgował zmęczenie. Byliśmy wyczerpani psychicznie, fizycznie i magicznie. Wkrótce oboje zasnęliśmy, ona na moich kolanach z głową opartą na moim ramieniu.

— Szkoda, że nie zachowałam bukietu — wymruczała przed snem.

— Uszczęśliwiłaś jakąś dziewczynę — pocieszyłem ją, tłumiąc ziewnięcie. — Na każdą rocznicę będę ci przynosił piwonie, do końca życia.

Obudził mnie nieśmiało strażnik, kiedy już wylądowaliśmy. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że helikopter stoi na terenie dworu, co było nie lada przywilejem. Większość gości lądowała na pobliskim lotnisku albo jeszcze dalej i dojeżdżała stamtąd wynajętymi samochodami. Na przykład z Filadelfii. „Misje specjalne mają swoje zalety” — przemknęło mi przez głowę. Zorientowałem się, że jest popołudnie, pora głębokiego snu dla morojów. Pomyślałem z nadzieją, że może jednak zaprowadzą nas do hotelu i pozwolą odpocząć, zanim wszyscy się obudzą.

Nic z tego.

Eskortowano nas bezpośrednio do pałacu i poinformowano, że Lissa „i inni” chcą z nami natychmiast porozmawiać. Nie mieliśmy nawet czasu się przebrać i chociaż lubiłem napawać się widokiem Sydney w cudownej sukni, w tej chwili bardziej przydałyby nam się dzinsy i podkoszulki. Postanowiłem jednak grać swoją rolę do końca, poprawiłem muszkę i włożyłem frak.

— Chodźmy zatem — zwróciłem się do oczekujących strażników.

Zabrali nas do komnaty, w której rzadko bywałem, ponieważ z Lissą — a dawniej z ciocią — spotykałem się najczęściej w mniej formalnych okolicznościach. W tym pomieszczeniu organizowano oficjalne spotkania z najwyższymi urzędnikami w państwie. Stał tam nawet tron, choć skromny, wykonany z dębu bez zbędnych ozdób. Lissa była ubrana ładnie, ale nieprzesadnie, jedynym ukłonem wobec jej tytułu była mała tiara na rozpuszczonych włosach. Pod ścianami stali milczący strażnicy, ale dla mnie liczyli się w tej chwili na równi z umeblowaniem. Dużo bardziej interesowali mnie goście Lissy: grupa siedzących lub stojących morojów. Wszyscy byli podnieceni, jakby na coś czekali. Na nas, uświadomiłem sobie.

Byli tam również Rose, Dymitr i Christian, co mnie nie zdziwiło. Lissa nie spotykałaby się ze mną bez wsparcia zaufanych przyjaciół. Marie Conta, starsza morojka, która doradzała królowej w sprawach bardziej oficjalnej natury, także stała w pobliżu. Wspierała Lissę w kontrowersyjnych decyzjach, więc nic dziwnego, że teraz również była obecna. Nie zdziwiłem się nawet tak bardzo, gdy zobaczyłem moich rodziców.

Wytrąciło mnie jednak z równowagi — podobnie jak Sydney, sądząc po sztywniejącej dłoni w moim ręku — że byli tu także alchemicy. I to nie byle jacy: ojciec Sydney, jej siostra Zoe i mężczyzna, którego rozpoznałem dopiero po chwili. To był Ian. Facet, który kiedyś przystawiał się do Sydney.

Wpakowaliśmy się w niezłą kabałę i to w dzień ślubu.

Popeniłem w życiu wiele głupstw, ale po raz pierwszy sprawiłem, że wszyscy zaniemówili. Wytrzeszczali oczy. Otwierali usta. Nawet kilku strażników o kamiennych twarzach sprawiało wrażenie zdumionych.

— Nie mówcie wszyscy naraz — zacząłem.

Ojciec Sydney zerwał się z twarzą poczerwieniałą od gniewu.

— Co, do diaska, ma znaczyć ta abominacja?

— Adrian, czy to jakiś żart? — spytała Lissa, tylko o ton bardziej taktownie.

— Żartem jest budzić wszystkich z tak błahego powodu — odparłem gładko. — Wiem, że nie mogliście się doczekać spotkania, ale naprawdę nie musieliście...

— Żądam, żebyście ją nam bezzwłocznie przekazali — wybuchnął ojciec Sydney.
— Położymy kres tej farsie. Zabieramy ją stąd.

— Pan Sage twierdzi, że Sydney dopuściła się straszliwych zbrodni przeciwko alchemikom — wyjaśniła Lissa. — Podobno miałeś w tym swój udział, Adrian, ale alchemicy są gotowi zapomnieć o twojej winie, jeśli wydamy im Sydney. Ostatecznie jesteś moim poddanym.

Nie ugiąłem się.

— Naszą jedyną winą jest uwolnienie Sydney i grupy ludzkich wraków ze straszego miejsca, które nazywają ośrodkiem rehabilitacji. Oni chcieli ją tam zostawić w pożarze. A wiesz, jakich to zbrodni rzekomo dopuściła się Sydney i jej współtowarzysze? Traktowali morojów i dampiry jak równych sobie. Wyobrażasz sobie?

— Zdaniem alchemików — ciągnęła spokojnie Lissa — Sydney usiłowała spalić swoich ludzi żywcem wczorajszej nocy.

— To był blef — sprzeciwiłem się. — Przecież żyją.

— Bez znaczenia — warknął Ian. Siedział, a sądząc po tym, że trzymał się blisko Zoe, musiał przenieść swoje uczucia na drugą siostrę Sage. — Nie do was należy sądzenie naszych ludzi. Sami się tym zajmujemy.

Przystąpiłem do ataku.

— I o to właśnie chodzi, wasza wysokość. Od chwili, w której Sydney została moją żoną, automatycznie stała się również twoją poddaną. Twierdzisz, że mnie im nie wydasz, ponieważ sprawujesz nade mną opiekę. Chcesz jednak oddać im moją żonę?

W pokoju zapadła cisza. Lissa odzyskała głos.

— Adrian... naprawdę o to chodziło? — Pokazała Sydney i mnie w strojach ślubnych, ale nie umiała znaleźć bardziej precyzyjnych słów. — Dlatego... to zrobiliście? Sądzisz, że Sydney uzyska w ten sposób obywatelstwo naszego państwa? To nie tak działa. Zupełnie nie tak. Wiem, że ci na niej zależy...

— Zależy?! — wykrzyknąłem. Uświadomiłem sobie, że oni niczego nie rozumieją. Przez ostatnie miesiące nękałem Lissę, by pomogła Sydney, a ona myślała, że robię to z przyjaźni wobec alchemiczki. Teraz uznali, że się z nią ożeniłem tylko po to, by uzyskać dla niej wsparcie. Jedynie alchemicy wiedzieli, co czuję do Sydney, lecz dla nich moje uczucia były chore i złe. — Ja ją kocham, Lisso. Nie ożeniłem się dla kawału! Pobraliśmy się, by spędzić ze sobą resztę życia. Miałem nadzieję, że jako moja władczyni będziesz chronić mnie i moich bliskich, szczególnie że ci dranie nie mają dowodów na popełnione przez nas zbrodnie. Powiedziałaś mi w ubiegłym miesiącu, że zaryzykowałabyś wyłącznie dla swoich poddanych. Wiem, że Sydney nie stała się twoją poddaną automatycznie, nie jest morojką, ale ja jestem i jeśli twoje słowa coś znaczą, otoczysz ją swoją opieką. Jesteśmy małżeństwem. Ona jest moją rodziną. Związaliśmy się ze sobą na dobre i na złe, więc jeśli pozwolisz, by ją zabrano, mnie również możesz stąd wygnać.

Lissa była wstrząśnięta, ale Jared Sage — mój obecny teść, jak sobie zdałem sprawę — nie posiadał się z oburzenia.

— To absurdalne. Ludzie i moroje nie zawierają małżeństw. To prawo obowiązuje obie rasy. Związek jest nieważny.

— Został zatwierdzony przez stan Nevada — odparłem pogodnie. — Mamy na to stosowne dokumenty. Poproszę o laptop, możemy wspólnie przejrzeć nasze ślubne zdjęcia.

Trudno było mi odczytać wyraz twarzy Rose. Z pewnością była równie wstrząśnięta jak pozostali, ale coś mi mówiło, że jest skłonna zachować się tak jak nasi przyjaciele w Palm Springs: zaakceptować nas i wspierać.

— Liss — odezwała się. — Pozwól im zostać. Nie wydawaj Sydney.

Marie Conta stojąca obok tronu nachyliła się do Lissy i wymruczała jej coś do ucha. Sądząc po minie starszej morojki, sprzeciwiała się prośbie Rose.

Ian zerwał się z miejsca.

— Nie wolno wam! — krzyknął ze wściekłością. — Nie wy będziecie decydowali o losie Sydney Sage. Nie macie prawa...

— Iwaszkow — przerwała mu Sydney. Odezwała się po raz pierwszy, od chwili gdy weszliśmy do sali.

Ian obrócił się ze wściekłością w jej stronę.

— Słucham?

— Iwaszkow — powtórzyła spokojnie.

Tylko ja wiedziałem, czując jej spoconą dłoń w mojej, jak bardzo jest zdenerwowana. Alchemicy zagrali poniżej pasa, przysyłając tutaj tę trójkę.

— Teraz nazywam się Sydney Iwaszkow, Ian.

— Akurat! — wykrzyknął jej ojciec z wykrzywioną twarzą. — Dostyc tych bzdur. Wyciągnę cię stąd siłą, jeśli tylko tak mogę oczyścić twoją duszę z tego plugastwa.

Rzucił się w stronę Sydney, ale Dymitr błyskawicznie wskoczył pomiędzy nas.

— Panie Sage — powiedział cicho. — Nikt nie będzie stąd nikogo wyciągał. Chyba że takie jest życzenie królowej.

Wszystkie oczy zwróciły się na Lissę. Miała opanowaną, niezmaconą twarz, lecz zdradziła ją aura. Postawiliśmy ją w sytuacji, w jakiej nie znalazł się żaden władca morojów. Było mi jej żal, bo narażałem przyjaciółkę, lecz nie zamierzałem się cofnąć. Złożyłem przysięgę małżeńską świadomie i zrobiłbym wszystko dla bezpieczeństwa Sydney.

— Adrian Iwaszkow jest moim poddanym — oświadczyła Lissa. — Jako taki ma prawo do wszystkich przywilejów, które z tego wynikają. Jego żona poprosiła nas o schronienie i ja jej go udzielałam. Od tej chwili oboje znajdują się pod moją opieką i dopóki pozostaną na dworze, nie macie prawa ich sądzić. Nie oddam ich, zwłaszcza że nie mam dowodów na ich rzekome zbrodnie.

— Zbrodnią jest to, że tak bezwstydnie stają przed tobą, pani! — zawołał Ian.

Ojciec Sydney mu wtórował.

— To oburzające! Podejmując taką decyzję, musi się pani liczyć ze sprzeciwem całej organizacji alchemików! Sądzicie, że możecie dalej żyć bezkarnie tak jak teraz? Zacieramy po was wszelkie ślady. Bez nas zginęlibyście. Jak sobie wyobrażacie funkcjonowanie w tym społeczeństwie bez naszej pomocy? Bez nas...

— Cały świat dowie się o istnieniu wampirów — wtrąciła chłodno Sydney. — Pozwolisz na to, ojcze? Nie boisz się, że słabi ludzie padną ich ofiarą, jeśli alchemicy przestaną ich ukrywać?

Twarz jej ojca pociemniała jeszcze bardziej. Spodziewałem się, że zarzuci ją potokiem słów, ale on tylko wziął głęboki oddech i zwrócił się do Lissy. — Alchemicy są waszymi potężnymi sojusznikami. Z pewnością nie chciałyby pani ujrzeć w nas wrogów.

— Dziękuję za ostrzeżenie. — Lissa powiedziała to z niewzruszoną miną, lecz widziałem niepokój w jej aurze. — Glen? — Królowa spojrzała na jednego ze strażników stojących przy drzwiach. — Odprowadźcie, proszę, pana Sage'a i pozostałych bezpiecznie poza teren posiadłości dworskich.

Strażnik skłonił się nisko i wystąpił naprzód wraz z pięcioma kolegami.

— Oczywiście, wasza wysokość.

Strażnicy wyprowadzili protestujących alchemików z sali. Słyszeliśmy jeszcze ich groźby dobiegające z korytarza. Przynajmniej dwóch. Zoe przez cały czas nie odezwała się nawet

słowem. Wpatrywała się w siostrę szeroko otwartymi, pełnymi troski oczami. Czy czuła się winna przewiezieniu Sydney do ośrodka, czy przeżywała szok, widząc, jak się sprawy potoczyły, nie umiałem stwierdzić. Stojąca przy mnie Sydney drżała. Z pewnością nie było jej łatwo patrzeć, jak wyprowadzają jej rodzinę. W sali zapadła cisza. Trzymając Sydney za rękę, postąpiłem krok naprzód.

— Dziękuję, Lisso. Nie masz pojęcia...

Lissa podniosła rękę, żeby mnie uciszyć. Potem przyłożyła ją do czoła, jakby rozboleła ją głowa.

— Nie, Adrian. To ty nie masz pojęcia, jakie kłopoty być może na mnie ściągnąłeś. Bardzo się cieszę ze względu na ciebie, naprawdę. Ale dziś nie chcę już o tym mówić. Muszę się z tym przespać, zastanowić się nad przyszłością. Przygotujemy dla was pokój i...

— Chwileczkę. — Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nagle wystąpił mój ojciec. Sądząc po wyrazie jego twarzy, tylko cudem nie wdał się w kłótnię z Jaredem Sage'em.

— Chcecie powiedzieć, że pozwolicie na to... małżeństwo? Uznajecie je?

Lissa była wyraźnie wyczerpana. Westchnęła.

— Dla nich jest prawdziwe, lordzie Iwaszkow, i to mi wystarczy.

— Sądziłem, że wasza wysokość tylko gra, żeby pozbyć się stąd alchemików! W żadnym razie nie może pani zaakceptować tego związku. Żaden cywilizowany moroj nie upadł tak nisko... — Ojciec urwał, mierząc wzrokiem Sydney i mnie. Skoczył na nas z szybkością, jakiej nie powstydziliby się nasi strażnicy, i miał czelność chwycić Sydney za lewą rękę. — Poznają je! Należały do twojej ciotki! Jak śmiałeś? Miałeś czelność wsunąć królewskie klejnoty na rękę tej... tej... karmicielki!

Odsunąłem Sydney.

— Tato — powiedziałem cicho. — Zawsze kierowałem się zasadą, by nie wdawać się w kłótnie z dziećmi, miłymi zwierzakami i ignoranckimi starymi ludźmi. Dla ciebie jednak zrobię wyjątek, jeśli znów tkniesz lub obrazisz moją żonę.

— Nathan — odezwała się ostrzegawczo mama, podchodząc do ojca. — To teraz twoja synowa. Okaż odrobinę szacunku.

Gniew ojca zwrócił się przeciwko niej.

— Nigdy! To niedorzeczność, zniewaga. To...

— Życzenie naszego syna — dokończyła za niego. — A ja go wspieram.

Napotkałem jej wzrok i ogarnęło mnie wzruszenie. Nie zdążyłem jej przeprosić za naszą ostatnią rozmowę. Nie odbierałem jej telefonów ani wiadomości. Nie odsunąłem się, ponieważ jej nie kochałem, ani dlatego że byłem zajęty Sydney. Patrząc na nią w tej chwili, ujrzałem ze zdziwieniem coś, czego wcześniej w niej nie dostrzegałem: upór.

— Na litość boską, Daniello! — ryknął mój ojciec. — Nie dodawaj kolejnego głupiego błędu do całej listy. Jeśli chcesz wrócić dziś ze mną do domu, milcz i...

— Nie — przerwała mu znowu. — Nie chcę wracać z tobą do domu ani dzisiaj, ani nigdy więcej.

— Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz — syknął. — Ani z konsekwencji.

— Przeciwnie, Nathan. Doskonale je rozumiem.

Spojrzałem na Lissę, zdumioną tym nieoczekiwanym zwrotem wydarzeń.

— Wasza wysokość — powiedziałem. — Wspominałaś o przygotowaniu dla nas pokoju. Czy znalazłoby się także miejsce dla mojej matki?

Lissa mogła się obawiać skutków swojej decyzji w sprawie alchemików, ale nie miała takich obaw w stosunku do mojego ojca.

— Tak — odparła. — Na pewno coś znajdziemy.

Kiedy wreszcie się rozeszliśmy, przed pałacem zebrał się już mały tłum. Plotki rozeszły się błyskawicznie i mimo późnej pory pojawili się zaciekawieni gapie. Nasze ślubne stroje mówiły same za siebie. Widziałem szok i niedowierzenie na ich twarzach, także na twarzy Charlotte. Nie spodziewałem się jej. Podobnie jak z matką, z nią również nie miałem kontaktu od chwili wyjazdu. Nie była przygotowana na widok ludzkiej panny młodej u mojego boku. Była tak wstrząśnięta, że bałem się, że zemdleje. Zaciskała nerwowo ręce, kiedy przechodziliśmy obok, wydawało mi się, że rozdrapała je do krwi.

Nieco dalej stał Wesley Drozdow, który w przeciwieństwie do innych wcale nie wyglądał na zszokowanego. Przeciwnie, był złośliwie uradowany.

Przypomniałem sobie, co mówiłem Sydney w samolocie o tym, jak piękne i beztrioskie będzie nasze życie. „Pobyt na dworze będzie sielanką” — powiedziałem. Z ukłuciem bólu zastanawiałem się, czy jej nie okłamałem. Poczulem ulgę, gdy w towarzystwie matki minęliśmy gawieź.

Rose i Dymitr eskortowali nas do pokoi gościnnych i mieli dość taktu, by nie zadawać pytań, choć widziałem, że Rose zżera ciekawość. Zachowała jednak godne podziwu opanowanie do chwili, gdy Sydney usiadła w holu, a ja zgłosiłem nasz pobyt w recepcji. Wówczas spod sukni ślubnej ukazał się niebieski but. Rose nie wytrzymała.

— Mocne buty — zauważyła. — Opowiesz mi o nich?

Sydney odpowiedziała jej uśmiechem.

— Mamy do opowiedzenia wiele historii.

— Jutro, Rose — poprosiłem. — Musimy odpocząć, a potem o wszystkim ci opowiemy. Będziesz też miała okazję sprawić nam ślubny prezent. Nie mamy jeszcze mieszkania, ale przydałyby nam się talerze i blender.

— Lordzie Iwaszkow? — przerwała nam nieco zażenowana recepcjonistka. — Obawiam się, że brakuje wolnych pokoi. Mamy remont i wizytę turystów z Bułgarii. Pozostał rodzinny apartament, w którym moglibyście się pomieścić.

Zerknąłem na Sydney i na mamę — zachowały obojętne miny. Wzruszyłem ramionami.

— Cóż, jesteśmy rodziną.

Rose i Dymitr pożegnali się, gdy wszystko zostało ustalone, i nasza trójka ruszyła po schodach do pokoju. Otworzyłem drzwi i powodowany impulsem wziąłem Sydney na ręce, a potem przeniosłem przez próg.

— Wiem, że to nie jest nasz dom — przyznałem. — Ale skoro tak często musieliśmy improwizować w dniu naszego ślubu, powinniśmy zatroszczyć się o tradycję.

— Z całą pewnością! — Sydney się roześmiała.

Postawiłem ją ostrożnie, a moja matka uśmiechnęła się grzecznie. Stanęła po mojej stronie i związała z nami swój los, ale znałem ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie od razu zaakceptuje ludzką synową.

— Dziękuję, mamó — powiedziałem, chwytając ją w ramiona.

— Sądziłam, że nauczyłam się czegoś w więzieniu — odparła. — Ale zrozumiałam coś dopiero po twoim wyjeździe. Nie twierdzę, że to wymarzona sytuacja, ale wolę takie życie niż życie bez ciebie ani bez szacunku do siebie samej.

Puściłem ją.

— Jestem z ciebie dumny. Uda nam się. Zobaczysz. Będzie wspaniale. Stworzymy wielką szczęśliwą rodzinę.

Dwie kobiety mojego życia nie wyglądały na przekonane, ale obie mnie kochały i tymczasem to musiało nam wystarczyć. Mama ukryła skrzepowanie, krytykując głośno apartament, który okazał się równie luksusowy jak mój poprzedni pokój, tylko większy.

Pozwoliłem jej na to i odetchnąłem z ulgą, bo nareszcie zostaliśmy sami z Sydney.

Usiadła na łóżku i zrzuciła błękitne buty.

— Nie wiem, która część tego dnia wydaje się najbardziej nierzeczywista.

Usiadłem obok niej.

— Otóż to. Wszystko jest rzeczywiste, szczególnie najważniejsza część: ty i ja, na zawsze razem, nasze małżeństwo ujawnione w świetle ludzi i morojów.

— Ale niezaakceptowane. — Jej uśmiech zgasł. — Połowa mojej rodziny nie chce mnie widzieć. Druga połowa chciałaby mnie zobaczyć... ale nie wiem, czy to się kiedykolwiek zdarzy.

— Zdarzy się — zapewniłem. — Dopilnuję tego. — Staralem się, by zabrzmiało to przekonująco, ale wiedziałem, że mnie przejrzała. Właśnie odcięła się od rodziny — od swojej rasy — dla mnie i choć nie wiedziałem do końca, co przeżywała, poprzysiągłem sobie w duchu, że będę ją wspierał ze wszystkich sił.

— Miałaś rację — zaczęła i przyciągnęła mnie do siebie — ...że tu będziemy bezpieczni. Dopiąłeś swego mimo tylu komplikacji.

— Oboje tego dokonaliśmy, a komplikacje wkrótce znikną. Na razie możemy odpocząć i nacieszyć się nagrodą — odparłem szarmancko, nie wspominając o swoich obawach. Po reakcji naszych ojców i nawet Wesleya miałem niejasne przeczucie, że długo nie zaznamy spokoju. Nie okazałem tego jednak, w każdym razie nie tej nocy. — A mam na myśli wiele nagród. Chyba że jesteś śpiąca.

Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie lekko w usta.

— To zależy. Zatrzymałeś się w aptece po drodze do winiarni?

— Zatrzymałem się? Wykupiłem cały zapas, Sydney. Nie chciałem, by sytuacja się powtórzyła.

Roześmiała się i pozwoliła położyć się na łóżku, gdzie zacząłem podniecający, acz nieco frustrujący proces zdejmowania jej wymyślnej sukni. Okazało się, że warto było się trudzić, a kiedy później zasnęliśmy przytuleni do siebie, nadzy, tylko z obrączkami na palcach, wiedziałem, że warto było przejść to wszystko, przez co przeszliśmy. Wszystkie próby i opapy prowadziły nas ku tej chwili, doskonałej chwili. Byliśmy dokładnie tam, gdzie być powinniśmy.

Kilka godzin później obudziło mnie pukanie i łagodny głos matki.

— Adrian? Masz gości.

Sydney poruszyła się w moich ramionach, piękna i odprężona w świetle popołudniowego słońca przenikającego przez rolety. Wyglądała tak olśniewająco i seksownie, że miałem ochotę udać, że nie słyszę, ale w tej chwili pukanie się powtórzyło, tym razem bardziej natarczywe.

— Adrian? Sydney? Tu Rose. Musimy pogadać.

Sydney się obudziła i moje nadzieje na romantyczny poranek ulotniły się bez śladu. Ubraliśmy się i wyszliśmy do salonu, w którym mama siedziała w towarzystwie Rose i Dymitra. Chciałem skarcić Rose, która najwyraźniej nie mogła się doczekać opowieści o naszych ekscytujących przygodach, lecz powstrzymał mnie wyraz jej twarzy.

— Co się stało? — spytałem.

Wymieniła spojrzenia z Dymitrem.

— Jill zaginęła.

— Jak to zaginęła? Na pewno jest w szkole. Wczoraj przysłała mi wiadomość. Zorganizowała nam helikopter.

— Poza tym pilnowali jej strażnicy — dodała Sydney. — Bo Eddie wrócił, prawda?

Rose skinęła głową.

— Troje dampirów było w kampusie. A Angeline była nawet z nią w pokoju, gdy ją zabierano.

— Zaraz... zabierano na oczach Angeline? — spytałem.

— Nie — wtrącił się Dymitr. — I to jest najdziwniejsze. Poszły spać... a gdy Angeline się obudziła, Jill już nie było.

— Nic nie widziała ani nie słyszała. Jill zniknęła w magiczny sposób. — Rose pstryknęła palcami. — Angeline nie może dojść do siebie.

Ścisnęło mnie w piersi, pokój zawirował. Jill... zaginęła? To było niemożliwe. Nie po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem. Przywróciłem ją do życia! To się nie mogło wydarzyć. Na pewno zaszła pomyłka. Eddie nigdy by na to nie pozwolił.

Widzisz? — odezwała się ciotka Tatiana. Mówiłam ci, że nie zaznasz spokoju. Zawsze coś będzie cię dręczyć. Dobrze, że masz mnie.

Sydney opadła na krzesło, splatając dłonie na kolanach.

— Angeline nie może dojść do siebie? To moja wina. Byłam odpowiedzialna za Jill, tylko po to tam pojechałam! Gdybym jej nie zostawiła...

— Nie zaczynaj — ostrzegłem, obejmując ją. Zrobiłem to po to, by siebie również uspokoić. — Nie odeszłaś z własnej woli. Porwano cię. To nie jest twoja wina. — Zwróciłem się do reszty, rozpaczliwie próbując cokolwiek zrozumieć. Sądziłem, że jeśli zacznę myśleć logicznie, nie wpadnę w panikę. — Musimy ją odnaleźć. Macie jakiś ślad?

— Jeszcze nie, wciąż szukamy. Wysłaliśmy tam strażników. — Rose westchnęła. — Został jej miesiąc do powrotu.

— Jedziemy tam — oświadczyłem. — Zarezerwujcie nam lot. — Sydney skinęła głową z zapalem.

— Oszaleliście? — sprzeciwiła się Rose. — Nie odpowiadaj. Nigdzie się nie wybieracie. Nie przydadacie się tam na nic.

— Tylko pobyt na dworze gwarantuje wam bezpieczeństwo — przypomniał Dymitr. — Musicie tu zostać. Poza tym nie chcemy nagłaśniać tej sprawy. — Spojrzał na moją mamę. — To znaczy, lady Iwaszkow, że to, o czym mówimy, nie może wyjść poza ten pokój. Nikt nie może się dowiedzieć o zniknięciu Jill. Nie mamy dowodów na to, że ona żyje, a skoro nie mamy dowodów...

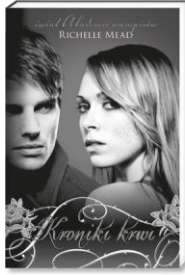
— Królowa nie może zaświadczyć, że posiada żyjącą krewną — dokończyła Sydney.

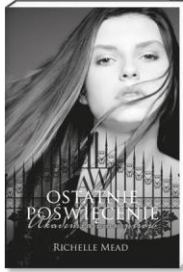
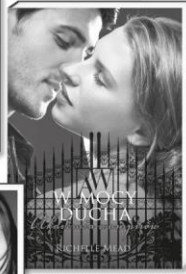
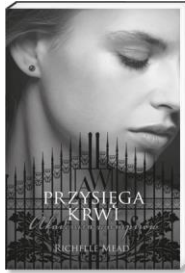
Sam nie doszedłbym tak szybko do tego wniosku. Myślałem tylko o Jill — mojej słodkiej, współczującej Jill — która zniknęła bez śladu. Dopiero teraz uświadomiłem sobie znaczenie tego, co się stało.

— Głosowanie jeszcze się nie odbyło — mruknąłem. — To, które miało spowodować uchylenie prawa.

— Właśnie — przytaknęła Rose z ponurą miną. — A jeśli rozejdzie się wiadomość o zaginięciu Jill, Lissa może stracić tron.

TEJ AUTORKI RÓWNIEŻ





Tytuł oryginału angielskiego
Silver Shadows


Copyright © 2014 Richelle Mead
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

Cover design by Lindsey Andrews
Cover photograph copyright © 2013 Michael Frost

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Korekta *Krystyna Lesińska, Ewa Mościcka*
Korekta plików po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13014-3

Plik wyprodukowany na podstawie *Kroniki krwi. Srebrne cienie*, Warszawa 2015

 Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA

www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

